Dziennik Polski

NR 11 2·01·89

Powitanie 1989 roku

W jesiennej aurze na balach, zabawach i w gronie najbliższych przyjaciół

(Inf. wł.) Bez jednego płatka śniegu i w temperaturze powyżej zera (a więc podobnie jak 12 miesięcy temu) witaliśmy Nowy Rok. Imprezą sylwestrową, budzącą tym razem największe zainteresowanie w Krakowie, był pierwszy bal w nowym hotelu „Forum". 800 gości krajowych i zagranicznych bawiło się tu przy dźwiękach dwóch zespołów muzycznych i dwóch dyskotek. Gospodarzami balu byli: „matka chrzestna" hotelu Halina Frąckowiak oraz Janusz Budzyński.

Wielką atrakcją nie tylko dla uczestników tej imprezy, ale także dla tysięcy mieszkańców Krakowa był pokaz różnokolorowych ogni sztucznych, które rozbłysły o północy nad „Forum" oraz pozostałymi hotelami „Orbisu".

Ciekawym wydarzeniem kulturalnym ostatniego wieczoru starego roku był koncert sylwestrowy w krakowskiej Operetce. Na repertuar złożyły się najsłynniejsze utwory operetkowe i musicalowe. Wykonawcami, obok najwybitniejszych krakowskich artystów byli soliści i tancerze z Kijowa.

O północy — podobnie jak w latach ubiegłych — wielu gości bawiących się na balach i zabawach w samym centrum Krakowa wyległo na płytę Rynku Głównego, aby tu, po wysłuchaniu hejnału z Wieży Mariackiej (który w tym roku odegrał ogniomistrz Jan Kołton) szampanem i pląsami wokół pomnika Mickiewicza powitać 1989 rok. (wes)

☆

(Inf. wł.) Sylwester i Nowy Rok minął w województwie nowosądeckim spokojnie. Mieszkańcy i goście bawili się na licznych zabawach sylwestrowych. W sądeckiej „Panoramie" witało Nowy Rok 120 osób. Wśród nich była grupa Szwajcarów.

W wieczór sylwestrowy zakopiański Teatr im. Witkacego przypomniał kabaretowy spektakl wg Tuwima i Słonimskiego „Dziura". Śpiewał też Stanisław Sojka.

Oficer dyżurny WUSW w Nowym Sączu poinformował nas o potrąceniu pieszego w Nowym Targu, który z obrażeniami ciała trafił do szpitala, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Pracowitą noc mieli pracownicy Pogotowia Ratunkowego: siedmiokrotnie byli wzywani do porodów, wiele razy do chorych dzieci oraz osób uskarżających się na dolegliwości sercowe. Były również interwencje lekarzy wywołane przejedzeniem i przepiciem. (saw)

☆

(Inf. wł.) Jak zwykle, w głównych lokalach gastronomicznych Tarnowa odbywały się największe i najdroższe bale, zabawy itp. Niecodzienna miała miejsce w Piwnicy Wojewódzkiego Ośrodka Kultury — tu goście przybyli... w szykownych piżamach. Ubiór ten nie był standardowy, gdyż przez większą część uczestników zabawy został on specjalnie na tę okazję uszyty.

Tuż po pierwszych noworocznych toastach, w kilku punktach Tarnowa, obok sklepów WPHW przy ul. Kościuszki, Krakowskiej i Wałowej pojawili się członkowie... społecznych komitetów kolejkowych. Pilnują oni swoich miejsc w kolejce już od tygodnia, po ogłoszeniu, że 4 stycznia będzie można dokonać przedpłat na telewizory, lodówki, pralki...

Dużo pracy miało tarnowskie Pogotowie Ratunkowe. Tylko od sylwestrowej północy do godz. 8 nazajutrz karetki wyjeżdżały 30 razy — najczęściej do osób więcej niż nietrzeźwych. (ziob)



Fot. Marian Żyła

SŁOWO POWSZECHNE

NR 1 2·01·89

Polska sztuka w Oksfordzie

W Oksfordzie zakończył się polski sezon kulturalny. Trwał on od połowy września do końca października, a zorganizowany został dzięki pomocy finansowej Arts Council Wlk. Brytanii oraz władz i organizacji lokalnych miasta. Główną siedzibą prezentacji było oksfordzkie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, które urządziło wystawę malarstwa i rzeźby 6 polskich twórców, wystawę plakatu oraz magnetowidowy przegląd awangardy teatralnej.

Ponad 80 plakatów wybranych z kolekcji KAW, polskiej sekcji BBC oraz 4 zbiorów prywatnych, dało obraz powojennej historii dziedziny sztuki od **Henryka Tomaszewskiego** przez m.in.: **Trepkowskiego, Stannego, Cieślewicza, Lenicę i Świerzego, Starowieyskiego i Pągowskiego.** Reprezentowane były wszystkie dziedziny plakatowej twórczości.

Magnetowid prezentował przegląd wydarzeń teatralnych z lat 70. i 80. Można było obejrzeć fragmenty spektakli m.in.: **Teatru Witkiewicza z Zakopanego, Starego Teatru z Krakowa i Teatru Grotowskiego.**

Wystawa polskiego malarstwa i rzeźby eksponowała różne nurty i tendencje w tych dziedzinach w kraju, który — jak podkreślono w programie wystawy — zawsze stanowił pomost między kulturą Europy Wschodniej i Zachodniej. Obok znanych już Brytyjczykom płócien **Jerzego Nowosielskiego** i **Leona Tarasewicza** wystawiono obrazy **Edwarda Dwurnika** oraz budzącą duże zainteresowanie serię malarsko-fotograficznych przestrzennych obrazów **Izabelli Gustowskiej.**

Polską rzeźbę reprezentowały kompozycje **Magdaleny Abakanowicz** oraz prace **Jerzego Beresia.**

Dziennik Polski
NR 7 9.01.89

W zakopiańskim teatrze

Kolejne wydarzenie artystyczne



(INF. WŁ.) Publiczność premierowego przedstawienia „Sonaty B" wg Stanisława Ignacego Witkiewicza w zakopiańskim teatrze „Witkacego" nie miała wątpliwości, iż uczestniczy w ważnym wydarzeniu kulturalnym. Odkrywanie twórczości autora „Szewców" trwa. Nadal szokuje łamaniem zastanych prawd, obrazoburstwem, ironią, szyderstwem, brutalnością i perwersją. Andrzej Dziuk — scenarzysta, scenograf i reżyser przedstawienia opartego na sztuce Witkacego „Sonata Belzebuba" wydobywa wszystkie te cechy stanowiące o istocie twórczości autora „Mątwy". „Sonata B" jest trzecią po „Pragmatystach" i „Autoparodii" sztuką Witkiewicza goszczącą na scenie zakopiańskiego teatru jego imienia. Jest równocześnie 15. premierą sceny pod Giewontem.

Muzykę, znakomitą, przygotował Jerzy Chruślicki.

*

Również w sobotę z premierowym przedstawieniem wystąpił rabczański teatr „Rabcio". I ten spektakl znalazł uznanie u publiczności. Scena wystawiła sztukę Krzysztofa Teodora Teoplitza pt. „Psia dola". Reżyserowała ją Ewa Marcinkówna. (saw)

Trybuna Ludu

NR 7

9.01'89

KULTURA • KULTURA

WARSZAWA. W Teatrze Żydowskim wystąpił 7 bm. słynny kantor z USA Shlomo Karlebach, który śpiewał własne ballady inspirowane folklorem chasydów.

KRAKÓW. 7 bm. rozpoczął się Festiwal Muzyki Współczesnej, w którym bierze udział 20 kompozytorów z 20 krajów, w tym z obu Ameryk i Australii. Zainaugurował go sławny kompozytor Luciano Bario z Włoch, a zakończy 18 bm. koncert muzyki Krzysztofa Pendereckiego.

NOWY SĄCZ. Z premierą kolejnego spektaklu swego patrona wystąpił 7 bm. Teatr Witkacego z Zakopanego. Jest to „Sonata B", oparta na „Sonacie Belzebuba", sztuce z 1925 r., którą autor opatrzył podtytułem „Czyli prawdziwe zdarzenie w Mordowarze". Twórcą inscenizacji jest Andrzej Dziuk, muzykę skomponował Jerzy Chruściński.

KRAKÓW. Na scenie Teatru im. J. Słowackiego 8 bm. odbyła się premiera jednej z najgłośniejszych oper Haendla „Juliusz Cezar". W partii tytułowej wystąpił Bogusław Szynalski, jako Kleopatra — Krystyna Tyburowska. Reżyserem i choreografem jest Henryk Konwiński, zaś od strony muzycznej spektakl przygotowała Ewa Michnik.

SZCZECIN. Zakończyły się Dni Kultury Francuskiej, w czasie których odbywały się koncerty, pokazy filmów w wersji oryginalnej, czynne były wystawy. „Dni" zorganizował oddział Polskiego Komitetu Współpracy z „Allience Francaise", który niespełna miesiąc temu powstał w Szczecinie.

BYDGOSZCZ. W Inowrocławiu zakończyło się 8 bm. I Międzywojewódzkie Forum Teatrów Amatorskich, w którym wystąpiło 14 zespołów. Dwie równorzędne nagrody zdobyły: Teatr im. Alberta Tison z MDK ze Żnina na Pałukach oraz Zespół Pałacu Młodzieży w Bydgoszczy.

NOWY SĄCZ. Premierą widowiska „Psia dola" Krzysztofa Teodora Toeplitza w reżyserii Ewy Marcinkówny w 40 rok pracy wkroczył Teatr Lalek „Rabcio" w Rabce.

KRAKÓW. W Teatrze Ludowym w Nowej Hucie odbyła się 7 bm. premiera sztuki współczesnego angielskiego pisarza Davida Hare'a pt. „Fanaren" w reżyserii Waldemara Śmigasiewicza. Jej tematyką są przemiany w Chinach w pierwszej połowie naszego stulecia.

WŁOCŁAWEK. W zabytkowych wnętrzach Muzeum Etnograficznego we Włocławku wystąpiła 8 bm. miejscowa orkiestra kameralna pod dyrekcją Bogusława Kręgielewskiego, która wykonała utwory m.in. Haendla, Brahmsa, Mozarta i Beethovena.

SŁUPSK. W Teatrze Dramatycznym spektaklem „Wyklęci poeci, czyli koncert dla trzech solistów przy wtórze opinii publicznej" wg scenariusza i w reżyserii Stanisława Nosowicza zainaugurowała 8 bm. działalność Scena Inicjatyw Aktorskich. Na spektakl złożyły się wiersze Mandelsztama, Galicza i Wysockiego. (PAP)

Kultura

Nr 2

11.01.89

W KRAJU

26.12.

W Warszawie zmarł w wieku 67 lat profesor Jan Białostocki, historyk sztuki, wybitny muzeolog, pedagog.

W Zielonej Górze powstała prywatna wypożyczalnia książek, które można zamawiać telefonicznie. Wypożyczenie książki na jeden dzień kosztuje 100 zł, dostarczenie jej do domu, następne 100 zł. „Libella" ma ułatwić wypożyczanie książek głównie ludziom chorym i niepełnosprawnym, choć nie pozbawionym większych dochodów.

27.12.

W Muzeum Rzemiosł Drzewnych w Środzie Śląskiej otwarto wystawę „Leon Wyczółkowski — malarstwo, grafika, rysunek".

W 35 rocznicę śmierci Juliana Tuwima na grobie poety na warszawskich Powązkach złożono wiązanki kwiatów od Wojciecha Jaruzelskiego, Mieczysława F. Rakowskiego, Ministerstwa Kultury i Sztuki, ZLP, Muzeum Literatury oraz wydawnictwa „Czytelnik".

Zakopiański Teatr im. Stanisława Witkiewicza rozpoczął cykl imprez pt. „Karnawał — Witkacego". Obejmuje on m. in. przedstawienia „Witkacy — autoparodia", „Wielki teatr świata" Calderona i „Cabaret Voltaire".

Mennica Państwowa w Warszawie wybiła pierwszą partię medali poświęconych Władysławowi Wygnańcowi. Jest to już ósmy medal z serii „Królowie polscy".

ZPAF czynna jest wystawa Pawła Kwieka „Myślokształty Lecha Wałęsy", zawierająca zdjęcia wykonane podczas wizyty L. Wałęsy w Paryżu.



W Teatrze im. S. I. Witkiewicza — znów

Witkiewicz

„SONATA B" – piętnastą premierą

Jak interpretować dramaty Stanisława Ignacego Witkiewicza? Czy w ogóle jest to możliwe? Na ile tworzywo słowa pisanego i wyobraźni czytelnika da się urealnić w kształt sceniczny? Jak ruchy, mimika, gesty i kwestie aktorów wypełnią wieloplanowo przestrzeń? To były niemal niewiadome jeszcze w minioną sobotę (7 stycznia), kiedy o godz. dwudziestej pierwszej trzydzieści „Zbrojni" otwierali drzwi prowadzące z foyer na widownię Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Raziło ostre światło latarni wdzierającej się do czarnego wnętrza przez okno, za którym spokojnie padał śnieg. W sali stół i dwie nieruchomo tkwiące postacie: jedna w wózku inwalidzkim, a druga na krześle. Obydwie osoby odziane na czarno. Kobieta w fotelu na kółkach podnosi się, z wysiłkiem pokazuje laską w kierunku okna. Niesamowity jest jej głos wypowiadający urwane zdanie: *„On marzył!..."*

Tak właśnie rozpoczął się dla widzów ni to sen, ni jawa pełna niespodzianek Zmuszająca do nieustannej koncentracji uwagi i intelektu na ruchach, gestach, słowach, krzykach, pojawianiu się postaci w miejscach najmniej spodziewanych, pozornie nie mających z sobą żadnego związku, a jednak nierozerwalnie wplatających się w wątek. Pozornie nieistotnych, a jednak takich, bez których nic by się nie działo. Jest w tym wszystkim coś z istoty wypowiedzianych słów: „absolutna izolacja każdego indywiduum we wszechświecie". Jest niepokój wdzierający się równie niedostrzegalnie jak tajemnicze postacie, wchodzące bezszelestnie przez okno, za którym wciąż widać spokojnie padający śnieg złocony blaskiem latarni. Wszystko to zmienia się w jakieś „dansingowo-kabaretowe piekło" przeniesione z narkotycznej wizji schizofrenika. Ruch, zbyt wiele ruchu, by nadążyć za zdarzeniami-zjawami, by wychwytywać niuanse wypowiedzi i śpiewów. Aktorstwo znakomite, bo zapomina się, że na przestrzeni scenicznej są aktorzy. Przebudzenie. Powrót do realności nierealnego świata, nierealnych postaci. Odejście. To już finał.

I tylko ten śnieg spokojnie padający za oknem.

Tak wpisała się w moją pamięć kolejna, piętnasta już premiera w Teatrze im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Zakopanem, w teatrze, który zadebiutował 24 lutego 1985 roku, w setną rocznicę urodzin Witkacego. Wtedy sięgnięto po twórczość patrona sceny. Później uczyniono to raz jeszcze. Po „Pragmatystach" i „Autoparodii", którą sam autor opatrzył podtytułem: „Niesmaczny, góralsko-ceperski skecz. Zakopiańczykom (prawdziwym?) poświęcone", teraz wystawiono „Sonatę B" — dramat w wielu nawet poważnych opracowaniach poświęconych Witkiewiczowi pomijany — czy jeśli ktoś woli — przemilczany. Scenariusz, reżyseria i scenografia są dziełem twórcy Teatru im. Witkiewicza **ANDRZEJA DZIUKA** — dodajmy, ubiegłorocznego laureata przyznawanego przez redakcję „Gazety Krakowskiej" medalu „Za mądrość i dobrą robotę". Muzykę przygotował **JERZY CHRUSCIŃSKI.**

STANISŁAW ŚMIERCIAK

Fot. autora



Tygodnik Kulturalny

№ 4

22-01-89

kronika kulturalna

● Jak co roku w styczniu, wielbiciele Melpomeny spotykają się na XIX Warszawskich Spotkaniach Teatralnych (19—31 I), czyli przeglądzie najlepszych, ubiegłorocznych spektakli teatrów spoza Warszawy. Aż trzy przedstawienia pokaże Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej z Krakowa. Rozpocznie „Portret" Mrożka w reż. Jerzego Jarockiego. Anna Polony przedstawi „Lekcję" Ionesco w reż. Eliny Lo Woi. Głośnego „Dybuka" Szymona An-skiego firmuje Andrzej Wajda. Z Krakowa przyjeżdża również Teatr Bagatela z piosenkami i tekstami Włodzimierza Wysockiego. W czasie spotkań obejrzymy także „Mistrza i Małgorzatę" Bułhakowa w wykonaniu Teatru Polskiego w Bydgoszczy. Reżyserował Andrzej Maria Marczewski. Teatr Śląski im. Wyspiańskiego w Katowicach pokaże „Końcówkę" Becketta w reż. Jerzego Zegalskiego, a wrocławski Teatr Współczesny — głośną inscenizację „Samobójcy" Erdmana w reż. Jerzego Jarockiego. I wreszcie „Cmentarze" Hłaski, wyreżyserowane przez Izabellę Cywińską w Teatrze Nowym w Poznaniu.

● Dostrzegamy, chwalony, podziwiany w ubiegłym sezonie Teatr im. Stanisława Witkiewicza z Zakopanego wystąpił z premierą kolejnego spektaklu swego patrona. Jest to „Sonata B", oparta na sztuce „Sonata Belzebuba", powstałej w 1925 r. Twórcą inscenizacji jest Andrzej Dziuk, a muzykę skomponował Jerzy Chruściński.

● Nazwisko Sławomira Mrożka nie chodzi z afiszów naszych teatrów. W opolskim Teatrze im. Jana Kochanowskiego w ciągu ostatnich ok. 10 lat wystawiono aż 6 premier sztuk autora „Tanga". Najnowszą, siódmą, jest „Ambasador" w reżyserii Krzysztofa Orzechowskiego.

● A w Kaliszu — z okazji 150 rocznicy urodzin Adama Asnyka — Teatr im. Bogusławskiego zaprasza na premierę widowiska „Adam Asnyk — studium portretowe" wg scenariusza Ryszarda Bienieckiego. Reżyserowali spektakl Maciej Grzybowski i Jacek Pazdro.

● W Festiwalu Muzyki Współczesnej w Krakowie uczestniczy 20 kompozytorów z 20 krajów. Festiwal zakończy 18 stycznia koncert muzyki Krzysztofa Pendereckiego.

● U podnóża Kopca Kościuszki lub w zakolu Wisły naprzeciw Wawelu powstanie — jak wszystko dobrze pójdzie, za trzy lata — Muzeum Sztuki Japońskiej. To inicjatywa Andrzeja Wajdy, który przeznaczył na ten cel nagrodę w wysokości 350 tys. dolarów, uzyskaną w Kioto. Fundacja Kioto-Kraków Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz — po mervtorycznej akceptacji MKiS — czeka na rejestrację. Siedzibą fundacji będzie Kraków.

● Znany brytyjski potentat prasowy Robert Maxwell przybył do Poznania, by uczestniczyć w uroczystości nadania mu przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza tytułu doktora honoris causa.

● Powołana przez ministra kultury i sztuki z inicjatywy Fundacji Kultury Polskiej komisja pod przewodnictwem prof. Aleksandra Gieysztora będzie kontynuować w Wołczynie badania szczątków ostatniego króla Polski — Stanisława Augusta Poniatowskiego.

● Od 10 lat mieszka w Nowym Jorku. Fotografuje twarze z pierwszych stron gazet. Czesław Czapliński specjalizuje się w fotografii portretowej. 200 zdjęć 150 osób złożyło się na ekspozycję zatytułowaną „Twarzą w twarz" w warszawskiej „Zachęcie". A więc „twarzą w twarz" z Jane Fondą, Jimmy Conorsem, Czesławem Miłoszem, Józefem Glempem, Leszkiem Kołakowskim, Wojciechem Fibakiem. Wystawa w „Zachęcie" otworzyła obchody jubileuszowego roku 150-lecia fotografii. Wydawnictwo „Polonia" opublikuje w tym roku album Czesława Czaplińskiego zatytułowany również „Twarzą w twarz", ze wstępem Jerzego Kosińskiego.

● Pod kierunkiem prof. Augusta Everdinga z RFN w Teatrze Wielkim w Warszawie rozpoczęły się próby „Zygfryda" Wagnera, trzeciej części tetralogii „Pierścień Nibelunga". Premiera tej opery oraz „Zmierzchu bogów" odbędzie się w marcu.

● Na zaproszenie Centrum Sztuki Studio w Warszawie przybędzie do Polski ponownie Yehudi Menuchin.

● Jury dorocznej Nagrody Publicystycznej im. Adolfa Bocheńskiego przyznało ją za 1988 rok Markowi Goliszewskiemu za sposób redagowania miesięcznika „Konfrontacje" i Stefanowi Kisielewskiemu (Kisielowi) za całokształt twórczości felietonowej.

● Przyznano po raz kolejny Medal im. Stanisława Grochowiaka, którym są wyróżniani młodzi pisarze. W tym roku przypadł on krytykowi młodego pokolenia — Marianowi Kisielowi.

● Po pięciu latach przerwy reaktywowano w Poznaniu konkurs na Najlepszą Grafikę i Rysunek im. Jana Wronieckiego. Dwudziestym z kolei laureatem w kategorii rysunku i grafiki został Andrzej Załecki.

Sztandar Ludu

Nr. 20 z dn. 24.01.1989

Forum Młodej Krytyki Teatralnej

W najbliższą środę wyłowiony zostanie spośród widzów sali teatralnej LDK autor najlepszej recenzji „Kwartetu dla czterech aktorów". Ta forma kształcenia teatralnego prowadzona w ramach Forum Młodej Krytyki Teatralnej powinna przysporzyć Lublinowi mądrych teatromanów, im zaś samym także dobrych ocen z języka polskiego.

Członkowie forum — uczniowie lubelskich szkół średnich, obejrzeli już kilka prezentacji (łącznie z całą Schaefferezadą), po czym zasiadali do pisania uwag. Z ich wypowiedzi wynika, że pisali niemal wszyscy. Szkoda jednakże, że nie wszystkie recenzje dostawały się pod osąd jury, które nie za bardzo miało co oceniać. Namawiamy krytyków in spe do odwagi. Każde spostrzeżenie się liczy, nie ma co się wstydzić amatorstwa, które znakomicie może być rekompensowane świeżością i autentyzmem obserwacji i przemyśleń.

Zachęcamy, bo przedferyjne spotkanie z teatrem właśnie w środę. Będzie to prezentacja lubelskiego Teatru Provisorium **„Wspomnienia z domu umarłych"** o godz. 18. Tuż po feriach zapowiada się wizyta w Scenie Plastycznej na KUL, a potem rodzynek teatralny: Teatr Witkacego z Zakopanego, który pokaże spektakl „Witkacy". **(ez)**

GAZETA KRAKOWSKA

NR 22

26.01.89

W Zakopanem biesiada kulturalna

(Inf. wł.) **Józef Brożek**, I sekretarz KW PZPR w Nowym Sączu zaprosił do Zakopanego twórców i działaczy kultury z całego województwa. W Zakopanem natomiast **Andrzej Dziuk**, dyrektor Teatru im. Stanisława I. Witkiewicza zaprosił gości na ucztę, jaką było przedstawione we fragmentach premierowe przedstawienie głośnego już dzisiaj zespołu, pt.: „Autoparodia".

„Już od kilku lat wyznaczamy sobie spotkania na szlaku sukcesów kultury. Nie zapominając o tym, co słabe, co nie wyszło do końca chcemy wydobyć także to, z czego mamy prawo cieszyć się wspólnie, jak tutaj jesteśmy" — tymi słowami J. Brożek zachęcił do dyskusji.

Ludzie kultury są skromni, więc nie chwalili się wcale, ale także niecierpliwi, dlatego więcej mówili o bolączkach. W kulturze daleko do arkadyjskiej sielanki. W codziennym działaniu nie ma spraw czwartorzędnych. **Józefa Zatłokę** z Czarnego Dunajca martwi brak „kawałka" ogrzanej izby, gdzie pasjonaci kultury mogliby stworzyć wspólnotę. Zdaniem **Ewy Marcinkówny** rabczański Teatr Lalek „Rabcio" nie widzi perspektyw pod kuratela władz miejscowych, z których kasy ma być finansowany. **Józef Tokarczyk** z Mordarki pod Limanowa widzi przyszłość w lepszej współpracy ze szkołami, nauczycielami. Dwugłos o teatrze: **Jerzy Masior** z Nowego Sącza uważa słusznie, że prawdziwy teatr to pełna widownia. Cóż, gdy na spotkania teatralne przychodzą jednostki. **Bronisław Stefanik** z Zakopanego — po kilkunastu już latach pracy zgodził się z tym, że teatrem nie uszczęśliwimy wszystkich.

„Brakuje nam dziś czegoś szczególnego: wartości wszelakiego słowa. W latach świetlistych i nerwowych, w dobrych i niejakich — przywróćmy wartość słowu" — mówił z pasją **Ireneusz Wrzesień**, od niedawna I sekretarz KM Partii w Zakopanem.

Na zakończenie biesiady kulturalnej I sekretarz KW PZPR życzył wszystkim kolejnych sukcesów, a w działaniu wzajemnej życzliwości.

(k-b)

Kurier Szczeciński
NR 22 27.01.89

Teatralny repertuar 1989

„Dziady" kontra „Seksameron"?

Rozmowa z E. KRASOWSKIM, dyrektorem Departamentu Teatru MKiSz

— PANIE dyrektorze, czy polski teatr wciąż utrzymuje pozycję czołowej sceny europejskiej, jaką sobie zdobył przed laty, czy to już tylko wspomnienia?

— Nadal ma taką pozycję, choć zmniejszyła się, w stosunku do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych liczba scen o wysokim poziomie. Poza zakopiańskim Teatrem im. Witkiewicza Andrzeja Dziuka nie powstało ostatnio żadne nowe, rzeczywiście interesujące, zjawisko teatralne.

— A reszta spada po równi pochyłej, jak twierdzi wielu?

— To mit. Mamy przecież świetne sceny, choćby Powszechny czy Ateneum w Warszawie, Stary w Krakowie. Mamy też i słabe, a są i takie, które ostatnio bardzo podniosły swój poziom, jak Teatr Współczesny z Wrocławia czy lubelski Teatr im. Osterwy za dyrekcji A. Rozhina. Mitem jest także przeświadczenie, że przestaliśmy chodzić do teatru. Od 1983 r. mamy zapełnione widownie średnio w granicach 78 proc.

— Bardzo lubię tu do ministerstwa przychodzić, bo ministerialni dyrektorzy wspaniale usposabiają mnie do życia. Znają przyczyny obiektywne, potrafią wszystko wytłumaczyć. Tymczasem nie brak dowodów, że z naszym teatrem wcale nie jest tak dobrze, powiedziałbym nawet, że jest kiepsko. Co ma np. do powiedzenia ministerstwo w kwestii repertuaru, zamiłowania teatrów do rozśmieszania widowni za pomocą zwietrzałych fars, nierzadko na żenującym poziomie? Czy teatry uważają, że na widowni siedzą tylko odbiorcy, którym myślenie szkodzi?

— Bezpośrednio nie mamy nic do powiedzenia. Pośrednio — tak. 64 teatry dramatyczne, czyli instytucje artystyczne działające na podstawie ustawy o instytucjach artystycznych, podległe są swoim organom założycielskim — z reguły wydziałom kultury i sztuki urzędów wojewódzkich. My rozmawiamy przede wszystkim z tymi urzędami, choć i z dyrektorami teatrów jesteśmy w stałym kontakcie. Rozdzielając we wrześniu każdego roku Fundusz Rozwoju Kultury, popieramy te sceny, które mają większe ambicje. Wreszcie analizujemy ich repertuar i wyciągamy wnioski. Widzimy np., że od dwóch lat sceny nasze unikają klasyki, gdyż jej inscenizacja jest najczęściej bardzo kosztowna, boją się także podjąć ryzyko wystawienia prapremiery polskiej sztuki współczesnej, bo to niepewny interes i może się skończyć klapą. Dlatego stworzyliśmy w ministerstwie fundusz promocji artystycznej, z którego dodatkowo finansujemy część kosztów związanych z wystawieniem tego typu sztuk.

— A teatry inne, niepaństwowe? Narodziło się ich już tak dużo, że zaczynamy nie ogarniać, który na jakich zasadach działa.

— Inne to teatry działające w ramach wojewódzkich estrad — najczęściej małe sceny kabaretowe lub dramatyczne, jak np. warszawska Stara Prochownia czy Scena na Piętrze w Poznaniu. Mamy ich w kraju blisko 30. Poza tym są teatry funkcjonujące w strukturze przedsiębiorstwa, jakim są ZPR, np. „Kalambur" czy „Teatr Stu". Są i teatry-stowarzyszenia lub działające w ramach jakiegoś stowarzyszenia. Przykładem pierwszego jest Stowarzyszenie Teatralne Gardzienice, drugiego — zakopiański teatr Dziuka, działający przy tamtejszym Towarzystwie Miłośników Teatru. Pojawiają się także teatry prywatne. W sumie ostatnio MKiSz wydało blisko 100 licencji na prowadzenie teatru osobom prywatnym, spółkom, instytucjom, przedsiębiorstwom itd.

— Gdyński teatr prywatny zawitał do Warszawy z „Seksameronem". Podobno miał powodzenie...

— Tego przedstawienia nie widziałem. Wiem, że bilety były dość drogie. Chyba dlatego, że po scenie biegały gołe panienki. Ale nie wiem, czy biegały z sensem.

— Nie boi się pan, że te prywatne sceny wyrządzą więcej szkody niż pożytku?

— Na razie nie wzbogaciły niczym życia teatralnego, z wyjątkiem jednego poznańskiego teatru-spółki „Wierzbaka", grającego dla dzieci (ale w planach — także dla dorosłych). To rzeczywiście bodaj jedyny dziś u nas teatr improwizacji o bardzo ciekawych dokonaniach. Czas pokaże, czy prywatne zespoły to będą ambitne przedsięwzięcia, czy też chałtury sprzyjające najniższym gustom.

— Na ich repertuar też pan nie ma wpływu?

— Oczywiście, oni ryzykują na własną rękę.

Rozmawiała:
Anna SZYMAŃSKA
(Krajowa Agencja Wydawnicza)

Uwaga teatromani!

JUŻ niebawem ujawnimy szczegóły nowej akcji „Kuriera". Warto uważnie śledzić przedstawienia w szczecińskich teatrach, a szczególnie te premierowe.

Dziennik Bałtycki
№ 23
27.01.89

»Dziady« kontra »Seksameron«

Rozmowa z Edwardem Krasowskim dyrektorem Departamentu Teatru MKiSz

PANIE dyrektorze, czy polski teatr wciąż utrzymuje pozycję czołowej sceny europejskiej, jaką sobie zdobył przed laty, czy to już tylko wspomnienia?

— Nadal ma taką pozycję choć zmniejszyła się, w stosunku do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych liczba scen o wysokim, europejskim — jak to pani określiła — poziomie. Poza zakopiańskim Teatrem im. Witkiewicza Andrzeja Dziuka nie powstało ostatnio żadne nowe, rzeczywiście interesujące, zjawisko teatralne.

— A reszta spada po równi pochyłej, jak twierdzi wielu?

— To mit. Mamy przecież świetne sceny, choćby Powszechny, czy Ateneum w Warszawie, Stary w Krakowie. Mamy też i słabe, a są i takie, które ostatnio bardzo podniosły swój poziom, jak Teatr Współczesny z Wrocławia czy lubelski Teatr im. J. Osterwy za dyrekcji A. Rozhina. Mitem jest także przeświadczenie, że przestaliśmy chodzić do teatru. Od 1983 r. mamy zapełnione widownie średnio w granicach 78 proc. Raz jest to trochę mniej, w innym zaś roku — nieco więcej, a na taką sytuację wpływa nie tylko liczba sprzedanych biletów, ale i częste ostatnio zamykanie teatrów na sezon, półsezon, na czas remontu sypiących się nam mocno budynków. Sam „Narodowy" wciąż nie odbudowany, to 600 nie wykorzystanych miejsc.

— Co ma np. do powiedzenia ministerstwo w kwestii repertuaru, zamiłowania teatrów do rozśmieszania widowni za pomocą zwietrzałych fars, dawnych lub współczesnych, nierzadko na żenującym poziomie?

— Bezpośrednio nie mamy nic do powiedzenia. Pośrednio — tak. 64 teatry dramatyczne, czyli instytucje artystyczne działające na podstawie ustawy o instytucjach artystycznych, podległe są swoim organom założycielskim — z reguły wydziałom kultury i sztuki urzędów wojewódzkich. My rozmawiamy przede wszystkim z tymi urzędami, choć i z dyrektorami teatrów jesteśmy w stałym kontakcie. Rozdzielając we wrześniu każdego roku Fundusz Rozwoju Kultury, popieramy te sceny, które mają większe ambicje. Wreszcie analizujemy ich repertuar i wyciągamy wnioski. Widzimy np., że od dwóch lat sceny nasze unikają klasyki, gdyż jej inscenizacja jest najczęściej bardzo kosztowna, boją się także podjąć ryzyko wystawienia prapremiery polskiej sztuki współczesnej, bo to niepewny interes i może się skończyć klapą. Dlatego stworzyliśmy w ministerstwie fundusz promocji artystycznej, z którego dodatkowo finansujemy część kosztów związanych z wystawieniem tego typu sztuk.

— A teatry inne, niepaństwowe? Narodziło się ich już tak dużo, że zaczynamy nie ogarniać, który na jakich zasadach działa.

— Inne to: teatry działające w ramach wojewódzkich estrad — najczęściej małe sceny kabaretowe lub dramatyczne, jak np. warszawska „Stara Prochownia" czy „Scena na Piętrze" w Poznaniu. Mamy ich w kraju blisko 30. Poza tym są teatry funkcjonujące w strukturze przedsiębiorstwa, jakim są ZPR, np. „Kalambur" czy „Teatr Stu". Są i teatry — stowarzyszenia lub działające w ramach jakiegoś stowarzyszenia. Przykładem pierwszego jest Stowarzyszenie Teatralne Gardzienice, drugiego — zakopiański teatr Dziuka, działający przy tamtejszym Towarzystwie Miłośników Teatru. Pojawiają się także teatry prywatne. W sumie ostatnio MKiSz wydało blisko 100 licencji na prowadzenie teatru osobom prywatnym, spółkom, instytucjom, przedsiębiorstwom itd. Czasem chodzi tu tylko o uprawnienia impresaryjne.

— Gdyński teatr prywatny zawitał do Warszawy z „Seksameronem". Podobno miał powodzenie...

— Ja tego przedstawienia nie widziałem. Wiem, że bilety były dość drogie chyba dlatego, że po scenie biegały gołe panienki. Ale nie wiem, czy biegały z sensem.

— Nie boi się pan, że te prywatne sceny wyrządzą więcej szkody niż pożytku? Nie sądzę, by grały pożądaną przez was klasykę.

— Na razie nie wzbogaciły niczym życia teatralnego, z wyjątkiem jednego poznańskiego teatru — spółki „Wierzbaka", grającego dla dzieci, ale w planach także dla dorosłych. To rzeczywiście bodaj jedyny dziś u nas teatr improwizacji o bardzo ciekawych dokonaniach. Czas pokaże, czy prywatne zespoły to będą ambitne przedsięwzięcia, czy też chałtury sprzyjające najniższym gustom. Co do mnie, nie sądzę, by było możliwe robienie na dłuższą metę przyzwoitego teatru bez dotacji.

— Na ich repertuar też pan nie ma wpływu?

— Oczywiście, oni ryzykują na własną rękę.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Anna Szymańska

Teatr
Życie 1989

KRONIKA

WIELKA BRYTANIA

— Informacje o interesujących polonikach teatralnych przynosi artykuł Krzysztofa Miklaszewskiego w 36 nrze „Życia Literackiego" z 88 r., omawiający premierę „Iwony, księżniczki Burgunda" Witolda Gombrowicza w londyńskim Lyric Theatre (informowaliśmy o niej w nrze 9/88), przedstawienie Teatru Polskiego w Windsorze pt. „Hrabia Rakowski i Trupa Mimów Zagrobki" autorstwa Michaela Wicherka oraz spektakl „Powróćmy jak za dawnych lat" w londyńskim POSK-u (Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym) na Hammersmith poświęcony twórczości Mariana Hemara — założyciela działającego tam dla Polonii teatru, jego wieloletniego autora i animatora.

— Międzynarodowe Stowarzyszenie Krytyków Teatralnych wraz z Brytyjskim Ośrodkiem ITI zorganizowało w Londynie międzynarodowe seminarium na temat „Czy koniec teatru absurdu?" Na seminarium tym Józef Szajna wygłosił referat o swoim teatrze organicznym, ilustrowany filmami wideo.

WŁOCHY

— Najstarszy w Europie Uniwersytet w Bolonii po raz pierwszy w historii nadał tytuł doktora honoris causa reżyserowi teatralnemu i filmowemu. Otrzymał go Andrzej Wajda w uznaniu wysokich walorów moralnych i artystycznych jego twórczości. Uroczystość nadania tytułu była szczególnym akcentem Dni Polskich zorganizowanych z okazji 900-lecia Uniwersytetu w Bolonii.

ZWIĄZEK RADZIECKI

— Dziesiąty numer radzieckiego „Tieatru" z 1988 r. w dużej części poświęcony jest polskiemu teatrowi. Znajdujemy w nim tekst sztuki Sławomira Mrożka „Portret" opatrzony wywiadem z autorem, jaki przeprowadziła w Paryżu M. Zonina oraz sztukę Janusza Głowackiego „Kopciuch". W części publicystycznej opracowanej przez redakcję „Dialogu", która stale współpracuje z radzieckim miesięcznikiem, umieszczono artykuły: Konstantego Puzyny, Jerzego Grotowskiego („Teatr i rytuał"), zapiski Andrzeja Wajdy z jego teatralnych realizacji, esej Marty Fik o teatrze Kantora, szkic Elżbiety Wysińskiej o nowym pokoleniu reżyserów (1975—1985), bogato ilustrowany wywiad z Józefem Szajną oraz refleksje Małgorzaty Szpakowskiej o Teatrze im. Witkiewicza w Zakopanem (J.S.).

Tygodnik TAK i NIE
№ 5
3-02-89

Notes kulturalny

● Światowej sławy artysta Salvador Dali zmarł po dłuższej chorobie (żył 84 lata). Był malarzem, scenarzystą, scenografem, należał do czołówki awangardowej sztuki XX wieku.

● W Watykanie trwa ostry spór o rekonstrukcję fresków Michała Anioła. Prof. James Beck z uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku wysłał nawet list do papieża, aby wstrzymał prace konserwatorskie w Kaplicy Sykstyńskiej i nie dopuścił do odnowienia przynajmniej Sądu Ostatecznego. Podobno konserwatorzy pomylili się w doborze metody renowacji i stosują odczynniki, które wraz z brudem rozpuszczają klej i sadzę, używane przez artystę.

● Yehudi Menuhin szczególnie zasłużył się dla Warszawy. Od 5 lat współpracuje z orkiestrą Sinfonia Varsovia, czego efektem jest wiele nagrań rozsławiających zespół na całym świecie Pewnie i z tego powodu został uhonorowany wyróżnieniem „Złotej Syrenki"

● Tadeusz Strugała poprowadził cykl koncertów w Japonii, Hongkongu i Chinach Program obejmował także utwory muzyki polskiej

● Artyści krakowskiego Państwowego Teatru Ludowego wystawili we Lwowie „Zemstę" i „Betlejem polskie". Spektakle odbyły się przy komplecie publiczności. Polskich artystów witano chlebem i solą, nagradzano owacjami i kwiatami.

● W plebiscycie czytelników „Życia Warszawy" i widzów TVP na 10 najpopularniejszych postaci występujących na małym ekranie w 1988 r. zwyciężyli m.in. Hanna Banaszak, Ewa Błaszczyk, Wacław Kowalski, Jerzy Waldorff.

● Ignacy Woś, kolekcjoner, znany z ufundowania swego czasu Muzeum Literackiego Sienkiewicza, tym razem ofiarował sto pamiątek związanych z Tadeuszem Kościuszką. Dar trafił do Towarzystwa „Polonia" w Poznaniu.

● Powstał kolejny prywatny teatr, tym razem w Lublinie. Nazywa się „Maska", jego właścicielem jest Stanisław Dziwisz. Ewa Szykulska, która wraz z Karolem Strasburgerem występuje tam w dwóch jednoaktówkach twierdzi, że jest bardzo zadowolona i ma satysfakcję zarówno artystyczną, jak i finansową. Podobno widzowie też.

● Dwa lata temu średni koszt produkcji polskiego filmu wynosił 70 mln. złotych, w tym roku — ok. 150—200 mln. Rada Zespołów Filmowych proponuje, aby nasza kinematografia odnalazła się wreszcie w reformie, tzn. uważa, że za straty powinni płacić ci, którzy je powodują.

● Romuald Błażejczyk, zastępca dyrektora ds. handlowych PP „Sztuka Polska", na pytanie, czy to prawda, że coraz rzadziej dzieła sztuki kupują nabywcy indywidualni: „Znaczna część kupujących to rzeczywiście obcokrajowcy albo Polonusi. Kupują dobre i bardzo dobre dzieła sztuki za złotówki, chociaż kasy walutowe są otwarte na każdej imprezie. Nikt nie kwapi się jednak wymieniać dolary na złotówki po oficjalnym kursie. W czarnorynkowym przeliczeniu złoty-dolar dzieło polskiego artysty kupuje się za grosze".

● Francuscy recenzenci uznali występy łódzkiego Teatru Wielkiego z operą Verdiego „Nabucco" za największe wydarzenie Festiwalu Kultury Polskiej w Lyonie.

● Leningradzki teatr „Eksperyment" wystąpił w Starej Prochowni i Teatrze Nowym w Warszawie. Zespół ma m.in. w repertuarze sztuki Mrożka, Iredyńskiego, Zapolskiej, Fredry.

● Na Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim w Trento we Włoszech główną nagrodę (II, I nie przyznano) otrzymał Edward Pałłasz za kompozycję na chór a capella pt. „Brandelli di cielo".

● Rozdzielono nagrody za najlepszy plakat Warszawy. Wśród zwycięzców: Marek Mosiński, Stasys Eidrigievicius, Mieczysław Wasilewski i Waldemar Świerzy.

● Edward Lubaszenko: „Telewizja propagując tandetne i pozbawione przesłania ideowego seriale zagraniczne, wypacza poczucie etyczno-estetyczne widza, tym samym jest współodpowiedzialna za poziom intelektualny i kulturalny młodego pokolenia".

● Zakopiański Teatr im. Witkiewicza występował na scenie MChaT-u w Moskwie ze spektaklami „Witkacy — autoparodia" i „Dr Faustus". Zespół uczestniczył w Festiwalu Młodych Twórców z krajów socjalistycznych.

● Na półkach księgarskich ukazała się „Mała apokalipsa" Tadeusza Konwickiego. Jako budząca liczne kontrowersje została wydana wcześniej w tzw. drugim obiegu.

● Tegoroczne Spotkania Teatralne jeszcze się nie skończyły ale już można powiedzieć, że imprezę zdominował Kraków i Stary Teatr, który przywiózł 3 spektakle: „Portret" Mrożka, „Dybuka" Anskiego i „Lekcję" Ionesco z rewelacyjną Anną Polony.

JEDNYM ZDANIEM: ● W niedzielnym koncercie w Rybnej wystąpił Kwartet im. Pendereckiego, przed podróżą do USA ● Centrum kultury w Katowicach zaprasza na wystawę ilustracji Włodzimierza Borkowskiego do „Tristana i Izoldy" oraz ekspozycję fotograficzną „Chiny'88" przygotowaną we współpracy Towarzystwa Przyjaciół Dalekiego Wschodu i Alma-Serwis ● Do końca stycznia w tyskim BWA można oglądać prace malarskie Mariana Chmieleckiego ● Maria Łotocka, poetka i dziennikarka z Wilna gościła w KMPiK w Bielsku ● 7 lutego wystąpi w Teatrze Ziemi Rybnickiej Michał Bajor, który właśnie wrócił z tournée po USA ● Joanna Michna, pianistka z Rudy Śląskiej zdobyła II nagrodę na konkursie chopinowskim w Palma de Mallorca ● Marek Grechuta z zespołem „Anawa" wystąpił w Miejskim Ośrodku Kultury w Żorach.

SŁOWO POWSZECHNE
nr 29 z dnia 9.02.89

Po XIX Warszawskich Spotkaniach Teatralnych

Oto otrzymaliśmy doroczną porcję naszego teatru kłębiącego się poza rogatkami stolicy obwarowanej (czy też obrośniętej) samozadowoleniem. Właściwie były to jeszcze jedne warszawsko-krakowskie spotkania, bo podobnie jak w roku ubiegłym dominował **Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej**, uzupełniony krakowską „Bagatelą". O poszczególnych przedstawieniach **XIX Warszawskich Spotkań Teatralnych** pisaliśmy w stołecznym wydaniu naszego dziennika.

Dziś jednak chciałbym przy tej okazji nawiązać do nieśmiertelnej dyskusji o festiwalach i na tym tle zastanowić się nad wnioskami z tegorocznych Spotkań.

WST miały być — w intencji ich twórców — przeglądem najwybitniejszych wydarzeń teatralnych w kraju. W takim jednak wypadku należałoby zaliczyć do nich przynajmniej jedno z przedstawień teatrów warszawskich. Mamy przecież **Teatr Rzeczypospolitej**, który pod dyrekcją **Mieczysława Marszyckiego** sprowadza do stolicy najciekawsze i najnowsze przedstawienia krajowe. Nic więc dziwnego, że rada artystyczna Spotkań, ograniczona zresztą sytuacją w teatrze polskim, jakby poniechała tych ambicji, zaś organizatorzy poniechali formuły festiwalu, nazywając po prostu od początku tę imprezę skromniej Spotkaniami, choć wówczas jeszcze nikt nie myślał o Teatrze Rzeczypospolitej. Nie zrezygnowano jednak z ambicji sprowadzenia przynajmniej bardziej wybijających się ponad przeciętność wydarzeń teatralnych. Dlatego, jak w ubiegłym roku, gościł w Warszawie **Stary Teatr z Krakowa** z przedstawieniami przygotowanymi przez kilku najbardziej znanych i uznanych reżyserów. W tym roku zaznaczyło się to jeszcze wyraźniej, choć nie zawsze przyniosło oczekiwane skutki. Ani „**Samobójca**" przygotowany przez **Teatr Współczesny z Wrocławia** w reżyserii **Jerzego Jarockiego**, ani „**Dybuk**" w reżyserii **Andrzeja Wajdy**, obsadzony przez czołówkę aktorską **Teatru Starego**, nie były przedstawieniami na miarę oczekiwań publiczności. „**Portret**" **Mrożka**, mimo bardzo bogatej warstwy problemowo-psychologicznej, rozbudowanej inscenizacji **Jerzego Jarockiego** i wspaniałego aktorstwa **Jerzego Radziwiłłowicza**, ujawnił i w tym przedstawieniu swoje słabości. Nie jest to sztuka najdoskonalsza, choć bardzo odpowiadająca współczesnym dyskusjom o czasie przeszłym. „Portret" zyskał aplauz krytyki ze względu na odczuwaną powszechnie potrzebę kontynuowania obrachunków z przeszłością oraz dzięki wydobyciu i sugestywnemu ukazaniu procesów, które dokonują się w świadomości bohaterów, mających przecież swoje odpowiedniki w życiu.

Sprawdziła się inscenizacja „**Cmentarzy**" **Marka Hłaski**, przeniesionych na scenę przez **Izabellę Cywińską** w reżyserii monumentalizującej tę mikropowieść, napisaną na emigracji. Drukowaliśmy obszerną relację tego przedstawienia przed kilku miesiącami. Uważam też, że stało się zadość sprawiedliwości dzięki zaproszeniu **Teatru Polskiego z Bydgoszczy** z inscenizacją „**Mistrza i Małgorzaty**" dokonaną przez **Andrzeja Marię Marczewskiego**, do której postaram się powrócić. Największą jednak atrakcją tych spotkań, obok głośnych nazwisk reżyserskich, było doskonałe na ogół aktorstwo — przede wszystkim artystów **ze Starego Teatru**. Takim właśnie aktorskim spektaklem była „**Lekcja**" **Ionesco** z **Anną Polony** w roli nauczyciela.



Janusz Kiersznowski (Mistrz) w spektaklu „Mistrz i Małgorzata" Michała Bułhakowa przygotowanym przez Teatr Polski w Bydgoszczy.

FESTIWALE teatralne mają również sens promocyjny. Potwierdzają wagę i oryginalność zjawisk, które stają się już głośne, ale ich ostateczna nobilitacja jeszcze się nie dokonała. Bywają też sprawdzianem opinii krytyków lub widzów spoza stolicy. Tak było w roku ubiegłym z **Teatrem im. Stanisława Witkiewicza z Zakopanego**. W tym roku ten zamiar promocyjny nie został zauważony, bo i nie bardzo jeszcze było kogo promować. Występowały zespoły i artyści uznani, więcej — sławni, choć zdarzały się przedstawienia aktorsko słabiutkie, jak choćby spektakl pt. „**Wysocki ze śmiercią na Ty**". Dobrze, że przedstawienie to zostało pokazane w Warszawie i miało powodzenie choćby ze względu na postać głównego bohatera i efektowną formę.

Spotkania spełniają na pewno rolę poznawczą i dla widza, i dla środowiska artystycznego. Sale były zapełnione przeważnie młodzieżą. To dobrze. Ale nie wykorzystano jeszcze jednej szansy Spotkań: uczestnictwa profesjonalistów z zagranicy — krytyków, reżyserów. Wymaga to jednak i pieniędzy, i zaangażowania instytucji powołanych do kontaktów kulturalnych z zagranicą, a są przecież i inne okazje, jak choćby **Międzynarodowe Spotkania Teatralne**.

Być może należałoby wyjść poza formułę Spotkań, włącznie z przedstawieniami teatrów dramatycznych, i pójść w kierunku święta teatralnego, a więc festiwalu z imprezami towarzyszącymi, z dyskusjami, szeroką propagandą imprezy, z całą jej efektowną obudową. A na to, jak na razie, nas nie stać. Trzeba ograniczyć się do formy skromniejszej, a więc zależnej bardziej od sytuacji w teatrze polskim, od pojawiania się ciekawych, twórczych realizacji, od premier nowych sztuk polskich autorów, czego tak bardzo naszym teatrom brakuje.

POZOSTAJĄC przy ascetycznej formule tej imprezy, warto pomyśleć o innych cechach wyróżniających kolejne Spotkania. Pierwsza: wiodący wątek problemy, druga — to wspomniane już zamierzenia promocyjne. Tegoroczne WST ujawniają taki wiodący wątek, związany zresztą z zainteresowaniami społeczeństwa. Jest to pogłębiony nurt moralny, który określiłbym jako szukanie dróg do potwierdzenia i odzyskiwania swojego człowieczeństwa przez jednostki w sytuacjach wymagających samookreślenia się przez pojedynczego człowieka i zbiorowość. I nie jest to tylko efekt tzw. literatury rozrachunkowej dramatycznej z dalszą lub bliższą przeszłością. Pytania takie powstają dziś także w sytuacjach, w których bohaterowie sztuki wyszli już z fizycznego zagrożenia i psychicznego okrążenia, gdy zdołali jak Mistrz w „**Mistrzu i Małgorzacie**" znaleźć spokój i ocalenie w miłości i twórczości, czy uporczywie szukają sposobów ekspiacji, jak Bartodziej z „**Portretu**". Pojawił się o wiele głębiej sięgający motyw ocalenia własnej godności wobec nieuniknionego, co wydobył z „**Końcówki**" **Becketta Jerzy Zegalski** w swoim przedstawieniu na scenie **Teatru im. St. Wyspiańskiego z Bydgoszczy**.

Czy następne Warszawskie Spotkania Teatralne wyraziście zarysują swój profil, czy może staną się zapowiedzią poszerzenia i tak przecież potrzebnego spotkania z teatrem, zadecyduje nie tylko kompetentna rada artystyczna, ale przede wszystkim sytuacja polskiej kultury, której teatr jest ważkim, choć nie jedynym elementem.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

Trybuna Ludu
NR 36 11.02.89

Po spotkaniach teatralnych

Coś się kończy, coś się zaczyna...

Tegoroczne Spotkania, „najmozolniejsze do skompletowania" jak piszą organizatorzy, okazały się w praktyce nad podziw przejrzyste i konsekwentne. Sztuki („Portret" Sławomira Mrożka), adapacje („Cmentarze" Marka Hłaski), scenariusze („Wysocki — ze śmiercią na ty"), pozycje z „odzysku" lat osiemdziesiątych („Mistrz i Małgorzata" Michała Bułhakowa i „Samobójca" Mikołaja Erdmana), a nawet w jakiejś mierze, ze względu na czas powstania i czas prapremier na naszych scenach, także „klasycy współczesności" („Końcówka" Samuela Becketta i „Lekcja" Eugene Ionesco) — te wszystkie utwory złożyły się na wielowymiarowy i wielowątkowy repertuar, którego wspólną cechą jest, że ma on związek z tzw. epoką stalinowską, czy poststalinowską.

NIEKTÓRE pozycje odnoszą się do tego okresu wprost. Inne od „woli" tej epoki zależały. Jeszcze inne rodziły się bez jej „zgody", lub na przekór niej, by dawać świadectwo prawdzie. Nie ulega wątpliwości, że ów czas, owa rzeczywistość, niemal połowa naszego wieku, stalinizm i to co po nim pozostało, stały się dzisiejszymi „bohaterami", którymi na rozmaite sposoby interesują się wszyscy. Teatr bierze udział w owym obrachunku. Próbuje pokazać obszary wielorakich zniszczeń, które dokonały się w człowieku. Próbuje uniwersalizować problemy, kojarzące się z tą rzeczywistością, by ukazując ich „obiektywne" mechanizmy powiedzieć, o tym, że zmiany są o wiele głębsze i rozleglejsze, niż to pierwotnie sądzono.

Ale ani teatr, ani nikt poza nim, nie ma na razie poczucia precyzyjnej diagnozy, obejmującej także wszystkie prawdziwe przyczyny, ani — tym bardziej — recepty na przezwyciężenie zła. Teatr dość mocno zaangażował się w ten proces. Tradycyjnymi wprawdzie metodami, ale z poczuciem należytej mobilizacji. Powstały wartościowe przedstawienia, także w poprzednich sezonach, także w innych (np. warszawskich) teatrach, które być może nie odmieniły niczego w samej sztuce teatru, ale pozwoliły na częściowe przynajmniej, ale bardzo istotne odzyskanie więzi, a może nawet przymierza z widownią. Teatr poczuł, że znowu może mówić w imieniu widowni, a w tej roli zawsze czuł się dobrze.

Spotkania potwierdziły też wiele z tego, co o dzisiejszym teatrze wiadomo. Że odchodzi od klasyki rodzimej i obcej, albo, że klasyką dla niego staje się to, co zostało napisane w ostatnim półwieczu. Oddzielająca tradycyjnie klasykę od współczesności cezura okresu wojny bardzo wyraźnie i systematycznie przesuwa się. Klasyką stają się dzieła z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Z drugiej strony nie mamy takiej dramaturgii współczesnej, która wizjonersko wybiegałaby w przyszłość dając teatrowi szansę na zajmowanie nowych pozycji poznawczych, na nowe syntezy artystyczne, na nowy język, nową wrażliwość. Obserwujemy swoiste „spłaszczenie" repertuarowe, pokazujące tzw. współczesne zainteresowania teatrem. Taka tendencja w zasadzie dominuje w całym teatrze.

Spotkania pokazały, że teatr posługuje się wypróbowanymi sposobami i znanym językiem. Nie obserwowaliśmy w tym zakresie niczego nowego. Na scenie dominował aktor, nawet jeśli był tylko częścią „machiny" teatralnej. Ale tzw. kreacji nie było zbyt wiele. Najwspanialsza to **Anna Polony** jako Profesor w „Lekcji", **Jerzy Trela** w „Portrecie", **Jan Peszek** w „Dybuku", wiele dobrych ról, zwłaszcza w spektaklach Starego Teatru, ale także w innych. Wszystkie zbudowane w oparciu o solidne, wspaniałe rzemiosło i w wypadku najlepszych nasycone szczególną osobowością aktorów. Do przyjemniejszych niespodzianek należało obserwowanie „działań" zespołów, bowiem właśnie z mobilizowaniem zespołów dzisiejszy teatr ma najwięcej kłopotów.

Potwierdziła się też teatralna „geografia". Niepokojący jest brak zespołów z tzw. Polski Północnej, które przed laty odgrywały w naszym życiu teatralnym ważną rolę, a teraz praktycznie przestały się liczyć. Myślę, że nominacjami na Spotkania usatysfakcjonowane zostały teatry ambitne i rzetelne, takie jak Teatr Śląski w Katowicach, czy „przebojowe", jak Teatr Polski w Bydgoszczy. Rzeczywiście mogły być kłopoty z zastosowanie maksymalistycznych kryteriów w stosunku np. do „Wysockiego", ale nie było z pewnością takich problemów ze spektaklami Jarockiego, Wajdy czy Cywińskiej. Krytycy szczególnie wyczuleni na „młodych, zdolnych" nie byli tym razem usatysfakcjonowani. Nie było błyskotliwego debiutu, ani szczególnego „olśnienia" młodością. Na uwagę z pewnością zasługiwały obie role **Aldony Grochal**. Potwierdziła się też szczególna pozycja Starego Teatru, którego przedstawienia od lat, od czasów „nowożytnej" świetności tego teatru, zbudowanej za dyrekcji Władysława Krzemińskiego i Zygmunta Hübnera, są najważniejszymi momentami Spotkań. Bez tego teatru nie można sobie Spotkań wyobrazić.

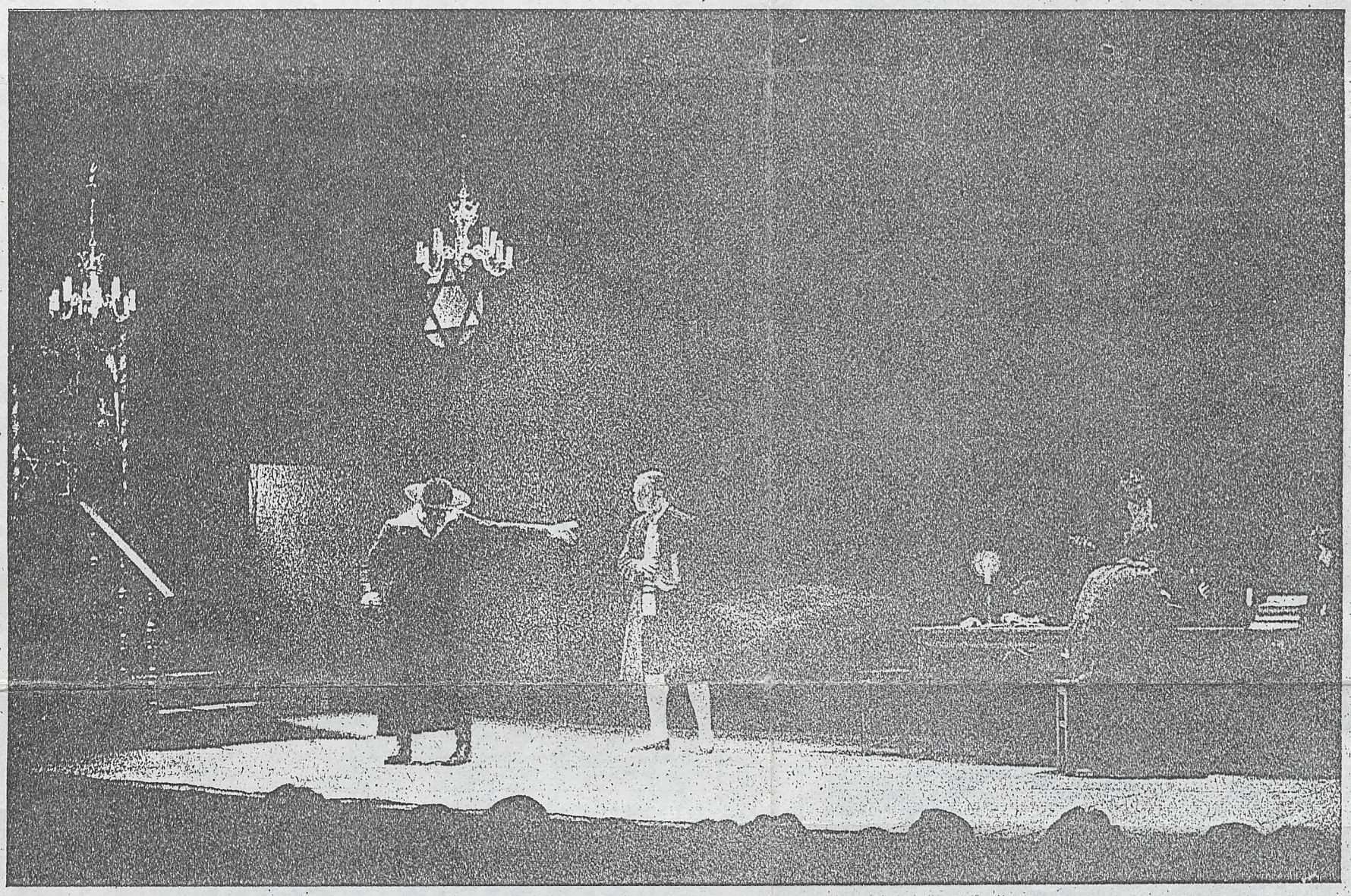
Ale też i rola i ranga Starego Teatru w naszym życiu teatralnym jest szczególna. Zawsze są tam znakomite przedstawienia Zawsze pracują tam najlepsi reżyserzy wszystkich pokoleń. Zawsze jest wspaniały zespół aktorski, mimo że część aktorów zmienia się. Bardzo często w spektaklach tego teatru można obejrzeć najlepszych aktorów z zespołu obok siebie, co w innych teatrach zdarza się już niezmiernie rzadko. Jeszcze tylko bodaj w tym teatrze udaje się zobaczyć prawdziwą, tradycyjną sztukę aktorską, opartą na dialogu, na zależności wynikających z relacji postaci, z wzajemnej rywalizacji na rolę, na pomysły, na zaskoczenia. **Potwierdza się klasa Starego Teatru, zjawiska w naszym życiu teatralnym zupełnie wyjątkowego. Swą dobrą pozycję utrzymuje Teatr Nowy z Poznania — stały gość Spotkań.**

Potwierdziła się też mimo woli inna obserwacja, że rośnie dysproporcja między teatrami małymi w małych miastach, a dużymi w centrach kulturowych. Nie widać oznak odnowy teatru, która w przeszłości bardzo często nadchodziła z małych ośrodków. Taką sytuację mieliśmy choćby na ubiegłorocznych Spotkaniach, kiedy to zastanawiano się ile „nowego" wnosi teatr z Zakopanego.

OCZYWIŚCIE Spotkania, jak to zwykle bywa, pokazały przede wszystkim odświętny stan teatru, w którym (jak piszą organizatorzy) „coś się kończy, coś się zaczyna". Myślę, że równie prawdziwie, choć o wiele mniej efektownie, zabrzmiałoby zdanie, że w naszym teatrze „nic się nie kończy i nic się nie zaczyna". Taki wieczny zakręt, jak w życiu.

ANDRZEJ LIS

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
280
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
WZM.
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
KOBIETA I ŻYCIE
00-511 Warszawa
ul. Nowogrodzka Nr 31
Nr 7 z dn. 15 II 1989



„Dybuk" – to kwiat dramaturgii żydowskiej – napisał Adolf Rudnicki. Sztukę wystawił Stary Teatr w reżyserii Andrzeja Wajdy.
Fot. Stanisław Markowski

Człowiek się szarpie...

Teatr jest skazany na zajmowanie się człowiekiem, bowiem sam sprowadza się do człowieka–aktora jako instrumentu swego działania. Przypomniały mi się te słowa wypowiedziane kiedyś przez Jerzego Jarockiego, gdy przez osiem wieczorów chodziłam na Warszawskie Spotkania Teatralne. Są one, w zamierzeniu, dorocznym przeglądem najciekawszych spektakli z innych miast w stolicy.

Jarocki podpisał się pod dwoma istotnymi inscenizacjami: **„Samobójcą" Nikołaja Erdmana i „Portretem" Sławomira Mrożka.** Chociaż oba dramaty dzieli półwiecze – metryka urodzenia pierwszego została wypisana w roku 1930, a drugiego w 1987 – i cała odmienność poetyki, oba w jakiś sposób łączy ukazanie mechanizmu, który ubezwłasnowolnia ludzką jednostkę, odziera ją z indywidualności, programuje jej myśli i czyny.

Dramatyczne były losy **„Samobójcy"**, który nie mógł się doczekać premiery. Meyerhold i Stanisławski chcieli go wystawić w roku 1931, ale próby zostały zakazane mimo interwencji i wstawiennictwa znanych osób, jak Gorki i Łunaczarski, u Stalina. Długo się przeleżał ten utwór zanim doczekał się inscenizacji prapremierowej i to w RFN. W moskiewskim Teatrze Satyry zdjęto go w roku 1982 po piątym przedstawieniu. Spektakl został wznowiony dopiero w roku 1987. U nas również w roku 1981 próby w Teatrze Ateneum zostały zatrzymane i „Samobójca" wszedł na afisz dopiero w roku 1988. W tym samym roku wystawił go **Jerzy Jarocki** w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. I to przedstawienie znalazło się w programie spotkań.

Bohatera „Samobójcy" widzimy w paradoksalnej sytuacji. Sam, co prawda, chciał się targnąć na swoje życie. Ale nie spodziewał się, że ta jego myśl zostanie pochwycona przez otoczenie, które jest zainteresowane tym, aby złożył siebie w ofierze dla sprawy. Jest to pełna paradoksalnych sytuacji komedia ludzka budząca wiele refleksji i trochę śmiechu. Jerzy Jarocki w swej inscenizacji ukazał głównego bohatera jako jednostkę bezradną, która broni się wszystkimi sposobami przed zakusami na jej godność. Dramatycznie brzmią słowa: „Na miłość boską, nie zabierajcie nam ostatniego środka do życia, pozwólcie nam mówić, że jest nam trudno żyć. Chociażby ot, tak, szeptem..."

Wielką urodą plastyczną odznaczają się zwłaszcza sceny zbiorowe, reżyser świetnie włada tłumem, który bierze udział w ostatniej uczcie i w ceremonii zamknięcia wieka trumny nad rzekomym nieboszczykiem, który jednakże, jak się okazuje, nie chce umierać i tylko pozoruje swoją śmierć.

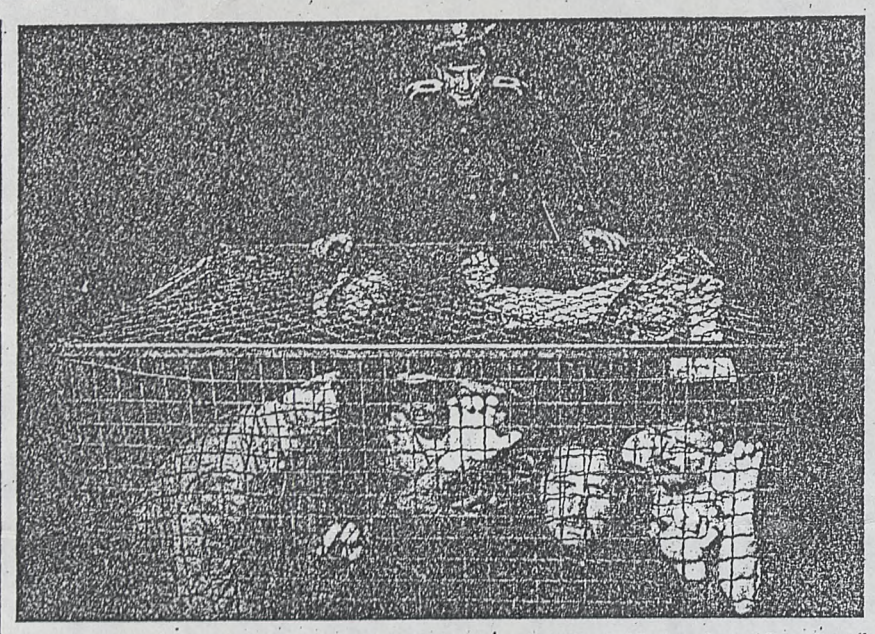
Mrożkowy **„Portret"**, wyreżyserowany przez Jerzego Jarockiego w Starym Teatrze w Krakowie, mówi innym, współczesnym językiem o demoralizacji jednostki w warunkach totalitaryzmu. Przejmująca jest inwokacja wygłoszona szeptem, w zupełnej ciemności przez Bartodzieja **(Jerzy Radziwiłowicz)** do portretu Stalina – co wychodzi na jaw po rozświetleniu sceny. Potem pozostaje już goły prostokąt na ścianie. Ale atmosfera epoki, jej obyczajów, przepełnia całą akcję, dialogi Bartodzieja i Anatola **(Jerzy Trela).** Poruszają się oni, działają jak automaty o wyznaczonym zakresie ruchów, niezdolni do prawdziwych reakcji, puści, wypaleni, po przebytych doświadczeniach. Sztuczne wydają się wyrzuty sumienia Bartodzieja, który swoim oskarżeniem przyczynił się niegdyś do uwięzienia Anatola i teraz, po jego wyjściu, chciałby uzyskać rozgrzeszenie. Przerażająca jest ta ich niemoc odczuwania czegokolwiek, obojętność, brak ludzkich odruchów.

„Portret, ale czyj? – zastanawia się Jan Błoński. – Stalina naturalnie, Stalin nie jest jednak w tej komedii problemem i nic nam Mrożek nowego o jego sprawkach nie opowie. Problemem są raczej dzieci Stalina, rozrzucone po całym świecie; nas ciekawi rzecz jasna, odmiana rodzima".

Trudno nam się uwolnić od czasów stalinowskich, które penetruje literatura i prasa, których echa pobrzmiewają w różnych wersjach na naszych scenach. W człowieku teatru, podobnie jak w każdym człowieku, zawsze siedzi i gryzie go to, co nie zostało w swoim czasie wypowiedziane, nie znalazło swego ujścia.

Zakazany do niedawna owoc **„Cmentarze" Marka Hłaski** wystawił Teatr Nowy z Poznania w adaptacji i reżyserii **Izabelli Cywińskiej.** Powołała się ona w programie na dramatyczny list autora z roku 1958, który kończył się takim zdaniem: „Każdy ma prawo do omyłki w osądzie spraw, ale nikt nie ma prawa do milczenia, gdyż najwyższą formą zdrady wobec życia jest milczenie i niepamięć". Po opublikowaniu „Cmentarzy" autor dostał cięgi za „postawę nihilistyczną wobec wszelkich wartości".

I znowu mamy tutaj bohatera – Franciszka noszącego typowe nazwisko Kowalski, nie mogącego się zmieścić w wąskich ramach obowiązującej struktury społeczno-politycznej, pragnącego „takich czasów i takiej ziemi, gdzie człowiek może być naprawdę odważny". Ze swym zmysłem obserwacji i słuchu na odgłosy rzeczywistości, wyczuciem groteski i soczystym językiem Hłasko nakreślił obraz tamtego czasu przesycony realiami i swoistym czarnym humorem. Oto szary człowiek Kowalski stracił wiarę, zwątpił, za co musi oczywiście ponieść konsekwencje życiowe. Puka do różnych drzwi, szuka pomocy, ale nigdzie nie znajduje zrozumienia. Jeden z jego kolegów z partyzantki, który miał pseudonim Kronikarz, teraz produkuje masowo popiersia Stalina, które piętrzą się na scenie i zwracają uwagę swoją białością na tle szarej, zgrzebnej dekoracji. „Doczekam i chwili jak ludzie będą jeszcze rozwalać moje dzieło" – mówi cynicznie artysta, który umie się przystosować.



Wierzę w bunt jako w najwyższą wartość młodości – mówi Marek Hłasko. Jego „Cmentarze" wyreżyserowała Izabella Cywińska w Teatrze Nowym w Poznaniu. **Fot. Archiwum**



Scena z „Samobójcy": Grażyna Korin i Krzysztof Kuliński. **Fot. Marek Grotowski**

W żadnej mierze nie mógł się zmieścić w tej epoce, tak przeciwnej indywidualistom **Michaił Bułhakow,** który poznał na własnej skórze, co to są stalinowskie represje. Jego pełna mądrości i realizmu powieść **„Mistrz i Małgorzata"** jest teraz stałą pokusą dla ludzi teatru. Dowód temu daje **Andrzej Maria Marczewski,** który, gdy tylko w jakimś mieście obejmuje dyrekcję, zaraz zanurza się w historię Mistrza i Małgorzaty, Wolanda i Behemota, Piłata i Jezusa i przenosi na scenę wszystkie ludzkie, boskie i diabelskie sprawy płynące swoimi strumieniami na stronicach książki. Wystawił „Mistrza i Małgorzatę" w Wałbrzychu i Płocku, a teraz – na inaugurację sezonu w swoim nowym miejscu, w Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Przedstawienie ma szlachetny umiar inscenizacyjny, kilka scen o dużej urodzie plastycznej, jak ukrzyżowanie i zdjęcie z krzyża, kiedy to walory ludzkich twarzy i postaci wydobywa się światłem.

Żeby jeszcze aktorzy byli w stanie udźwignąć role. Sprawne zjazdy alpinistyczne po linie nad głowami widowni nie zastąpią portretów psychologicznych. Tak więc wizja scenografa **Józefa Napiórkowskiego** góruje nad interpretacją.

Tak się w tym roku złożyło, że trzy spośród już wymienionych utworów są również w repertuarze scen warszawskich, a mianowicie: „Portret", „Samobójca" oraz „Mistrz i Małgorzata". Zagorzali teatromani z tego się cieszą, mają okazję do porównań, szukania przewag jednej inscenizacji nad drugą, obmawiania aktorów, o czym by trzeba rozprawiać osobno. Jedno natomiast można powiedzieć. Obcując z tymi podwójnymi koncepcjami, odnosi się wrażenie, jakby reżyserzy wzięli w swoje ręce inny utwór. Skala możliwości interpretacyjnych jest zaiste nieograniczona.

Andrzej Wajda, który lubi zaskakiwać swoją publiczność, przeniósł nas tym razem w świat chasydzkiej legendy, wystawiając dramat na motywach sztuki Szymona Anskiego, napisany wierszem przez **Ernesta Brylla – „Dybuk".** Reżyser z pieczołowitością odniósł się do tradycji kultury żydowskiej zapewniając sobie współpracę reżyserską Hanana Snira z Teatru Habima w Tel-Awiwie. Jest to rozwijająca się w dostojnym rytmie na scenie przypowieść, wymagająca skupienia i głębszego wsłuchiwania się w sens słów odnoszących się do świętych ksiąg Tory i Talmudu. Jej głównym wątkiem jest obcowanie żywych i umarłych – gdy nić ich życia zostanie wcześnie przecięta, wracają jako duchy na ziemię. Rozmyślania filozoficzno-religijne przeplatają się z ceremoniami i obrzędami i wraz z przejmującą muzyką oraz scenografią **(Krystyna Zachwatowicz)** z wnętrzem synagogi i cmentarzem z kamieniami nagrobnymi w tle, tworzą niepowtarzalny klimat przedstawienia.

W dużej obsadzie na czoło wybijają się **Jan Peszek** jako cadyk i **Tadeusz Huk** jako rabin.

Stary Teatr był faworytem tegorocznych spotkań, gdyż firmował aż trzy przedstawienia. Obok „Portretu" i „Dybuka" była jeszcze brawurowa **„Lekcja" Ionesco.** Gdyby to był konkurs, Grand Prix za aktorską kreację otrzymałaby zapewne **Anna Polony.** Roztoczyła ona przed widownią całą wirtuozerię głosu, mimiki, gestu, ruchu, niezrównana w wyjaśnieniach matematyki i filologii aż do doprowadzenia swej uczennicy do fizycznego końca. „Weźcie tragedię – pisał Ionesco – przyspieszcie ruch, będziecie mieli sztukę komiczną... tragikomiczną". Dobrze zrozumiała to przesłanie reżyserka **Elina Lo Voi** i trzy aktorki, bo Annie Polony towarzyszą **Aldona Grochal** i **Beata Malczewska.** Zabrzmiał tu najlepszy gatunek teatru i zarazem kabaretu; śmiech oczyszczający.

Mieliśmy też jeden powrót do egzystencjalizmu, **„Końcówkę" Samuela Becketta** w interpretacji aktorów Teatru Śląskiego. Przyjęta konwencja gry może zainteresować jedynie formą, Ale gdy ją się porówna z olśnieniami beckettowskimi Tadeusza Łomnickiego, którego widzieli także telewidzowie, inni w tej konkurencji przegrywają.

Kraków zdecydowanie zmajoryzował tegoroczne spotkania. Wypełnił całą ich połowę. Na koniec zostawiłam sobie spektakl spod Wawelu **„Wysocki ze śmiercią na ty"** przywieziony przez Teatr Bagatela. Na jedno z pytań ankiety: „Czy chcesz być wielki i dlaczego?" Włodzimierz Wysocki odpowiedział: „Chcę i będę. Dlaczego? Też pytanie". Zespół złożony przede wszystkim z młodych aktorów spróbował przedstawić idola po swojemu, według scenariusza, w reżyserii i scenografii **Stanisława Nosowicza.** Widowisko, oczywiście rozśpiewane, zostało wpisane w formę sztywnej akademii, na znak, że również nadmierny kult artysty może być zabójczy, jak już nieraz życie pokazało, zarówno dla niego samego, jak i dla jego twórczości. Zwłaszcza gdy wszyscy zaczynają się pchać pod jego flagę.

Tylko jest jeden szkopuł: ten słuszny niepokój jest ujęty w toporny zapis tekstowy. W dodatku aktorzy mają więcej chęci i zapału niż umiejętności ataku i obrony wybranego przez siebie bohatera. Gra w czarne i białe, ostro zarysowane kontury, też wymagają precyzji i finezji aktorskiej. Nawet krzyk na scenie, swoboda i rozchełstanie muszą być ujęte w karby formy i dyscypliny artystycznej.

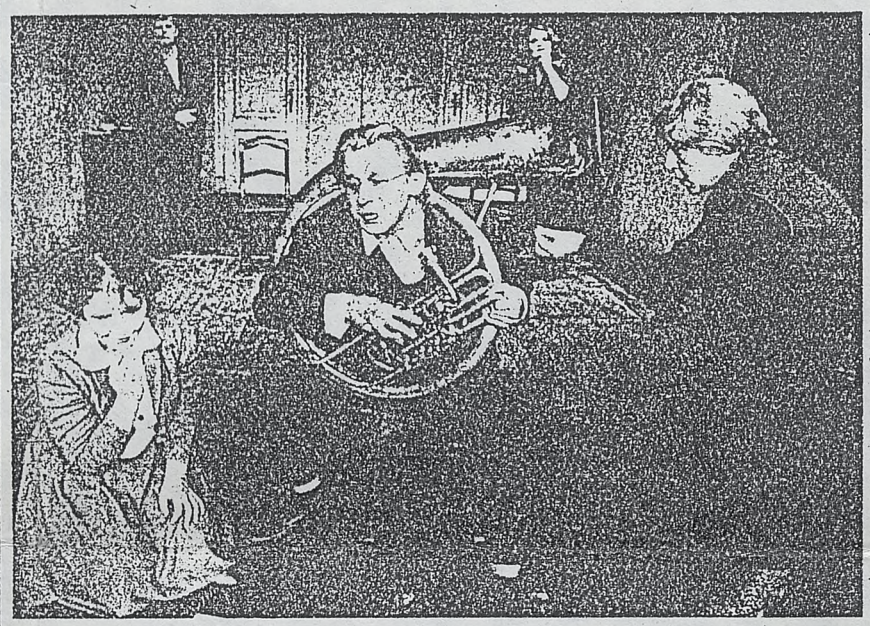
■

Gdybym miała znaleźć wspólne motto dla XIX Spotkań Teatralnych, które odbyły się pod egidą **Teatru Rzeczypospolitej,** zdecydowałabym się na sentencję: „Człowiek się szarpie i nijak się z tego wyłączyć nie może". I to człowiek wręcz z bliskich albo niezbyt odległych lat. Na scenie przeglądał się nasz wiek XX.

Ktokolwiek chciałby sobie wyrobić zdanie o zainteresowaniach naszego teatru na podstawie tych prezentacji, mógłby ulec złudzeniu, że polska dramaturgia nie ma swych korzeni w głębi wieków; Mickiewiczów, Fredrów. Że nie jesteśmy zainteresowani ani dziedzictwem starożytnej dramaturgii, ani Szekspirem. Szukamy na scenie gorączkowo bliskiego odbicia, ale nie znajdujemy zbyt wielu utworów nowszej daty. I dlatego teatry chodzą podobnymi tropami, i depczą sobie po piętach. Młodych reżyserów, takich jak Andrzej Bradecki, Rudolf Zioło, Krzysztof Babicki – w przeciwieństwie do roku ubiegłego – nie było. I brakowało Teatru Witkacego z Zakopanego, który w ubiegłym roku dał nam mądrą i stylową zabawę.

Chciałoby się powiedzieć za bohaterem Mrożka: „Jak tu żyć, kiedy przeszłość nie puszcza".Taki to już widać czas.

BARBARA HENKEL



„Samobójca" Erdmana po latach przywrócony scenie w reżyserii Jerzego Jarocklego w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. **Fot.Marek Grotowski**

„Wysocki – ze śmiercią na ty" w Teatrze Bagatela w Krakowie (Dorota Bochenek i Eugeniusz Dykiel). **Fot. Zbigniew Łagocki**



Głos Robotniczy
nr 11 dn. 17 lutego 1989

WIĘCEJ TURYSTÓW NIŻ GÓR

Tej zimy w Zakopanem śniegu jest, jak kot napłakał, błota za to bardzo dużo. Na Krupówkach po kostki. Dosłownie. A na dodatek ci, którzy zamieszkali w zakopiańskiej kotlinie (zamiast pokój na urlop zdobyć kilka kilometrów dalej, ale za to wyżej) dzień i noc oddychają smrodliwym powietrzem pełnym spalin z kominów i z samochodów. Spalin, zwłaszcza wieczorem, przemieszanych z gęstą, nie ustępującą, ciężką mgłą. A wszystko to razem „na własność" za niesamowite pieniądze płacone za łóżka, warzywa (marchew: 200 zł kilogram), jabłka (600), zapiekanki (240) i tak dalej i tak dalej. Widać jednak moda na Zakopane bardzo mocno się w Polakach zakorzeniła, bo nie widzą ani brudu, ani kurzu, ani nawet tych cen obłędnych, wyduszanych przez ajentów i ewaniaków.

Zakopiańscy intelektualiści, przewodnicy tatrzańscy także, twierdzą, że przed wojną do Zakopanego jeździła i chodziła w Tatry polska inteligencja. Teraz czasy się zmieniły i wraz z nimi rozwinęła się tak zwana turystyka masowa. No i mamy do dyspozycji tylko jedną piątą Tatr, bo cztery piąte są w Czechosłowacji. Na malutkim skrawku polskich gór wokół Zakopanego ciżbi się więc cała Polska. Ludzi jest coraz więcej, a gór coraz mniej. Turystom nie mającym specjalnych uprawnień wolno chodzić po Tatrach tylko po specjalnie oznaczonych trasach, a po reglach na przykład — nie, bo tam tylko niewielka ilość ścieżek i dróg jezdnych ma oznakowania. Nie tylko w spacerowo-handlowej alei w Zakopanem ale i na znakowanych szlakach — jak przemiewa się znana taterniczka, Róża Drojecka — ludzie depczą sobie po piętach.

Zakopiańskie szlaki jednym słowem upodobniły się już prawie do zatłoczonych miejskich parków w dni wolne od pracy.

A samo Zakopane? Jakie ono jest dziś? I dla kogo?

Na te pytania starali się odpowiedzieć znani, zakopiańscy obywatele: Barbara Brzozowska — artystka graficzka, bojowniczka o prawo do normalnego życia w opuszczonym — jak twierdzi — i zaniedbanym przez „władców" Zakopanem, jej mąż Tadeusz Brzozowski, artysta malarz słynący z przekornych tytułów własnych prac Ewa Dyakowska-Berbeka autorka doskonałych plakatów i Maciej Berbeka projektant form przemysłowych szef Klubu Alpinistów Hanna Waloch, sterniczka galerii Biura Wystaw Artystycznych i Arkadiusz Waloch artysta malarz, grafik znany z tego, że niechętnie wystawia swoje prace. Wyznania tej szóstki zakochanych (mimo wszystko) w Zakopanem ludzi zapisała Hanna Waloch, a Sądecka Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Kultury zdołała je nie tylko wydrukować, ale i sprzedać. Razem z innymi zresztą, doskonałymi tekstami ponad 20 innych autorów.

— Dla kogo to Zakopane właściwie jest? — pyta przekornie Hanna Waloch i sypią się odpowiedzi. I płynie opowieść o rzeczach i sprawach nam — sezonowym turystom zupełnie nie znanych...

Mówi ta, wymieniona przeze mnie wyżej szóstka zakopiańskich zapaleńców, że Zakopane dziś jest już nie dla nich. Chyba tylko dla gości, których nadmiar straszliwy i tłok okrutny. Dla zakopiańczyków mieszkanie w kurorcie (byłym?) to prawdziwa męka. Wszędzie tak brudno, także za sprawą turystów siejących wokoło papiery puste butelki, blaszane puszki. Różnica między Zakopanem sprzed lat trzydziestu jest ogromna. Kiedyś było to piękne miejsce, czyste i kolorowe. Na Krupówkach można było spotkać wspaniałych ludzi a dziś tysiące pijaków. I chamów. Niektórzy ludzie przyjeżdżają do Zakopanego chyba po to tylko, żeby się wyżyć dać upust niszczycielskim instynktom: niszczą wszystko, co spotkają po drodze — lampy, kosze na śmieci.

Zakopiańczycy ciągle powtarzają, że czują się oszukani. Tak jest w przypadku teatru, ogrzewania oświetlenia. O ciepłych źródłach do ogrzewania już w ogóle przestało się mówić. Nie ma też gazu, a miał być. Elektryczność często „wysiada". W kinie (starym) dają dobre filmy, ale chuligańskie ekscesy odstraszają mniej odważnych.

Po tym co stało się z Teatrem „Morskie Oko" zakopiańczycy zaczęli się cieszyć z nowej sali teatralnej, w dawnym sanatorium Chałubińskiego. Mówią zresztą, że ten teatr, z pięknym foyer i stałą w nim wystawą to dla nich światełko nadziei na terenie Zakopanego. I że jeśli status teatru imienia Witkacego będzie ustabilizowany, to będzie może raz lepiej, raz gorzej, ale on będzie, bo jest scena.

Gdzieś kiedyś zostało zapisane, że Zakopane to nie jest miasto dla górali. Ale chyba jest... W cepeliowskich sklepach takie same koszmarne (wzorniczo) wyroby, jak u górali na Krupówkach i pod Gubałówką, a w sklepach, gdzie ekspedientkami są góralki, bardziej atrakcyjne towary kupia tylko górale. Po znajomości. A co? Oni przecież mieszkają tu zawsze a turyści „przelecą" jak halny, to niech sobie gdzie indziej w kolejkach wystają.

Pani Basia, moja gospodyni z Cyrli, raz po raz pytała: — A co to pani do Zakopanego nie schodzi? Nie schodziłam, bo i po co? Na to błoto? W ten dym? W ten tłok? Żeby zjeść jakiś smakołyk w „Horteksie" trzeba w kolejce do lokalu stać ze dwie godziny. W eleganckiej „Europejskiej" napicie się kawy jest utopią. Ludzie pozbawieni dobrego powietrza na zewnątrz, całymi godzinami siedzą przy stolikach. I palą carmeny popijając pepsi-colę. Już nie wspomnę ile ona kosztuje.

Mówi się w Zakopanem, że oprócz Hasiora obydwojga Szostaków, Pawlików i Grzegorza Pacusia jest jeszcze ponad stu wspaniałych ludzi, którzy na Zakopane — jakim jest dziś — psioczą, ale w nim żyją, kochają je zabiegają o należne mu miejsce choćby na kulturalnej mapie Polski. Mimo nieustannych zakusów handlu uratowali jedyną z prawdziwego zdarzenia salę wystawową. A słynna „Atma", ukochane „dziecko" Jerzego Waldorffa jest muzeum żywym i ma własną publiczność zawsze serdecznie w progach willi Szymanowskich witaną. Koncerty Towarzystwo imienia Szymanowskiego urządza nie tylko w „Atmie", ale również u pani Hanki Waloch w BWA. Tam i tu przychodzi mnóstwo ludzi. A te koncerty teraz w BWA, to istny przypadek. Koleżanka Hanny Waloch, Urszula Kołaczkowska, kiedy to zawalił się jej dom, własny fortepian podarowała teatrowi „Morskie Oko". Ale teatr też się zawalił, więc fortepian wstawiono do BWA. Teraz w siedzibie Biura Wystaw Artystycznych są już razem dwa fortepiany. I są koncerty.

Maciej Berbeka który „zrobił" już Tatry a po Himalajach „drapie się" z dużymi sukcesami, mówi, że taternicy w ogóle nie wstępują do Zakopanego, tylko od razu idą w góry. Zagraniczni także, na szczęście. A jak czasem zejdą, ale tylko na zasadzie: „przechodząc przez", to zjedzą coś w barze mlecznym, bądź jak mają szczęście — w cocktail-barze w „Horteksie". I idą dalej. Bo dla prawdziwych taterników wspinanie się najważniejsze. To dla nich szczyt: dosłownie i w przenośni. — Chodzenie w góry jest tak samo szczytem kultury jak malarstwo, sztuka, natura i inne podobne, bo to jest piękne, a piękno jest sztuką, a sztuka szczytem i... I można tak w kółko. Tak twierdzi Tadeusz Brzozowski artysta malarz.

Zakopane. Góry wysokie i to nadzwyczajne powietrze — wzdycha Róża Drojecka. Tymczasem nadzwyczajne powietrze już się skończyło, bo skażają je w sposób absolutnie doskonały kominy domów mieszkalnych i rury wydechowe mniej i bardziej wspaniałych samochodów. A góry? Góry jeszcze istnieją, tyle że ciasno w nich, coraz ciaśniej. Dwa razy w roku, latem i jesienią, przez kraj przetacza się okrzyk grozy wraz z żądaniem: „Zamknąć Tatry, bo rozdepczą je turyści"!

Polskich Tatr zamknąć się nie da. Nawet częściowo. Gdyby jednak polskich turystów zechciano wpuścić w Tatry Słowackie? Ach, gdyby chciano...

HALINA BATOROWICZ

Gromada Rolnik Polski

Nr 23 z dnia 21.02.89

„Spadkobiercy" Jędrzeja Cierniaka

NA ogólnie szarym tle życia kulturalnego wsi pojawiają się barwne kwiaty, przykłady ciekawych inicjatyw. A to biblioteka na wsi z indywidualnym podejściem do czytelnika, a to zespół pieśni i tańca, który marzenia o wyjazdach zagranicznych nie stawia za pierwszy cel, a to wiejski teatr godny prezentacji na deskach sceny zawodowej w stolicy, a to klub z kilkunastoma sekcjami naprawdę pracującymi itd.

Często o tych przykładach piszemy w prasie, mówimy w radiu, prezentujemy je w telewizji.

Co roku powstają nowe kluby, nowe zespoły, nowe biblioteki i domy kultury. Pojawiają się nowe konkursy, festiwale, przeglądy. Inne zaś znikają z kulturalnej mapy Polski.

Ale są takie, które dzięki wytrwałości i uporowi jednego człowieka trwają. Czasem kilkanaście lat zabiegów organizacyjnych, zwoływania ludzi do pracy, wycierania klamek itd. owocuje nową inicjatywą, nowym obiektem, klubem świetlicą, domem kultury, remizą strażacką itd.

Tych wspaniałych działaczy, postanowił Związek Młodzieży Wiejskiej co roku wyróżniać Nagrodą im. Jędrzeja Cierniaka. Nagroda przyznawana jest przez Prezydium ZK ZMW „za podjęte i z sukcesem realizowane inicjatywy społeczno-kulturalne na rzecz młodzieży wiejskiej."

Pierwszy raz nagrody przyznano w 1984 roku. Od tej pory co roku poszerza się o kilka osób grono laureatów nagrody I stopnia i o jedną osobę w każdym województwie grono laureatów nagrody II stopnia.

Nagrodzie patronuje postać wybitna — Jędrzej Cierniak Jemu dziś i jego „spadkobiercom" poświęcamy skromną część naszych łamów.

■

Laureatami Nagrody im. Jędrzeja Cierniaka I stopnia za rok 1988 zostali:

Bożena Anioszczyk, Wojsławice, woj. sieradzkie — nauczycielka języka polskiego w Zespole Szkół Rolniczych, założycielka Szkolnego Muzeum Regionalnego, opiekunka szkolnych kół zainteresowań: etnograficznego i muzealnego oraz zespołu obrzędowego. (Sylwetkę p. Bożeny prezentowaliśmy w br. w nr. 1 „G-RP").

Kazimiera Duda Jazowsk, woj. nowosądeckie — rolniczka, organizatorka Galerii wsi w swoim gospodarstwie.

Andrzej Dziuk, Zakopane — Założyciel i dyrektor Teatru im. Witkacego, czołowej sceny w Polsce.

Daniel Kadlubiec, Ostrawa — działacz Związku Kulturalno-Oświatowego Polaków w Czechosłowacji, zasłużony badacz polskiego folkloru na Zaolziu.

Stefan Liszkowski, Wrocław. — dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury, inicjator dorocznych spotkań muzykujących rodzin.

Jan Młodek, Wrocław — zastępca dyrektora Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Niestrudzony popularyzator pięknego języka ojczystego, współtwórca programu telewizyjnego „Ojczyzna-polszczyzna", współorganizator „Święta słowa" tradycyjnej imprezy ZMW.

Józef Pałka, Czernica, woj jeleniogórskie — twórca Amatorskiego Klubu Tańca Towarzyskiego „Czerlan", popularyzator tańca towarzyskiego wśród młodzieży wiejskiej.

Władysław Tomczyk, Bolęcin, woj. katowickie — rzeźbiarz ludowy, organizator plenerów plastycznych, działacz Krajowego Klubu Wsi — Twórca Kultury.

Piotr Zaberny, Siedlce — dziekan Wydziału Pedagogiki Kultury Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach, popularyzator kultury, działacz kulturalny ZMW.

Sylwetki wszystkich laureatów Nagrody im. J. Cierniaka przedstawimy w terminie późniejszym na łamach „G—RP".

DZIENNIK POLSKI
NR 47 24.02.'89

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Emocje zakopiańskie

Już od wielu lat nie jeżdżę do Zakopanego. Serce wprawdzie mnie tam ciągnie, lecz równocześnie... właśnie serce jechać nie pozwala. W każdym razie tego zdania jest pan doktor Michno, którego wskazań staram się (niechętnie) słuchać.

Bo jakże chętnie pojechałbym znów do Zakopanego choćby po to, żeby ożywić wspomnienia! Wspomnień zakopiańskich mam niemało, a najdawniejsze jeszcze z zamierzchłych czasów przedwojennych. W miasteczku niezwykle wówczas eleganckim i zadbanym nie mieszkałem wprawdzie w ekskluzywnych pensjonatach i nie szalałem na wytwornych dancingach, co to, to nie. Mieszkałem pod namiotem, poddany rygorom wojskowym i ciężko harowałem, budując — wraz z kolegami z tzw. Junackich Hufców Pracy — drogę do willi generała Kasprzyckiego na Gubałówce. Ponieważ zdałem właśnie maturę, a miesięczna służba w JHP była podówczas — w roku 1938 — obowiązkiem każdego maturzysty. Myśleliśmy co prawda, że w związku z nasilającymi się już alarmami wojennymi będziemy budować raczej jakieś umocnienia, ale widocznie dojazd do willi ówczesnego ministra spraw wojskowych był ważniejszy...

Potem była wojna i do Zakopanego już się nie jeździło. Za to po wojnie... ech, po wojnie jeździło się często, a gdy zaczął funkcjonować Dom Pracy Twórczej ZAIKS-u (poczciwa „Halama"), spędzałem w nim wielokrotnie niezapomniane dni i noce pod opiekuńczymi skrzydłami jego znakomitej kierowniczki, pani Kasi Wojak i słynnej (bo uwiecznionej już w literaturze, co prawda tylko przez Zeydler-Zborowskiego) pokojówki Rózi... Niestety, i te czasy już dla mnie minęły.

Jednakże jedno zakopiańskie wspomnienie cenię sobie szczególnie, a ostatnio (zaraz się dowiecie, dlaczego) przypłynęło do mnie bardzo wyraziście. Była to wiosna — lub wczesne lato roku 1946, a więc zaledwie rok po zakończeniu wojny. Zaproszono mnie wówczas na wieczór autorski, który odbył się w słynnej i jakże cenną tradycją opromienionej sali teatralnej „Morskiego Oka". Pojechałem razem z Arturem Marią Swinarskim, Jalu Kurkiem i Bogdanem Brzezińskim. Żaden z tych trzech pisarzy już dzisiaj nie żyje. Jalu Kurek zmarł w swej rodzinnej Naprawie, Swinarski — świetny poeta, dramaturg i satyryk — na emigracji w Wiedniu, Brzeziński — ogromnie wówczas popularny dziennikarz, również satyryk i także trochę poeta — w Krakowie. Towarzystwo tych trzech — o wiele ode mnie starszych i doświadczonych kolegów — bardzo mi pochlebiało.

Odbyliśmy ten wieczór ku ogólnemu zadowoleniu nas samych, a chyba także publiczności, wśród której znajdowała się — pamiętam — znakomita i sławna Irena Solska, wówczas już staruszeczka... A działo się to — powtarzam — w sali teatralnej „Morskiego Oka", w której występowała niegdyś sama Modrzejewska i w której we wczesnych latach powojennych działał jedyny wówczas w Zakopanem teatr jej imienia. Tak więc sam fakt występu w tej właśnie słynnej sali był dużym emocjonalnym przeżyciem.

I oto dokładnie tydzień temu obejrzałem w TV program Andrzeja Gebera (wchodzący w skład Krakowskiego Magazynu Kulturalnego „Piątek"). Ten program, świetnie przygotowany i bardzo spokojnie poprowadzony, lecz jakże oskarżycielski w swej wymowie, ukazał mi dzisiejszy stan owej sali (bez przesady: już historycznej), a zarazem ujawnił skandal, jakim jest dotychczasowy, ciągnący się już przez lat dziesięć (!) sposób jej remontowania.

Napisałem, że program był „spokojnie poprowadzony". Bo przyznam, że najbardziej podziwiałem spokój, z jakim kolega Geber rozmawiał z odpowiedzialnymi za ten skandal urzędnikami, którzy zresztą nie byli łaskawi ani przyjąć go osobiście (jeden z nich w rozmowie telefonicznej był zwyczajnie ordynarny), ani wpuścić dziennikarza do wnętrza sali, zawalonej jakimś gruzem, deskami itp., straszącej wybitymi szybami w oknach i odrapaną, niszczejącą fasadą. Arogancja i beztroska tych panów (na których, jak się okazuje, nawet dziś jeszcze „nie ma mocnych"), a przy tym bezsilność nie pozbawionego zresztą dobrej woli naczelnika miasta, robiły przygnębiające wrażenie, a równocześnie doprowadzały do pasji.

Można tylko mieć nadzieję, że po tym programie ktoś się jednak ocknie i zrobi z tym wszystkim porządek. Bo czas byłby najwyższy, jeśli chcemy ocalić miejsce, z którym wiąże się pamięć o tylu wybitnych ludziach w nim bywających (zarówno w teatrze, jak w przyległej restauracji) i które jest przecież dla Zakopanego prawdziwym miejscem zabytkowym, godnym specjalnej ochrony. Niewiele mamy takich miejsc w ogóle, a ile ich już zniszczało bezpowrotnie wskutek takiej właśnie beztroski, jaką okazują dzisiaj panowie z przedsiębiorstwa „Tatry"?

Istnieje obecnie w Zakopanem Teatr im. Witkacego prowadzony przez ludzi młodych, utalentowanych zapaleńców, którzy (o ile wiem, niestety, tylko ze słyszenia) odnoszą już wcale poważne sukcesy. Ale co się dzieje z ludźmi z dawnego Teatru im. Modrzejewskiej, którzy — właśnie w związku z nieszczęsnym remontem sali „Morskiego Oka" — stracili miejsce pracy?

PS. A propos Modrzejewskiej, pozwólcie, że się trochę zareklamuję: ukazało się właśnie w księgarniach drugie wydanie mojej od dawna wyczerpanej książki o wielkiej aktorce pt. „Gwiazda dwóch kontynentów" („Nasza Księgarnia"). Wprawdzie przed piętnastu laty ta książka kosztowała 28 zł, a dzisiaj kosztuje 570, no, ale o Modrzejewskiej zawsze warto poczytać.

Nowa Wieś

nr 9

z dn. 26.02.89

HITY TYGODNIA



Red. Małgorzata Żarnecka z redakcji telewizyjnej „Anteny" poleca:

120

PROGRAM I

● Przez cały luty w poniedziałkowe wieczory spotykaliśmy się z gwiazdami jazzu. 27 lutego naszym gościem będzie słynny Chic Corea (godz. 22.10).

● We wtorek 28 lutego rozpoczyna się nowy cykl „Premiery Starego Kina", a w nim „Rozkosze gościnności", czyli pierwsze spotkanie z gwiazdą kina niemego, znakomitym komikiem Busterem Keatonem (godz. 17.30).

● Środa upłynie pod znakiem sportu. Wieczorem relacja z rozgrywek 1/4 europejskich pucharów – mecz: PSV Eindhoven-Real Madryt lub Werder Brema-AC Milan (godz. 20.05).

● W czwartek film dokumentalny o jednym z najmłodszych teatrów w Polsce, Teatrze Witkacego z Zakopanego.

Pracujący w tym teatrze ludzie to pełna entuzjazmu grupa, która nie zrażając się trudnościami przygotowuje spektakle – głośne nie tylko w teatralnym świecie. O teatrze i tworzących go ludziach dowiemy się więcej z filmu „Daj nam, daj Witkacy sił" (godz. 22.15).

● W piątek w znanym już cyklu „70-lecie odzyskania niepodległości" będzie mowa o kryzysie gospodarczym 1929–1933. Filmową ilustrację problemów omawianych w studiu stanowi film Michała Maryniarczyka z cyklu „Kronikarze XX-lecia" – „Coś stuka w maszynie" (godz. 18.00)

Również w piątek, w cyklu „Świat jaki jest", angielski film dokumentalny „Wyrok na krążownik". Film opowiada o jednym z epizodów wojny o Falklandy.

W 1982 r. został storpedowany i zatopiony okręt argentyński „Generał Belgrano". Zginęło wtedy 368 osób (godz. 23.15)

PROGRAM II

● W poniedziałek coś dla miłośników tańca klasycznego. „Duch róży" – program baletowy zrealizowany z okazji 100. rocznicy urodzin Wacława Niżyńskiego (godz. 19.30).

● W środę „Pierwszy dowódca" przedstawiający sylwetkę pierwszego wodza Powstania Wielkopolskiego, kapitana armii pruskiej Stanisława Taczaka (godz. 21.05).

● W czwartek prawdziwa rewelacja.

„Dziki i piękny" – dokumentalny film produkcji francuskiej prezentujący zwyczaje świata zwierząt, walkę o byt. Zdjęcia do filmu kręcono w wielu krajach, efekt: znakomite, choć często szokujące obrazy. Ten film, bardzo głośny na świecie, wart jest obejrzenia (godz. 21.45).

● W piątek filmowa adaptacja bestsellerowej powieści Sue Kaufman „Pamiętnik szalonej gospodyni". Film ukazuje snobistyczny światek klasy średniej Nowego Jorku.

Żona domowego tyrana próbuje uwolnić się od problemów przy pomocy... romansu i psychoterapii (godz. 21.45).

Dziennik Polski

Nr 49 z dn. 27.02.89

Urodziny zakopiańskiej sceny im. Witkacego

Wieczór niespodzianek

(INF. WŁ.) Do ostatniej chwili zespół Teatru im. Witkacego w Zakopanem nie zdradził gościom programu wieczoru przygotowanego z okazji czwartych urodzin sceny pod Giewontem. Pierwszą niespodzianką była wystawa prac plastyków przyjaciół zespołu. Wśród nich są m. in. Marta Gąsienica-Szostak, Arkadiusz Waloch, Władysław Hasior. Urodzinowy wieczór nie mógł się odbyć bez premierowego pokazu. Zespół „Witkacego" przedstawił próbę komedii Szekspira „Jak wam się podoba".

Reżyser — Andrzej Dziuk każe grać aktorom na zapaśniczej macie, która raz jest areną dosłownego zmagania się ze sobą bohaterów, raz łąką, innym lasem, a jeszcze innym — symbolem zapasów jakie przychodzi człowiekowi prowadzić z życiem.

Po spektaklu było „Sto lat" dla teatru, który tak szybko został zauważony, doceniony i uznany. Kolejne niespodzianki: na scenie prezentowali się: Stanisław Sojka, Zbigniew Namysłowski i holenderskim — Gerard Verwer! Goście przyjmowani byli, jak zwykle serdecznie i urodzinowym tortem. A na zapełnionej do ostatniego miejsca widowni można było zobaczyć m. in. Daniela Olbrychskiego, Krystynę Prońko.

„Dziennik" przyłącza się do wszystkich życzeń: wytrwałości i sukcesów, pełnej widowni i kolejnych, interesujących, premier! (saw)

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
DIALOG
02-595 WARSZAWA, ul. Puławska Nr 61
Nr 2 z dn. -02- 89

210

POLSKI NUMER „TIEATRA"

„Nie pierwszy już raz miesięcznik *Tieatr* udostępnia swe stronice polskiemu *Dialogowi*. Tym razem nasi koledzy z Warszawy opowiadają o tych znakomitych artystach, których twórczość z najrozmaitszych przyczyn nie była zbyt dobrze znana w naszym kraju; przedstawiają także nowe nazwiska pojawiające się na polskiej scenie".

Tymi słowami rozpoczyna się w październikowym numerze radzieckiego miesięcznika *Tieatr* obszerny blok materiałów polskich przygotowanych w ramach wymiany z *Dialogiem*. Blok naprawdę imponujący: liczy sobie z górą sto stron gęstego druku. Składają się nań przede wszystkim dwie sztuki: *Portret* Sławomira Mrożka (dodajmy nawiasem, że dwumiesięcznik *Sowriemiennaja Dramaturgija* w numerze 2/1988 opublikował *Kontrakt;* czytelnicy radzieccy szybko więc nadrabiają opóźnienie w kontaktach z naszym najlepszym dramatopisarzem) i *Kopciuch* Janusza Głowackiego. Materiały eseistyczne otwiera krótki wstęp Konstantego Puzyny, a potem czytamy teksty Jerzego Grotowskiego *Teatr i rytuał,* Andrzeja Wajdy *W teatrze* (wypowiedzi reżysera formułowane przy rozmaitych okazjach; wybrano te, w których mowa przede wszystkim o pracy w teatrze dramatycznym), artykuł Marty Fik o Tadeuszu Kantorze (z książki *Trzydzieści pięć sezonów*) i Małgorzaty Szpakowskiej o Teatrze im. Witkiewicza w Zakopanem. Elżbieta Wysińska krótko charakteryzuje nowe pokolenie reżyserów: Mikołaja Grabowskiego, Macieja Englerta, Krzysztofa Zaleskiego, Janusza Wiśniewskiego, Krzysztofa Babickiego, Tadeusza Bradeckiego, Krystiana Lupę, Janusza Nyczaka, Rudolfa Zioło, Andrzeja Dziuka.

Materiały otrzymane z *Dialogu* radzieccy koledzy uzupełnili także własnymi pozycjami. Przy nich warto się chwilę zatrzymać.

W związku z drukiem *Portretu* korespondentka *Tieatra* M. Zonina poprosiła o rozmowę Sławomira Mrożka. Rozmowa dotyczyła nie tyle twórczości dramatycznej, ile sytuacji samego pisarza; dziennikarkę interesowało, czy jej rozmówca bywa w Polsce i jak często, co skłoniło go do wyjazdu. „Wybrałem swoją, indywidualną drogę — mówi Mrożek — i nie wpisuję się w żadne grupy, partie, programy, po prostu zarabiam na życie. Oczywiście, trzeba za to płacić; wszystko kosztuje. Znalazłem się bardzo daleko od tego, co się nazywa korzeniami, źródłami. Ale wybrałem, świadomie, cóż robić. Jako jednostkę uformowała mnie Polska, jako pisarza-zawodowca — Zachód. Poza wszystkim to nie jest najgorszy punkt obserwacji: widzieć obie strony. Ale, przyznam się pani, to strasznie męczące.

— Dla duszy?

— Jakby to pani powiedzieć... To szkodliwe dla zdrowia: Nie, nie, ja się nie skarżę, sam wybrałem. Nikt mnie nie prześladował i nie wydalił z Polski. Moje losy — to moje osobiste losy, nic więcej. Osiągnąłem tyle, że istnieję jako ja, uformowany przez Polskę, Zachód, moje z górą sześćdziesiąt lat życia. Więc to nie rozejście się, lecz przeciwnie: zjednoczenie. Mówię po francusku, angielsku, niemiecku, włosku jednakowo źle i zrosłem się już z tym kalectwem, tak jak człowiek przyzwyczaja się do życia bez jednej nogi. Emigrowałem z tysiąca powodów, wszystkich już dziś nie pamiętam i nie chcę wywoływać złych wspomnień. Mam poczucie, że o wszystkim zadecydowałem sam — i to świetna świadomość dla emigranta. Nie podlegałem ani naciskom ekonomicznym, ani bezpośrednio politycznym. Dzięki temu mam mniej kompleksów i nie czuję się ofiarą historii".

Mrożek kończy hołdem składanym radzieckiej publiczności. Zawsze o niej marzył, traktuje ją jako swoją. „Ja przecież «stamtąd»".

Obszerny wywiad Józefa Szajny udzielony Andriejowi Bazilewskiemu podczas gościnnych występów Teatru Studio w ZSRR trudno telegraficznie streścić. Dziennikarz rozpoczyna rozmowę od prób — bezskutecznych — znalezienia odpowiedzi na pytanie, kto przez tyle lat blokował przyjazd teatru Szajny do Moskwy. Artysta próbuje krótko przedstawić swoje założenia twórcze. „Wszedłem do teatru po to, by go zburzyć. Żeby nareszcie unicestwić słaby teatr, w którym realizm stał się malutkim realizmem, forma — foremką, a idea — dziecięcym gaworzeniem. Pragnąłem sztuki prawdziwej, a nie «ślicznej». Nie byłem przeciw tradycyjnemu widzeniu sztuki. Pamiętałem, że nic nie starzeje się tak prędko, jak awangarda. Starałem się wyprowadzić teatr z pułapki dogmatyzmu wszelkiego typu, próbowałem przedstawić widzom teatr różnych możliwości, teatr wyprzedzający samego siebie. Według mnie, to właśnie jest realizm. Krytycy zarzucali mi formalizowanie teatru. Na początku lat sześćdziesiątych, kiedy kierowałem Teatrem Ludowym w Nowej Hucie całą grupą starali się obronić proletariat przed «szajnizmem». A robotnicy wcale nie chcieli martwego, nudnego teatru. Ja proponowałem teatr interesujący i oni poparli mnie."

Polski numer *Tieatra* jest bogato ilustrowany zdjęciami z przedstawień, zaś kolorową wkładkę wypełniają znakomicie reprodukowane szkice i obrazy Józefa Szajny.

Artykuł Małgorzaty Szpakowskiej *Zakopane: teatr odzyskiwanego przymierza* uzupełniony został *Posłowiem nie przewidzianym przez autorkę*. Jego autor, Siergiej Parchomienko opowiada o zwariowanych gościnnych występach Teatru im. Witkiewicza w ZSRR. Zaproszony dość przypadkowo do Czelabińska zespół zakopiański odniósł znaczny sukces, po czym staraniem zachwyconych obserwatorów tamtejszego festiwalu zorganizowano mu pół-prywatny, pół-konspiracyjny występ w Moskwie. „Późnym wieczorem — pisze dziennikarz — zadzwoniła do mnie pilotka tej grupy. Przyjeżdżaj, powiedziała, o w pół do dwunastej na Leningradzkoje Szosse 44. Będzie występował polski teatr, którego nigdy nie widziałeś i prędko nie zobaczysz. Spektakl trwa półtorej godziny, ale trzeba być gotowym na pozostanie do rana. I odłożyła słuchawkę". Spektakl istotnie przeciągnął się na całą noc, poprzedziły go kłopoty ze stróżami porządku pragnącymi rozpędzić całe to zgromadzenie w spółdzielczej (scil. prywatnej) kawiarni. Parchomienko stwierdza w zakończeniu, że zapewne wielu gości tego przedziwnego wieczoru, rozjeżdżając się o piątej rano czuło głęboki wstyd za potężny Związek Działaczy Teatralnych, organizatorów i instytucje artystyczne, których indolencji zawdzięczać trzeba zarówno rozpaczliwie-improwizowaną formę tych „gościnnych występów", jak i ograniczoną do garstki liczbę teatromanów, która mogła się z występem zakopiańczyków zapoznać.

Całość numeru *Tieatra* opracowana została niezwykle starannie i efektownie. Sztuki tłumaczyli Galina Aksenowa i Irina Szczerbakowa; eseistykę Natełła Baszyndżagian, Irina Rubanowa, Jelena Maksymowa, Andriej Bazilewski.

A w winietce części polskiej miesięcznika znalazła się reprodukcja naszej *Dialogowej* okładki z datą „listopad 1988"! Naszym beznadziejnie spóźnionym Panom Drukarzom z Domu Słowa Polskiego okładka z taką datą nawet się jeszcze w tym momencie nie śniła; byli jak zwykle trzy miesiące do tyłu. Jeśli by chcieli się dowiedzieć, jak można wydać czasopismo teatralne obszerniejsze od naszego, z ilustracjami, kolorową okładką, barwną wkładką bez jednego tygodnia spóźnienia — czyli jak wykonywać ten zawód, o którego zasadach już z wolna zapominają — służymy adresem radzieckich kolegów.

js

Tygodnik Polski
Nr 10 z dn. 5.03.89

TEATR „STUDIO"

AWANGARDA I CHARAKTER

Jerzy Marek Nowakowski

Pytanie, czy teatr ma charakter, na pierwszy rzut oka wygląda z lekka niepoważnie. Trąci dziecięcą próbą antropomorfizacji instytucji. A przecież w prywatnych rozmowach nader często używamy tego określenia (wymiennie z duchem bądź duszą). Dopiero kiedy przychodzi do precyzowania pojęć na piśmie, uciekamy od owych niejasnych i wyglądających niepoważnie określeń. Tymczasem — jak mawiają w Galicji — coś jest na rzeczy. Co gorsza nie wiadomo za bardzo, jak owo coś opisać. Bo duch sceny nie zależy ani od miejsca, ani od zespołu aktorskiego ani nawet od osoby dyrektroa. Po prostu jest i już.

Takim teatrem z charakterem w Warszawie był dawny „Dramatyczny" i takim jest obecnie — jako jeden z nielicznych — teatr „Studio". Jak powiedziałem, nie podejmę się definiowania samego pojęcia. Ale po prostu wchodząc do budynku w lewym skrzydle Pałacu Kultury wiem, że nie odsłucham prostej recytacji tekstu, że obejrzę próbę przynajmniej stworzenia zdarzenia teatralnego. Co nie najmniej ważne, próba taka odbywać się będzie na przyzwoitym poziomie.

Od wielu lat, co najmniej od czasów Józefa Szajny, „Studio" ma opinię sceny awangardowej. Ta zaś skutecznie odstrasza wielu tradycyjnych miłośników teatru, spodziewających się, iż gromada aktorów przebranych w łachmany będzie tarzała się po scenie bełkocząc niewyraźnie pseudofilozoficzne teksty. Oczywiście bywają i takie zabawy w awangardę. Tyle, że niewiele mają one wspólnego zarówno z samą nazwą jak z teatrem w ogóle. Trzeba wszakże przyznać, iż awangardowość w sztuce została w XX wieku dokładnie ośmieszona. Bardzo wielu twórców nie mających nic do powiedzenia drapowało swoje wytwory w sztucznie awangardowy kostium, dbając o jak najmniejszą komunikatywność wypowiedzi artystycznej. Ponieważ równocześnie rynek sztuki poszerzył się o niezwykle liczną kategorię niedouczonych snobów, przebrane w awangardowy kostium artystyczne hochsztaplerstwo mogło liczyć na pokaźną grupę odbiorców cmokających z zachwytu, by nie przyznać się, iż nic nie rozumieją. I jakoś nikomu nie wypadało zawołać, że król jest nagi.

W rzeczywistości sztuka awangardowa pozostaje przywilejem artystów nielicznych i najbardziej utalentowanych. Bo rzecz wygląda podobnie jak z wynalazkami i odkryciami naukowymi. W prawdziwej awangardzie chodziło o przełamanie zastanych konwencji i wzorów, dostosowanie wypowiedzi artystycznej do rytmu emocjonalnego epoki, w której żyjemy, a nawet (co bywa przywilejem nader nielicznych) do czasów nadchodzących. Przykładem tej drugiej, najszlachetniejszej awangardy był, i jest w jakimś sensie nadal, teatr Tadeusza Kantora. Przykładem awangardy, pierwszej, tej na dziś, są właśnie splektakle „Studia" czy też teatr Andrzeja Dziuka z Zakopanego.

Krótko mówiąc, na scenie w Pałacu Kultury nie przeżywamy szoku czegoś zupełnie nowego, zastajemy natomiast sztukę teatralną, przetworzoną zgodnie z wymogami estetyki i stylu myślenia II połowy XX wieku Najbardziej charakterystycznym rysem wizji artystycznych naszych czasów jest ich — nie uważam tego za określenie pejoratywne — zdziecinnienie. O ile sztuka dziewiętnastowieczna była wyrazem myśli i odczuć ludzi dojrzałych, ferment artystyczny bohemy i czasów międzywojennych nie wytworzył jednolitej wizji estetycznej, to po wybuchu **beat generation**, po rewolcie studenckiej 1968 r. perspektywa artystyczna i estetyczna przesunęła się na pokolenia dwudziestolatków.

Przyzwyczailiśmy się już do tego na przykład w dziedzinie mody. Przeglądając ostatnio fotografie ze szkół międzywojennych zwróciłem uwagę, iż dzieci były ubrane jak miniaturki dorosłych. Te same marynarki, pumpy, sukienki tylko w mniejszym rozmiarze. Współcześnie wygląda to dokładnie odwrotnie. Dorośli wyglądają jak przerosłe dzieci w swoich dżinsach, swetrach, kombinezonach etc. W materii sztuki przyzwyczailiśmy się do tej tendencji znacznie wolniej. Aczkolwiek coraz rzadziej słyszy się argument, że młodzieżowa muzyka to łomot pozbawiony jakichkolwiek walorów, pomału przyznajemy rangę sztuki niektórym komiksom. Film montowany metodą migających obrazków budzi wstręt tylko wśród najbardziej zakamieniałych tradycjonalistów.

Trudno byłoby oczekiwać, że przed zmianą perspektywy estetycznej ustrzeże się teatr. Poszczególne sceny dostosowują się do tej tendencji w bardzo różnym stopniu. Najkonsekwentniej czyni to właśnie „Studio". Przedostatnia premiera na dużej scenie: „Usta milczą, dusza śpiewa" jest znakomitym przykładem tej wizji teatralnej. Pisałem już o tym spektaklu bezpośrednio po premierze. Ale warto jeszcze raz do niego wrócić. Bo jest to przedziwny pastisz operetkowej formuły. Znakomicie zagrany i zrealizowany. z wielką sprawnością przez Jerzego Grzegorzewskiego — nie bardzo poddawał się recenzenckiej analizie. A wydaje mi się, że odpowiedź jest tu dosyć prosta. Operetka jako forma artystyczna została odczytana oczami współczesnego widza. Widza, który usiadł na widowni po zdjęciu słuchawek walkmana, z którego płynęła muzyka rockowa. I ów młody (duchem, bo niekoniecznie wiekiem) człowiek zaczyna przyglądać się wytworom Kalmanna, Lehara, Straussa z mieszaniną rozbawienia i fascynacji. Bo muzyka operetkowa to przecież autentyczne przeboje, łatwe do zapamiętania i nucenia, konstruowane wedle recept podobnych do współczesnej muzyki dyskotekowej (tyle, że z dominacją melodii nad rytmem). A forma — doskonale, stuprocentowo skonwencjonalizowana — we współczesnym świecie przypominającym szalony fotoplastikon wirujących obrazków również tyle śmieszy co przyciąga. Efektem takiego spojrzenia jest pastisz. Ale pastisz jak najdalszy od szyderstwa. Śmiejmy się tyleż z operetki co z naszej tęsknoty za tą formą, za światem, który ją stworzył.

Tę młodzieńczą perspektywę spojrzenia na sztukę równie wyraźnie widać w najnowszej premierze „Studia" — „Działaniach ubocznych" Adama Hanuszkiewicza na motywach Woody Allena. Nie chciałbym tu recenzować spektaklu. Uważam go zresztą za dużo słabszy od operetkowego pastiszu Grzegorzewskiego. Dokładniej zaś, rewelacyjna, zabawna i błyskotliwa część pierwsza (po trosze kabaretowa) przedstawienia wyraźnie kontrastuje z drugą, zagraną w tonacji pół - serio. Okazuje się że estetyka współczesna, nie potrafi poradzić sobie z najpoważniejszymi dylematami człowieka. Spojrzenie na śmierć jest twórcze tylko wówczas, gdy ją ignorujemy. Natomiast gdy samotni w tłumie stajemy wobec problemów, które trudno zbyć błyskotliwym bon-motem przegrywamy także w wymiarze artystycznym.

Na koniec tych zapisków o teatrze patrzącym na rzeczywistość ze współczesnej perspektywy, trudno nie dostrzec jeszcze jednej cechy odróżniającej korzystnie „Studio" od innych warszawskich teatrów. Ta scena nie marnuje młodzieży. Większość zespołu stanowią ludzie młodzi i bardzo utalentowani. Wojciech Malajkat, który zdążył zagrać już role stanowiące marzenie większości aktorów: Hamleta i Gustawa-Konrada, jest absolwentem PWST sprzed paru lat. Co ważniejsze nie nabrał — a przynajmniej nie widać tego na scenie — manier gwiazdy, zabójczych dla młodego aktora. Równie znakomity, może nawet lepszy jest partnerujący Malajkatowi w „Działaniach ubocznych" Zbigniew Zamachowski. Do tego cała grupa młodzieży w rolach drugoplanowych — młodzieży przyzwoicie śpiewającej, sprawnej fizycznie i wykazującej się więcej niż dobrym opanowaniem warsztatu aktorskiego.

Młodzieży partnerują gwiazdy już uznane: świetny Marek Walczewski, Anna Chodakowska oraz (w „Usta milczą, dusza śpiewa") Teresa Budzisz-Krzyżanowska i Małgorzata Niemirska. Cały zespół dość podobnie chyba patrzy na formę teatralną, bo na scenie nie widać dysonansów w grze i technice aktorskiej. Widz ma niczym nie zakłócone poczucie uczestnictwa we wspólnej zabawie i we wspomnianym myśleniu. Zbiór scenicznych osobowości tworzy zwarty zespół, co w naszych teatrach bynajmniej regułą nie jest.

Formułę oswojonej, czy jak kto woli złagodzonej, awangardy wprowadził na scenę „Studia" Jerzy Grzegorzewski. Od początku tego sezonu na stanowisku dyrektora zastąpił go (zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami) Waldemar Dąbrowski. Miejmy nadzieję, iż charakter teatru nie ulegnie zmianie, bo w tej formie, jaką prezentuje dzisiaj, jest „Studio" bez wątpienie teatrem z charakterem,

JERZY MAREK NOWAKOWSKI

ŻYCIE WARSZAWY
nr 59 z dnia 10.03.89

Weekend w telewizorze

Folk i Chopin — stereo i w kolorze

Po raz pierwszy w tym roku w radiowo-telewizyjnych programach będzie można to samo (i co szczególnie ważne, również w tym samym czasie, jako że jeszcze przed paroma tygodniami różnie z tym bywało) obejrzeć i usłyszeć — stereo i w kolorze. Jest także pewna nowość. Otóż do tych, którzy zaczynają emitować stereo i w kolorze przyłącza się także III Program Polskiego Radia. I właśnie z inicjatywy radiowej „trójki" w niedzielę odbędzie się specjalny koncert wykonawców folkowych. Ze studia „M-I" przy ul. Myśliwieckiej grać będą m.in. Chucznaw Tillo, Kwartet Jorgi, zespoły Mandala, Atman. Blisko godzinny koncert transmitowany będzie przez III Program Polskiego Radia i telewizyjną „dwójkę" od godz. 16.20.

W niedzielę wieczorem — kolejna godzina stereo i w kolorze. Tym razem już bardziej tradycyjna. Z auli poznańskiego UAM grać będzie radziecka pianistka Tatiana Szebanowa, która przedstawi m.in. szereg walców Chopina. Transmisja w drugich programach radia i telewizji rozpocznie się o godz. 20.

Oprócz wspomnianych wyżej atrakcji niedzielny program przewiduje m.in. w „jedynce" reportaż o istniejącym od 3 lat Teatrze Witkacego w Zakopanem (godz. 14.25), podróż artystyczną po Moskwie, podczas której mowa będzie m.in. o obawach radzieckich artystów związanych z komercjalizacją sztuki (godz. 18.20) oraz film dokumentalny o tym co się nosiło (na sobie) w początkach lat 50. (godz. 22.45). Natomiast w „dwójce" warto z pewnością zobaczyć Krakowską Wiosnę Muzyczną (godz. 17.15).

Sobotni I program, w ramach Teatru Prozy, przypomni „Korupcję" Andrzeja Kuśniewicza. Jest to jego debiutancka powieść; akcja rozgrywa się na nieokupowanych przez hitlerowców terenach Francji i dotyczy ludzi związanych z polskim wywiadem wojskowym (godz. 12.40). Po południu — fabularyzowany dokument przedstawiający burzliwe dzieje Braci Polskich, najbardziej radykalnego odłamu reformacji (godz. 17.30). Natomiast w nocy — premierowe wydanie „Tele-gramu", nowego dwugodzinnego show realizowanego z udziałem telewidzów i zaproszonych gości (godz. 22.25). W sobotnim drugim programie zobaczymy m.in. film dokumentalny o Singapurze (godz. 15), biografię słynnego „śpiewaka jazz bandu", czyli Ala Jolsona, który ucharakteryzowany na Murzyna wystąpił w 1927 r. w pierwszym w dziejach kinematografii filmie dźwiękowym (godz. 17) oraz Andre Previna, który wraz z Królewską Orkiestrą Filharmoniczną wykona fragmenty kilku symfonii Dymitra Szostakowicza (godz. 20).

Pośród audycji piątkowych uwagę zwraca natomiast program o jednej z najpopularniejszych i najpoczytniejszych współczesnych pisarek polskich — Stanisławie Fleszarowej-Muskat (program I, godz. 17.30 — część druga w sobotę o godz. 16.45). Tegoż dnia w „dwójce" poznamy kulisy X Jubileuszowego Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu (godz. 18.30) oraz obejrzymy reportaż o Lwowie, mieście położonym na skrzyżowaniu dróg i światów, mów i ras, wiar i kultur, mieście które w ciągu swej ponad 700-letniej historii przeżyło ponad 20 najazdów i oblężeń (godz. 20.25).

(ES)

Ład
nr 11 • z dnia 12.03.1989

TEATR

Anna Błaszczyńska-Wasiak

I ja tam byłam...

Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. ul. Chramcówki 15. Zakopane. Tyle oficjalna etykieta. Ale trafia się tam właściwie bez adresu. Wystarczy jak w dziecięcej zabawie w podchody iść po strzałkach. Oto blisko, na wyciągnięcie ręki, pojawiają się duże fotogramy twarzy mężczyzny o czarnych, chorobliwie błyszczących oczach. Dalej, już na ścianach teatralnego budynku, wiją się postaci z rysunków Witkacego. A gdzieś w głębi, jakby jego ręką pisany, fragment tekstu. Zwraca uwagę biała ławka, z czarną, półleżącą sylwetką człowieka i typowy dla naszych podwórek rząd baraków, obitych teatralnymi plakatami. Ale to dopiero początek wielkiego zdziwienia, któremu na imię Teatr Zakopiański, a właściwie teatr Andrzeja Dziuka.

Bóg posyła ludzi na świat, aby dali popis swych możliwości. Jaka sztuka najbardziej powołana jest do tego, by opowiadać o prawdzie człowieka, jeśli nie sztuka teatru. Słowa te zostały wypowiedziane przez księdza Józefa Tischnera przy okazji polskiej premiery sztuki Calderona *Wielki teatr świata*. Jest ten spektakl alegorycznym obrazem ludzkiej drogi przez życie, które, jak w regule Arystotelesa, musi mieć początek, środek i koniec. Jest więc najpierw przydział ról: — Ty będziesz Królem — mówi Wielki Autor i wręcza berło, a ty — mówi — zagrasz Biedaka, który nie ma nic, nawet przyzwoitej szaty. Role te wyznaczają granice teatralnego świata. Między nimi jest tylko Bogacz i Piękno, Wieśniak i Roztropność. Nie ma możliwości wyboru, a przestrzeń sceniczna jest niewielka. Każdemu musi wystarczyć wóz wędrownego aktora i szczypta czasu, o której nie on decyduje. To Wielki Autor gestem kategorycznym i bezapelacyjnym zasłania kurtynę.

Graj dobrze rolę — oto cel twój główny — takie jest przesłanie utworu sformułowane przez Calderona. Dla każdego z widzów bardziej oczywisty jest jednak wniosek inny. Oto wszyscy, bez wyjątku, jesteśmy równi wobec Śmierci, co więcej — w każdym momencie życia stoi ona obok nas. To przesłanie, zbyt oczywiste dla ludzi końca wieku XX, nie brzmi w teatrze Andrzeja Dziuka banalnie. Wynika to zapewne i z interesującej formuły „teatru w teatrze", ale przede wszystkim jest wynikiem totalności i jednoznaczności stworzonego tu świata. Przyzwyczajeni jesteśmy bowiem do oglądania na scenie cudzego pokoju, słuchania cudzych rozmów, podglądania nie naszego kawałka istnienia. Tu, w ogromnym skrócie czasowym, widzimy swój początek i swój koniec. Przez Wielkiego Autora jesteśmy traktowani jak aktorzy jego teatru: on rozkazuje nam usiąść, później wstać, zmienić miejsca. To obok nas muszą przejść niedawni aktorzy, teraz szare duszyczki z trupimi maskami zamiast twarzy. I to jest ten moment, który zapiera dech. Antyczne *katharsis*, słowo tłumaczone niekiedy jako litość i trwoga, zyskuje w tym spektaklu nowe znaczenie: litujemy się nad sobą i trwożymy o siebie, bo my sami, w całej naszej jedności i wyjątkowości, jesteśmy aktorami tego teatru — Wielkiego Teatru Świata.

Na drugim biegunie teatralnego repertuaru znajduje się *Cabaret Voltaire (seans dadaistyczno-surrealistyczny* — jak brzmi podtytuł). Surrealizm ów istnieje w teatrze Andrzeja Dziuka nie tylko na scenie. Bo jak inaczej, jeśli nie w kategoriach nadzwyczajności określić sposób przyjęcia widzów: dużą salę wypełniają stoliki z dzbankami zsiadłego mleka i rzodkiewkami, a oświetlają domowe lampy, dające wrażenia ciepła i przytulności.

Spektakl złożony z wielu mniejszych i większych scenek, misternych recytacji, pojedynczych gestów sprawia, że chcąc nie chcąc poddajemy się pierwotnemu natchnieniu, nie kontrolowanemu przez świadomość człowieka dorosłego i wybuchamy śmiechem. Czy można reagować inaczej, widząc pianistę — jowialnego i dobrodusznego z wyglądu, który w wybłyszczonym hełmie strażackim piłą atakuje swój instrument, cały czas zerkając w partyturę. Czy można pohamować śmiech, patrząc na występ niewidomego harmonisty, który długo i dokładnie ostukuje laską podłogę, bada przestrzeń wokół siebie i w końcu zaczyna grać skoczną melodyjkę, stojąc u stóp (dosłownie) lekko kołyszącego się wisielca. I choć scenka ta może oburzać, a śmiech wyda się smutny, taka właśnie jest reakcja publiczności. Czy można zdrowiej odegrać absurdalność istnienia? Co jest lepsze — czy powaga wobec roli jedynej, niepowtarzalnej, czy śmiech?

Andrzej Dziuk każdym spektaklem po prostu zaciekawia, zadziwia, przestrasza. Atakując zmysły, grając na uczuciach, powraca do pytań elementarnych. Jest przy tym wszystkim wierny źródłom: jeśli sztuka antyczna, to z rozdzierającym krzykiem grozy na początku, z maskami i koturnami; jeśli kabaret — to w kawiarnianej scenerii. Nie jest to oczywiście wierność absolutna, ale zapewnia ona osadzenie spektaklu w epoce, a człowiekowi, który go ogląda, daje poczucie ponadczasowości istnienia. Jest Teatr Zakopiański także wierny naszej polskiej tradycji: Andrzej Dziuk i kilka, a raczej kilkanaście osób tworzących ten teatr mówią: *Witamy*, mówią: *Prosimy o nas nie zapominać*, częstują pyszną herbatą, w program wkładają widokówkę. A pewną panią po prostu wpuszczono na przedstawienie, choć nie miała biletu i wyglądała jak zmokła kura, bo właśnie Zakopane przeżywało oberwanie chmury. Teraz pełna wrażeń powtarza znajomym: *I ja tam byłam...*

Tygodnik Kulturalny

12 marca 1989

kronika kulturalna

● Na jednego mieszkańca naszego kraju przypada 35 kg papieru, co daje nam ostatnie miejsce w Europie. Na 35 kg składa się papier toaletowy, opakowaniowy, etykiety, papier na druk książek i gazet. Jeśli chodzi o papier gazetowy, to na statystycznego Polaka przypada po 4 kg, podczas gdy w krajach rozwiniętych gospodarczo — 30 kg.

● W ubiegłym roku sprzedaliśmy za granicę 110 filmów. Najwięcej kupili Japończycy — 28, do Iranu pojechało 21, Bułgarii 20. Na Zachodzie największym powodzeniem cieszy się „Krótki film o zabijaniu" Kieślowskiego, a na Wschodzie — „Cudowne dziecko" Dzikiego.

● Prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, reżyser Janusz Majewski, wydał oświadczenie, w którym polemizuje z informacjami, wedle których „w chwili obecnej wszystkie filmy zostały już zdjęte «z półki»". Zdaniem prezesa Majewskiego „na półkach nadal znajduje się wiele filmów, tak fabularnych, jak i dokumentalnych". Dołączona jest lista 4 filmów fabularnych i 31 dokumentalnych, wyprodukowanych w różnych okresach, niekiedy aż ćwierć wieku temu. Ponadto prezes Majewski twierdzi, że utrudnia się rozpowszechnianie niektórych innych filmów, jak np. „Nadzo..." Wiesława Saniewskiego. „SFP stoi na stanowisku, że wszystkie wymienione filmy powinny się jak najszybciej znaleźć na ekranach" — stwierdza oświadczenie.

● Po ośmiu latach na scenę Teatru Powszechnego w Warszawie powróciły dwie jednoaktówki Vaclava Havela: „Audiencja" i „Protest" w reżyserii Feliksa Falka. Premiera trzech utworów Havela („Audiencja", „Protest" i „Wernisaż") odbyła się w 1981 r., ale po 11 przedstawieniach zostały one wycofane z repertuaru i dopiero teraz uzyskano zgodę na wznowienie. Akcja utworów rozgrywa się podczas „praskiej wiosny", a moralnym przesłaniem jest problem granic kompromisu. Występują Mariusz Benoit, Kazimierz Kaczor i Władysław Kowalski.

● Z bardzo interesującą propozycją wystąpił Teatr Studio w Warszawie. „Kartotekę" Tadeusza Różewicza pod artystyczną opieką Tadeusza Łomnickiego, który gra Bohatera — wyreżyserowali czterej studenci z wydziału reżyserii PWST: Zbigniew Brzoza, Maciej Cirin, Jarosław Kilian, Szczepan Szczykno. W sztuce grają Anna Chodakowska, Gabriela Kownacka, Małgorzata Niemirska i Marek Walczewski.

● Ten festiwal cieszy się u publiczności niezmiennym powodzeniem. W tym roku Ogólnopolski Przegląd Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu (6—13 III) odbywa się po raz dziesiąty, w konkursie uczestniczy około 70 osób. Wrocławski Ośrodek Kultury i Sztuki, który jest organizatorem, zapowiedział także wiele interesujących spektakli i koncertów gwiazd.

● W Muzeum Plakatu w Wilanowie — przegląd najlepszych plakatów świata. O tym, że najlepsze, zadecydowało jury III Międzynarodowego Salonu Plakatu, organizowanego co roku w paryskim Grand Palais przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Sztuk Plastycznych (AIAP). Na zeszłoroczny salon nadesłano 365 plakatów z 21 krajów. Jury wybrało 135 prac, które odwiedzają muzea i galerie świata pod nazwą „Najlepsze plakaty świata". Są wśród nich także prace polskich artystów: Stasysa Eidrigievicziusa, Mieczysława Gorowskiego, Lecha Majewskiego, Grzegorza Marszałka, Jana Młodożeńca, Romualda Sochy i Elżbiety Prockiej, Tomasza Szuleckiego, Mieczysława Wasilewskiego.

● Jury Nagrody Poetyckiej im. Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego, przyznawanej co dwa lata przez redakcję miesięcznika „W drodze" i Duszpasterstwo Środowisk Twórczych przy Bazylice św. Mikołaja w Gdańsku, przyznało Nagrodę Główną Wisławie Szymborskiej za tom „Ludzie na moście" (Czytelnik 1986). Nagroda Młodych przypadła Waldemarowi Żelaznemu za tom „Pokój z zabawkami" (Czytelnik 1986).

● Na czym chcą dziś zarabiać wydawnictwa? Te państwowe i te powstające jak grzyby po deszczu, prywatnie. Zainteresowanie Stalinem i stalinizmem osiąga apogeum, co także zdyskontowała MAW, wydając „Fenomen Stalina" — zbiór tekstów publikowanych w latach 1987—1988 na łamach prasy radzieckiej, a dotyczących stalinizmu i jego obecności w życiu ZSRR. Zarobi na pewno także spółka z o.o „Rój", która proponuje swoistą ciekawostkę — „Przepowiednie dla Polski i świata", zbiór słynnych przepowiedni (m.in. Sybilli, Nostradamusa, Wernyhory).

● Na aukcji sztuki współczesnej w gdańskim hotelu „Heweliusz" były emocje, duże pieniądze i wspaniałe dzieła. Największe przebicie miał obraz Jerzego Dudy-Gracza — od 950 tys. ceny wywoławczej do 4,5 mln. Również za ponad 4 mln złotych poszedł obraz Franciszka Starowieyskiego.

● Po raz kolejny wręczone zostały nagrody ZMW im. Jędrzeja Cierniaka, twórcy teatru wsi, organizatora jej życia kulturalnego. Ta nagroda to wyraz uznania dla działaczy kultury w środowisku wiejskim. W br. przyznano 9 nagród pierwszych i 42 drugie. Laureatami I zostali: Bożena Antoszczyk — nauczycielka z Wojsławic, założycielka muzeum regionalnego, Kazimierz Duda z Jazowska — twórca Galerii Wsi, Andrzej Dziuk — dyr. Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Zakopanem, Karol Daniel Kadłubiec — przewodniczący Sekcji Folklorystycznej Polskiego Związku Kulturalno-oświatowego w Czechosłowacji, Stefan Liszkowski — dyr. WDK we Wrocławiu, Jan Miodek — autor programu „Ojczyzna — polszczyzna", Józef Pełka — twórca klubu tańca „Czertań" w Czernicy, Władysław Tomczyk z Bolęcina, Piotr Zaborny — dziekan WSRP w Siedlcach.

ŻYCIE LITERACKIE

Nr 10 z dnia 12.03.89

Klamrą, spinającą czteroletnią działalność Teatru im. Witkacego w Zakopanem są Witkacowskie przedstawienia: inaugurująca działalność zespołu Andrzeja Dziuka „Autoparodia" i najnowsze dzieło sceniczne **„SONATA B"**. Dziuk oparł ten spektakl na napisanej w 1925 „Sonacie Belzebuba", a teatralny afisz opatrzył mottem z Witkacego: „...muszę wybierać między życiem a sztuką? To piekło myszką trąci. Boże, ratuj...".

Tygodnik Kulturalny

nr 11
dn. 12.03.89

24 GODZINY W KRAJU

● **Na przeważającym obszarze kraju rozpoczęto prace żniwne.** Rzepak ozimy kosi się już w 39 województwach, a zboża w 34 województwach. Lokalnie na glebach najsłabszych, gdzie wiosenna susza najbardziej skróciła okres wegetacji roślin, rolnicy rozpoczęli zbiór żyta.

● **Rola szkolnictwa parafialnego w upowszechnianiu języka i kultury polskiej w środowiskach polonijnych jest zasadniczym tematem odbywającej się w Poznaniu konferencji okrągłego stołu z udziałem kilkudziesięciu osób — świeckich i duchownych działaczy polonijnych z krajów Europy Zachodniej, USA i Australii.** 15 bm. zakończyła się pierwsza sesja tej konferencji, na której referaty i dyskusja koncentrowały się na zadaniach instytucji i organizacji religijnych na emigracji w podtrzymywaniu odrębności i trwałości polskiej grupy etnicznej.

● **Dobiegł końca pobyt na Wybrzeżu Gdańskim 140-osobowej grupy młodzieży kubańskiej wchodzącej w skład V Brygady im. Carlosa Roloffa-Mialowskiego.** W piątek młodzież odwiedziła Muzeum Oceanografii w Gdyni, a następnie gościła u słuchaczy Akademii Marynarki Wojennej, gdzie m. in. odbyło się spotkanie przyjaźni, w sobotę młodzi Kubańczycy udają się na teren woj. kaliskiego.

● **Zainaugurowany został wspólny serwis kontenerowy Polskich Linii Oceanicznych i armatora z Rostocku.** Serwis pod nazwą „Eacon Service" obsługiwać będzie trasę Europa — Daleki Wschód. Trasę 12 tys. mil morskich statki pokonywać będą w rejsach okrężnych trwających po 3 miesiące.

● **Zakłady Azotowe w Tarnowie, jeden z największych eksporterów myśli technicznej kraju, podpisały kolejny kontrakt.** Dotyczy on sprzedaży licencji na produkcję krzemu półprzewodnikowego do Rumunii. Kontrakt przyniesie ma zakładom kilkanaście milionów rubli. Zakłady azotowe przekażą do Rumunii kompletną dokumentację techniczną i technologiczną oraz dostarczą podstawowe urządzenia dla instalacji produkującej rocznie 40 ton krzemu.

● **W Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Szczecinie odbywa pierwsze próby i sprawdziany komputer okulistyczny zakupiony dla niego przez Szczecińską Stocznię Remontową „Parnica".** Umożliwia on uzyskanie szybkich i bardzo dokładnych diagnoz — odpowiednie ukierunkowanie leczenia.

● **Organizacja Związkowa pracowników Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego PZL w Rzeszowie powołała związkowy zakład działalności gospodarczej.** Zajmie się on świadczeniem usług: konserwacją oraz remontami urządzeń przemysłowych, maszyn i budowli, projektowaniem rozwiązań konstrukcyjnych i technologicznych, a także robotami budowlano-montażowymi, wytwarzaniem materiałów budowlanych, regenerowaniem różnych części zamiennych. Będzie również udzielać fachowej pomocy osobom pracującym nad projektami wynalazczymi łącznie z wdrażaniem tych projektów.

● **Z portów wrocławskich wypłynął w dół Odry — do Szczecina specjalny zestaw statków: pchacz „Kozioroże" holujący barkę, na której pokładzie ustawiono dwa duże kutry rybackie przeznaczone na eksport do Norwegii.** Niska woda w Odrze sprawia znaczne utrudnienia w transporcie rzeką, dlatego przez kilka dni gromadzono (przez sztuczne piętrzenie) zapasy wody od Redzina do Brzegu Dolnego, aby rano 15 bm. je wypuścić tworząc tzw. sztuczną falę, po grzbiecie której płynie „Koziorożec" ze wspomnianą barką.

● **Bywali w Toruniu królowie i cesarze, ale jeszcze nigdy najpiękniejsza dziewczyna świata — tymi słowami powitana została w Toruniu miss świata, 20-letnia Austriaczka Ulla Weigerstorfer.** Z inicjatywy „Gazety Pomorskiej" zatrzymała się ona na krótkie spotkanie z torunianami w drodze na finał konkursu Miss Polonia w Sopocie. Towarzyszyła jej Julia Morley, prezydent konkursu „Miss Świata".

● **Pierwsze decyzje nowej Rady Narodowej w Zakopanem służą pomnożeniu własności komunalnej.** Za ponad sto mln zł zakupiono dwa budynki przeznaczone na hotel dla aktorów Teatru im. Witkiewicza. Została podpisana umowa z przedsiębiorstwem budowlanym na budowę domu o 24 mieszkaniach dla nauczycieli. Prace zostaną rozpoczęte jeszcze w tym miesiącu.

● **W Pieckach w woj. olsztyńskim zostało zawiązane przedsiębiorstwo „Altex PL" — spółka z o.o. utworzona przez rolników indywidualnych i miejscową GS „Samopomoc Chłopska".** Przedmiotem wspólnego zainteresowania jest masarnia. W celu pełnego wykorzystania tego zakładu spółka zajęła się skupem i przetwórstwem żywca i półtusz baranich, koni i innych zwierząt, a także przetwarzaniem nie reglamentowanych podrobów otrzymywanych z przemysłu mięsnego.

● **Z taśm montażowych „Polkoloru" w Zakładzie Kineskopów Monochromatycznych „Zelos" zszedł 20-milionowy kineskop (czarno-biały).**

● **Na oddziale położniczym szpitala rejonowego w Oleśnicy przyszły na świat trojaczki: chłopiec (waży 3100 gramów) oraz dwie dziewczynki (jedna ważyła 1600 gramów, druga — 800 gramów).** Poród odbył się szczęśliwie. 26-letnia matka, Aleksandra Ł. (jest już matką 5-letniego chłopca i 2-letniej dziewczynki) czuje się dobrze.

● **Na Opolszczyźnie już pięć stacji benzynowych prowadzi sprzedaż etyliny po cenach komercyjnych.** Są to stacja w Opolu oraz ostatnio uruchomione w Nysie, Brzegu, Kluczborku i Kędzierzynie-Koźlu.

● **Ostatnie dwa wodoloty Żeglugi Gdańskiej wobec stale rosnących kosztów ich utrzymania we wrześniu przejdą pod banderę greckiego armatora.** Jednostki te zakupione w latach siedemdziesiątych są blisko 8-krotnie droższe od katamaranów.

● **W ciągu 14 dni lipca w rzekach, stawach, żwirowniach utopiły się 134 osoby, w tym 31 nieletnich.** Najwięcej tragedii zdarza się w dni wolne od pracy, a najczęstszą ich przyczyną jest przecenianie swoich sił lub brawura, niejednokrotnie wywołana alkoholem.

280

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
SZTANDAR MŁODYCH
ul. Wspólna 61
00-687 Warszawa
Nr ..... z dn. .....
52 14-03-89

Nigdzie na świecie nie ma teatru, który nie byłby dotowany. (...)

Teatr musi inaczej określić swój stosunek do gwiazd.

Rozmowa z WALDEMAREM DĄBROWSKIM, dyrektorem warszawskiego Centrum Sztuki „Studio".

— Trwa dyskusja na temat kryzysu teatru. Niektórzy twierdzą, że należałoby pozostawić dwa, trzy teatry, a resztę pozamykać. Inni mówią, że trzeba zrezygnować z etatów aktorskich, bo wiele zatrudnionych osób w ogóle nie gra, i do każdego spektaklu angażować konkretny zespół wykonawców. Jakie jest pana zdanie na ten temat?

— Sądzę, że formuły instytucjonalne teatru nie są sprawą najważniejszą. Teatr impresaryjny nie jest żadnym antidotum na kryzys teatru. Dyskusja na ten temat trwa zresztą od niepamiętnych czasów. Śledzę te dysputy od lat i obecnie przysłuchuję się im z dużo większym spokojem, rozwagą i dystansem do zbyt powierzchownych wniosków, jakie są często formułowane. Oczywiście, prawdą jest, że sytuacja kryzysowa, jaka w ostatnich latach dotknęła nasz kraj, musi dotyczyć również teatru. W sytuacji niedostatku funduszy we wszystkich resortach oczywiste jest, że i kultura nie opiewa w dostatki.

— Brak funduszy jest tłumaczeniem tyleż wygodnym, co mało perspektywicznym.

— Sądzę dlatego, że tak jak przed życiem gospodarczym, tak i przed kulturą otwierają się w nadchodzącym czasie nowe możliwości. Potrzeba tylko nowego, nowoczesnego twórczego myślenia. Istnieją też pewne, budzące niepokój zagrożenia. Najważniejszy z nich wydaje mi się exodus z teatru pierwszorzędnych sił aktorskich i technicznych. Niektórzy wybitni aktorzy odchodzą do filmu, a ci, dla których praca w teatrze jest najważniejsza, nie mogą jej poświęcić całych swoich sił. Muszą zarobkować jednocześnie w filmie, radiu, telewizji, na estradzie. I pracę w teatrze wykonują resztkami sił. Niepokojącym zjawiskiem jest też fakt, że niektóre teatry przez długi czas są pozbawione kierownictwa artystycznego, a w końcu obsadza się na tych stanowiskach, do których kiedyś aspirowało kilkunastu zdolnych ludzi, osoby mające w swym dorobku dwa, trzy przedstawienia, albo debiutantów. Brak też dobrych, fachowych pracowników technicznych. Nie istnieje już od dawna tak potrzebna szkoła rzemiosł teatralnych. Wyposażenie techniczne nie nadąża za potrzebami nowoczesności.



— Myślę, że najważniejsze jednak jest to, co widz zobaczy podczas spektaklu, jak to odbierze i czy zechce w tym uczestniczyć. To przede wszystkim świadczy o kondycji polskiego teatru.

— Uważam, że z tym nie jest najgorzej. Proszę wieczorem zajrzeć na widownię Teatru „Studio" i paru innych warszawskich teatrów, a nie znajdzie pani tam wolnego miejsca. W kilku innych teatrach jest gorzej, ale teatry słabe artystycznie będą, niezależnie od wszystkiego, zawsze w kryzysie. Trzeba też pamiętać, że w każdej dziedzinie sztuki najbardziej twórcze poczynania, dzieła o wielkiej wartości artystycznej wyłaniają się z masy przeciętności. Życie teatralne powinno przypominać piramidę, na szczycie której muszą znajdować się najwybitniejsze formacje, prowadzone przez najwybitniejszych artystów. Tu też powinno być miejsce dla Teatru Narodowego, teatru klasycznego, utrzymującego się w konwencji bliskiej Teatrowi Polskiemu, który prezentuje dramaturgię klasyczną, a równocześnie jest otwarty na współczesną twórczość — dość konwencjonalnego jeśli chodzi o formę, ale atrakcyjnego i ważnego dla widza. Powinno też być tam miejsce dla nowych zjawisk artystycznych, uplasowanych na marginesie życia teatralnego, ale ważnych, wprowadzających nowe impulsy twórcze, by dla przykładu wymienić teatr Janusza Wiśniewskiego, Gardzienice czy też teatr zakopiański. To wszystko powinno mieć zagwarantowaną formę organizacyjną, pozwalającą na spokojny byt, niezależny od procesu degradacji złotówki.

— To znaczy, że te teatry powinny być dotowane?

— Oczywiście, nigdzie na świecie, nie ma teatru, który nie byłby dotowany. W krajach socjalistycznych dotacja płynie z kas rządowych, a w krajach zachodnich od sponsorów prywatnych, ale też i z dotacji państwowych. Nie jest możliwe, żeby teatr o ambicjach artystycznych miał szansę utrzymania się z wpływów kasowych. Teatr jest jedną z form kultury „wysokiej", którą społeczeństwo musi finansować.

— Ale czy te pieniądze są naprawdę dobrze wykorzystane?

— Zbyt często nie są odpowiednio wykorzystane, gdyż po pierwsze — nie ma dostatecznego zróżnicowania dotacji między teatrami o bardzo różnym poziomie i osiągnięciach artystycznych, co powoduje „spłaszczanie" życia teatralnego, a po drugie — wadliwa jest konstrukcja zespołów teatralnych. Latami utrzymuje się na etatach ludzi, którzy nie grają. Pensje są zbyt małe, więc oni nie są zadowoleni z życia, nie mają żadnej satysfakcji zawodowej i dlatego są źródłem stałego stresu, udzielającego się ogółowi.

— Ale też bardziej przebojowi aktorzy uciekają z teatru. Takim przykładem może być w „Studio" Bogusław Linda, który od was odszedł.

— Linda zagrał u nas to, do czego się zobowiązał. Wyreżyserował też interesujące „Przedstawienie pożegnalne" Petera Kuellera. Właśnie Linda jest dobrym przykładem na to, że nie da się utrzymać tej archaicznej konstrukcji, polegającej na etacie w teatrze i intensywnych zajęciach poza nim. Postawił na film, uwolnił się od ograniczeń, jakie teatr nakłada na plan działań zawodowych aktora i w zasadzie trzeba mu przyznać rację. To co zrobił w filmie pokazuje, że jego wybór był trafny, choć teatr cierpi z tego powodu, że nie ma tak znakomitego aktora jak Bogusław Linda. Myślę, że jest to przykład dość znaczący. Teatr musi inaczej określić swój stosunek do gwiazd.

— Nieprzypadkowo właśnie panu stawiam te pytania. Miał pan 29 lat, gdy objął dyrekcję „Studio". W tej chwili do „Studio" nie można dostać biletów. Jest to teatr gwiazd. Jak to się udało?

— Tak było rzeczywiście. Czas, w którym rozpoczynaliśmy pracę był trudny: stan wojenny, jakaś ogólna apatia, niechęć do manifestowania siebie w sytuacjach publicznych. I brak repertuaru, gdyż Szajna swoje ostatnie znaczące przedstawienie zrobił w 1978 roku. Myślę, że publiczność znalazła się w tym teatrze z kilku powodów. Na pewno głównym powodem było zainteresowanie warszawskimi realizacjami Jerzego Grzegowskiego („Bloomusalem" według Joyce'a i „Ameryką" Kafki w „Ateneum"), który objął kierownictwo artystyczne będąc już artystą z dużym dorobkiem. Był postacią przez Warszawę chcianą i oczekiwaną. Pojawiło się też kilkoro wybitnych aktorów: Marek Walczewski, Tadeusz Łomnicki, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Anna Chodakowska. Później zespół został znacznie wzmocniony. Kolejne spektakle stawały się sukcesami, ponieważ o coś w nich chodziło, podejmowały problematykę humanistyczną, na tyle atrakcyjną, że widzowie przychodzili i nadal na nie przychodzą. Krótko mówiąc, ten teatr stał się nagle ważnym teatrem w służbie literatury, bo służącym prezentacji Geneta, Becketta, Różewicza, Szekspira.

Rozmawiała
ELŻBIETA WYPYCH

Zdjęcia
LEOPOLD DZIKOWSKI

TRYBUNA OPOLSKA
NR 63 15.03.'89

OPOLSKIE KONFRONTACJE TEATRALNE W ZMIENIONEJ FORMULE

Klasyka - nie tylko polska

1 kwietnia (to nie primaaprilisowy żart) w Teatrze im. J. Kochanowskiego rozpoczną się tradycyjne Opolskie Konfrontacje Teatralne. Tradycyjne, a jednak w nowej formie. Jak już informowaliśmy — organizatorzy tegorocznego festiwalu znacznie poszerzyli jego zakres repertuarowy: Nie klasyka polska, a klasyka teatralna w ogóle. Zmiana ta z pewnością wpłynie odświeżająco na Konfrontacje, które wielu widzów zdążyły już powtarzanym z roku na rok „żelaznym" zestawem przedstawień.

Tegoroczny festiwal otworzy głośne przedstawienie **„Dybuka" w reżyserii Andrzeja Wajdy**, które pokaże Stary Teatr z Krakowa. Wśród wykonawców: **Jerzy Radziwiłowicz, Anna Polony, Jan Peszek, Jerzy Trela.**

Przez kolejne wieczory, do 10 kwietnia, na scenach opolskiego teatru będzie można zobaczyć interesujące przedstawienia z całego kraju. Warszawski **Teatr Powszechny** przywiezie **„Psie serce" Michaiła Bułhakowa w reżyserii Rudolfa Zioły, z Mariuszem Benoit, Władysławem Kowalskim i Piotrem Machalicą** w obsadzie. **Teatr Nowy** z Poznania pokaże **„Tartuffe'a" Moliera w reżyserii Izabeli Cywińskiej.**

Perłą w repertuarze będzie z pewnością **„Kubuś Fatalista" Denisa Diderota**, którego w warszawskim **Teatrze Dramatycznym** wyreżyserował **Zbigniew Zapasiewicz**: spektakl nawiązuje do głośnej inscenizacji nieżyjącego już Witolda Zatorskiego.

Bogaty jest też zestaw przedstawień pozakonkursowych. **Przegląd swojego dorobku zaprezentuje Teatr im. S.I. Witkiewicza** z Zakopanego, który m.in. pokaże „Autoparodię" Witkacego i „Dr. Faustusa" Christophera Marlowe'a. Krakowska PWST wystąpi ze „Snem nocy letniej" Szekspira, przewidywany jest też spektakl poznańskiego Teatru Tańca. Goszczący od kilku lat na opolskim festiwalu Teatr Polski z Czeskiego Cieszyna w tym roku zaprezentuje sztukę Ludwika Moristina „Wszak Polacy nie gęsi".

Gospodarze Konfrontacji Teatralnych pokażą to, co aktualnie z klasyki mają w repertuarze. W konkursie: „Elektrę" Eurypidesa oraz „Męża i żonę" Fredry, w ramach przedstawień towarzyszących — „Firmę portretową" Witkacego.

Sprzedaż biletów na wszystkie przedstawienia tegorocznych OKT rozpocznie się 21 marca o godz. 10.

(jap)

Sztandar Ludu
NR 65 17.03.89

Zanotowane w kalendarzu

Sprawy wciąż bolesne

PODEJMUJĄC próbę ukazania na szpaltach gazety — w największym skrócie — dramatycznych dziejów Hieronima Dekutowskiego — „Zapory"; w czasie okupacji dzielnego żołnierza konspiracji a następnie jednego z najgroźniejszych przywódców walczącego z władzą ludową podziemia, obawiałem się głównie trudności natury historycznej.

Po pierwsze w kilkustronicowym szkicu nie sposób uniknąć skrótów i uproszczeń, po wtóre — mimo badań historyków, pionierskich publikacji takich znakomitych autorów jak I. Caban, Z. Mańkowski, J. Markiewicz wiele, bardzo wiele jest jeszcze spraw nie wyjaśnionych, relacjonowanych jednostronnie, pełnych sprzeczności.

Liczyłem więc na sprostowania, korektury, uzupełnienia. Wszystko razem w imię historycznej prawdy. Gdyż głównie w takim właśnie wymiarze widziałem te sprawy. Sądziłem, że po tylu latach to już tylko historia...

Przekonanie takie utwierdził pewien znamienny fakt. Podczas pobytu w Zakopanem udałem się na spektakl bardzo ostatnio modnego, prezentowanego parę dni temu w telewizyjnym programie „Teatru Witkacego". Wówczas oglądałem „Autoparodię" tegoż autora w tłumie bardzo młodej publiczności — chłopców i dziewcząt z zupełnie innej epoki. Przez znaczną część brawurowo prowadzonego spektaklu wszyscy bawiliśmy się znakomicie zaśmiewając do łez z witkacowskiej błazenady. Jest jednak w tej sztuce parodia egzekucji. Młodzi aktorzy zgodnie z intencją autora potraktowali ją równie parodystycznie jak inne sceny; młodzi widzowie śmiali się dalej. Stałem wśród nich ze ściągniętym gardłem i już nie umiałem się śmiać. Nagle poczułem się stary.

Teraz więc w sprawie „Zapory" miałem na względzie głównie „mędrca szkiełko i oko".

Rzeczywistość okazała się inna. Spośród nadspodziewanie dużej ilości listów, telefonów, bezpośrednich wizyt i wypowiedzi tylko pewna część zawierała oceny, uwagi, poprawki historyczne. Ogromna większość głosów — bez względu na to czy oceniała publikację krytycznie bądź pozytywnie — zawierała spory ładunek emocji. Okazało się że są to sprawy żywo obchodzące nadspodziewanie szeroki krąg ludzi, sprawy wciąż bolesne. Warto więc poświęcić temu zjawisku uwag parę.

Dziękuję gorąco tym moim korespondentom i rozmówcom, którzy dostrzegli i zaakceptowali intencję pokazania sprawy z dwóch różnych stron. Nie chodzi przy tym jedynie o małą satysfakcję autora ale o uświadomienie sobie, iż tak właśnie widzieć i oceniać musimy wszystkie sprawy. Właśnie tendencyjna jednostronność — nawet podyktowana szczerym przekonaniem i najzacniejszą intencją — prowadzi do najgorszych skutków.

„...Największe kłamstwa — przeczytałem w jednej z obrachunkowych publikacji radzieckich na temat stalinizmu — powstają wówczas, gdy podajemy jedynie półprawdy..."

Obrońcy pamięci „Zapory" nie zaprzeczają podanym w drugiej części publikacji (w drugim życiorysie) faktom. Mają jednak za złe użycie słowa „bandy", uważając że były to jednak działania typu politycznego. Sądzą też iż należy szerzej pokazać skalę i rozmiar represji stosowanych przez NKWD i aparat bezpieczeństwa.

Co do użytego słownictwa, pragnę wyjaśnić iż w drugiej części artykułu posłużyłem się wyciągiem akt procesowych łącznie z zawartą tam terminologią. Specjalnie unikałem własnych przeróbek i komentarzy.

Co do drugiej sprawy — nie przemilczałem rzeczy najważniejszych. Ale szczupłość miejsca nie pozwoliła na szersze rozwinięcie tematu. Ale przecież czytelnik polskiej prasy nie jest tutaj skazany na niewiedzę. Przez szpalty naszych periodyków przewala się ogromna masa opisów, pamiętników, relacji na ten temat. I jest to nawet zrozumiałe po latach milczenia. Nawet jeśli przekraczą pewną miarę!

Licznie odezwali się ludzie, którzy mieli do czynienia z drugim etapem działalności „Zapory" i jego ludzi. W niektórych wypowiedziach wyczuwam nawet ukryty wyrzut, iż ta część relacji jest krótka i nazbyt beznamiętna. Zarzut że robię „z bandyty bohatera" pojawia się tylko raz.

Nic bardziej błędnego! Bo właśnie przejście ze wspaniałej działalności bohaterskiego partyzanta na pozycję zaciekłego wroga nowej rzeczywistości rozprawiającego się z rzecznikami nowego porządku, z rodzinami, nawet dziećmi obrazuje rozmiary wielkiej, polskiej tragedii, w której „Zapora" jest tylko jedną z wielu postaci. Nie można przemilczać żadnej ze stron tej ponurej sprawy. Zgoda — trzeba ją pokazywać możliwie najpełniej, najbardziej sprawiedliwie. Nie tylko jako fakt historyczny... Również jako przestrogę!

L. GNOT

Kurier Szczeciński

NR 55 17.03.89

Szczeciński Tydzień Teatralny

Szczeciński Tydzień Teatralny kroi się ciekawie

ZA MIESIĄC rozpocznie się w naszym mieście jak co roku Szczeciński Tydzień Teatralny cieszący się coraz większym zainteresowaniem publiczności. Nie będzie on jednak w tym roku opatrzony oficjalnym tytułem „Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Małych Form". Tę formułę przeglądu — konkursu — zastrzeżono dla imprez teatralnych, które odbywać się będą co drugi rok (biennale) w Szczecinie. Tak zadecydowali kierownicy resortu kultury, mając na celu podniesienie rangi przeglądu (raz na dwa lata łatwiej skompletować zestaw interesujących i ambitnych przedstawień spełniających wymogi imprezy).

Nasza publiczność rozsmakowała się jednak w „Tygodniu.". Dlatego też będzie on organizowany co roku, przybierając między konkursowymi przeglądami postać spotkań teatralnych, w których jedynym jurorem jest widownia.

Taki właśnie Tydzień Teatralny rozegra się w dniach 16—25 kwietnia br. na scenach „Pleciugi", Klubu 13 Muz, Teatru Współczesnego i... w mieszkaniu prywatnym.

Z „pierwszego" i „drugiego" obiegu

PREZES oddziału TKT w Szczecinie Kazimierz Krzanowski ma już — jak się dowiadujemy — zapięty niemal na ostatni guzik program imprezy.

I tak w Szczecińskim Tygodniu Teatralnym 89 zobaczymy: spektakle: „Wysocki — ze śmiercią na ty" scen. i reż. St. Nosowicz — Teatr Bagatela — Kraków, „Obiad" — spektakl autorski Pracowni Teatr, „Stara kobieta wysiaduje" Różewicza w wykonaniu Ireny Jun, „Samobójca" Erdmana w reż. J. Jarockiego — Teatr Współczesny — Wrocław, „Putyfara" według H. Manna i „Greta" Różewicza w wykonaniu Anny Lutosławskiej, „Moskwa-Pitituszki" Jefriejewa — Teatr 77 z Łodzi, „Za Europę" Zb. Micha — Teatr Kici Koci — Warszawa, „Witkacy — autoparodia" w reż. A. Dziuka oraz „Faustus" według Marlowe'a — Teatr Witkiewicza z Zakopanego i „Romanza" Chmielnika — Teatr Słowackiego z Krakowa.

Choć oficjalnie obniża się w tym roku ranga „Tygodnia" to już sam bogaty, atrakcyjny repertuar zapowiada raczej ożywienie imprezy. Warto przypomnieć, że przedstawienie „Moskwa-Pitituszki" Jefriejewa jeszcze do niedawna funkcjonowało wyłącznie w „drugim obiegu"...

Nie będzie tym razem szacownego jury, a jedyną nagrodę przyzna publiczność, głosując na najlepszy spektakl „Tygodnia" (ław)

Trybuna Opolska

NR 68 21.03.89

W opolskim teatrze wielka klasyka

280

Tegoroczne Opolskie Konfrontacje Teatralne będą mieć — jak już informowaliśmy — zmienioną formułę, co chyba spotka się z zadowoleniem wszystkich miłośników sztuki scenicznej. Obok bowiem znanych polskich utworów klasycznych, prezentowane będą dzieła europejskiej klasyki. Można się zatem spodziewać, iż **od 1 do 10 kwietnia** — w tym terminie odbędzie się w tym roku ta impreza — pokazane zostaną interesujące spektakle.

Oto jak przedstawia się tegoroczny repertuar.

Konfrontacje zainauguruje przedstawienie sztuki **Salomo na An-skiego: „Dybuk"** w wykonaniu Starego Teatru z Krakowa (1 IV, sobota, godz. 19, Duża Scena Teatru im. Jana Kochanowskiego). W tym samym dniu na Małej Scenie, i w ramach imprez towarzyszących, zostanie dwukrotnie pokazany, o godz. 16.30 i 22, **„Sen nocy letniej" Williama Szekspira** (PWST Kraków).

Drugiego kwietnia, o godz. 16 i 19.15: **„Dybuk"** (Duża Scena).

Trzeciego kwietnia na Małej Scenie o godz 19 **„Elektra" Eurypidesa** w wykonaniu opolskiego teatru, a w Sali Prób: **„Firma portretowa" St. I. Witkiewicza** (godz. 17).

(Dokończenie na str. 2)

Dzień później Teatr Nowy z Poznania pokaże dwukrotnie (godz. 16.30 i 19.30) na Dużej Scenie spektakl **„Tartuffe" Jeana Moliera**, natomiast Teatr Polski z Cieszyna w ramach imprez towarzyszących zaprezentuje o godz. 16 i 20 w sali przy Kośnego: **„Wszak Polacy nie gęsi" Ludwika Morstina.** To samo przedstawienie zobaczy publiczność w Nysie, 5 IV o godz. 11.

Piątego kwietnia: **„Faust Goes Rock"** czyli widowisko w wykonaniu Polskiego Teatru Tańca z Poznania; Duża Scena, godz. 19 impreza towarzysząca. Przedstawienie pokazane zostanie także 6 IV na Dużej Scenie, godz. 17.

Szóstego kwietnia: **„Mąż i żona" Aleksandra Fredry.** Wykonawcy: Teatr im. J. Kochanowskiego w Opolu, Mała Scena, godz. 17 i 19.30.

Dzień później 3 spektakle: **Michaiła Bułhakowa: „Psie serce"** (Teatr Powszechny z Warszawy, Duża Scena, godz. 19). **Witkacy: „Autoparodia"** (Teatr im. St. I. Witkiewicza z Zakopanego, Aula WSI, godz. 17) oraz **Christophera Marlowa: „Dr Faustus"** (ten sam teatr, Mała Scena, godz. 22.15). „Zakopiańskie" spektakle to imprezy towarzyszące.

Ósmego kwietnia: o godz. 19 na Dużej Scenie **„Psie serce"**, o godz. 16 i 21.30 na Małej Scenie **„Mąż i żona"** — spektakl Teatru Polskiego z Bielska oraz o godz. 21.30 w Auli WSI — **„Cabaret Voltaire"** w wykonaniu Teatru z Zakopanego.

W przedostatnim dniu: o godz. 18 — **„Kubuś Fatalista" Denisa Diderota** — Teatr Dramatyczny z Warszawy. O godzinie 22.30, już po oficjalnym zakończeniu Konfrontacji na Małej Scenie spektakl **„Dr Faustus"**. I wreszcie 10 kwietnia: **„Kubuś Fatalista"** (Duża Scena, godz. 19.30).

Sprzedaż biletów: od dzisiaj, od godziny 10, w kasie biletowej Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu.

(kin.)

Trybuna Opolska
№ 70
23-03-89

Cenione sceny, głośne nazwiska



Do Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka" już tylko osiem dni. Rośnie zainteresowanie imprezą. Niemal od ręki poszły bilety (nietanie, po 1500 zł) na prawie wszystkie spektakle; w kasie pozostały resztki, o które — licząc na szczęście — można dopytywać.

Impreza — zorganizowana w tym roku według nowej formuły artystycznej — zapowiada się ciekawie. Uczestniczyć w niej będą cenione polskie sceny, między innymi **Stary Teatr z Krakowa, Teatr Nowy z Poznania, warszawskie teatry: Powszechny i Dramatyczny** oraz robiący od paru lat istną furorę — **Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza z Zakopanego.** Zaprezentują one inscenizacje utworów należących do podstawowego kanonu klasyki światowej. Wystarczy przykładowo wymienić **„Sen nocy letniej" Szekspira, „Kubusia Fatalistę" Diderota, „Tartuffe'a" Moliera,** czy **„Dr. Faustusa" Marlowa.**

Opolscy miłośnicy teatru zobaczą przedstawienia przygotowane przez takich m.in. mistrzów reżyserskiej roboty, jak **Andrzej Wajda, Izabella Cywińska, Zbigniew Zapasiewicz,** czy też takich aktorów, jak **Jerzy Radziwiłowicz.** Niemal jak co roku przyjedzie na Konfrontacje Teatr Polski z Czeskiego Cieszyna.

Od 1 do 10 kwietnia na Dużej i Małej Scenie opolskiego Teatru im. Jana Kochanowskiego zostanie pokazanych 7 przedstawień konkursowych oraz tyle samo tzw. towarzyszących. Oczywiście liczba spektakli będzie większa, ponieważ niektóre przedstawienia zostaną pokazane dwukrotnie.

W dniach 3—6 IV w sali audiowizualnej opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej trwać będzie pokaz zarejestrowanych na wideo znakomitych spektakli z cyklu „Teatr telewizji na świecie". Zobaczyć będzie można m.in. „Króla Leara" Szekspira, „Parady" Potockiego, „Samobójców" Erdmana, „Sługę dwóch panów" Goldoniego. Natomiast w foyer Dużej i Małej Sceny, a także w palarni opolskiego teatru czynna będzie wystawa — „Klasyka w plakacie" (ze zbiorów Krzysztofa Dydo).

Uroczyste otwarcie tegorocznych Konfrontacji Teatralnych nastąpi w sobotę, 1 kwietnia o godzinie 18.45, po czym na Dużej Scenie zostanie zaprezentowany „Dybuk" Salomona An-skiego w reżyserii Andrzeja Wajdy i w wykonaniu aktorów Starego Teatru z Krakowa.

(kin.)

Ewa Pytka, Witkacym Go!, „WPROST" nr 13, 26.03.1989, s. 22-23

kojony, gdy słyszę, że wszyscy ci, którym udało się zabłysnąć na kulturalnym firmamencie świata, mogą być wdzięczni tylko sobie.

– *Jeżeli pomoc dla najlepszych jest tak poważnym wysiłkiem, dlaczego z jej dobrodziejstw korzystają również ci, którzy później nigdzie nie zabłysną, a także po powrocie do kraju niczego ciekawego nie stworzą?*

– To już jest ryzyko, którego nie da się uniknąć. Jedni osiągają sukces, dorabiają się majątku i sławy światowej, inni nie. My dajemy im tyle, na ile nas stać, a staramy się przy tym, żeby inwestycje czynić najroztropniej jak to tylko możliwe.

– *To zrozumiałe, ale jeśli idzie o prowadzenie polityki kulturalnej w kraju, można chyba oczekiwać jakiejś spójnej koncepcji. Tymczasem odbiorcy dóbr kultury, ale także ich twórcy mówią, że czują się niepewnie, że ciągle brak jasno sprecyzowanych reguł gry. Odnosi się wrażenie tymczasowości. A to któryś film zdejmie się z półek, a to gości się Kosińskiego – i nagle wszyscy odkrywamy, że taki pisarz w ogóle istnieje.*

– Kiedy mówię, że nasza kultura ma się nieźle, mam na uwadze przede wszystkim to, że wspiera się ona teraz na dwóch solidnych filarach. Jednym z nich są finanse. Istnieje Fundusz Rozwoju Kultury, dzięki któremu można cokolwiek planować. Dlatego twórcy powinni czuć się bezpieczni, bowiem mamy stałe źródło dotacji finansowej. Drugi filar to polityka otwarcia, którą stosujemy wobec wszelkich wartościowych ofert artystycznych i kulturalnych.

– *Nie odnosi pan wrażenia, że w Związku Radzieckim ta polityka prowadzona jest bardziej konsekwentnie, nie tak jak u nas – od przypadku do przypadku? Na przykład – był Kosiński, czy można spekulować kto będzie następny?*

– Z Kosińskim, podczas jego wizyty w kraju, odbyłem bardzo długą rozmowę. Pisarz ten teraz zupełnie inaczej ocenia Polskę. Cieszy się, że jego książki są u nas tłumaczone. Wyraziłem nadzieję, że na podstawie jego powieści zostanie nakręcony u nas film. W końcu będziemy mogli zrewidować swoje opinie na temat twórczości Kosińskiego po prostu zapoznając się z jego dorobkiem. To, co nazywam otwarciem, dotyczy wszystkich twórców. Nie wiem, kto będzie następny, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby w Polsce wydawać utwory pisarzy emigracyjnych. Jeżeli gdzieś na świecie żyje pisarz, który chciałby zaprezentować swój dorobek rodakom w starej ojczyźnie, a nie dokonał tego dotąd z najrozmaitszych powodów, teraz ma drogę otwartą. To sprawa wyłącznie między nim a wydawcą. Nie mam pojęcia, skąd się bierze takie przeświadczenie, że władza co jakiś czas łaskawie „częstuje" społeczeństwo jakimś nowym nazwiskiem.

– *Mówi pan o polityce otwarcia. Niewątpliwym jej przejawem była zgoda władz na funkcjonowanie polskiego oddziału Pen-Clubu. Czy nie można było tej kwestii rozwiązać wcześniej?*

– Ciągle słyszałem, że sprawa Pen-Clubu to jest papierek łakmusowy prawdziwych intencji władzy. Można by na to odpowiedzieć, że postawa obywatelska członków dawnego zarządu Pen-Clubu była papierkiem lakmusowym ich prawdziwych intencji. Ale sprowadźmy rzecz całą do właściwych proporcji. Bądźmy szczerzy – zawsze była to dość elitarna grupa, która nie miała decydującego wpływu na to, co działo się w naszej literaturze. W tej chwili działalność praktyczna polskiego Pen-Clubu będzie weryfikowała deklaracje jego przywódców.

– *Czy nie przywiązuje pan zbyt wielkiej wagi do spraw organizacyjno-formalnych? Ostatecznie chyba minister kultury nie musi się interesować, do jakich związków należą poszczególni twórcy.*

– Oczywiście. I mnie nie obchodzi, kto należy do Pen-Clubu ani ZLP, mimo że do tego związku należę. Jestem odpowiedzialny za całą polską kulturę i powinienem dbać o to, żeby nie powstały konflikty, żeby nie mnożyły się podziały tam, gdzie zagraża to normalnemu funkcjonowaniu kultury. O wartości twórcy powinien stanowić jego dorobek, a nie przynależność do tej czy innej organizacji i rodzaj wyróżnień czy stypendiów, nie mających wiele wspólnego z poziomem artystycznym utworów nagradzanych autorów.

– *Działalność pana ministerstwa robi wrażenie, jakby nie mogło uwolnić się ono od przyzwyczajeń rodem z lat 50-tych. Ciągle z Warszawy steruje się bardzo szczególnie kwestiami finansowymi i organizacyjnymi. Dlaczego np. ustala pan nadal stawki dla aktorów, dlaczego szef firmy estradowej czy opery nie może sam ustalać gaży?*

– Wprowadzanie regulacji prawnych i ekonomicznych należy do obowiązków ministra kultury i sztuki. Idą zdecydowane zmiany, ale one wymagały całego szeregu posunięć legislacyjnych, które są bardzo czasochłonne. Zmiany te już dały szerokie uprawnienia dyrektorom, ale pewne rygory finansowe nadal są na razie konieczne. Liberalizuje się przepisy, ale w granicach, które określa każdy mecenas: u nas głównym mecenasem jest akurat państwo.

Rozmawiali
BŁAŻEJ BARANIAK-LESZCZYŃSKI,
MAŁGORZATA DRYJSKA
i MAREK KRÓL

Wywiad został przeprowadzony w 1988 roku we wrześniu.

EWA PYTKA

WITKACYM GO!

Od czterech lat w Zakopanem, poza szaroburym śniegiem, „Kasprowym", budką z frytkami i Hortexem można skorzystać z oferty profesjonalnego teatru.

Absolwenci krakowskiej PWST, garstka aktorów i dwóch reżyserów, przyjechali do Zakopanego w 1984 roku. Najpierw, nie bez trudu, zdobyli salę (ul. Chramcówki 15), później własnymi siłami wyremontowali ją. Pierwsza premiera odbyła się 24 lutego 1985 r. w stulecie urodzin St.I.Witkiewicza, patrona teatru. Tytuł inauguracyjnego spektaklu miał prowokować: „Witkacy-Autoparodia. Niesmaczny góralsko-ceperski skecz zakopiańczykom prawdziwym(?) poświęcone".

– Najpierw nas w Zakopanem w ogóle nie zauważono – wspomina Piotr Dąbrowski, aktor. – Byliśmy tu obcy. I jeszcze to nazwisko – Witkacy, które kojarzyło się wszystkim z jakimś dziwolągiem.

Piotr Dąbrowski bardzo chętnie tłumaczy to, co jego zdaniem w budowie teatru jest ważne.

– Właściwy stosunek do widza to rzecz pierwsza. Bo traktowanie go jako tłumu, jako czegoś nieokreślonego, to największy błąd teatru. Widz musi być w teatrze partnerem, przecież on czasami bywa mądrzejszy od nas, od tego, co mu proponujemy ze sceny. Stąd też między innymi wziął się ten nasz zwyczaj, który potem bardzo często był wyśmiewany, to nasze częstowanie widzów herbatą.

– Nasz teatr to nie jest instytucja – kontynuuje Piotr – gdzie się podpisuje listę obecności, gdzie człowieka traktuje się jak piąte koło u wozu. My tu mamy dom. Ludzie często się z tego śmieją. Na to wpłynęła historia całych naszych czterech lat spędzonych tutaj. Kiedy nie mieliśmy gdzie mieszkać, spaliśmy w teatrze. Byliśmy zdani na siebie. Wszystko, co tu widać, zrobiliśmy sami i dlatego teraz podchodzimy do tego, jak do czegoś własnego.

Faktycznie, trójczęściowy hall nie jest wypełniony tylko składanymi krzesłami dla oczekujących na spektakl widzów, tworzy go ciąg obszernych pokoi wypełnionych stylowymi meblami, obrazami przyjaciół. W pokoju tuż przy kuchni, przy owalnym stole, można się napić herbaty. Przy tym stole spotykają się widzowie nieraz z odległych stron Polski oraz członkowie teatru. Reżyser i aktorzy zazwyczaj witają gości i wskazują im miejsca na widowni. Od jakiegoś czasu widzów jest zawsze więcej niż biletów, choć ceny nie są niskie. Na ostatnio wystawiany, najnowszy spektakl pt. „Sonata b", na podstawie sztuki Witkacego pt. „Sonata Belzebuba", ceny biletów wynosiły 1000 zł (normalny) i 750 zł (ulgowy). Prawie przed każdym spektaklem spora grupa gości bez biletów czeka na cud, że może jakoś uda im się zdobyć bilet albo wejść „na piękne oczy". Cuda czasami się zdarzają. Po prostu trudno nie wpuścić kogoś, kto przyjechał z daleka i nie pogardzi miejscem, choćby na podłodze.

I jak to się dzieje, że mimo wysokich cen biletów, mimo czasem niewygody, ludzie ściągają do Teatru Witkacego na jeden spektakl po parę razy? Nie wystawia się tutaj przecież sztuk komercyjnych, łzawych melodramatów czy rozbieranek lub komedyjek pod publiczkę. Przeważa klasyka: Sofokles, Calderon, Marlowe, Dostojewski, Marquez, Witkacy, Gombrowicz.

Kierownik artystyczny, reżyser, menadżer, Andrzej Dziuk zdradził mi przy okazji parę finansowych ciekawostek teatru. Okazuje się, iż wpływy teatru za bilety prawie równoważą dotację. Dla porównania, gdy powiedzmy teatr w większym mieście wojewódzkim otrzymuje 100 mln zł dotacji, powinien wypracować z wpływów za bilety 10 mln zł, a czasem, jak wiadomo, nawet to jest niemożliwe. Natomiast Teatr Witkacego, jako placówka prowincjonalna, otrzymuje tylko 20 mln zł dotacji, a jego wpływy za bilety wynoszą 16 mln zł. To o czymś świadczy. Należy jednak dodać, że na ten fenomen finansowy złożyła się specyficzna organizacja teatru. Zespół liczy zaledwie 19 osób, w tym dziewięcioro aktorów i dwoje reżyserów. Trzeba jednak zaznaczyć, że każdy oprócz tego, że jest np. aktorem, jak Piotr Dąbrowski, wykonuje inne funkcje (np. Piotr zajmuje się butaforką, ogrodem przyteatralnym i przystosowaniem sceny).

– Ciągle narzeka się na niedofinansowanie kultury, na zaniedbywanie inteligencji – zauważa Andrzej Dziuk – ale jest to sprawa bardziej złożona. Niektórych socjalizm zniechęcił, innych rozleniwił. Zdewaluowało się pojęcie pracy i jej ranga. Aby osiągnąć sukces, szczególnie w sztuce, trzeba sporo pracować i zawsze ryzykować.

Ciekawą uwagą na temat teatru politycznego podzieliła się ze mną Iwona Romanówna.

– Nie ma nic gorszego od wulgarnego teatru politycznego, kokietującego widza aluzjami do bieżącej sytuacji, w której widz żyje. Teatr Witkacego o tyle jest polityczny, o ile jest metafizyczny. Poprzez swój repertuar manifestuje swe preferencje dla światopoglądu idealistycznego.



„Cabaret Voltaire" – Lech Wołczyk i Andrzej Jesionek

Fot. W. Plewiński

O Teatrze Witkacego pisało się dużo, szczególnie po ubiegłorocznych XVIII Warszawskich Spotkaniach Teatralnych. Wtedy właśnie zrodziła się moda na Teatr Witkacego.

– To nam trochę zmieniło publiczność – mówi Piotr Dąbrowski. – Zaczęli tu przychodzić ludzie nie po to, aby nas wysłuchać, ale ze snobizmu, bo wypada powiedzieć, że było się w teatrze, o którym teraz tak głośno w kraju: Oczywiście, nic nie mam przeciwko tej publiczności, część się potem do nas naprawdę przekonała.

Zespół Teatru Witkacego występował również z powodzeniem za granicą, w ZSRR.

– Graliśmy w Czelabińsku za Uralem – wspomina Piotr Dąbrowski. – Pokazaliśmy „Dra Faustusa" Marlowe'a po polsku i „Witkacego – Autoparodię" częściowo po rosyjsku. Była to prapremiera Witkacego w ZSRR. Rosjanie nie znali wcześniej tego autora, nie słyszeli o nim. Byliśmy pełni obaw, czy ten spektakl trafi. Trafił. Podobnie było w Moskwie w Mchacie, zostaliśmy tam wspaniale przyjęci. Teraz u nich odbywa się rewolucja teatralna. To, co u nas działo się w latach 60-tych, teatry studyjne, studenckie, teraz jest modne w Związku Radzieckim głośne słuchanie muzyki, tańce dyskotekowe. Oni tym żyją.

– Występowaliśmy również w Kaliszu, Wrocławiu, Rzeszowie – mówi Iwona Romanówna. – Jednak występy poza Zakopanem można porównać do spania w hotelu, podczas gdy Zakopane to nasz dom.

Specyficzna atmosfera tego teatru udziela się widzom. Ma się wrażenie, że zespół bawi się naprawdę tym, co robi, nie ma tu fałszu. To duża zasługa głównie Andrzeja Dziuka, interesującego reżysera, zaskakującego widzów coraz to nowymi rozwiązaniami scenicznymi i umiejętnym prowadzeniem zespołu.

– Ja mam tu ogromne możliwości wygrania się – mówi Piotr Dąbrowski. – To zasługa Andrzeja, że obsadza nas najczęściej nie „po warunkach" – jak to się mówi w teatrze – tylko przeciwnie. Chodzi o to, by człowiek znalazł w sobie nowe możliwości. By próbował walczyć najpierw przede wszystkim z samym sobą, ze swoim ciałem, żeby nie poszedł po najłatwiejszej linii oporu. A dopiero potem „robił" rolę.

Teatrowi Witkacego się udało, może to duch patrona, starego dziwaka, ale też wspaniałego artysty (o czym nie wszyscy zdają się pamiętać) czuwał nad nimi. Pewne jest jedno, iż powoli zespół teatralny stworzył w Zakopanem swoje środowisko, odmienił nieco turystyczny, dancingowo-dyskotekowy folklor kurortu górskiego odrobiną dobrego smaku i autentyczności.

EWA PYTKA

Express Poznański
№ 6024
27-03-89

Niezwykły teatr powstał 4 lata temu w Zakopanem. Niezwykły dlatego, że powstał nie z powodu decyzji administracyjnej, a z wewnętrznej potrzeby kilku osób — absolwentów krakowskiej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Szerzej o tym niezwykłym Teatrze im. Stanisława Ignacego Witkiewicza napiszemy w najbliższych dniach. Dzisiaj tylko jedno zdjęcie ze spektaklu zatytułowanego „Kabaret Voltaire".

Fot. A. Szozda



Kurier Podlaski

Nr 60 z dnia 27.03.89

To piekło myszką trąci

Klamrą spinającą 4-letnią działalność teatru im. Witkacego w Zakopanem są Witkacowskie spektakle: „Autoparodia" sprzed 4 lat i najnowsze dzieło sceniczne „Sonata B".

„Sonata B" oszołomiła publiczność niesamowitością Stanisława Ignacego Witkiewicza i inscenizatora Andrzeja Dziuka nazywanego niekiedy „czarodziejem" zakopiańskiej sceny. Dziuk zbudował swój spektakl na „Sonacie Belzebuba" sztuce z 1925 r., której tytuł Witkacy objaśnił: „czyli prawdziwe zdarzenie w Mordowarze". Reżyser opatrzył afisz teatralny mottem z Witkacego: „...muszę wybierać więc między życiem a sztuką? To piekło myszką trąci. Boże, ratuj...

„Cricot-2" rewelacją madryckiego festiwalu

Międzynarodowy Dzień Teatru

WARSZAWA (PAP). 27 bm. obchodziliśmy po raz XXVIII Międzynarodowy Dzień Teatru. W br. przebiega on pod hasłem „O tożsamość polskiego teatru". Jak co roku, Polski Ośrodek Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI) skierował tego dnia posłanie odczytane przed spektaklami na polskich scenach. Powiedziano w nim m. in.: Międzynarodowy Dzień Teatru jest tradycyjnie dniem rachunku sumienia ludzi sceny. Wydaje się, że szczególnie dziś, gdy w naszym kraju zachodzą widoczne zmiany, gdy społeczeństwo dopomina się o swoją podmiotowość, teatr polski nie może — jak zawsze zresztą w swojej historii — pozostać obojętny na zjawiska tworzące nasz dzień powszedni.

MADRYT (PAP). Krakowski Teatr „Cricot—2" Tadeusza Kantora z jego własną sztuką „Nigdy tu nie wrócę" był jedną z trzech głównych rewelacji 9 Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego w Madrycie — stwierdził krytyk hiszpańskiej gazety „Diario 16". Ta kolejna pochwalna recenzja (oprócz wielu innych, publikowanych w początku marca, zaraz po występach teatru Kantora w Madrycie, a wcześniej w Barcelonie), podkreśla „znakomity poziom" krakowskiego zespołu. Recenzent „Diario 16" zauważa, że „dla Kan-

(Dokończenie na str. 2)

EKRAN

№ 13 z dnia 30.03.89

Patron zakopiańskiego teatru



Szaleńcy z Zakopanego

24 lutego Teatr im. St.I. Witkiewicza obchodził swoje czwarte urodziny. Najmłodszy w Polsce, ma też najmłodszy w Polsce zespół. Aktorzy z Zakopanego, absolwenci krakowskiej szkoły teatralnej sprzed kilku lat, nie mogą narzekać na brak publicity. Dmie w ich żagle krytyka, podziwiają intelektualiści, uwielbia widownia. A że towarzyszą temu entuzjazmowi polemiki i kłótnie? Tym lepiej dla zespołu – twierdzą młodzi, nawet wtedy, gdy w tygodniku „Teatr" piszą, że wciąż do rozstrzygnięcia pozostaje dylemat: „czy teatr z Zakopanego jest prawdziwie nowatorski, czy też wyważa już drzwi otwarte w teatrze otwartym". Tuż obok profesor Bogdan Suchodolski nie ukrywa jednak swej aprobaty: »Jako zespół chciałbym wyróżnić teatr zakopiański. Nie tylko dlatego, że zaproponowano nam miejsca przy stolikach i częstowano kefirem, lecz i dlatego, że aktorzy po prostu żyli tym, co robili, zarówno podczas przedstawienia, jak i dając po nim jakby drugie, zupełnie już spontaniczne. Oficjalnie śpiewali „Idźcie spać, idźcie spać" – a w rzeczywistości nawiązywali nowy dialog z publicznością. Wspaniałe to zjawisko, kiedy aktorzy cieszą się tym, co robią, a my w tym uczestniczymy.«

Szalony teatr z Zakopanego to idealne tworzywo dla filmu dokumentalnego. Happening rozgrywa się przecież zarówno na scenie jak i poza nią. Gościnna młodzież nie tylko wita chlebem i solą, winem i kefirem, nie tylko na poduchach sadza nadprogramową publiczność, nie tylko – dla podkreślenia rozbratu z konwenansami – rozbiera się z wierzchniej odzieży, ale proponuje też program artystyczny pełną gębą. Zofia Halota i Justyna Ziółkowska, autorki filmu „Daj nam daj, Witkacy sił...", na tyle umiejętnie sterowały kamerą, że nie utraciły nic ze zgrywy i skandalu, towarzyszących parateatralnym demonstracjom, które – pamiętajmy! – stanowią jednak tylko otoczkę poważnego zaangażowania w robotę teatralną. Albowiem młodzi z Zakopanego – mówili o tym z przekonaniem do kamery – chcą tworzyć teatr prawdziwie artystyczny, nowatorski, w panicznym strachu, aby nigdy nie opanował ich marazm i bogini Mamona.

Oglądając fragmenty spektakli, hece w antyszambrach, happeningi w foyer i na widowni, czy brawurowo rozegrany na stokach Gubałówki niesmaczno-ceperski skecz, zastanawiałem się, jak to zjawisko, zwane zakopiańskim Teatrem Witkiewicza, mogło w ogóle zaistnieć w dzisiejszej smutnej i zabiedzonej Polsce? Skoro jednak jego animatorzy mówią z ogniem właśnie tak jak mówią, widać jest to możliwe. Wynotowałem z filmu: „Jestem szczęśliwa, że tu jestem, ten teatr jest moim życiem"; „to wspaniałe przeżycie, występując móc panować nad publicznością"; „grać, mieć satysfakcję z pracy można nie tylko w mieście z tramwajami."

Chwaląc i podziwiając tak obiecująco rozwijających się zakopiańskich żółtodziobów, oddajmy sprawiedliwość realizatorkom dokumentalnego filmu. Nie tylko wiernie zarejestrowały życie bieżące i życie artystyczne ensemble'u, ale i nie zatraciły tego, co tak często wyparowuje z taśmy celuloidowej, a więc klimatu tego fascynującego wariactwa.

WITILD RUTKIEWICZ

280

10 grudnia 1988 roku z inicjatywy kierownictwa Teatru Współczesnego we Wrocławiu, 48—1988), odbyła się panelowa dyskusja na temat Wzięli w niej udział: IZABELLA CYWIŃSKA (dyrektor AJA KOMOROWSKA (aktorka Teatru Współczesnego WICZ (krytyk teatralny), TADEUSZ NYCZEK (krytyk (dyrektor Departamentu Teatru w MKiSz). Gospodarzy dyrektor) i MACIEJ DOMAŃSKI (kierownik literacki). estniczył EDWARD CHUDZIŃSKI (zarazem kierownik otował ją do druku.

(Red.)

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
ZLECENIE
Rynek Główny 25
31-008 Kraków
Nr ..... z dn. .....
— 3 - -03- 89

M LEPIEJ, YM GORZEJ

czyli o sytuacji w teatrze polskim

JAN PROCHYRA: Teatr Współczesny we Wrocławiu świętuje dziś swoje 40-lecie. Chcielibyśmy przy tej jubileuszowej okazji odbyć rozmowę na temat teatru polskiego, jego obecnej kondycji i jego przyszłości. Roboczy tytuł naszej dyskusji jest dość przewrotny. Brzmi on następująco: Im lepiej, tym gorzej. Dyskusję poprowadzi Maciej Domański, któremu oddaję głos.

MACIEJ DOMAŃSKI: Proszę Państwa, większość z nas ma bolesne poczucie, że dyskusja niczego nie zmieni na lepsze. Prawdopodobnie parę innych osób zaproszonych nie bierze w niej udziału z tego właśnie powodu. To jest smutne. Ale każdy smutek może być mniej dojmujący, jeżeli otrzyma swoje imię. Dlatego wierzymy, że jeśli nasze kłopoty dokładnie ponazywamy, to będzie to pierwszy krok do ich przezwyciężenia.

Jeśli tytuł naszej rozmowy oddaje choćby w części niekorzystną sytuację, w jakiej znalazł się teatr w Polsce, to musimy pamiętać, że składają się na to uwarunkowania zewnętrzne, na które teatr nie ma wpływu i wewnętrzne, związane z jego strukturą i organizacją. Generalnie jednak, posługując się tytułową konstrukcją naszej dyskusji, można by obecny stan teatru w Polsce ująć w następujący sposób:

— im więcej scen w Polsce, tym mniejsze znaczenie teatru w życiu publicznym;
— im więcej potrzeb, tym mniej pieniędzy — czyli — mówiąc złym wierszem — im większa inflacja, tym mniejsza dotacja;
— im więcej gazet, periodyków i działów teatralnych, tym mniej — w poczuciu ludzi teatru — koncepcji i odpowiedzialności krytyków;
— im więcej nagród i innych form dopieszczania młodych twórców, tym mniej konkretnych motywacji życiowych do pracy w teatrze;

U 54

10 grudnia 1988 roku z inicjatywy kierownictwa Teatru Współczesnego we Wrocławiu, obchodzącego swój jubileusz (1948—1988), odbyła się panelowa dyskusja na temat obecnej sytuacji teatru polskiego. Wzięli w niej udział: IZABELLA CYWIŃSKA (dyrektor Teatru NOWEGO w Poznaniu), MAJA KOMOROWSKA (aktorka Teatru Współczesnego w Warszawie), ANDRZEJ FALKIEWICZ (krytyk teatralny), TADEUSZ NYCZEK (krytyk teatralny), EDWARD KRASOWSKI (dyrektor Departamentu Teatru w MKiSz). Gospodarzy reprezentowali: JAN PROCHYRA (dyrektor) i MACIEJ DOMAŃSKI (kierownik literacki). Z ramienia redakcji w dyskusji uczestniczył EDWARD CHUDZIŃSKI (zarazem kierownik literacki Teatru STU), który przygotował ją do druku.

(Red.)

IM LEPIEJ, TYM GORZEJ

czyli o sytuacji w teatrze polskim

JAN PROCHYRA: Teatr Współczesny we Wrocławiu świętuje dziś swoje 40-lecie. Chcielibyśmy przy tej jubileuszowej okazji odbyć rozmowę na temat teatru polskiego, jego obecnej kondycji i jego przyszłości. Roboczy tytuł naszej dyskusji jest dość przewrotny. Brzmi on następująco: Im lepiej, tym gorzej. Dyskusję poprowadzi Maciej Domański, któremu oddaję głos.

MACIEJ DOMAŃSKI: Proszę Państwa, większość z nas ma bolesne poczucie, że dyskusja niczego nie zmieni na lepsze. Prawdopodobnie parę innych osób zaproszonych nie bierze w niej udziału z tego właśnie powodu. To jest smutne. Ale każdy smutek może być mniej dojmujący, jeżeli otrzyma swoje imię. Dlatego wierzymy, że jeśli nasze kłopoty dokładnie ponazywamy, to będzie to pierwszy krok do ich przezwyciężenia.

Jeśli tytuł naszej rozmowy oddaje choćby w części niekorzystną sytuację, w jakiej znalazł się teatr w Polsce, to musimy pamiętać, że składają się na to uwarunkowania zewnętrzne, na które teatr nie ma wpływu i wewnętrzne, związane z jego strukturą i organizacją. Generalnie jednak, posługując się tytułową konstrukcją naszej dyskusji, można by obecny stan teatru w Polsce ująć w następujący sposób:

— im więcej scen w Polsce, tym mniejsze znaczenie teatru w życiu publicznym;
— im więcej potrzeb, tym mniej pieniędzy — czyli — mówiąc złym wierszem — im większa inflacja, tym mniejsza dotacja;
— im więcej gazet, periodyków i działów teatralnych, tym mniej — w poczuciu ludzi teatru — koncepcji i odpowiedzialności krytyków;
— im więcej nagród i innych form dopieszczania młodych twórców, tym mniej konkretnych motywacji życiowych do pracy w teatrze;

U 54

— im więcej prób naprawy wewnątrz teatru, tym mniej jasnych rozporządzeń prawno-finansowych i administracyjnych;
— im lepiej w wypowiedziach ministra Krawczuka, tym gorzej w opinii ludzi teatru.

Żeby jednak nie wyszło na to, że tym jedynym sprawiedliwym w Polsce jest teatr, trzeba powiedzieć otwarcie, że dużo winy jest także po naszej stronie. Zatem, bijąc się we własne piersi, można by powiedzieć tak:
— im więcej ambicji ludzi teatru, tym mniej szacunku dla widzów, tym mniej rozpoznania potrzeb widowni;
— im więcej biologicznej młodości na scenach polskich, tym więcej tego, co nazwałbym świadomością emerytalną;
— im więcej dyplomów, tym mniej zawodowstwa;
— im więcej współczesnych dramatów na półkach, w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w Agencji Autorskiej, w szufladach dramatopisarzy, tym mniej realizacji znaczących sztuk współczesnych na polskich scenach.

Oto rejestr problemów i tematów, które — jak sądzę — mogłyby stać się przedmiotem naszej rozmowy. Ostatnio jednak środowisko teatralne bulwersują dwa tematy. Pierwszy sprowadza się do pytania, czy należy zacząć teatry likwidować, a jeżeli tak, to które i w jaki sposób. Drugi wiąże się z powstawaniem teatrów impresaryjnych, a nawet prywatnych. Myślę, że w naszej dyskusji tematy te zostaną również podjęte.

IZABELLA CYWIŃSKA: Ja reprezentuję tutaj praktyków teatralnych. Dlatego nie obojętna jest mi widownia, której powinniśmy poświęcić więcej uwagi także w tej dyskusji. Z widownią teatralną bowiem dzieje się coś niedobrego. Mam wrażenie, jakby język płynący ze sceny był dla niej niezrozumiały już po dwudziestym przedstawieniu.

Dawniej zjawisko to miało miejsce dopiero po czterdziestu przedstawieniach — mam na myśli szeroko pojętą widownię, która zapełnia teatr w jakiś czas po premierze. Okazuje się, że rezerwy publiczności wyrobionej, kompetentnej i wrażliwej są coraz szczuplejsze. Jaka jest tego przyczyna? Myślę, że zaniedbania w oświacie i szeroko rozumianej kulturze coraz dotkliwiej zaczynają „owocować".

Jeśli zaś chodzi o sam teatr, to uważam, że im większa konkurencja w postaci rozmaitych mas mediów, tym większe musi być poczucie odpowiedzialności za poziom naszych produkcji. Walkę o widza wygramy, jeśli teatr będzie konkurencyjny. A konkurencja nie byle jaka, często na najwyższym światowym poziomie. Jak tego dokonać? Może więc trzeba rzeczywiście skoncentrować siły i środki, ofiarować je najlepszym, aby — jak w „Arce Noego" — przewieźć to, co najlepsze na drugi brzeg kryzysu. Ale jakżeż to trudna decyzja! Kto z nią się zgodzi?! Zamknąć teatr łatwo, ale otworzyć go w przyszłości...?

Aktualne też jest pytanie, czym w ogóle jest obecnie teatr dla ludzi w nim pracujących. Nie jest bowiem miejscem, gdzie zarabia się pieniądze, dla wielu nie jest miejscem, gdzie się człowiek realizuje, bo inne widzenie i rola teatru, niestety — coraz rzadziej też jest miejscem narodzin wielkiej sztuki.

PROCHYRA: Uważam, że powinniśmy rozmawiać także o pieniądzach, bo wiadomo, że jest ich mało i do rangi podstawowego problemu urasta to, jak je dzielić.

CYWIŃSKA: Pieniędzy w ogóle jest dużo, tylko jest ich coraz mniej na kulturę. A i te, które są, nie zawsze trafiają tam, gdzie trzeba. Jak je dzielić natomiast, to osobny problem. Sprawiedliwie mógłby to zrobić Pan Bóg, lecz go wśród nas nie ma.

MAJA KOMOROWSKA: Ja nie bardzo czuję się predysponowana i przygotowana do udziału w tego typu dyskusji. Rzeczywiście, poczucie, że jest to jeszcze jedna rozmowa, która niczego nie zmieni, blokuje człowieka. Ale z drugiej strony na tym właśnie polega nasza próba odpowiedzialności, że chcemy mówić o tym, co nas obchodzi i że chcemy się spotkać. Jestem tu głównie dlatego, że moje spotkanie z Teatrem Współczesnym, z jego wieloletnim dyrektorem Andrzejem Witkowskim i z poznanym tu Jerzym Jarockim było bardzo istotne w moim życiu. Toteż, kiedy dostałam zaproszenie na 40-lecie tej sceny, uznałam, że trzeba się stawić, przyjechać i po prostu być.

Powinniśmy się zastanowić, czym teatr być powinien, a czym się stał. Poglądy na ten temat wymieniamy raczej rzadko. Jeśli spotykamy się jako ludzie teatru, to głównie na pogrzebach, żegnając wybitnych twórców. To jeszcze zostało z naszej dawnej etyki, która kiedyś obowiązywała także na scenie. My właściwie zespołowo spotykamy się tylko na pogrzebach. W teatrach zespołów już nie ma lub prawie nie ma. Z różnych powodów, także materialnych. Aktorzy muszą z czegoś żyć, dlatego — zarabiają poza teatrem, zarówno w kraju, jak i za granicą. Np. za dobrą rolę w filmie na Zachodzie można przeżyć w Polsce kilka lat.

Jest ciężko, choć nie można powiedzieć, że czasy są nieciekawe. Właśnie dlatego, że tyle dzieje się dookoła, dramaturgia życia wypiera teatr. Była tu mowa o widowni. Często nie potrafi ona sprostać wymaganiom teatru. Ale czy teatr umie trafić do widowni? Często zastanawiamy się, co chcielibyśmy jej powiedzieć. Głowią się nad tym autorzy, reżyserzy i aktorzy. Myślę, że problem polega na tym, iż dramaturgia życia odsunęła na plan dalszy to, co się dzieje z teatrem i w teatrze.

Uczę w szkole teatralnej. O los moich uczniów jestem spokojna do III roku studiów. A potem zaczynam się martwić, co z nimi będzie, kiedy zostaną oddani na pastwę naszego losu i życia.

PROCHYRA: Skoro wywołany został problem szkolnictwa teatralnego, to chciałbym podzielić się taką refleksją. Ja należę jeszcze do tej generacji absolwentów szkół teatralnych, którzy do pracy w teatrze szli ochoczo, by nie powiedzieć — z entuzjazmem. A nie było to znowuż aż tak bardzo dawno temu. W ostatnich latach do teatru przychodzą smutni młodzi ludzie. To niewątpliwie znak czasu. Ale zastanawia mnie u nich brak ciekawości zawodu, który wybrali. O znudzeniu nie można chyba mówić, bo dopiero co zaczęli pracować.

CYWIŃSKA: Boję się, że nasze opory przed udziałem w tej dyskusji były słuszne. Znowu zaczynamy mówić o sprawach, które wielokrotnie były już wałkowane...

EDWARD KRASOWSKI: Spróbuję włączyć się do tej rozmowy, żeby ułatwić Państwu formułowanie dalszych uwag pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki, które tu reprezentuję. Mecenat również widzi te zagrożenia dla teatru, o których była mowa w wystąpieniach moich poprzedników. Przy czym my w ministerstwie też nie na wszystko mamy wpływ. Jest on znaczny, jeśli chodzi o sytuację prawną, finansową i organizacyjną teatrów, natomiast niewielki w zakresie poziomu artystycznego poszczególnych prezentacji teatralnych i znikomy na etykę zawodową i życie środowiskowe. Regulacje płacowe nie powstrzymają aktorów, zwłaszcza tych najlepszych, przed wyjazdami zarobkowymi, przed udziałem w imprezach o charakterze komercyjnym.

Firma, w której pracuję, chce się samoograniczać, chce jak najmniej nakazywać i zakazywać, chce być mecenasem, a nie urzędem. Wszelkie działania reformatorskie podejmujemy z rozwagą, nie sprawdziła się bowiem nigdzie rewolucja kulturalna dosłownie pojęta. Drogą ewolucji można uzyskać w kulturze lepsze efekty. Mecenas musi mieć rozeznanie sytuacji, świadomość zagrożeń i możliwość przeciwdziałania negatywnym zjawiskom.

Co się tyczy teatru, to daleko posunięta decentralizacja w zarządzaniu kulturą sprawiła, że i tutaj nasz wpływ jest ograniczony. Nadzór programowy, choć to niełądne słowo, jest w gestii wojewodów. Nie mamy też wpływu na rozdział środków finansowych w terenie. Natomiast, chcąc wspierać ambitne przedsięwzięcia teatralne, uruchomiliśmy od tego sezonu fundusz promocji artystycznej. Służy on sfinansowaniu zwłaszcza premier polskich sztuk współczesnych. Będą również zwiększane budżety tych teatrów, które — zdaniem opinii społecznej, a nie urzędniczej — reprezentują wysoki poziom artystyczny. Chodzi o to, aby odejść w tym zakresie od urawniłowki. Nagrody na festiwalach będą zwiększone do takich kwot, aby teatry przygotowujące wartościowe sztuki rekompensowały sobie koszty ich wystawienia.

Ministerstwo nie ma zamiaru likwidować teatrów. Chce natomiast promować i premiować teatry najlepsze. Opowiada się za zmianą funkcji niektórych scen, zwłaszcza działających w mniejszych miejscowościach. Powinny one bardziej nastawić się na upowszechnianie wartości kulturalnych i przygotowanie widzów do ich odbioru niż na kreowanie nowych wartości. Na to ich często nie stać.

Rozluźniamy przepisy w zakresie zatrudniania aktorów. Niektórzy dyrektorzy otrzymają na zasadach eksperymentu uprawnienia do zawierania indywidualnych kontraktów. Pozwoli to zatrzymać, bądź zatrudniać wybitnych aktorów na korzystnych warunkach finansowych.

EDWARD CHUDZIŃSKI: Chciałbym wypowiedzieć się w dwóch sprawach. Ponieważ przede mną zabrał głos przedstawiciel ministerstwa, zacznę od mecenasa. W chwili obecnej — pomijam, ile w tym jest deklaracji, a ile ukrytych intencji niezgodnych z owymi deklaracjami — *leitmotivem* wszystkich rozmów i dyskusji w Polsce jest wołanie o głębokie strukturalne zmiany. Myślę, że bez zasadniczych zmian programowych i organizacyjnych nie obejdzie się również w teatrze. Żeby się skracać, powiem brutalnie: model teatru, jaki mamy obecnie, ukształtowany został po 45 roku, a ściślej — w okresie stalinowskim (1948—1955). Mimo różnych modyfikacji tego modelu, funkcjonuje on do dziś. Jeśli ma być tak — a słyszymy to również z oficjalnych trybun — że z naszego życia zostaną usunięte pozostałości tamtego systemu, to także teatr stanie przed pytaniem, czy może tkwić dalej w dotychczasowej strukturze. Powtarzam — przy chociażby hipotetycznym założeniu, że wszystko będzie się zmieniać dookoła.

W dotychczasowych dyskusjach o teatrze nie znajduję uświadomienia sobie tego faktu. Skoro zachodzące przemiany i procesy mają doprowadzić do jakościowej zmiany, to zmianie musi ulec również model życia teatralnego, ukształtowany po 48 roku. Nad tym zagadnieniem proponowałbym się zastanowić, ponieważ wynikają z niego daleko idące konsekwencje.

Wszystko wskazuje na to, że teatr będzie musiał znaleźć dla siebie nową formułę organizacyjną, opartą na nowych zasadach prawnych, finansowych, repertuarowych itp. Osobiście uważam, a nie jest to żadne odkrycie, że obecny model teatru — jako całości — się przeżył. Pytanie tylko, kto — żeby użyć wyświechtanego słowa — tę reformę teatralną ma przeprowadzić. Jak słyszeliśmy z ust mojego poprzednika, nie przeprowadzi jej mecenas. Nie z tego powodu, że nie ma koncepcji, gdyż w 1981 roku przedstawił zupełnie sensowny projekt wyjściowy reformy, tylko ze strachu. Zważywszy, jaka jest sytuacja w środowisku teatralnym, jaki jest stopień zaufania do władzy w ogóle, każda próba gruntownego przemodelowania naszego życia teatralnego, jak najbardziej uzasadniona i przemyślana, będzie odczytana jako rewanż władzy, odwet na środowisku itp. I z tych powodów mecenas z żadnym daleko idącym projektem reformy teatru nie wystąpi. Bo taka reforma, z natury rzeczy, nie wszystkich może uszczęśliwić.

Kto w takim razie może wziąć inicjatywę w swoje ręce? Tylko ludzie teatru. Innej możliwości nie widzę. Ale teatr jako taki sam się nie zreformuje. Tutaj jestem pesymistą, ponieważ istnieje taka sprzeczność interesów oraz zróżnicowanie poglądów na ten temat, że każdy impuls reformatorski, wychodzący od środka, ma nikłe szanse. Nakłada się bowiem na to spolaryzowanie środowiska, wewnętrzne antagonizmy, urazy, zaszłości i wszystkie te „dobrodziejstwa inwentarza" paraliżują odważniejsze działania innowacyjne. Nawet w tej dyskusji dyrektorzy teatrów asekurują się jak tylko mogą, żeby nie być posądzeni o ubijanie swoich osobistych czy partykularno-środowiskowych interesów.

W efekcie koło się zamyka. Zmiany — powtarzam: zmiany, a nie kosmetyczne retusze — są potrzebne, a jednocześnie nie ma ich kto przeprowadzić. Dlatego właśnie dyskusje o teatrze obracają się w zaklętym kręgu tych samych problemów i tematów. Wszyscy wiedzą, że jest źle, lecz nikt się nie kwapi do przekroczenia tego teatralnego Rubikonu.

Druga sprawa dotyczy równouprawnienia wszystkich sektorów — jak to nazywają ekonomiści — nie tylko w gospodarce, lecz także w teatrze. Chodzi mianowicie o to, że obok teatru instytucjonalnego — tego, o którym cały czas tutaj mówimy — istnieją inne typy teatrów, z których jeden zwłaszcza, u nas potocznie zwany studenckim, zaznaczył silnie swoją obecność w naszej kulturze teatralnej. A bywały okresy, kiedy pełnił w niej rolę dynamizującą i nowatorską. Osobiście reprezentuję teatr, który wywodzi się z tego nurtu — mówię o Teatrze STU — i na jego przykładzie chciałbym pokazać, jakie trzeba było stworzyć precedensy, organizacyjne i finansowe, by mógł on — wraz z kilkoma innymi zespołami podobnej proweniencji — wejść w dorosłe życie teatralne.

Otóż nie istniał i nadal nie istnieje żaden mechanizm, pozwalający w naturalny sposób włączyć wybijające się teatry pozainstytucjonalne do instytucjonalnego życia teatralnego. W połowie lat siedemdziesiątych kilka takich teatrów, o uznanej już renomie międzynarodowej, znalazło mecenasa w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych. W każdym razie ilekroć powstaje sytuacja, że samorzutnie i oddolnie rodzi się jakieś znaczące zjawisko teatralne, to latami trwa batalia o to, aby stworzyć mu sprzyjające warunki profesjonalnego rozwoju. Kiedy wreszcie uda się wygospodarować środki i lokal, grupa pasjonatów nierzadko zdąży się wypalić twórczo. Tak długo to wszystko trwa.

Nie postuluję, rzecz jasna, dalszego mnożenia teatrów, utrzymywanych z kiesy komunalnej czy ministerialnej. Osobiście sądzę, że dzisiaj mecenat państwowy nie stać na utrzymanie 70 teatrów dramatycznych, więc tym bardziej nie stać go na tworzenie nowych. Natomiast kultura, także kultura teatralna, jeśli ma być tworem żywym, musi być otwarta na nowe idee, zjawiska i ludzi. Odmładzanie kultury powinno być procesem samoczynnym i ciągłym, a nie regulowanym administracyjnie. Mecenas powinien wspierać wszystko to w kulturze, co dynamiczne i twórcze, nie powinien zaś sztucznie utrzymywać przy życiu instytucji i form skostniałych, skazanych na wymarcie. Odnosi się to także do teatru. Nic by się nie stało, moim zdaniem, gdyby jedne teatry rozpadły się, a na ich miejsce powstawały nowe.

KRASOWSKI: Odpowiadam od razu. Nie ma przeszkód prawnych, formalnych, które by uniemożliwiały wspieranie niebanalnych inicjatyw artystycznych w teatrze. W ostatnich latach dwie takie inicjatywy mogły się rozwinąć dzięki dotacjom. Mam na myśli Teatr im. S. Witkiewicza w Zakopanem, który działa jako część Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru oraz Stowarzyszenie Teatralne Gardzienice. Również jako stowarzyszenie działa obecnie Teatr 77, którego pozbyły się Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. W ostatnim czasie ministerstwo wydało sto koncesji na prowadzenie działalności artystycznej przez osoby prywatne bądź spółki, ale — jak na razie — wielkich efektów artystycznych nie widać.

TADEUSZ NYCZEK: Chciałbym nawiązać do tego, o czym mówił Edward Chudziński. Jeśli prawdą jest, że teatr jest odbiciem pewnej rzeczywistości, jest zwierciadłem faktów, to teatr nie kłamie. Jeśli zatem jest on w stanie rozkładu, to jest to fragment znacznie większej całości. Dlatego dyskusja o teatrze — w tym aspekcie, że jest on chory, niedobry i jak go uzdrowić — jest oczywiście dyskusją zastępczą. Teatr, jako pewien model świata, odbija naszą rzeczywistość bardzo wiernie. Trzeba zatem mówić najpierw o naprawie świata, a w konsekwencji może uda się zobaczyć, czy w zwierciadle, jakim jest teatr, ten świat odbije się lepiej i mądrzej.

Teatr, jak wiele innych dziedzin naszego życia, tkwi nadal w etatyzacji, będącej spadkim po epoce stalinowskiej. Etatyzacja miała uszczęśliwić ludzi, miała ich wyręczyć z trudu życia — co było pięknym hasłem, ideą — ale okazało się, że nikogo z trudu życia uwolnić się nie da. Teatr jest tego przykładem bodaj modelowym. Stworzyliśmy po wojnie kilkadziesiąt teatrów, powstały budynki, zespoły, znalazły się etaty — i powstały z tego urzędy do wytwarzania przedstawień, do wykonywania repertuaru itd. Nie przypadkiem, nawet w czasach „Solidarności", nie potrafiono w teatrze uwolnić się od tego myślenia. Miało być solidarnie, demokratycznie i równo. W sztuce nie da się tego zrobić, bo sztuka, jak głosi stara prawda, to indywidualizm, zamordyzm, elitarność. Sztuka to jest walka o byt. O byt w jakości, a nie w pieniądzach. Tymczasem etatyzacja spowodowała to, że zrównała artystów dobrych i złych, wyrugowała wszelkie motywacje.

Pojawiły się w tej dyskusji głosy, że łatwiej jest coś zlikwidować niż powołać do życia. Otóż nieprawda. Z Edkiem Chudzińskim pracowaliśmy kiedyś w piśmie „Student", założonym oddolnie przez paru szaleńców, którzy umyślili sobie, że nie pójdą po studiach na etaty do normalnych gazet. Długo trwało, zanim to pismo stało się normalne, czyli etatowe i zawodowe. Ale proszę sobie wyobrazić, że kiedy założyciele wyrośli z nazwy „Student", niemożliwa okazała się ani zmiana tytułu, ani likwidacja czasopisma. Dlaczego? Bo tytuł był zarejestrowany w odpowiednim urzędzie, były etaty, funkcje, stanowiska i biurka redaktorskie, które zajęli następcy. I tak to trwa do dziś.

To samo dokładnie dotyczy teatru. Istnieją budynki, etaty, stanowiska i ci, co mają te etaty, stanowiska, dobrowolnie z nich nie zrezygnują.

PROCHYRA: W związku z tym, o czym mówisz, przypomniał mi się przypadek, który zdarzył się kilka lat temu. Jeden z zawodowych zespołów teatralnych postanowił się rozwiązać...

NYCZEK: Nie musisz kończyć — okazało się to niemożliwe.

PROCHYRA: Właśnie!

NYCZEK: Wracam do podstawowego tematu. Mamy w Polsce etatyzację sztuki, intelektu, życia. Etatyzacja weszła w nas, jesteśmy etatowcami z urodzenia. Mnie zrządzeniem losu udało się niedawno z tego wyrwać, ale i tak jestem dzieckiem etatu. W teatrze, w którym wszystko jest zabezpieczone, urodzi się tylko to, co nakazane, zarządzone, zaprogramowane.

CYWIŃSKA: Wobec tego, co proponujesz?

NYCZEK: Rzecz nie w propozycjach...

CYWIŃSKA: Wywołałeś temat, który w teatrze jawi się jako sprzeczność interesów: dyrektora, reżysera i aktora. Dyrektorowi zależy na dobrym funkcjonowaniu instytucji pod nazwą teatr. Toteż jako dyrektor Izabella Cywińska niechętnie wpuszczam do swego gabinetu Cywińską — kierownika artystycznego teatru, bo ją interesuje głównie poziom artystyczny, a to nie zawsze jest zgodne. Aktor znów chciałby jak najwięcej grać i zarabiać. Wszyscy ci ludzie są ze sobą w konflikcie.



Kto ma zreformować teatr w takiej sytuacji? Wydaje się, że mogłyby to zrobić „osobowości" wyłonione w drodze naturalnej selekcji, które skupiłyby wokół siebie najlepszych i działania podporządkowały całkowicie sprawom artystycznym.

Pewnym wzorcem na dziś może być teatr Dziuka w Zakopanem. We Francji Arianne Mnouchkine dostała dotację dopiero po ładnych paru latach, w których odnosiła sukcesy artystyczne. W Ameryce jest podobnie. A u nas teatr dostaje „ktoś z dyplomem", kto często niczym innym poza tym wykazać się nie potrafi. W tym miejscu pozwolę sobie nie zgodzić się z poglądem dyr. Krasowskiego, że na prowincji teatr powinien pełnić funkcje upowszechnieniowe, którym sprostać może dyrektor z dyplomem. To jest anachronizm, myślenie XIX-wieczne. Teatr nastawiony z góry na to, że jego powinnością nie jest sukces artystyczny, skazany jest dziś na porażkę.

ANDRZEJ FALKIEWICZ: Wiem, że powinienem się odezwać, ale czuję się zaambarasowany sowim dyletanctwem w zakresie problemów, które tu poruszano. Jeśli więc zabieram głos na te tematy, to z pozycji widza. Od roku 1980 teatr zaczął przegrywać z życiem. Czuli to widzowie i czuliśmy my, pracujący wtedy w teatrze. To, co działo się w zakładach pracy, na ulicach — ba, nawet w telewizji — było o wiele cięższe i ważniejsze od tego, co mógł zaoferować najodważniejszy teatr. Nie było po prostu takiej pozycji repertuarowej, która umiałaby przebić ówczesne dyskusje, nawet te telewizyjne. W roku 1982 oficjalne życie powróciło do znanej normy. W tej nowej, a raczej starej sytuacji teatr znowu mógł znaleźć dla siebie odważne tematy i niekiedy znajdował je — ale widzowie nadal ich nie chcieli. I to mimo powszechnego szacunku dla aktorów, którzy podjęli bojkot telewizji. Ta nieszczęsna sytuacja, moim zdaniem, trwa do dziś. W związku z tym należałoby zastanowić się, co nadchodzące życie ma nam takiego ciekawego do zaoferowania, że teatr nadal z nim przegrywa. Ale to inne zagadnienie, dziedzina prognoz politycznych. Może wobec tego powinniśmy się skoncentrować na sprawach organizacyjnych, skoro wywołują one tyle emocji. Kiedyś to były sprawy żywo mnie obchodzące, potem przez cztery lata w teatrze nie pracowałem, teraz przyjąłem etat w Teatrze Studyjnym w Łodzi, więc jest to znowu moja sprawa bytowa. Nie należy się jej wstydzić. Teatr to także ludzie, w większości moi koledzy i znajomi, którzy muszą z czegoś żyć.

Sam kryzys teatru nie jest niczym nowym w jego dziejach. W momencie, kiedy sztuka sceniczna przestawała być religijnym rytuałem, zagrażało jej martwienie. Podejrzewam, że każdy kolejny z wielkich tragików greckich wyprowadzał ją z kryzysu. Potem wzięli na siebie ten trudny obowiązek głównie reżyserzy. Obecny kryzys teatru jest jednak bardzo głęboki, w tym zgadzam się z przedmówcami. I wiem, że należy robić wszystko, żeby utrzymywać w dobrym stanie nawet ten skrachowany teatr. Po to — że gdy wreszcie z kryzysu wyjdzie — żeby było kim grać. Teatr



to głównie aktorzy — i oni mogą utrzymać swe umiejętności zawodowe tylko grając w teatrze. Dlatego nasza dyskusja nie jest pozbawiona sensu, chociaż z punktu widzenia widza może wydawać się nieistotna.

Paradoks polega na tym, że mimo kryzysu powstają wybitne przedstawienia teatralne. Poza tym z życiem przegrywa nie tylko teatr. Przegrywa także literatura i to obydwu obiegów. Mimo że i tu zdarzają się bestsellery. No cóż, dla fachowców od kultury to smutne. Wydaje się, że podstawowe oczekiwania społeczne nie łączą się dzisiaj ze sztuką. Czekamy na coś, co zdarzy się w sferze bardziej rzeczywistej. Ale czy to oznacza przegraną sztuki? Któż to może wiedzieć!

CYWIŃSKA: Ciągle przypominana jest tutaj teza, że teatr jest zwierciadłem życia. Tak, ale na scenie, a my rozmawiamy także o teatralnych kulisach. Co się zaś sceny tyczy, to — jak powiedział Andrzej Falkiewicz — nie ma na niej odbicia rzeczywistości, gdyż nie ma tego również w dramaturgii współczesnej. Inaczej jest w Związku Radzieckim, gdzie dramaturgia próbuje zmierzyć się z rzeczywistością.

NYCZEK: Zapominasz, że autorzy radzieccy są w tej dziedzinie debiutantami, są żarliwi i pełni wiary, a my jesteśmy starymi wyjadaczami, dekadentami odnowy i przebudowy, emerytowanymi pracownikami oporu, którym już nawet nie chce się protestować. U nas wszystko to zostało wypowiedziane setki razy i nic z tego nie wyszło.

CYWIŃSKA: Jak się z nimi rozmawia, to oni też nie mają pełnej wiary, że to się uda...

NYCZEK: Ale to nie jest pesymizm dekadenta.

KRASOWSKI: Jest dobry moment, żeby pomówić szerzej o uwarunkowaniach teatru — społecznych, politycznych i innych. Zgadzam się, że etatyzacja to nie jest najlepsze rozwiązanie dla teatru, o czym mówił kol. Nyczek. Natomiast mniej zgadzam się z kol. Chudzińskim, który twierdzi, że model naszego teatru został odziedziczony po epoce stalinowskiej. Chcę zwrócić uwagę na to, że w Polsce proces destalinizacji zaczął się w 1956, a wraz z nim nastąpiły głębokie zmiany w kulturze. Nie mam na myśli tylko zmian strukturalnych, polegających na — najogólniej mówiąc — decentralizacji zarządzania kulturą. Chodzi mi przede wszystkim o rozszerzenie swobód twórczych, głównie estetycznych.

Niedawno Andrzej Wajda na spotkaniu reżyserów stwierdził, że trzeba zdestalinizować teatr i ZASP. Postulat nie jest więc nowy. Ja natomiast będę bronił i lat pięćdziesiątych, i sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w teatrze.

W każdym bowiem z tych okresów, w zetatyzowanej strukturze powstały wybitne przedstawienia, działały świetne teatry, jak choćby Izabelli Cywińskiej w Kaliszu, Grotowskiego we Wrocławiu, czy Teatr Stary w Krakowie.

Co do etatów w teatrze, to nie są one tylko wymysłem w krajach realnego socjalizmu. Komedia Francuska też ma strukturę etatową. Powiem wprost — nie my upieramy się przy etatach, ale środowisko teatralne, różne jego reprezentacje, które kładą nacisk na to, że stałe zatrudnienie aktorów to jest zdobycz socjalizmu. Potrzebne jest lobby w teatrze, które by drogą nacisku spowodowało rozluźnienie etatowego gorsetu. Jak już powiedziałem, jestem za drogą ewolucyjną w tym zakresie. Nie wierzę, aby dobre efekty przyniosły działania radykalne, jak choćby koncepcja stanu zerowego itp.

CHUDZIŃSKI: Mój przedmówca zmusił mnie do zabrania jeszcze raz głosu. Zaszło nieporozumienie. Ja nie mówiłem o stalinowskim dziedzictwie w teatrze dlatego, że to teraz jest w modzie. Nie był to też z mojej strony żaden akt odwagi, gdyż nie takie rzeczy teraz się mówi. Posłużyłem się określeniem: model stalinowski, ponieważ uważam, że w swych podstawach przetrwał on w teatrze do dziś. Nie tylko zresztą w teatrze. Oczywiście zmieniała się polityka kulturalna, następowała liberalizacja, poszerzała się sfera wolności twórczej, jednak pozostały fundamenty, na których stoi polski teatr. Była tu już o tym mowa, więc nie będę się powtarzał.

Niewiele pomogą argumenty, że na tej glebie wyrosły wybitne przedstawienia teatralne. W tak rozdętym systemie musiały, to wynikało z rachunku prawdopodobieństwa. Nie jestem jednak przekonany, czy to, co przyniosło naszemu teatrowi największe sukcesy w świecie, jest zasługą funkcjonującego modelu życia teatralnego. Chyba było odwrotnie — Grotowski, Szajna, Kantor, teatry alternatywne to przejawy wyłamywania się z obowiązującego modelu. Twierdzę więc, że ten model jest coraz bardziej niewydolny, skostniały. I nie zmienią go żadne szlachetne gesty ministerstwa, które chce się przeobrazić z urzędu w światłego mecenasa.

Parę słów jeszcze o teatrze impresaryjnym, gdyż stał się on w naszym życiu teatralnych faktem. Wywołuje to różne komentarze. Tymczasem teatr impresaryjny jest klasycznym przykładem racjonalnego zachowania się środowiska teatralnego w sytuacji kryzysowej. Jest to teatr podejrzany moralnie i artystycznie. Rzeczywiście, jest coś nienormalnego w tym, że aktor idzie do macierzystego teatru po zasiłek czyli pensję, a zarabia lub dorabia w przedstawieniach impresaryjnych. Krytyka zachowuje dystans, wietrząc w tym chałturę, a publiczność, o której tyle słów krytycznych tu wypowiedziano, chodzi tłumnie na te przedstawienia. Dlaczego? Głównie z tego powodu, że grają w nich na ogół świetni aktorzy.

Co należy krytykować? Niewydolną strukturę, w której teatr obumiera, czy rozmaite próby rozsadzenia jej od środka? Teatr impresaryjny nie jest żadnym panaceum na uzdrowienie teatru w ogóle. Jest rozwiązaniem doraźnym, skutecznym do momentu, kiedy dobrzy aktorzy będą mieli motywację do grania w macierzystych teatrach.

Żeby to nastąpiło, nie wystarczą dobre intencje mecenasa, który chce być liberalny i otwarty na wszelkie propozycje środowiska. Sytuacja dojrzała do tego, żeby odważyć się na zmiany od podstaw.

CYWIŃSKA: Jakiekolwiek zmiany nastąpią, to jednak muszą pozostać teatry, które będzie stać na wystawienie „Dziadów", Szekspira i w ogóle wielkiego, ambitnego repertuaru.

DOMAŃSKI: Ja w sprawie etatów w teatrze. Oczywiście, że one są również w Komedii Francuskiej, z tą różnicą, że u nas aktorzy grają w impresaryjnych przedstawieniach, bo z etatu nie mogą wyżyć, a na Zachodzie występują w cafe-teatrach czy wędrownych trupach po to, by zostać zauważonym i zdobyć etat w stabilnych teatrach, dotowanych przez państwo, co zapewni im spokojny żywot do emerytury.

Pani Cywińska swoje nadzieje na zmiany w teatrze wiąże z przywódcami, którzy skupią wokół siebie najbardziej dynamiczne i utalentowane jednostki. Z czymś takim mieliśmy do czynienia w okresie kontestacji i kontrkultury, tylko że liderzy tego ruchu mieli nie tylko pewną charyzmę, lecz również ideę, wokół której skupiały się poszczególne grupy. Teatr był miejscem jej artykulacji. Trudno natomiast byłoby wyobrazić sobie sytuację, w której wokół przywódcy zgrupują się jacyś ludzie tylko dlatego, że on chce zreformować teatr.

NYCZEK: Mnie się bardo podoba idea, która — zdaje się — wyszła z ministerstwa, aby dać dyrektorom wolną rękę w opłacaniu ludzi teatru. Co oznacza, że dobry aktor, odpowiednio wynagradzany w macierzystym teatrze, nie będzie gonił za chałturą. Tylko wyłonią się problemy. Jesteśmy bowiem społeczeństwem maniakalnie przywiązanym do takiej dziwnej wersji demokracji, która ma polegać na tym, żeby nikt nie miał więcej niż inni. Obawiam się, że w obecnej strukturze teatru ta ciekawa idea się nie powiedzie.

Była mowa o tym, że pensje w teatrze to są obecnie zasiłki. Rozwiązanie teatru oznaczałoby pozbawienie wielu ludzi zasiłku na życie. Jest to problem moralny. Ale dochodzi problem polityczno-ustrojowy. U nas — ze względów doktrynalnych — nie może być bezrobocia, więc likwidacja jakiegoś teatru i z tego powodu okaże się niemożliwa. Koło się zamyka. Wyjście widzę tylko jedno. To, co obecnie nazywa się etatem, powinno być zasiłkiem dla bezrobotnych, a aktorom grającym dużo i dobrze należałoby wypłacać w odpowiedniej wysokości gaże. Żeby jednak to wprowadzić, trzeba by zmienić cały system gospodarczy i finansowy w PRL.

KRASOWSKI: Żeby tę rzecz wyjaśnić, zabieram jeszcze raz głos, mam nadzieję, że po raz ostatni. Od nowego roku ma zostać powołana przy ZASP tzw. Agencja Aktorska. Jej zadaniem byłoby pośrednictwo w załatwianiu pracy, a także spełnianie pewnych funkcji socjalnych. W ten sposób w teatrach zwolniłaby się część etatów, zamrożonych przez aktorów mało przydatnych w danej placówce, których wzięłaby „na utrzymanie" właśnie Agencja Aktorska, wypłacając im stypendia, umożliwiając dodatkowe zatrudnienie w amatorskim ruchu teatralnym itp. Pomysł narodził się na Węgrzech, tam zdaje egzamin, i dlatego próbujemy przeszczepić go na nasz grunt.

PROCHYRA: Ja widzę inne negatywne strony silnego zróżnicowania płac w teatrze. Kominy płacowe — proszę bardzo, ale pod warunkiem, że dotacja będzie realna. W tej chwili bowiem sytuacja jest taka, że ja — w teatrze, którym kieruję — podwyższyłem gaże aktorom, ryzykując że przy zmniejszeniu wpływów z widowni — będę niewypłacalny.

NYCZEK: Zostawmy na chwilę pieniądze i spójrzmy na problem teatru jako sztuki. Sztuka mianowicie nie jest obowiązkiem. Sztuka jest szaleństwem, manią, fascynacją, chęcią zrobienia czegoś, co w praktyce nie jest egzystencjalnym obowiązkiem człowieka. Tymczasem teatr, tak jak wiele innych rzeczy, stał się w naszym ukochanym kraju ponurym obowiązkiem, który należy wykonywać z dziką determinacją. Wokół nas pełno jest ofiar wykonywania tego obowiązku, ofiar bycia artystą. Dzieje się tak dlatego, że istnieje obowiązek utrzymywania kilkudziesięciu teatrów, kilku tysięcy aktorów, obowiązek wykonywania repertuaru, grania, itp. Setki obowiązków...

KOMOROWSKA: Uczestnicząc w tej dyskusji mam wrażenie, jakby to był sen, w którym wszystko może się inaczej skończyć. Realia są inne. Rzecz nie polega na odwadze czy jej braku. Nie o to chodzi, czy jestem za likwidacją teatrów czy nie. Mówimy cały czas o chorobie, szukamy jej przyczyn, ale w tej dyskusji niczego nie postanowimy, ani o niczym nie przesądzimy. Gdybym nawet opowiedziała się za zmniejszeniem liczby teatrów, to decyzja nie do nas należy. Tutaj padło parę konkretów i nieprzypadkowo wypowiedział je pan z ministerstwa. To dobrze, że będzie premiowana w teatrach klasyka, że myśli się o zmianie zasad wynagradzania aktorów. Tylko że tych konkretów jest tak mało.

Pan Nyczek mówił o obowiązku bycia artystą i wynikających z tego fatalnych skutkach. Jak rodzą się talenty? Dlaczego jest tak mało przywódców, wokół których mogłyby skupiać się zespoły teatralne? Ja należę do tej grupy ludzi, która poszła przed laty za Grotowskim. Zostawiliśmy duże miasta, spaliśmy na ławkach, zaczynaliśmy od zera. Z podobną determinacją zaczynała Iza w Kaliszu. Tak powinno być. Dzisiaj takich ludzi brakuje. Dlaczego? To już inny problem wymagający innej dyskusji.

W swoim życiu spotkałem prawdziwych twórców, ale jest ich niewielu. Dlatego uzdrowić teatr nie będzie łatwo. Nie ma na to jednej recepty. Zły szewc jakoś buty zreperuje. Ale czy trzeba robić sztukę, jeśli się nie umie i nie ma talentu? W sztuce nie ma sprawiedliwości. W sztuce nikomu się nic nie należy. Z drugiej jednak strony są wśród nas ludzie zdolni, którym się nie udało. Nie chciałabym rozstrzygać o ich losie. Dlatego problem etatów, zwolnień, likwidacji teatrów jest tak trudny do rozwiązania.

Mamy kryzys teatru, kryzys widowni, a mimo to na niektórych przedstawieniach i w niektórych teatrach są tłumy. W stanie wojennym teatr stał się salonem, w którym wszyscy się spotykali. Atmosfera była wspaniała. Tak jest, gdy przytłacza nas życie.

NYCZEK: Nasze losy tak się potoczyły, że teatr stał się sprawą narodową. Zrobiliśmy z niego ogromną rzecz, nadęliśmy go do rozmiarów balona, z którym nie wiemy teraz, co mamy zrobić. Wskutek tego co jakiś czas odbywają się takie dyskusje jak nasza, podczas gdy gdzie indziej takich dyskusji nie ma. Czy w Ameryce, Holandii, Szwecji albo Bangladeszu ktoś siedzi przy wielkim stole, zastawionym mikrofonami, i zastanawia się nad teatrem jako problemem narodowym?

Na tak zwanym świecie teatr jest jednym z wielu dosyć zwyczajnych przejawów życia. Pojawiają się talenty, prywatna wola zrobienia czegoś, co jest pasją i namiętnością, czasem forsą lub karierą, ale nie k o n i e c z n o ś c i ą zrobienia tego czegoś, bo taki mam obowiązek wobec narodu, tradycji, kultury i Bóg wie czego jeszcze. U nas samo istnienie teatru stało się potwornym musem, podobnie jak pisanie literatury czy wydawanie gazet. Nie jestem zresztą pewien, czy akurat dzisiaj jest to bardziej sprawa samych artystów, czy skutek niegdysiejszych politycznych ambicji nowej władzy w PRL. W Związku Radzieckim sztuka stała się doktrynalnym orężem władzy, więc jej rola w życiu społeczeństwa wzrosła niepomiernie; u nas ten wariant przeszczepu ustrojowego trafił na dodatkowo podatny grunt mentalny. I wyrósł taki kolos jak sławetny Mrożkowy słoń.

W tym, co mówię, jest oczywiście ironia. Lepiej bowiem jest, że nas coś w ogóle obchodzi, niż gdyby ogarnął nas cynizm i niewiara w sens robienia czegokolwiek. W wielu krajach teatr jest na marginesie i robi się go na marginesie życia. Chodzi się do teatru, tak jak chodzi się na kawę, do kina, do restauracji. Myśmy zrobili z pójścia do teatru wielką sprawę, ponieważ nie mamy co jeść — nie koniecznie w dosłownym znaczeniu — i gdzie pójść.
Teatr ma nam nasze klęski, niepowodzenia i niedostatki zrekompensować.

A tymczasem teatr nam tego dać nie może. To jest ponad jego siły. Teatr wali się z różnych powodów, może i z tego, że nie jest w stanie udźwignąć odpowiedzialności, jaką go obarczyliśmy w naszym życiu i w naszej kulturze.

Co z tym zrobić? Najprościej byłoby przekłuć ten balon z napisem teatr i sprowadzić go do normalnych, zdrowych proporcji. Ale ponieważ nie jesteśmy normalnym, zdrowym krajem, jak wiele innych, obawiam się, że to się nam nie uda.

CYWIŃSKA: Na koniec powiem tylko jedną rzecz, żeby nie pozostać w atmosferze grozy i pesymizmu. W prawie wszystkich dziedzinach jesteśmy do tyłu, ale teatru — bez względu na to, jak go sami oceniamy — ciągle nie musimy się wstydzić. Zabrzmiało to może jak cytat z wystąpienia min. Krawczuka — optymisty, dlatego spieszę dodać, że w teatrze jest gorzej niż było, ale ciągle nie jest tak źle, żebyśmy musieli się wstydzić przed światem i Europą. A iluż innych rzeczy musimy się wstydzić...

DOMAŃSKI: Pan Falkiewicz uświadomił nam właściwy wymiar naszej dyskusji w szerokiej perspektywie historycznej. Sądzę, że z tej perspektywy właśnie łatwiej uprzytomnić sobie sytuację, w jakiej dzisiaj znalazł się teatr, a my wraz z nim.

PROCHYRA: Dziękuję Państwu za obecność na naszym Jubileuszu i w tej dyskusji, od której wcale nam nie zrobiło się lżej na sercu. Może jednak jej sens odnajdziemy w ostatnich słowach sztuki N. Erdmana „Samobójca", którą w reżyserii Jerzego Jarockiego obejrzą Państwo dzisiaj wieczorem: „Pozwólcie nam mówić, że życie jest ciężkie, chociażby szeptem. Bo życie staje się lżejsze kiedy się powie, że jest ciężkie".

Wrocław, 10 grudnia 1988 r.

Teatr
nr 3 marzec 1989

Zrzędność i przekora

felieton

Zgodnie z tym co głosiła kiedyś patriotyczna pieśń, Polska jest piękna, nasza i cała. Cząstką Polski są góry, a pośród nich osobliwie zalecają się Tatry. Na przełomie starego i nowego roku spędziłem w Tatrach tydzień. Przez pierwsze trzy dni było bardzo sympatycznie. Czwartego zacząłem się nudzić. Jest to zajęcie, któremu zwykle oddaję się z największą przyjemnością. Włosi nazywają ten stan: dolce far niente. Niestety, nuda moja narażona była na przykre zakłócenia, a to za sprawą dzieci, które zamieszkiwały — wraz z rodzicami, ma się rozumieć — sąsiednie pokoje i których liczba — dzieci, rzecz jasna, nie pokojów, dochodziła w porywach do dwanaściorga. Czynności, w których znajduję szczególne upodobanie, mianowicie kontemplacja sufitu w pełnej skupienia ciszy lub bezmyślne gapienie się przez okno okazały się niemożliwe do realizacji. Dzieci wyraźnie cierpiały na skłonność do nadekspresji zarówno ruchowej, jak dźwiękowej. Gdy straszyłem je najokropniejszymi minami, przywoływałem w sukurs duchy, czarownice i potwory, gdy groziłem, płoszyłem i przeklinałem, one — zamiast zamilknąć lub nawet popaść ze strachu w wielogodzinne osłupienie — wrzeszczały jeszcze bardziej.

Ostatecznie zaprzestałem walki, gdy czteroletnia dama o manierach księżniczki na ziarnku grochu napluła mi w trakcie obiadu do zupy. W duchu przyznałem słuszność Solonemu, który w „Trzech siostrach" powiada, że dzieci powinno się smażyć na patelni i zjadać. Nie widząc możliwości dalszego przebywania w góralskiej chacie, zamienionej na żłobkoprzedszkole, postanowiłem rozerwać się w metropolii.

Mój ulubiony zespół rockowy, Sztywny Pal Azji, śpiewał taką piosenkę: Zakopane, Zakopane, spaceruje pani z panem... Chadzaliśmy więc sobie — pani z panem — po Krupówkach, aż naszła nas myśli, żeby może, korzystając z okazji, pójść do sławnego Teatru im. Witkiewicza.

Dzięki uprzejmości osób trzecich udało nam się zarezerwować wejściówki, które mieliśmy odebrać na dwadzieścia minut przed spektaklem. O oznaczonej porze, to jest o godzinie ósmej czterdzieści wieczorem, poczęliśmy się mieć — jak by powiedział Norwid — ku siedzibie Teatru przy ulicy Chramcówki. Gdy zbliżyliśmy się na odległość pięćdziesięciu metrów do wspomnianego przybytku sztuki, uderzył nas widok zgoła nieoczekiwany. Wielkie mrowie ludzi kłębiło się pod przeszklonymi drzwiami, za którymi — w całkowicie pustym i przestronnym foyer — stał młody dżentelmen pykający w zamyśleniu fajkę i przyglądający się z zadowoleniem szturmującemu tłumowi. Wdarłem się w ciżbę, nie zważając na pisk kobiet, przekleństwa mężczyzn oraz rozlegający się tu i ówdzie trzask łamanych kości. Po dłuższym przepychaniu dotarłem do drzwi, w których dwóch rosłych młodzieńców tarasowało przejście. Od czasu do czasu wydawali z siebie krzyk następującej treści: Proszę Państwa, najpierw wpuszczamy osoby z biletami!

Wykorzystując przerwę między komunikatami, nieśmiało powiedziałem: proszę pana, chciałem odebrać wejściówki, czy mógłby mi pan łaskawie powiedzieć, gdzie mogę to uczynić?

— Z wejściówkami wpuszczamy na końcu — usłyszałem.

— No, tak, rozumiem, ale ja jeszcze nie mam wejściówki, będę miał, gdy odbiorę. Ażeby odebrać takową, muszę chyba wejść do środka, nie mogę zaś tego uczynić.

— No, właśnie, bo z wejściówkami wpuszczamy na końcu.

Nic mnie to nie zraziło; bądź co bądź teatr nosi imię Witkacego i ma prawo do pure nonsensu.

Po dłuższych wyjaśnieniach, okazaniu legitymacji oraz przypomnieniu, że zespół teatru dostał nagrodę pisma, w którym mam zaszczyt urzędować (choć muszę jednocześnie zaznaczyć, że tym razem jestem najzupełniej prywatnie i rzekłbym — incognito), zostałem wpuszczony do foyer, gdzie odebrałem rzeczone wejściówki, po czym poproszono mnie, abym opuścił pomieszczenie wewnętrzne teatru i poczekał na zewnątrz (na szczęście nie było mrozu), albowiem: z wejściówkami wpuszczamy na końcu. Około godziny dziewiątej piętnaście (czyli jak dawniej mówiono — kwadrans na dziesiątą) znaleźliśmy się wreszcie — pani z panem — na sali.

Tu zastaliśmy widok całkiem nowy: kilkadziesiąt osób porządnie ubranych zajmowało miejsca przy stolikach. Byli to szczęśliwi i zamożni posiadacze najdroższych biletów. Ludzie o średnim uposażeniu obsiedli krzesełka w głębi widowni. Hałastra z wejściówkami, sama młodzież, a pośród niej i my — wspomniana pani z panem — nie wyróżniający się, pochlebiam sobie, zanadto, szukaliśmy gorączkowo kawałków wolnej podłogi.

W trakcie owych poszukiwań doszedł mnie donośny głos od któregoś stolika: ej, Majcherki, obok nas jest wolne miejsce! Głos należał do mojego znakomitego kolegi, doktora ATK, który, jak się okazało później, spędzał w Zakopanem — wraz z nadzwyczaj miłą i uroczą małżonką — miesiąc miodowy, zdaje się, że już trzeci.

Na wspomnianym wolnym miejscu usadziłem swoją osobistą małżonkę. Szczęśliwym zrządzeniem losu, prawowity właściciel miejsca nie pojawił się. Sam rozgościłem się na podłodze, w bezpośrednim sąsiedztwie bardzo porządnych, męskich butów. Nie powiem, żeby siedziało mi się wygodnie. Pomyślałem sobie, że właściciel owych butów nie będzie miał może nic przeciwko temu, żebym oparł się nieco o jego dolne kończyny. Podniosłem głowę, aby wystąpić z tą propozycją i stwierdziłem, że zarówno buty jak i nogi są własnością Jerzego Urbana. Pojmują państwo, że przez trzy godziny ciągnącego się jak guma do żucia „Cabaret Voltaire" nie byłem w stanie podziwiać występujących na scenie artystów. Nie mam podzielnej uwagi. Jedyne, co mnie mocno obeszło, to to, że na końcu artyści wraz z dyrektorem klękali do ukłonów. Może dopraszali się łaski?

JANUSZ MAJCHEREK

Świadectwo

NR 3 Z DNIA -03-89

NASZA SZTUKA W OKSFORDZIE

280

Jesień była w Oksfordzie polskim sezonem kulturalnym. Muzeum Sztuki Nowoczesnej urządziło wystawę malarstwa i rzeźby 6 polskich twórców, wystawę plakatu oraz magnetowidowy przegląd awangardy teatralnej. Ponad 80 plakatów dało obraz powojennej historii tej dziedziny sztuki. Magnetowid prezentował przegląd wydarzeń teatralnych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Można było obejrzeć fragmenty spektakli m.in. Teatru Witkiewicza z Zakopanego, Starego Teatru z Krakowa i teatru Grotowskiego. Wystawa polskiego malarstwa i rzeźby eksponowała różne nurty i tendencje w tych dziedzinach. W prowadzonym przez oksfordzkie Muzeum Sztuki sklepie z książkami eksponowane były wydawnictwa polskie, m.in. „Polaków portret własny" i „Witkacy", a jedno z kin wyświetliło polskie filmy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oraz najnowsze – Wajdy, Kieślowskiego i Zanussiego.

DZIENNIK ZACHODNI

NR 76

DN. 1·04'89

Rozpoczynają się opolskie konfrontacje

Klasyka teatralna

(A) OPOLE (inf. wł.). Tradycyjne, wiosenne spotkania ze sztuką teatralną w Opolu, w tym roku zmieniają formułę, ograniczając swoją nazwę jedynie do słowa „Klasyka". Tak więc nie będzie to już przegląd najciekawszych inscenizacji dramaturgii polskiej, jak było od wielu lat, lecz festiwal klasyki scenicznej „w ogóle". Czy ta zmiana wyjdzie Opolskim Konfrontacjom Teatralnym na dobre — przekonamy się już w najbliższym tygodniu. Konfrontacje rozpoczynają się dziś, 1 kwietnia przedstawieniem **„Dybuka"** w wykonaniu **Starego Teatru** z Krakowa, kończą zaś po 9 dniach **„Kubusiem Fatalistą"**, prezentowanym przez warszawski **Teatr Dramatyczny.**

W konkursie zobaczymy również **Teatr im. J. Kochanowskiego** z Opola z **„Elektrą" Eurypidesa** oraz **„Mężem i Żoną"** Fredry, **Teatr Nowy** z Poznania ze spektaklem pt. **„Tartufe"** Moliera, **Teatr Powszechny** z Warszawy, który pokaże **„Psie serce"** Bułhakowa oraz **Teatr Polski** z Bielska-Białej także z inscenizacją **„Męża i Żony"** Fredry.

W ramach tzw. imprez towarzyszących widzowie obejrzą **„Sen nocy letniej"** Szekspira przygotowany przez studentów PWST z Krakowa, widowisko pt. **„Firma portretowa"** wg Witkacego (**Teatr im J. Kochanowskiego**), przedstawienie pt. **„Wszak Polacy nie gęsi"** Morstina (**Teatr Polski z Czeskiego Cieszyna**), **„Faust goes rock" Teatru Tańca** z Poznania oraz prezentacje **Teatru im. S. I. Witkiewicza** z Zakopanego, który przedstawi: **„Autoparodie — Witkacy"**, **„Dr Faustusa" Marlowe'a** i **„Jak wam się podoba"** Szekspira.

Opolskim Konfrontacjom Teatralnym towarzyszyć będzie również wystawa plakatów ze zbiorów **Krzysztofa Dydo.** (ch)

Tribuna Opolska
nr 76 z dn. 2.04'89

OKT „KLASYKA"
280



Kurtyna w górę!

W Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu rozpoczynają się dzisiaj, w sobotę 1 kwietnia, Opolskie Konfrontacje Teatralne, będące corocznią ważną imprezą artystyczną nie tylko na kulturalnej mapie naszego miasta, lecz w skali całego kraju.

W ciągu pierwszych 10 dni kwietnia gościć będziemy znane polskie teatry, m.in. Stary z Krakowa, Nowy z Poznania, Powszechny i Dramatyczny z Warszawy oraz im. S. I. Witkiewicza z Zakopane go. Zaprezentują one inscenizacje wybitnych dzieł polskiej i światowej klasyki.

Uroczyste otwarcie teatralnego festiwalu nastąpi o godzinie 18.45. Poprzedzone ono będzie wernisażem wystawy plakatów ze zbiorów Krzysztofa Dydo (foyer dużej i małej sceny, palarnia). A potem, **o godzinie 19,** kurtyna pójdzie w górę i **aktorzy Starego Teatru z Krakowa pokażą na Dużej Scenie** głośny spektakl **Salomona Anskiego: „Dybuk" w reżyserii Andrzeja Wajdy.**

W tym samym dniu studenci krakowskiej PWST dwukrotnie zaserwują na Małej Scenie (godz. 16.30 i 22) „Sen nocy letniej" Wiliama Szekspira.

Natomiast w niedzielę na Dużej Scenie o godz. 16 i 19 — przedstawienia „Dybuka". W poniedziałek zaś, 3 bm. zaprezentowane zostaną następujące inscenizacje: „Elektra" Eurypidesa w wykonaniu Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu (Mała Scena, godz. 19) oraz „Firma portretowa" St. I. Witkiewicza — również teatr opolski (Sala Prób, godz. 17).

(kin.)

Film
NR 14 DN. 3·04·88

List z Zakopanego

O MARTWYM KINIE I ŻYWYM TEATRZE

Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by mi nie powiedział, że w Zakopanem nie idzie żyć. Ja zresztą sam tak mówię, kiedy patrzę z góry na czapę smogu pokrywającą ową smrodliwą dolinę między dwoma wyniosłościami: Giewontem i Gubałówką. Nie idzie żyć, nie idzie oddychać, nie idzie jeździć na nartach. Ale niech się Państwo nie przejmują: tak było już za czasów doktora Chałubińskiego, i od tego czasu Zakopane się psuje, co jest najlepszą oznaką zdrowia.

Ekologicznie rozłożeni, co trzeba przyjmować z fatalizmem, nie potrafimy się jednak pogodzić z faktem, że wiele rzeczy w Zakopanem jest pogarszane sztucznie i na złość przybyszom. Rozumiem jeszcze, że przez całą drugą połowę lutego na cudownej skoczni (jak cudownej, przekonaliśmy się oglądając olimpijskie szubienice), na naszej kochanej Krokwi nie odbył się ani jeden konkurs, a nawet trening skoków. Jasne: wszyscy polscy skoczkowie w liczbie trzech wyjechali na wycieczkę do Calgary. Rozumiem też, że zamknięty był na kłódkę, z unieruchomionym wyciągiem, jedyny stok slalomowy na Nosalu; oficjalna teza głosi, że w Polsce nie ma takich stoków, więc jeszcze ktoś nie poinformowany zacząłby się na nim uczyć jeździć, zamiast od razu w Alpy. Ale nie rozumiem, dlaczego jedyne w Zakopanem kino (sala w Morskim Oku komuś tak przeszkadzała, że ją zamknął), także udaje, że go nie ma?

Obserwuję ten dziwny przybytek od lat i zawsze znajduję nowy powód do zdumienia. Pamiętam, jak przed kilku laty, jesienią, wyczytałem na afiszu zapowiedź premiery filmu „Przeznaczenie" o Tetmajerze, którego nie zobaczyłem przedtem w Warszawie. Miało to być w poniedziałek. Przed pierwszym seansem w grupie kilkunastu osób stanęliśmy przed kasą, by przeczytać kulfoniastą kartkę, że „Z powodu braku frekwencji film odwołano". Był to, jak wspomniałem, seans pierwszy. Wystąpiliśmy z nieśmiałą propozycją, aby jednak nam film pokazano. Nie, padła odpowiedź, gramy „Klasztor Shaolin". Tych kilkanaście dorosłych, poważnych osób nie miało zamiaru oglądać „Klasztoru Shaolin". „Klasztor..." jednak pokazano ośmiu bodajże góralickom, którzy wiedzieli, jak należy czytać na afiszu słowo „Przeznaczenie". Awantura zrobiona kierowniczce nie pomogła: filmu po prostu nie było w Zakopanem, nikt nie zamierzał marnować pieniędzy na transport. Uznano z góry, że frekwencja nie przyjdzie.

Myślałem: teraz jest kryzys, reforma, samodzielność, w repertuarze wiele kasowych rodzynków. Może przez te dwa tygodnie zobaczę sobie „Czarną wdowę", „Labirynt", może coś z klasyki? A może różowe ciałka Bilitis i koleżanek? Mogłem, owszem, obejrzeć „Krzyżaków". Prawda, przez cały tydzień szło „Pożegnanie z Afryką", ale co z tego? Seanse tylko po południu i wczesnym wieczorem. Telefonicznej rezerwacji nie ma, w ogóle przez telefon nie lubimy. Nic dla widza! Jak w latach 50, 60, 70...

Można jednak inaczej. Można tak, jak to robi Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza, który w prymitywnie adaptowanej sali sanatorium przy Chramcówkach obchodził w tym czasie 3-lecie. Przez dwa wieczory urządzono urodziny patrona (sto trzecie) i bawiło się, dosłownie całe Zakopane, w każdym razie to, które było w stanie oderwać się od transmisji olimpijskich. Teatr zakopiański jest teatrem widzów i aktorów. Widz jest w nim gościem, którego podejmuje się herbatką góralską i pierogami (nie co dzień i... spokojnie: widz za to płaci!), któremu się patrzy z uśmiechem w oczy i mówi, że jest wspaniały, z którym się razem śpiewa piosenki, któremu urządza się głupie kawały i zmusza do czynnego uczestnictwa w tym, co się dzieje na scenie. Może aktorsko nie jest to teatr najwybitniejszy, choć niektóre fragmenty „Autoparodii" Witkacego, zrealizowanej na zasadzie happeningu, bardzo mi się podobały, a o „normalnie" wystawionych sztukach z uznaniem wypowiadali się specjaliści po Warszawskich Spotkaniach Teatralnych. Ale na Chramcówkach coś się dzieje. Myślę, że pieniądze, zainwestowane przez Województwo Nowosądeckie i gminę Zakopiańską w ten niezwykły teatr, były najlepszą na przestrzeni lat inwestycją w dziedzinie kultury.

Wnioski: może by wreszcie poprosić te panie z kina „Giewont", aby zaczęły gotować pierogi dla gości Teatru Witkacego, a sam budynek kina oddać jakimś młodym? Takim z pomysłami, jak Andrzej Dziuk i jego gromadka. Czy znalazłoby się takich więcej? Ho, ho, jeszcze ilu? No, kto miałby ochotę zrobić z kina w Zakopanem miejsce, w którym coś się dzieje i w którym lubi się widza?

OSKAR SOBAŃSKI

Tybuna Opolska
nr 81 z dnia 7.04.89

OKT „KLASYKA"

280



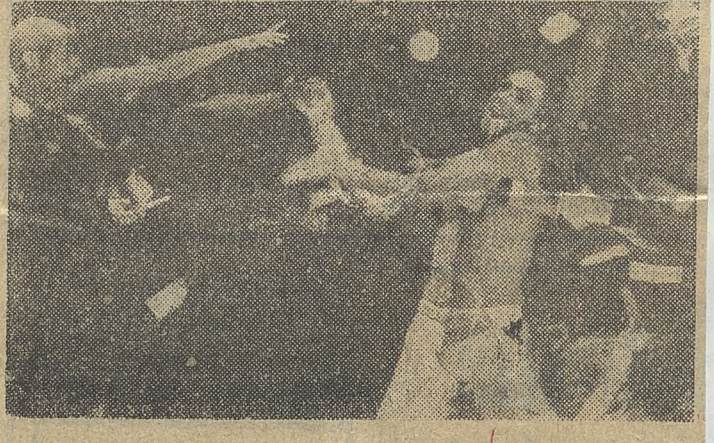
Brawa na stojąco

W środę wieczorem po raz pierwszy podczas tegorocznych Konfrontacji rozległy się w opolskim teatrze rzęsiste „brawa na stojąco". Sytuacja powtórzyła się również wczorajszym popołudniem. Tak właśnie — owacyjnie — dziękowała publiczność zespołowi Polskiego Teatru Tańca z Poznania za, pokazany poza konkursem, spektakl: „Faust Goes Rock".

To przepiękne widowisko muzyczno-baletowe spodobało się przede wszystkim młodzieży, która po brzegi wypełniła widownię Dużej Sceny Teatru im. Jana Kochanowskiego, prosząc wykonawców o bis. Czyżby to był najatrakcyjniejszy dziś i najlepiej trafiający do młodych sposób interpretacji i podawania wielkiej klasyki?

Natomiast na Małej Scenie aktorzy Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu pokazali konkursowe przedstawienie „Mąż i żona" Aleksandra Fredry.

Dzisiaj — w kolejnym dniu Opolskich Konfrontacji Teatralnych — **warszawski Teatr Powszechny** zaprezentuje w ramach konkursu: **„Psie serce" Michaiła Bułhakowa (Duża Scena, godzina 19)**, zespół zaś **Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza z Zakopanego** przedstawi dwie pozakonkursowe inscenizacje: **„Autoparodia" Witkacego (godzina 17, aula Wyższej Szkoły Inżynierskiej; róg ulic: Katowickiej i Kościuszki) oraz „Dr Faustus" Christophera Marlowe'a (Mała Scena opolskiego teatru, godzina 22.15).** (kin.)



Jedna ze scen widowiska „Faust Goes Rock".
Zdjęcie: Andrzej Szozda

Trybuna
Opolska

nr 82
z dnia 8-9 * 04 * 89

OKT „KLASYKA"



Ma się ku końcowi

Aniśmy się spostrzegli, jak minął tydzień Opolskich Konfrontacji Teatralnych. Zainteresowanie nimi rosło z dnia na dzień. Od środy zaś — od zaprezentowania przez Polski Teatr Tańca z Poznania widowiska „Faust Goes Rock" — na kolejnych, różnych i w sumie interesujących, przedstawieniach, gromadziły się nadkomplety widzów.

Świadczy to o tym, iż ludzie — zwłaszcza młodzi — potrzebują dobrego teatru, szukają w nim przeżyć, wzruszeń i wrażeń. A już sam fakt, czy dostarcza im ich dzieło klasyczne, czy utwór współczesny — wydaje się sprawą drugorzędną.

Mają się zatem tegoroczne Konfrontacje ku końcowi. W piątek warszawski Teatr Powszechny pokazał „Psie serce" Michaiła Bułhakowa, natomiast zakopiański Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza wystąpił z dwoma spektaklami: „Autoparodia" Witkacego oraz „Dr Faustus" Christophera Marlowe'a.

Sobota jest przedostatnim dniem OKT. **Teatr Polski z Bielska-Białej** dwukrotnie, **o godz. 16 i 21.30**, przedstawi na **Małej Scenie „Męża i żonę"** Aleksandra Fredry, **warszawski Teatr Powszechny** powtórzy **(godz. 19, Duża Scena)** **„Psie serce"** Bułhakowa, zaś **Teatr im. S. I. Witkiewicza z Zakopanego** wystąpi ze spektaklem **„Jak wam się podoba"** Williama Szekspira **(godz. 21.30, aula WSI).** **(kin)**

W niedzielę warszawski Teatr Dramatyczny zaprezentuje o godz. 18 na Dużej Scenie „Kubusia Fatalistę" Denisa Diderota, a zakopiańscy aktorzy — „Dr. Faustusa" (godz. 22.30, Mała Scena).

(kin)

Tygodnik Kulturalny
Nr 15 Dn. 9.04.89

kronika kulturalna

● Z inicjatywy czternastu osób — członków dawnego i obecnego Związku Artystów Scen Polskich — odbyło się w Teatrze Polskim w Warszawie spotkanie 159 reprezentantów 113 instytucji artystycznych. Zgromadzenie uchwaliło, że należy zwołać Nadzwyczajny Zjazd ZASP w terminie 30—31 października br. Uznano, że jedność organizacyjna środowiska ludzi teatru jest konieczna, a pluralizm w tej dziedzinie zbędny. „Jesteśmy skazani na wspólny ZASP tak samo, jak na wspólną garderobę i scenę" — powiedział prezes tej organizacji do 1982 r., Andrzej Szczepkowski. A Kazimierz Dejmek — obecny prezes ZASP — dodał, że „należy osiągnąć ten cel mimo wszelkich komplikacji formalnoprawnych".

● XXVIII Międzynarodowy Dzień Teatru obchodzony był pod hasłem „... tożsamość polskiego teatru". Jak co roku Polski Ośrodek Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI) skierował posłanie, odczytane przed spektaklami na polskich scenach. Głosi ono m.in.: „Międzynarodowy Dzień Teatru jest tradycyjnie dniem rachunku sumienia ludzi sceny. Wydaje się, że szczególnie dziś, gdy w naszym kraju zachodzą widoczne zmiany, gdy społeczeństwo dopomina się o swoją podmiotowość, teatr polski nie może — jak zawsze zresztą w swojej historii — pozostać obojętny na zjawiska tworzące nasz dzień powszedni. Zawsze w historii teatr nasz był, a przynajmniej starał się być, sumieniem, a choćby tylko odbiciem działań, tęsknot, dążeń narodu. Teatr powinien podnieść się ze swego upadku zawodowego, powinien postawić sobie inne — nie komercjalne — cele, powinien stać się tym, czym był zawsze: zwierciadłem Szekspira i najniższą modlitwą Norwidowskiego anioła. Droga do tego wiedzie przez zintegrowanie środowiska, odtworzenie wiarygodnej organizacji zawodowej poprzez dbanie o wysoki poziom profesjonalny i etyczny ludzi teatru, poprzez powrót poezji, powrót arcydzieł polskiego dramatu na komercjalizującą się scenę".

● Polski Ośrodek ITI przyznał doroczną Nagrodę im. Stanisława Ignacego Witkiewicza za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej poza granicami Polski włoskiemu reżyserowi Roberto Bacci. Sekcja [illegible] Polskiego Ośrodka ITI uhonorowała Tadeusza Kantora za popularyzację polskiej kultury teatralnej za granicą. Nagrodę „Teatralna Książka Roku '88" otrzymała Maria Bojarska za monografię „Mieczysława Ćwiklińska".

● Doceniając rolę artystów jako ambasadorów polskiej sztuki na całym świecie, co roku minister spraw zagranicznych wyróżnia tych najbardziej zasłużonych w upowszechnianiu kultury za granicą. W tym roku dyplomy otrzymali Maciej Englert, Władysław Hasior, Jerzy Katlewicz, Krzysztof Kieślowski, Andrzej Kuśniewicz, Janusz Olejniczak, Jerzy Stuhr i prof. Jerzy Toeplitz oraz Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Muzeum Narodowe w Warszawie i Zespół Tańca Ludowego UMCS w Lublinie.

● Na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w San Remo Jerzy Stuhr zdobył nagrodę za najlepszą rolę męską. Jest to rola głównego bohatera w filmie Andrzeja Kotkowskiego „Obywatel Piszczyk".

● Wieloletnia dyrektorka poznańskiego Teatru Nowego, reżyserka wielu świetnych spektakli nie tylko na tej scenie — Izabella Cywińska, na swój jubileusz 25-lecia wyreżyserowała „Tartuffe'a" Moliera.

● Na 1 kwietnia zapowiedziano Niezależne Forum Kultury na Uniwersytecie Warszawskim — z udziałem wielu czołowych postaci życia artystycznego, literackiego, dziennikarzy, wydawców drugiego obiegu i liderów studenckich grup happeningowych.

● Sieć placówek muzealnych w Krakowie powiększy Muzeum Sztuki Japońskiej. Z inicjatywą jego wybudowania wystąpił Andrzej Wajda, przekazując na ten cel 350 tys. dolarów (nagroda uzyskana na festiwalu w Kioto). Miasto wyznaczyło już parcelę, na której stanie pawilon o tradycyjnie japońskim wystroju architektonicznym (wyposażony w elektronikę, komputery, najnowsze urządzenia sygnalizacyjne, klimatyzacyjne i ekspozycyjne), zaprojektowany przez światowej sławy architekta Arata Isozaki. Muzeum zgromadzi znajdującą się w posiadaniu Muzeum Narodowego w Krakowie unikatową kolekcję japońskich dzieł sztuki, pochodzących z darów Feliksa Jasieńskiego. Kolekcja obejmuje ponad 7 tys. eksponatów, a także darów oraz zakupów muzealnych.

● Najwyżej cenione w świecie wyróżnienie w dziedzinie fonografii, przyznawane przez Academie du Disques im. Charlesa Cros w Paryżu — Grand Prix du Disque — za rok 1988 przypadło polskiemu zespołowi „Sinfonia Varsovia".

● W Opolu trwają konfrontacje teatralne „Klasyka" — w tym roku także światowa. W programie głośne przedstawienia, m.in. „Dybuk" ze Starego Teatru w Krakowie, „Tartuffe" z Teatru Nowego w Poznaniu, „Doktor Faustus" z Teatru Stanisława Ignacego Witkiewicza w Zakopanem i wiele innych. Gospodarze pokażą „Elektrę" Eurypidesa i „Męża i żonę" Fredry.

● W Dniach Kultury Polskiej w ZSRR uczestniczy w tym roku blisko 1000 polskich twórców i działaczy kultury.

● Grand Prix jubileuszowej XXV Rzeźby Roku (wystawa w krakowskim BWA) otrzymał Roman Kurzowski.

● Ministerstwo Kultury i Sztuki przekazało Bibliotece Narodowej ponad 100 rękopisów utworów muzyki polskiej, zakupionych na aukcji w Nowym Jorku.

● Feliks Falk, znany reżyser filmowy, skłania się ostatnio ku teatrowi. Głośno było o wyreżyserowanych przez niego jednoaktówkach Havela w Teatrze Powszechnym w Warszawie. W roli autora natomiast występuje Feliks Falk w Teatrze im. Mickiewicza w Częstochowie, gdzie sztukę jego autorstwa — „Aktorki" — reżyseruje Bogusław Litwiniec.

TYGODNIK KULTURALNY
Nr 15 z dn. 9.04.89

poezja i niepoezja

Witkacydzi

Pewna bliska mi osoba w średnim wieku (nie wypada mi ujawniać łączących nas więzów) usiłowała niedawno zrecenzować najnowszą premierę Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza „Sonatę b". Mimo że recenzja została poczęta z autentycznej miłości, efekt końcowy okazał się niewspółmierny z intencjami. Powstał tekst nudny, wspierający się opracowaniami Konstantego Puzyny; wszystkie charakteryzowane postacie zmieszały się ze sobą, pojawiły się skądś paralele z filmami Istvana Szabo, ogólnie biorąc — rozgardiasz nieprzeciętny. Usiłowałyśmy wspólnie ratować sytuację, dodając m.in. do artykułu post scriptum, że niby opary piekielne (część akcji rozgrywa się w piekle), docierające na widownię, uniemożliwiły pełny odbiór spektaklu i tym samym jego wnikliwą i trafną analizę. Wszelkie jednak próby ratunku okazały się daremne. Doszłyśmy do wniosku, że spiętrzone problemy percepcyjne zdoła może przemóc osoba całkiem młoda, która mimo tej młodości, a może właśnie dzięki niej, od lat przyjaźni się z Witkacym. Tą osobą będę ja.

Głównym gościem Teatru Witkacego jest przecież młodzież. Przychodzi tłumnie na wszystkie spektakle, mimo ograniczonej liczby miejsc i trudności w nabyciu biletów (a może właśnie dlatego?). Wszelkie zresztą niedogodności, jak siedzenie na podłodze, stanie na jednej nodze, intencjonalne morderstwa w ścisku po wejściówki (bo nie można tego nazwać kolejką) są aż nadto rekompensowane ogromnymi dawkami przeżyć dostarczanych widzom przez zakopiańskich artystów. Skala doznań wydaje się nieograniczona. Do stałego repertuaru teatru należą trzy misteria: „Sic et non", oparte na listach Abelarda i Heloizy, „Np. Edyp", na motywach „Króla Edypa" Sofoklesa, „Wielki Teatr Świata" Calderona, z wkompowanymi wierszami księdza Baki; dwie inscenizacje powieści: „Gracza" Dostojewskiego i „Macondo, Macondo" według „Stu lat samotności" Marqueza; trzy składanki — „Dziura w oparach absurdu wykuta" (Tuwim, Słonimski), „Cabaret Voltaire", seans dadaistyczno-surrealistyczny (Tzara, Dessaignes, Eluard) i „Autoparodia" według Witkacego oraz cztery inscenizacje: „Historia" Gombrowicza, „Dr Faustus" Marlowe'a, „Pragmatyści" i (ostatnio) „Sonata b" Witkacego. Chociaż z czternastu premier zakopiańczyków tylko trzy oparte zostały na tekstach Stanisława I. Witkiewicza, jego duch czuwa nad wszystkimi spektaklami. Witkacy-filozof koncentrował się na zagadnieniu istnienia, a możliwość przejrzenia tajemnicy bytu widział jedynie w sztuce, i to nie tej powiązanej z życiem, eksploatującej treści egzystencji, ale w sztuce realizującej się wyłącznie jako Czysta Forma. Teatr na Chramcówkach spełnia założenia Witkacowskie i programowo, i w poszczególnych inscenizacjach. Wszystkie dotyczą człowieka i problemu istnienia, ale życie przedstawiają w sposób przewrotny, często perwersyjny, czasem groteskowy. Kiedyś w grupie przyjaciół nazwaliśmy zespół Teatru Witkiewicza (9 aktorów, 2 plastyczki, muzyk, pracownicy techniczni pod kierownictwem Andrzeja Dziuka, nawiedzonego reżysera i pomysłodawcy) Witkacydami, właśnie ze względu na religijny niemal kult Witkacego. Wśród przedstawień przeważają spektakle oparte na absurdzie, skomponowane z pozornie nie powiązanych elementów: dźwięków, słów i działań. Istotną rolę w kreowaniu nastroju odgrywa muzyka tworzona i wykonywana przez Jerzego Chruścińskiego.

Niesamowita atmosfera Teatru udziela się wszystkim. Widzowie na przemian płaczą i pokładają się ze śmiechu, wrzeszczą i zamierają z przerażenia. Aktorzy są nie tylko artystami, ale także stymulatorami widowni, zmuszającymi widzów do czynnego uczestniczenia w teatralnym seansie. Widownia współtworzy spektakl. Po przekroczeniu progu Teatru znajdujemy się w innym świecie, codzienne szare życie pełne problemów i smutków zostaje na zewnątrz. Świat, do którego wprowadzają nas Witkacydzi, to świat iluzji i gry, lecz rządzą nim rzeczywiste wartości i autentyczne uczucia. To połączenie tworzy fantastykę przeżycia, która staje się magnesem ściągającym do teatru tłumy. Dostrzeżenie i uznanie rangi Teatru przez krytykę zawodową, chociaż nie zepsuły zespołu, wciąż spontanicznego i naturalnego, rozbudziły apetyty snobów. Witkacydzi bronią się skutecznie przed najazdem „zasłużonych" dla sztuki, którzy zrzucają drętwe maski koneserów, stając się jego fanatykami.

Zakopiańczycy wkomponowują w swoje spektakle elementy zadowalające wszystkich. Ich przedstawienia zaspokajają potrzeby i wrażliwców, i „mistyków" („Wielki Teatr Świata", „Sic et non"), odpowiadają zwolennikom surrealizmu i groteski („Kabaret", „Historia", „Autoparodia"). Także amatorzy mocnych wrażeń znajdą w nim coś dla siebie: aktorzy rozbierają się do naga, mordują się wzajemnie malowniczo i przekonująco, dokonują ekwilibrystycznych sztuczek i wyskakują znienacka na bogu-ducha-winnych widzów. Różnorodność repertuaru i możliwości przeistoczeń się niemal z godziny na godzinę aktorów (praktycznie codzienna zmiana repertuaru) skutecznie bronią Teatr przed rutyną. To wszystko sprawia, że Teatr działa jak narkotyk, kto raz go zazna, zostanie uzależniony. Niektórzy nałogowcy szprycują się codziennie (czasem nawet dwa razy dziennie, gdy przedstawienia „idą" o dziewiętnastej i dwudziestej drugiej), oglądając nawet po kilka razy ten sam spektakl. Propozycje programowe Teatru nie dopuszczają ani nudy, ani przesytu.

Ostatnia premiera, „Sonata b", znakomicie obrazuje funkcję samej ekspresji w Teatrze Witkacego. Rzecz rozgrywa się w Mordowarze na Węgrzech. Młody kompozytor, pragnący stworzyć wielkie dzieło, daje się opętać przez Belzebuba i pod jego wpływem komponuje diabelską sonatę. Reżyser Andrzej Dziuk skondensował akcję, rozbudował przestrzeń działania, przede wszystkim zredukował liczbę postaci, dzięki czemu wszystkie kreacje zyskały na wyrazistości. Główną wartością spektaklu jest właśnie różnorodność i plastyczność postaci. Aktorzy dali popis kreacyjnych przeistoczeń. Dorota Ficoń, dotychczas grająca role głównych amantek, w „Sonacie" jest tajemniczą i demoniczną... staruszką. Marta Szmigielska ze swadą i humorem kreuje zbzikowaną pannę Krysię. Karina Krzywicka staje się perwersyjną i despotyczną Hildą Fajtcacy, przedmiotem westchnień i pożądań wszystkich mężczyzn. Piotr Dąbrowski, jako kompozytor Istvan Szentmichalyi, po raz kolejny udowadnia swoją wszechstronność. Piotr Sambor wcielił się w barona Hieronima Sakalyi. Krzysztof Najbor w roli Joachima Baltazara de Baleastadar alias Belzebuba, dynamicznej postaci pełnej tęsknoty twórczej, jest w swoim żywiole — grał już przewrotnego Mefistofelesa (Dr Faustus"), rubasznego Bogacza („Wielki Teatr Świata") i niespożytego uwodziciela zarówno kobiet, jak i mężczyzn („Autoparodia"). Zaskoczeniem okazał się Andrzej Jesionek, przeciwstawiając granym do tej pory rolom, niewinnym młodzieńcom i porywającym hommes fatals — kreację Teobalda Rio Bamby, wytrawnego kochanka Babki Julii. W stworzeniu niesamowitego nastroju mordowarskiej rzeczywistości miały udział dwa żywiołowe diabły — Lech Wołczyk i Stanisław Ziemianek. Pełna ekspresji jest także tytułowa bohaterka — muzyka Jerzego Chruścińskiego, stwarzająca na tle świetnej scenografii wrażenie piekielne.

„Sonata b" pokazuje dowodnie, że zespół Teatru Witkacego w czwartym roku swojej działalności ciągle ma szalone pomysły i energię do ich realizacji. Teatr na Chramcówkach nadal z jednakową intensywnością przyciąga tłumy fanatyków „cudownych snów na jawie", pragnących wspólnie z zespołem Teatru rzucać wyzwanie nijakości i szarzyźnie zgodnie z zasadą Witkacego, że „życie nie na szczytach czego-bądź jest nonsensem, a największy sens ma życie na szczycie nonsensu".

Katarzyna Bieńkowska

PS. Autorka tekstu ma 16 lat, 160 cm, 42 kg, zielone oczy, jest uczennicą drugiej mat.-fiz. klasy licealnej, jest moją córką.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Trybuna Opolska

nr 83 z dnia 10.04'89

OKT „KLASYKA"

280



Ostatki

W sobotę i niedzielę pokazane zostały ostatnie już przedstawienia tegorocznych Opolskich Konfrontacji Teatralnych. I tak, warszawski Teatr Powszechny zaprezentował „Psie serce" Michaiła Bułhakowa, Teatr Polski z Bielska-Białej wystąpił z „Mężem i żoną" Aleksandara Fredry, zakopiański Teatr im. St. I. Witkiewicza pokazał dwie inscenizacje: Williama Szekspira „Jak wam się podoba" oraz Christophera Marlowe'a „Dr Faustus" i wreszcie Teatr Dramatyczny z Warszawy dał „Kubusia Fatalistę" Denisa Diderota.

Były to bardzo różne spektakle, utrzymane w zupełnie odmiennych — od tradycyjnej (np. „Mąż i żona") do awangardowej („seanse" zakopiańskiego Teatru) — konwencjach inscenizacyjnych. I choć niektóre z nich były kontrowersyjne estetycznie, choć jedne ustępowały innym poziomem profesjonalnej sprawności — to, generalnie, wszystkie zostały zaakceptowane przez widzów i nagrodzone rzęsistymi oklaskami; widomy to znak, że się spodobały, że dostarczyły przeżyć i skłoniły do refleksji.

W niedzielę późnym wieczorem, dokładniej mówiąc: u progu głębokiej nocy, nastąpiło zamknięcie Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka" '89. Ogłoszono werdykt jury nagradzający najlepszych twórców i wykonawców konfrontacyjnych inscenizacji. (Nastąpiło to już po rozpoczęciu druku naszej gazety, stąd werdykt podamy w jutrzejszym wydaniu „TO".

Dzisiaj na Dużej Scenie opolskiego teatru **warszawski Teatr Dramatyczny** pokaże **o godz. 19 „Kubusia Fatalistę".**

(kin.)

GŁOS SZCZECIŃSKI
№ 84
10.04.89

XXIV Szczeciński Tydzień Teatralny

Atrakcje bez regulaminowego kagańca

(inf. wł.) Tegoroczny XXIV Szczeciński Tydzień Teatralny nie będzie mieć nadtytułu: Ogólnopolski Przegląd Teatrów Małych Form. Po ubiegłorocznej edycji zapadły decyzje ministerialne, powodujące organizowanie tego typu imprez w formie biennale, czyli raz na dwa lata. Z tego też względu XXIV STT nie wszedł do kalendarza centralnych imprez MKiSZ w 1989 roku.

— Mimo tych postanowień — mówi przewodniczący komitetu organizacyjnego STT, Kazimierz Krzanowski — doszliśmy do wniosku, że pozbawienie szczecińskiej publiczności takiego atrakcyjnego wydarzenia, jakim jest niewątpliwie prezentacja najciekawszych zjawisk artystycznych przeniesiona z różnych scen w kraju mogłaby spowodować swego rodzaju depresję u zainteresowanych. Ubiegłoroczny festiwal miał przecież rekordową frekwencję. Być może biennale daje większe szanse wyboru propozycji, a tym samym podniesienia poziomu imprezy, nie znaczy to jednak, że bez regulaminowego kagańca, bez ograniczenia co do formy, stajemy w tym roku na gorszej pozycji. Uwalniając się bowiem od ram regulaminowych XXIV STT może być właśnie jeszcze bardziej interesujący dla publiczności. Poza tym trwać będzie dziesięć, a nie cztery dni. Oczywiście, STT w przyszłym roku, będzie — zgodnie z decyzjami ministerstwa — Ogólnopolskim Przeglądem Teatrów Małych Form — Szczecińskim Tygodniem Teatralnym, imprezą konkursową. I tak na przemian. Tegoroczną natomiast imprezę kreujemy na wzór Warszawskich Spotkań Teatralnych. Połowa pokazanych tam propozycji znajdzie się na naszej imprezie. Udało się pozyskać do współpracy dyrektora Teatru Rzeczypospolitej Mieczysława Marszyckiego. Teatr ten wprowadza do STT „Samobójcę" Mikołaja Erdmana z Teatru Współczesnego we Wrocławiu, w reżyserii Jerzego Jarockiego oraz przedstawienie „Wysocki — ze śmiercią na ty" w reżyserii Stanisława Nosowicza z Teatru Bagatela w Krakowie.

XXIV Szczeciński Tydzień Teatralny — odbywa się w „tygodniu", który ma dziesięć dni. I to jest właśnie magia teatru jak zwierzają się organizatorzy. Zainaugurowany zostanie 16 bm. o godz. 16 w Klubie „13 Muz". Przy tej okazji odbędzie się otwarcie wystawy pn. „50 scenografii Jana Banuchy w szczecińskich teatrach dramatycznych". Następnie o godz. 17 (z powtórką o godz. 20) zaprezentuje się na scenie Teatru Lalek „Pleciuga" — Teatr Rzeczypospolitej z „Wysockim...". Przedstawienia STT toczyć się będą w „13 Muzach', „Pleciudze", „Korabiu", Teatrze Współczesnym i Zamku.

Repertuar XXIV STT wydaje się obiecujący, ciekawy. Poza wspomnianymi już propozycjami Teatru Rzeczypospolitej, zobaczymy monodram pt. „Stara kobieta wysiaduje" w wykonaniu znakomitej Ireny Jun z Teatru Studio w Warszawie, „Putyfarę wg T. Manna i „Gretę" wg S. Grochowiaka w wykonaniu Anny Lutosławskiej z Krakowa, inscenizację pn. „Moskwa — Pietruszki" zrealizowaną przez Teatr „77" z Łodzi. A jest jeszcze i „Witkacy — autoparodia" Teatru im. St. Witkiewicza w Zakopanem, „Faustus" z tego samego źródła, „Romanca" z Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, zaś Teatr im. Kici-Koci — Łódź—Warszawa przygotował przedstawienie pn. „Za Europą — rzecz o śmieszności i wzniosłości ostatniej naszej emigracji".

Które z tych 10 przedstawień okaże się najciekawsze — zadecydują widzowie przyznając jedyną nagrodę XXIV STT — Nagrodę Publiczności — okazjonalną statuetkę. Tradycyjnie organizatorzy redagować będą gazetkę festiwalową. Atmosferę STT określą także liczne spotkania z ludźmi teatru, krytykami sztuki, aktorami.

Honorowe przewodnictwo nad XXIV STT przyjął prezydent Szczecina Ryszard Ratkiewicz. Imprezie patronują: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Towarzystwo Kultury Teatralnej.

(bom)

Dziennik Zachodni
nr 83 dn. 10.04.89

Opolskie Konfrontacje Teatralne

Zaproszenie do refleksji

HENRYKA WACH-MALICKA

Zakopiańczycy

Młode Opole oszalało na punkcie „Zakopiańczyków". To nie komentarz, to fakt. Zaproszenie Teatru im. St.I. Witkiewicza z Zakopanego okazało się największym przebojem Konfrontacji, jeśli idzie o żywiołowość reakcji publiczności. Podzieliło też z gruntu obecnych na festiwalu krytyków i recenzentów, o żadnym bowiem ze spektakli nie krążyły tak sprzeczne opinie, jak o prezentacjach grupy Andrzeja Dziuka; od niekontrolowanego wręcz entuzjazmu po zdecydowaną niechęć. Na wszystkich spektaklach na ogół nie brakowało jednak ani jednych ani drugich, chyba że się nie dostali, z braku miejsc gdyż sale opolskiej WSI nie były w stanie pomieścić wszystkich chętnych.

„Zakopiańczycy" przywieźli trzy przedstawienia: „Autoparodię" Witkacego, „Doktora Faustusa" Marlowe'a oraz „Jak wam się podoba" Szekspira. Wszystkie trzy zrealizowane w podobnym stylu inscenizacyjnym, choć zupełnie różne gdy idzie o treść, co oczywiste, ale i nastrój. Wszystkie trzy poprzedzone celebrowanym przyjęciem gości-widzów, choć tu już było trochę trudniej zachować klimat intymności, ze względu na wspomniane wyżej oblężenie gmachu WSI. Emocji i radości z wykonywania swojego zawodu-posłannictwa artyści z Zakopanego Bogu dzięki jeszcze nie utracili. Jest to element, który, być może przebija w odczuciu widowni nawet twórcze dokonania grupy Dziuka, bo publiczność chce być kochana i czuje się „Zakopiańczykom" potrzebna. Z proponowanych przedstawień najlepszy wydał mi się „Doktor Faustus", rzecz bardzo wysmakowana inscenizacyjnie, nawiązująca do klimatu widowisk późnego średniowiecza, przede wszystkim jednak eksponująca dyskurs o granicach poznania świata przez człowieka. Spektakl dynamiczny, ale nie zakrzykujący sensu tekstu, bardzo malarski, bardzo ekspresyjny, czysty w przyjętej konwencji. „Doktor Faustus" działa na zmysły poprzez zorganizowanie przestrzeni scenicznej, światło, muzykę, ma w sobie jakąś prawdziwie teatralną magię.

W „Autoparodii" Witkacego nadmiar dobrych chęci i miłości do patrona Teatru sprawił, że młodzi artyści powybierali różne fragmenty jego tekstów, układając je w logiczny, ale nazbyt chyba rozbudowany dygresjami, ciąg skojarzeń. Jest to więc widowisko nierówne, bo Witkacego nie da się streścić w półtorej godziny, ale sympatyczne, momentami zabawne, momentami groźne. Bardzo młodzieńcze w każdym razie i bardzo spontaniczne, co być może przesłania wyraźne czasem braki warsztatu, a może nawet niweluje je zupełnie.

Najmniej udana jest inscenizacja szekspirowskiego „Jak wam się podoba", czy raczej widowisko oparte na motywach tej sztuki. Tutaj zabrakło konsekwencji stylistycznej, tak jakby realizatorzy decydując się na formę teatru jarmarcznego nie do końca znaleźli sposób na jej przedstawienie. Jest tu sporo usprawiedliwionych takim założeniem przerysowań, ale jest i sporo pomysłów nie do końca przemyślanych, obcych w całości. Z pewnością zapada w pamięć brawurowy finał, który jest zaproszeniem do wspólnej zabawy i klimat całości. Trudno w krótkiej relacji ustosunkować się do artystycznych propozycji Teatru im. St.I. Witkiewicza i w ogóle do zjawiska socjologicznego jakim one z pewnością są. W każdym razie młode Opole oszalało...

Kurier Szczeciński

№ 74
11-04-89

W niedzielę — inauguracja

Teatralne święto

XXIV Szczeciński Tydzień Teatralny będzie w tym roku cyklem prezentacji najbardziej interesujących przedstawień ze scen całego kraju, z uwzględnieniem udziału teatrów eksperymentalnych i pozainstytucjonalnych. Powrót do początkowej idei przeglądu jest obiecujący: **zapowiada bowiem kontakt kulturalny Szczecina z dokonaniami inscenizacyjnymi znanymi publiczności innych regionów kraju, nagradzanymi na konkursach i spotkaniach.**

O bogactwie tegorocznej oferty niech świadczy fakt, iż pięciodniowy dotychczas Tydzień, liczyć będzie w tym roku dni dziesięć. Cieszy więc fakt, że po latach zobaczymy znowu świetną krakowską artystkę Annę Lutosławską, że słuchać będziemy Ireny Jun, że poznamy głośny zakopiański Teatr im. St. Witkiewicza, że dociera do nas „Romanca" Jacka Chmielnika, że spotkamy się ponownie z warszawską Pracownią Teatr.

PRZEDSTAWIENIA grane będą w Klubie 13 Muz, „Pleciudze", DK Korab, Teatrze Współczesnym, Sali Bogusława Zamku Książąt Pomorskich oraz w... mieszkaniu prywatnym! Dwie sztuki sprowadza na szczecińskie święto Teatr Rzeczypospolitej: „Samobójca" N. Erdmana z Teatru Współczesnego we Wrocławiu w reżyserii Jerzego Jarockiego oraz „Wysocki — ze śmiercią na ty" z Teatru Bagatela w Krakowie.

Ten ostatni zainauguruje Szczeciński Tydzień Teatralny, występując na scenie „Pleciugi" w niedzielę, 16 o godz. 17 i 19. Godzinę wcześniej w Klubie 13 Muz odbędzie się oficjalne otwarcie tegorocznej imprezy, połączone z otwarciem wystawy pt. „50 scenografii Jana Bánuchy w szczecińskich teatrach dramatycznych".

■ **W poniedziałek, 17** — „Obiad" w DK „Korab" godz. 19 (Pracownia Teatr Warszawa) i „Stara kobieta wysiaduje" Różewicza w wykonaniu Ireny Jun z Teatru Studio w Warszawie w Klubie 13 Muz (godz. 18 i 20). Następnego dnia, we wtorek — ten sam repertuar w tych samych klubach.

■ **Środa** — to „Samobójca" Erdmana wrocławskiego Teatru Współczesnego — na scenie naszego Teatru Współczesnego (godz. 19) oraz monodram Anny Lutosławskiej „Putyfara" wg. T. Manna. Artystka wystąpi w Klubie 13 Muz. o godz. 17 i 20. W czwartek „Samobójca", w Teatrze Współczesnym o godz. 16 i 19 a Anna Lutosławska w monodramie „Greta" według sztuki St. Grochowiaka — w Klubie 13 Muz o godz. 18.30 i 20.30.

■ **Piątek, 21** — „Moskwa—Pietuszki" (Teatr 7 w „Korabiu" (godz. 17.30 i 20.30) oraz „Za Europą — rzecz o śmieszności i wzniosłości ostatniej naszej emigracji". Teatr im. Kici-Koci — Łódź—Warszawa. W sobotę powtórzenie w tych samych lokalach o zmienionej porze: pierwszy spektakl — godz. 18, drugi — godz. 19 i 21.

■ **W niedzielę 23 bm. i poniedziałek 24 bm.** — prezentacja teatru Andrzeja Dziuka z Zakopanego. Pierwszego z tych dni zakopiańczycy przedstawią „Witkacego — autoparodię" w Klubie 13 Muz. o godz. 18 oraz „Faustusa" wg. Ch. Marlowe'a w Sali Bogusława Zamku o godz. 22.15. Te same dwie sztuki, w tych samych miejscach i terminach — w poniedziałek. **Jako trzeci spektakl tego dnia dochodzi „Romanca" J. Chmielnika z Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.** Sztuka ta będzie grana o godz. 18 w „Korabiu".

■ **25, także w „Korabiu", o godz. 17 i 20** — także „Romanca". Po ostatnim przedstawieniu „Romancy" nastąpi zakończenie STT, **połączone z ogłoszeniem wyniku plebiscytu publiczności na najlepszy tegoroczny spektakl Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego. Będą emocje, bo naprawdę jest w czym wybierać! A bilety — w siedzibie TKT i w kasach teatrów.** (jf)

Nowiny

№ 85

12.04.89

Teatr WITKACEGO w Miejscu Piastowym!

Już w najbliższy czwartek, 13 bm., o godzinie 19, w sali Gminnego Ośrodka Kultury w Miejscu Piastowym, w sztuce Calderona „Wielki teatr świata" zaprezentują się aktorzy Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza z Zakopanego, który to teatr wciąż przyciąga na swe spektakle tłumy widzów.

„Wielki teatr świata" Calderona to obok „Sic et non", opartego na listach Abelarda i Heloizy i „Np. Edyp", na motywach „Króla Edypa" Sofoklesa — jedno z trzech misteriów należących do stałego repertuaru teatru na Chramcówkach. Spektakl, zdaniem krytyki, zaspokaja potrzeby i wrażliwców, i mistyków. Ale oczywiście najlepiej samemu zobaczyć i mieć własne zdanie...

Zapyta ktoś dlaczego akurat Miejsce Piastowe wybrali aktorzy teatru Witkacego? Tak się akurat składa, że 13 bm. przypada druga rocznica śmierci Tadeusza Brzozowskiego — malarza, rysownika, scenografa i aktora blisko związanego z tym zespołem, a którego imię nosić będzie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Miejscu Piastowym. Piękny gest.

Bilety są do nabycia w Biurze Wystaw Artystycznych w Krośnie oraz w sekretariacie PLSP w Miejscu Piastowym.

(ar)

Nowiny

№ 86

13.04.89

280

IMPREZY

RZESZÓW

RECITAL ALINY JANOWSKIEJ — godz. 18 i 20 — kawiarnia ZDK WSK, ul. Dąbrowskiego 83.

„Księżniczka na ziarnku grochu" — bajka H. Ch. Andersena, w wyk. Dziecięcego Zespołu Teatralnego „ZŁOTE JABŁKO" z Albigowej — godz. 11 — KLUB TURKUS WDK, ul. Okrzei.

„Ekologiczna uprawa roślin" — prelekcja Małgorzaty Kozub w Klubie Miłośników Kwiatów — godz. 17, sala 217 WDK, ul. Okrzei.

WOJEWÓDZTWO KROŚNIEŃSKIE

Przegląd szkolnych zespołów artystycznych — godz. 9 sala WDK w Krośnie.

TEATR

Teatr im. St. I. Witkiewicza w Zakopanem: „WIELKI TEATR ŚWIATA" Calderona — godz. 19, sala widow. GOK MIEJSCE PIASTOWE.

„Przygoda z iluzją" — program dla dzieci — Estrada Lublin — godz. 8, 9.30 i 11 — Sanocki Dom Kultury w Sanoku.

WOJEWÓDZTWO PRZEMYSKIE

Maraton filmowy — proj. filmów wideo — godz. 17 — KLUB MPiK w Jarosławiu.

Trybuna Opolska * nr 88 * 16.04.89

OKT „KLASYKA"

Konfiguracja

Opolskie Konfrontacje Teatralne to jedna z ważniejszych ogólnopolskich imprez artystycznych. I choć nie w każdym roku do końca spełnia ona oczekiwania opolskich miłośników teatru, to przecież już 15 lat cieszy ich zawsze niezmiernie. Z tegorocznych zaś Konfrontacji radość jest podwójna.

Po pierwsze dlatego, że mimo wielu problemów organizacyjnych — głównie: niedostatków finansowych oraz długotrwałego braku ministerialnego „błogosławieństwa" — w ogóle doszły do skutku.

Po wtóre — ponieważ stały na przyzwoitym poziomie artystycznym. W porównaniu zaś z ubiegłorocznymi OKT — na zdecydowanie wyższym. Stąd na większości konkursowych i pozakonkursowych spektakli sypały się w tym roku rzęsiste brawa, a niektóre przedstawienia (np. „Kubuś Fatalista", „Psie serce", „Faust Goes Rock") przyjmowane były wręcz entuzjastycznie. Stąd tłumy na widowni. Stąd też — chyba — taka hojność festiwalowego jury, które twórcom i wykonawcom inscenizacji przyznało 12 nagród, w tym jedną zespołową, oraz 3 wyróżnienia.

Tegoroczne Konfrontacje miały zmienioną formułę. Po raz pierwszy mianowicie znalazły się w ich programie obok klasyki polskiej dzieła klasyki światowej. Nie ulega żadnej wątpliwości, że to właśnie ta innowacja — wymuszona zresztą nikłą obecnością klasyki polskiej w repertuarze naszych scen dramatycznych, a przez to dopuszczająca na opolski festiwal dzieła dotychczas tu nieobecne (choć by Szekspira, Diderota, czy Bułhakowa), tworzące zatem wspólnie z polskimi jego nową konfigurację programową — dźwignęła w górę poziom tegorocznych Konfrontacji. Sprawiła, iż były one w sumie żywe i interesujące.

Jako się już rzekło: cieszyć się z tego trzeba. Tym bardziej, że wśród czternastu zaprezentowanych przedstawień nie zdarzyło się żenujące, choć kilka było słabych, na przykład „Mąż i żona" z Bielsko-Białskiego Teatru, „Wszak Polacy nie gęsi" z Teatru Polskiego w Czeskim Cieszynie, „Jak wam się podoba" z zakopiańskiego Teatru im. St. I. Witkiewicza, a to i owo można by zarzucić nawet niektórym spektaklom nagrodzonym.

Ale podstaw do wpadania w euforię nie ma. Nie zobaczyliśmy bowiem — co zdarzało się niekiedy w latach poprzednich — przedstawienia rewelacyjnego, nie spotkaliśmy inscenizacji, która pretendowałaby do miana wydarzenia artystycznego, nie uczestniczyliśmy w spektaklu porywającym swoim pięknem, porażającym swoją głębią intelektualną, czy wstrząsającego naszą wrażliwość.

Były natomiast — i odnotowujemy to z satysfakcją — inscenizacje zrobione sprawnie, porządnie, sugestywnie, po nowemu interpretujące teksty znane i grywane lub ciekawie odczytujące i przekładające na język sceny utwory dotychczas na deskach scenicznych nie pokazywane. Inscenizacje te z pewnością po zostaną przez czas dłuższy w pamięci widzów.

Myślę tu przede wszystkim o „Tartuffie" Moliera — przedstawieniu pokazanym przez Teatr Nowy z Poznania i obsypanym nagrodami dla: Izabelli Cywińskiej (słusznie) pierwsza nagroda za reżyserię oraz pięciu aktorów (niektórych nagradzano jednak na wyrost).

Poznański „Tartuffe" jest odarty z XVIII-wiecznego kostiumu, uwspółcześniony, umiejscowiony w bliżej nie sprecyzowanych realiach społeczno-systemowych, przez co Cywińska wyraźnie daje do zrozumienia, iż ludzie tak zaślepieni i duchowo kalecy jak u Moliera mogą się trafić zawsze i wszędzie. Odrzucając tradycyjną stereotypową interpretację tekstu „Tartuffe'a", stworzyła artystka spektakl drapieżny, a jednocześnie warsztatowo nienaganny, konsekwentnie dowodzący słuszności Molierowskiego twierdzenia, iż „człowiek, to często dość plugawe zwierzę".

Drugim wybijającym się przedstawieniem tegorocznych Konfrontacji było „Psie serce". Adaptacji i reżyserii tej znakomitej, napisanej w roku 1925, a nie wydawanej przez ponad 60 lat, powieści wybitnego i tragicznego radzieckiego pisarza Michaiła Bułhakowa dokonał w warszawskim Teatrze Powszechnym Rudolf Zioło. Szanując oryginalny tekst i starając się uchronić cały tragikomiczny klimat prozy Bułhakowa, zrobił Zioło przejmujące dzieło sceniczne; **przy zachowaniu licznych pierwiastków komediowych — przede wszystkim bardzo gorzkie; czytelnie artykułujące myśl, że tak w życiu jednostki ludzkiej, jak też w zbiorowej społecznej egzystencji nie można działać wbrew prawom natury, nie można niszczyć ich rozumnego, logicznego ładu.**

Spektakl warszawski Teatru Powszechnego uhonorowany został trzema nagrodami. Otrzymali je: Rudolf Zioło za reżyserię, Mariusz Benoit za rolę Szarika-Szarikowa oraz Janusz Stokłosa za muzykę.

Niezwykły aplauz nadkompletu publiczności wzbudziła inscenizacja „Kubusia Fatalisty" Denisa Diderota, przywieziona na Konfrontacje przez warszawski Teatr Dramatyczny. Rzecz została scenicznie przygotowana przez Zbigniewa Zapasiewicza według dawnej, sprzed parunastu lat, reżyserskiej wizji nieżyjącego już Witolda Zatorskiego. O wizji tej Zapasiewicz powiedział w Opolu na pospektaklowej dyskusji, że jest najdoskonalsza i niepodważalna.

Zaakceptowała ją również opolska widownia, a brawurowa gra całego ośmioosobowego zespołu aktorskiego przypadła do gustu zarówno publiczności, jak też została uhonorowana przez jurorów nagrodą zbiorową.

Do najlepszych przedstawień tegorocznych OKT trzeba niewątpliwie zaliczyć „Dybuka" zaserwowanego przez zespół krakowskiego Starego Teatru, a wyreżyserowanego przez Andrzeja Wajdę. Kiedy się ogląda takie, jak ten właśnie, spektakle — człowiekowi wraca wiara w wielką urodę teatru. Taka właśnie jest ta krakowsko-Wajdowska inscenizacja: wysmakowana plastycznie, z urzekającą scenografią (nagroda dla Krystyny Zachwatowicz), ze świetną grą aktorów (na pierwszym planie Aldona Grochal — nagroda i Jan Peszek — tym razem bez nagrody), pozornie konwencjonalna, a przecież posiadająca wybitnie indywidualne piętno znakomitego reżysera.

Osobny rozdział stanowiły 3 pozakonkursowe spektakle zaprezentowane przez zakopiański Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Jest to jedna z najmłodszych polskich scen dramatycznych, a jednocześnie w upartych poszukiwaniach artystycznych kształtująca swój oryginalny styl. Czasami te poszukiwania dają efekty znakomite. Tak stało się, na przykład, w przypadku pokazanego również w Opolu „Dr. Faustusa" Christophera Marlowe'a w reżyserii Andrzeja Dziuka, dyrektora zakopiańskiego teatru. Artyści z Zakopanego zaprezentowali inscenizację przypominającą jednocześnie: średniowieczne misterium, plebejski moralitet, teatr jarmarczny i wędrowny. Była ona ascetyczna scenograficznie, posługująca się niewielką ilością tradycyjnych środków teatralnych, w sposobie zaś aktorskiej gry — nadekspresyjna. Wszystko to razem dawało efekty zapierające widzom dech w piersiach.

Kiedy indziej zakopiański teatr trafia w swoich poszukiwaniach kulą w płot. Wtedy powstają tak zupełnie nieudane przedstawienia, jak pokazana także podczas OKT inscenizacja Szekspirowskiej komedii „Jak wam się podoba". Ale to są chyba koszty każdego eksperymentu.

Z pozostałych przedstawień trzeba przypomnieć przepiękne widowisko muzyczno-baletowe „Faust Goes Rock" (pełna symbioza tanecznego mistrzostwa, dobrego aktorstwa, znakomitej choreografii i pięknej muzyki), jakim — głównie młodych — widzów uraczył Polski Teatr Tańca z Poznania.

Zupełnie dobrze wypadł Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu — gospodarz festiwalu. Pokazano zgrabnie wyreżyserowaną (Jerzy Schejbal) i sprawnie zagraną (wyróżnienie dla Krystyny Maksymowicz) komedię Aleksandra Fredry „Mąż i żona", natomiast Wiesław Cichy wystąpił ze świetnym wykonaniem monodramu „Firma portretowa" według tekstu Witkacego. Jury wyróżniło zaś Jana Nowarę za — jak stwierdzono w tekście komunikatu — *interesującą próbę interpretacji „Elektry" Eurypidesa.*

Opolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka" '89 stanowiły zatem bogatą w różnorodne elementy konfigurację: różne teksty, różne gatunki sceniczne, znowelizowana formuła imprezy, różne „szkoły" inscenizacyjne.

Jakie będą Konfrontacje za rok (bo chyba dojdą do skutku?) — nikt dziś nie jest jeszcze w stanie powiedzieć. Na przykład — czy powróci się tylko do klasyki polskiej, czy też kontynuować się będzie zapoczątkowaną w tym roku formułę.

JÓZEF SZCZUPAŁ

Dziennik Zachodni
№ 90
18.04.89

Opolskie Konfrontacje Teatralne

Różne klucze - różne zamki

HENRYKA WACH-MALICKA

Z dwóch wersji, tłumaczących zmianę formuły Opolskich Konfrontacji Teatralnych, przyjmujemy tę oficjalną. Głosi ona, iż teatry tak dalece zrezygnowały w swoich repertuarach z klasyki polskiej, że trzeba było rozszerzyć przegląd o prezentację dramatu światowego. Dramaturgię polską reprezentowała w konkursie dosłownie tylko jedna sztuka — „Mąż i żona" Aleksandra Fredry w wykonaniu gospodarzy.

Nie inaczej na afiszach imprez towarzyszących; tutaj tylko dwa razy Witkacy — monodram Wiesława Cichego i „Autoparodia" przywieziona przez Teatr z Zakopanego — oraz „Wszak Polacy nie gęsi" Ludwika H. Morstina (Scena Polska z Czeskiego Cieszyna) i... ponownie „Mąż i żona" (Teatr Polski z Bielska-Białej). A więc mało i niezbyt typowo; o Witkacego jeszcze parę lat temu trwała w Opolu batalia (już klasyk, czy jeszcze nie), Morstin został klasykiem głównie ze względu na treść utworu (coś ze staropolszczyzny), a Fredro jest klasykiem niejako z urzędu (zawsze się sprawdza).

Miniony rok nie przyniósł więc ani jednej naprawdę interesującej, bulwersującej, poruszającej interpretacją lub formą realizacji, pozycji polskiej dramaturgii minionych epok. W kilkudziesięciu teatrach całego kraju grywa się i taki repertuar, ale po żadnej z inscenizacji nie poszedł w Polskę pogłos, „że warto, że trzeba, że wypada" ją obejrzeć.

Jeśli jednak odrzucić pytanie, dlaczego tak się dzieje i skupić się na ocenie artystycznej tegorocznych Konfrontacji, to można powiedzieć, że były one z pewnością udane, w wielu bowiem przedstawieniach (konkursowych i towarzyszących) mieliśmy do czynienia z dobrą albo bardzo dobrą robotą teatralną. W niektórych odnaleźliśmy prawdy uniwersalne, brzmiące wiarygodnie i przekonująco; w innych komentarz do polskich spraw, wcale zresztą nie nachalny.

Po wyróżnienia i nagrody startowały w tym roku: „Dybuk" Szymona Anskiego (Stary Teatr — Kraków), „Elektra" Eurypidesa (Teatr im. J. Kochanowskiego — Opole), „Tartuffe" Moliera (Teatr Nowy Poznań), „Mąż i żona" Aleksandra Fredry (Opole), „Psie serce" Michaiła Bułhakowa (Teatr Powszechny — Warszawa), „Kubuś Fatalista" wg Denisa Diderota (Teatr Dramatyczny — Warszawa). Jedni co prawda pytali o nieobecność innych ważnych przedstawień, drudzy się z tej nieobecności tłumaczyli, ale nie o to chodzi. Konfrontacje mamy już za sobą, dyskusje i werdykty także.

Decyzja jury (zwrot protokołu „większością głosów wskazuje na burzliwe dyskusje) usatysfakcjonowała chyba publiczność, która nie zaprotestowała ani razu, mimo iż zwykła wyrażać swoje sympatie i antypatie bez ogródek. I choć jury, nie uzasadniało werdyktu, to wydaje się, że przyznało nagrody przede wszystkim za twórcze myślenie i precyzyjną robotę teatralną. Obydwa te warunki spełniają przecież Izabella Cywińska i jej zespół; reżyserka proponując interesujące i przemyślane w najmniejszym szczególe odczytanie „Świętoszka", zaś aktorzy tworząc w tym spektaklu role w wielu przypadkach na miarę prawdziwych kreacji. Nic dziwnego, że wspólnie rozbili bank nagród.

Prawdziwa burza rozegrała się jednak poza sceną festiwalową a poszło rzecz jasna o granice artystycznego eksperymentu, o to, jak czytać klasykę i czy wolno uwspółcześniać ją do kształtu daleko odbiegającego od pierwowzoru.

Pierwszy pomruk poszedł po przedstawieniu Polskiego Teatru Tańca z Poznania, który przedstawił widowisko pt. „Faust Goes Rock". Boże jedyny — mówili „zatroskani" — do czego to dochodzi! Już sam tytuł, który bezczelnie zestawia postać tak obrosłą legendą jak Faust ze współczesną muzyką rozrywkową, a co dopiero wykonanie, kostiumy, dekoracje. I to się w dodatku tak podoba młodzieży; pora umierać...

Drugiego ataku przerażenia doznali „zatroskani" na spektaklach Teatru im. St. Witkiewicza z Zakopanego. Tutaj jednak wytoczyli znacznie cięższe zarzuty — monotonię środków wyrazu, niedostatki warsztatu, lekceważenie materii dramaturgicznej.

Tymczasem zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku reakcja widowni — nie tylko młodzieżowej, choć przede wszystkim jej — zaskoczyła twórców i wykonawców. I chociaż entuzjazm był szalony za każdym razem, to inne — sądzę — jego powody. Polski Teatr Tańca zaimponował przede wszystkim nowatorskim kształtem inscenizacyjnym i choreograficznym swojego widowiska, w którym Faust obecny jest przede wszystkim jako postać organizująca sceniczne działania. Nie podzielam i nie rozumiem zarzutów „zatroskanych", którzy zapomnieli chyba, że bohaterami współczesnych widowisk muzycznych były już postacie o wiele większą owiane legendą, choćby sam Jezus Chrystus.

Nieco inaczej rzecz ma się z Teatrem z Zakopanego, tutaj największej zalety dopatruję się w niezwykłej umiejętności nawiązywania kontaktu z widzem, w atmosferze nie tylko „okołospektaklowej", ale i panującej na samych przedstawieniach. To rzecz niezwykłej wagi szczególnie dzisiaj, gdy publiczność czuje się — bywa! — lekceważona przez teatr, albo traktowana co najmniej obojętnie. I ja niepokoję się o dalszy rozwój twórczy „Zakopiańczyków", ale nie chciałabym dożyć chwili, kiedy wycyzelowany warsztat zabije w nich spontaniczność i żarliwe przekonanie o tym, że teatr jest sensem ich świata. Mam tylko nadzieję, że będą rozsądni, że nie pozwolą zaklaskać się na śmierć, a w swoim pomyśle na teatr zechcą poszukiwać wciąż nowych dróg.

I nie niepokoiłabym się o młodzież, o nie! Przegadałam dwa opolskie wieczory z ambitną 18-latką z Katowic, Oleńką Zawalską, która dojeżdżała na Festiwal, bo kocha teatr i szuka jak najczęstszego z nim kontaktu. To ona powiedziała mi — niejako w imieniu swoich rówieśników — „młodym podoba się dobry teatr, bez względu na to jakim kluczem otwiera on klasykę. Wzrosły tylko wymagania i oczekiwania, wzrosła tęsknota za teatrem poruszającym i docierającym do nas. Metoda nie gra roli".

Kurier
Szczeciński

nr 79
z dnia 21/23 · 04 '89

24 Szczeciński Tydzień Teatralny

280

Trwa i się rozwija...

OD minionej niedzieli szczecińska publiczność codziennie ogląda nową propozycję teatralną, przedstawianą w małej lub dużej formie scenicznej. Są to monodramy, widowiska eksperymentalne i wreszcie tradycyjne przedstawienia z różnych krajowych scen.

Za nami są już spotkania z krakowskim Teatrem Bagatela („Wysocki — ze śmiercią na ty"), warszawską Pracownią Teatr („Obiad"), znakomitą Ireną Jun („Stara kobieta wysiaduje"), równie świetną Anną Lutosławską („Putyfara", „Greta"), wrocławskim Teatrem Współczesnym („Samobójca").

W tych dniach obejrzymy spektakle Teatru im. Kici-Koci („Za Europą — rzecz o wzniosłości i śmieszności najnowszej emigracji"), Teatru im. St. I. Witkiewicza z Zakopanego („Dr. Faustus", „Autoparodia") oraz Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa („Romanca").

Festiwalowi towarzyszy czynna w Klubie 13 Muz wystawa „50 szczecińskich scenografii Jana Banuchy". Tworzą ją fotogramy ze sztuk, do których ten prawdziwy artysta teatru projektował dekoracje i kostiumy.

(jf)

Głos Szczeciński

№ 97 z dnia 25.04.89

280

Kto otrzyma Nagrodę Publiczności?

Dziś zakończenie XXIV STT

(Inf. wł.) „Romanca" Jacka Chmielnika (Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie) zakończy dziś dwoma spektaklami w DK „Korab" o godz. 17 i 20 XXIV Szczeciński Tydzień Teatralny. Tuż po ostatnim przedstawieniu obliczone zostaną głosy publiczności przyznającej swoją nagrodę za najlepszą, najciekawszą propozycję festiwalu. Przypomnijmy, iż do tego lauru kandydują: Teatr Bagatela z Krakowa („Wysocki ze śmiercią na ty"), Pracownia — Teatr — Warszawa („Obiad"), Teatr Studio-Warszawa (monodram Ireny Jun „Stara kobieta wysiaduje"), Teatr Współczesny z Wrocławia („Samobójca"), Anna Lutosławska z Krakowa (dwa monodramy — „Putyfara" i „Greta" Teatr „77" — Łódź („Moskwa — Pietuszki"), Teatr im. St. Witkiewicza w Zakopanem (dwa przedstawienia: „Witkacy — Autoparodia" i „Faustus") oraz Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie („Romanca").

(bom)

Głos Szczeciński
№ 98 DNIA 26.04.89

Zakończył się XXIV STT

Teatr z Zakopanego – laureatem Nagrody Publiczności

(Inf. wł.) W stoczniowym Domu Kultury „Korab" zakończył się wczoraj, późnym wieczorem XXIV Szczeciński Tydzień Teatralny. Od 16 kwietnia br. publiczność festiwalowa obejrzała 11 przedstawień, z których jedno — „Za Europą — rzecz o śmieszności i wzniosłości ostatniej naszej emigracji" w/g scenariusza i w reżyserii Zbigniewa Micha (Teatr im. Kici Koci — Łódź—Warszawa) dostępne było tylko dla nielicznych wybrańców gdyż zaprezentowane w warunkach bardzo kameralnych, w mieszkaniu szczecińskiego aktora Sylwestra Woronieckiego. XXIV STT — wprawdzie w br. pozbawiony emocji konkursowych — dostarczył wielu wrażeń, był, jak to niektórzy obserwatorzy imprezy zauważyli — pewnym odbiciem dzisiejszej kondycji teatru w Polsce. Festiwal cechowała spora różnorodność form, od monodramów (wspaniałe kreacje Ireny Jun i Anny Lutosławskiej) po przedstawienia wieloobsadowe zrealizowane z rozmachem. Do takich zaliczyć można zwłaszcza dwa artystyczne dokonania Teatru im. St. Witkiewicza w Zakopanem, — „Witkacy — Autoparodia" i „Faustus" (oba w reżyserii, scenografii i w/g scenariusza Andrzeja Dziuka). O teatrze tym głośno w całym kraju. Szczeciński Tydzień Teatralny zaszczycił także Teatr Rzeczypospolitej, patronując Teatrowi Bagatela z Krakowa („Wysocki ze śmiercią na ty") oraz Teatrowi Studio w Warszawie („Samobójca").

Były przedstawienia lepsze i gorsze, w sumie jednak — zasięgając opinii u organizatorów i niektórych widzów — nie było tzw. „niewypałów".

Zmienna temperatura XXIV STT podniosła się znacznie po występach aktorów z Zakopanego oraz po ostatnim przedstawieniu — „Romance" Jacka Chmielnika (Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie) — po którym festiwalowa komisja podliczyła głosy widzów przyznających nagrodę publiczności. Ten najpiękniejszy laur XXIV STT otrzymał Teatr im. St. Witkiewicza z Zakopanego za przedstawienie „Faustus", zrealizowane przez Andrzeja Dziuka.

(bom)

Kurier Podlaski

nr 83

z dn. 27.04.'84

Wielki Teatr Świata

W Białostockim Teatrze Lalek

Rzecz reżyseruje **Tadeusz Słobodzianek**, asystują mu: Hiszpan, Argentynka, Niemka i kilku Polaków. Zapowiada się więc naprawdę „Wielki Teatr Świata" **Calderona de la Barci** czyli hiszpański barok w całej okazałości. Scenografię do tego przedstawienia projektuje **Halina Zalewska**, a muzykę napisał **Krzysztof Dzierma**.

Sztuka należy do gatunku autos sacramentales — przedstawień bardzo hiszpańskich, grywanych w Boże Ciało tuż po procesji i nie unikających ludowej groteski.

W Polsce „Wielki Teatr Świata" — przetłumaczony kilka lat temu przez Leszka Białego — wystawił dotąd tylko zakopiański Teatr Witkacego. Warto również odnotować, że plakat do białostockiego spektaklu Calderona zaprojektował **Stasys**, twórca cieszący się w świecie ogromną popularnością.

Premiera już w najbliższy piątek, 28 bm. o godzinie 19. Zapraszamy, informując że bilety w Białostockim Teatrze Lalek ciągle tylko po 200 zł.

(ank)

Teatr Witkacego w Andrychowie

ANDRYCHÓW. Słynny Teatr Stanisława Ignacego Witkiewicza z Zakopanego wystąpi po raz pierwszy na terenie województwa bielskiego. W najbliższą niedzielę, 30 kwietnia, zespół ten da jeden spektakl w Zakładowym Domu Kultury „Andropol" w Andrychowie. Będzie to **„Wielki teatr świata"** Calderona. Początek przedstawienia o godz. 19.

Organizatorem występu Teatru z Zakopanego jest Osiedlowe Koło PTTK „Chałupa", które działa przy Andrychowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. O bogatej działalności tego koła pisaliśmy niedawno na łamach „Kroniki". Przypomnijmy więc tylko, że jest ono centralnym i wojewódzkim laureatem konkursu „Bliżej Teatru", a w tym roku jego członkowie doprowadzili już m.in. do tego, że w Andrychowie odbył się przedpremierowy pokaz filmu „Łabędzi śpiew" i spotkanie z jego autorami. Tym razem w przygotowaniu imprezy pomagają „Chałupie" miejscowe placówki kulturalne — M—GOK i ZDK.

Bilety na występ zakopiańskiego Teatru (po 2 tys. zł) można nabyć w ASM (ul. Włókniarzy 18, tel. 529-75) w g. 7—15 lub w siedzibie „Chałupy" (ul. Włókniarzy 16, obok biura PT „Beskidy") w g. 17—19. Jeśli pozostaną wolne miejsca na widowni, bilety będą również sprzedawane bezpośrednio przed spektaklem w ZDK. (lem)

Teatr

nr 4 z dn. 04'89

kronika

MEKSYK

— W Uniwersytecie Autonomicznym powstał teatr, którego pierwszym przedstawieniem jest „Żegnaj, Judaszu" Ireneusza Iredyńskiego. Spektakl zrealizowali studenci III i V semestrów Wydziału Humanistycznego — kierunek teatralny — Arte Dramatico (listopad—grudzień 1988).

RFN

— W Stadttheater w Giessen Marcel Kochańczyk wyreżyserował w listopadzie ub.r. „Krzesła" Eugène Ionesco.

STANY ZJEDNOCZONE

W lutym bieżącego roku Gustaw Holoubek wraz z Ewą Wiśniewską, Magdaleną Zawadzką i Piotrem Fronczewskim zaprezentowali „Skizа" Zapolskiej. Występy w Nowym Jorku, Chicago, Montrealu, Toronto i Calgary.

— Podobnym szlakiem wędrował w grudniu ub.r. i styczniu br. krakowski zespół Piwnicy pod Baranami ze swoim najnowszym programem.

SZWECJA

— Andrzej Łapicki i Mieczysław Czechowicz wystąpili na przełomie listopada i grudnia ub.r. w Sztokholmie z „Emigrantami" Sławomira Mrożka, w reż. Andrzeja Łapickiego, scen. Marcina Stajewskiego.

WIELKA BRYTANIA

— Interesującym wydarzeniem w życiu kulturalnym Glasgow była zorganizowana w listopadzie 1988 przez Third Eye Centre przy współpracy z Ministerstwem Kultury i Sztuki w Warszawie impreza zatytułowana „Polish Realities. Polish Arts in the 1980s.". Ambicją organizatorów była próba ukazania najbardziej charakterystycznych dla polskiego teatru lat 80-ych zjawisk artystycznych. Nurt teatrów niekonwencjonalnych reprezentowały dwa znane zespoły: Akademia Ruchu ze spektaklami „Życie codzienne po Wielkiej Rewolucji Francuskiej", „Kartagina" i „English Lesson" oraz Teatr Ósmego Dnia z przedstawieniami „Piołun" i „Wzlot". Widzowie mogli ponadto wziąć udział w prowadzonych przez oba zespoły warsztatach, jak również w zorganizowanym przez Akademię Ruchu widowisku ulicznym i seminarium zatytułowanym „Sztuka w teatrze życia w Polsce". Przygotowana przez Centrum Sztuki Studio projekcja wideo, poprzedzona wykładem zarysowującym założenia artystyczne czołowych teatrów w Polsce, objęła pełną prezentację spektakli „Wielopole, Wielopole..." Tadeusza Kantora, „Powolne ciemnienie malowideł" Jerzego Grzegorzewskiego, jak również dwa seanse, na które złożyły się fragmenty przedstawień zespołów „Gardzienice", Teatru Ósmego Dnia, Sceny Plastycznej KUL w Lublinie, Akademii Ruchu oraz fragmenty spektakli: „Witkacy — Autoparodia", „Cabaret Voltaire" (Teatr im. Stanisława I. Witkiewicza w Zakopanem), „Zbrodnia i kara" (Stary Teatr z Krakowa). Projekcja tego ostatniego spektaklu poprzedzona została filmem dokumentalnym o Andrzeju Wajdzie.

Organizatorzy „Polish Realities" zdecydowali się w ostatnim momencie na włączenie do programu występu studentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej z Warszawy, którzy dwa tygodnie wcześniej przybyli do Glasgow na zaproszenie Edwarda Argenta, szefa wydziału aktorskiego Royal Scottish Academy of Music and Drama. Pokazany przez warszawskich studentów spektakl „Wesele u drobnomieszczan" Bertolta Brechta w reżyserii Piotra Cieślaka uzyskał tak wysokie oceny krytyki, iż postanowiono zaprezentować go powtórnie już w ramach samej imprezy.

Występom polskich artystów wiele miejsca poświęciła najbardziej prestiżowa gazeta szkocka „Glasgow Herald" (m.in. recenzja Keith Bruce z 3 XII 1988 i Mary Brennan z 2 XII 1988) oraz „The Scotsman" (recenzja Josepha Farrella z 3 XII 1988). Poniżej podajemy fragment jedynej dostępnej nam recenzji z „Wesela u drobnomieszczan" (ang. tytuł „Wedding"), pióra Mary Brennan, zamieszczonej w „Glasgow Herald":

„...Członkowie młodego zespołu są już zdumiewająco biegli w posługiwaniu się własnymi twarzami, ciałami i głosami, czyniąc to z wszechstronnością, która pozwala im na przekazanie wszelkich podtekstów. Ich sztuka umożliwia nie tylko barwną i ostrą interpretację Brechta, ale pozwala też widzowi na intrygujący wgląd w proces formowania przez trening aktorski szczególnego rodzaju fizycznej ekspresji, która może łączyć element groteski i dojmującego wzruszenia. (...)"

WŁOCHY

— „Sen nocy letniej" Szekspira na scenie Teatro dell Arca we Forli wyreżyserował Tadeusz Bradecki. Premiera odbyła się 15 I br.

ZSRR

— „Zemstę" Fredry i „Betlejem polskie" Rydla zaprezentowali widzom Lwowa artyści krakowskiego Teatru Ludowego. Spektakle, wystawione na scenie Akademickiego Teatru Dramatycznego im. M. Zankowieckiej w styczniu br. odbyły się przy pełnej widowni i żywej reakcji publiczności. Polskich artystów witano chlebem i solą, nagradzano owacjami i kwiatami. Lwowska prezentacja była efektem porozumienia o współpracy ministerstw kultury Ukraińskiej SRR i PRL, podpisanego w czerwcu ub. roku przez szefów obydwu resortów — J. Olenienkę i Aleksandra Krawczuka. Rozpoczęte z takim powodzeniem kontakty teatrów lwowskiego i krakowskiego obejmują nie tylko wyjazdowe spektakle zespołów, ale również wymianę aktorów, reżyserów oraz wspólne przygotowywanie niektórych pozycji repertuarowych.

— W listopadzie ub. roku wyjechał na występy do Rygi Teatr Polski ze Szczecina z „Idiotą" wg Fiodora Dostojewskiego (adapt. Stanisław Brejdygant, reż. Andrzej May, scen. Jan Banucha, muz. Janusz Stalmierski) i „Złodziejem" Wiesława Myśliwskiego" (reż. Daniel Bargiełowski, scen. Jan Banucha, muz. Janusz Stalmierski).

— Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza z Zakopanego w grudniu ub. roku na moskiewskiej scenie nowego MChAT-u pokazał „Doktora Faustusa" Marlowe'a i przedstawienie „Witkacy — Autoparodia" — oba w reż. Andrzeja Dziuka.

— W leningradzkim Teatrze Eksperyment Marek Okopiński wyreżyserował „Ludzi cesarza" Zygmunta Hübnera. Premiera odbyła się w grudniu ub.r.

— W pierwszych dniach lutego staraniem Związku Artystów Teatru Rosyjskiej Federacji oraz Polskiego Ośrodka Kultury i Informacji odbyło się w Moskwie spotkanie polskich działaczy teatru z radzieckimi twórcami, reżyserami, teatrologami i krytykami poświęcone współczesnej dramaturgii polskiej i nowym realizacjom w naszych teatrach. Informacji udzielali: Kazimierz Dejmek, Jerzy Koenig i Edward Krasowski z MKiS. Po ich wystąpieniach wywiązała się ożywiona dyskusja, w której udział wzięli m.in. N. Baszindżagian, E. Chodunowa, Aleksander G. Towstonogow, W. Frołow, W. Iwanowa, N. Orłow, S. Lerman, J. Kolcow, E. Tabacznikow, I. Cholmogorowa, a także dramaturdzy, twórcy licznych moskiewskich teatrów studyjnych, tłumacze literatury polskiej, studenci GITIS-u, przedstawiciele prasy.

Dwudniowe spotkanie zorganizowane zostało w związku z przygotowaniami do festiwalu polskiej dramaturgii, który odbędzie się w Związku Radzieckim w bieżącym roku. (J.S.)

(Opr. E.B.)

Głos Szczeciński

nr 103 z dnia 3.05.'89

XVII konkurs „Głosu" i TKT

Młodzi Miłośnikami Melpomeny

GŁOS SZCZECIŃSKI

Zakopane, Zakopane...

Wielu członków kół MMM skorzystało z okazji, jakie stwarzał Szczeciński Tydzień Teatralny. Obejrzeli więc interesujące spektakle, porównywali różne wykonania tych samych przedstawień, jak np. „Samobójcy", pokazanego niedawno w teatrze telewizji. Grono gorących zwolenników powiększył teatr z Zakopanego. Młodzieży podobała się zarówno „Autoparodia" Witkacego, jak i „Dr Faustus" Marlowe'a. Spontaniczność, brawurowość, świeżość i niezwykłą pomysłowość „szajki prawdziwych zakopiańczyków", młodzież nagradzała owacjami.

„Metafizyczne misterium ludzkich żądz i sprzeczności gwałci i obezwładnia mózgi widzów już od chwili wejścia późną nocą do Sali Bogusława Zamku Książąt Pomorskich — napisał Dariusz Sadłocha z koła MMM przy Technikum Mechanicznym im. Synów Pułku LWP. „Dr Faustus" to opowieść o człowieku, który zbytnio zaufał swojej wiedzy i sile".

Koło to przygotowało, pod opieką Zofii Zórawskiej, inscenizację „Najwięksi dramatopisarze polscy". W turnieju wiedzy o teatrze najlepszym okazał się Przemysław Stefańczyk z kl. IIIc.

Uczniowie z Zespołu Szkół Rybołówstwa Morskiego w Świnoujściu zorganizowali w ub. miesiącu wiele spotkań, imprez i dyskusji. Obejrzeli montaż opery Haydna „Aptekarz", w wykonaniu zespołu kameralnego Filharmonii Szczecińskiej. Był to dla nich wspaniały przykład „śpiewającego teatru". Wyjazd do Szczecina na przedstawienie „Tanga" członkowie koła MMM wykorzystali także na poznanie Teatru Współczesnego od kulis. Sławomir Kwiatkowski komplementuje przedstawienie, grę aktorów. „Odwieczny konflikt pomiędzy młodym, a starszym pokoleniem i tu znalazł swoje miejsce. Artur rzuca wyzwanie swojej własnej egzystencji. I przegrywa. Ale przecież jeśli młody chce wygrać nie może tańczyć tak, jak mu zagrają".

Członkowie koła przy ZSRM wystawili sztukę J. Szaniawskiego „Dwa teatry". Spektakl został gorąco przyjęty przez uczniów tej szkoły. W tym miesiącu koło planuje wycieczkę teatralną do Warszawy.

Uczniowie Technikum Mechaniczno-Energetycznego w Szczecinie poznali zaplecze Teatru Polskiego, interesowali się pracami poprzedzającymi premiery. Gazetkę ścienną poświęcili S. Mrożkowi i „Tangu". TME zdobyło puchar w imprezie „Jacy jesteśmy". Współtwórcami nagrodzonego przedstawienia byli także członkowie koła MMM.

KULTURA

N 18
3.05.
1989

Klasyka w Opolu — inaczej

Wanda Jesionowska

Tegoroczne Opolskie Konfrontacje Teatralne, Klasyka, utrzymały się w repertuarze ogólnopolskich imprez festiwalowych właściwie głównie dzięki uporowi opolan. Wiadomo przecież, że Ministerstwo Kultury i Sztuki, współorganizator wprawdzie, ale jako sponsor niebogate, proponowało, aby festiwal ten odbywał się co dwa lata. Tym bardziej że — jak twierdzono — trudno co roku dobrać nawet kilka dobrych przedstawień. Klasyka polską nie zawsze znajduje sprzymierzeńców w teatrach.

Dyrektor Teatru im. Jana Kochanowskiego Maciej Korwin, który jest w tym teatrze dopiero niecałe dwa lata, szybko się jednak zorientował, że Opole nie tylko jest dumne ze swojego naprawdę ogromnego pod względem kultury — i kłopotliwego — teatru, ale jest też gotowe „stanąć murem" w obronie festiwalu stanowiącego dla publiczności prawdziwe święto, szeroki kontakt ze sztuką, możliwość obejrzenia tego, co w polskim teatrze jest najlepszego. Odwołał się więc do tych szlachetnych uczuć mieszkańców, poszedł po prośbie do zakładów pracy i gdzie się dało, zdobył niezbędne fundusze i obronił festiwal.

Trzeba też przyznać, że dyrektor Korwin potrafił przy tym trzeźwo ocenić zarówno dorobek fesitwalu, jak i jego słabość. Dzięki temu opracowano w zespole nowe założenia opolskiego przeglądu — nie tylko klasyka polska, ale i obca — co znacznie poszerzyło repertuar imprezy i podniosło poprzeczkę doboru przedstawień.

Półtora miliona złotych, które udało się zgromadzić na nagrody, pozwoliło mierzyć wysoko. Może nawet i na Grand Prix. Pewnie i byłaby przydzielona ta wysoka nagroda, gdyby nie stan zdrowia Krystyny Jandy, uniemożliwiający sprowadzenie do Opola „Medei" Eurypidesa z Teatru Powszechnego w Warszawie. Powszechny przywiózł więc do Opola inne swoje przedstawienie, „Psie serce" Bułhakowa w reżyserii i adeptacji Rudolfa Zioło, mającego przed tym kilka udanych prac na swoim koncie. Oczywiście jury opolskiego przeglądu w składzie różnorodnym, od aktora, scenografa, muzyka, po co najmniej trzech surowych krytyków z przewodniczącą Bożeną Winnicką na czele — doceniło to przedstawienie. Nagrodziło zarówno reżyserię (II nagrodą), jak muzykę Jana Stokłosy, a przede wszystkim Mariusza Benoit za rolę Szarika-Szarikowa. To dobre przedstawienie, znane publiczności nie tylko warszawskiej, miało wiele szczegółowych recenzji, więc go opisywać nie ma potrzeby.

Plakaty zapowiadające „Tartuffe'a" Moliera, w wykonaniu Teatru Nowego z Poznania, początkowo tak bardzo nie kusiły młodzieży, która wykupywała na ogół najtańsze, stojące miejsca, robiąc nie tylko tłok na widowni, ale i wspaniałą atmosferę festiwalową. (Bilety normalne kosztowały po 1500 zł i także rozchodziły się, co bardzo dobrze świadczy o pomocy publiczności opolskiej dla teatru). Jednak forpoczta z popołudniówki, która obejrzała spektakl o godzinie 17.00 zrobiła Cywińskiej, reżyserującej „Tartuffe'a", dobrą opinię i na wieczornym konkursowym spektaklu był tłok. Ponad tysiąc osób na widowni.

Izabella Cywińska na spotkaniu z publicznością po konkursowym przedstawieniu mówiła, że jej realizacja „Tartuffe'a" nie została jeszcze szczegółowo przez krytyków opisana, a zespół ma oczywiście trudności z opiniowaniem wykonywanego przez siebie spektaklu. Podkreśliła, że zależało jej głównie na takiej wymowie sztuki, iż najważniejszą sprawą jest danie świadectwa prawdzie, nawet za cenę niewspółmiernie wysoką do efektów. Spotęgowane jest to w przedstawieniu wyraźnymi odniesieniami do współczesności w oddaniu atmosfery strachu, nieufności, donosicielstwa. Interpretacja bardzo efektowna i sugestywna, chociaż nie zawsze w pełni udokumentowana. Klasyka bowiem rządzi się pewnymi regułami w konstrukcji sztuki, których naruszenie, służące nawet bardzo przekonującym założeniom, interpretacyjnym mści się złamaniem kompozycji, trudnościami z klarownym finałem itp.

Jury przyznając Izabelli Cywińskiej I nagrodę za reżyserię „Tartuffe'a" nie poskąpiło nagród i aktorom, rozdając je hojnie niemal całemu zespołowi. Nie budzi to mojej aprobaty, gdyż poza rolą tytułową w wykonaniu Michała Grudzińskiego, gra reszty zespołu nie wyróżniała się poziomem wykonawstwa bardziej niż innych aktorów prezentowanych w konkursie przedstawień — jak chociażby Małgorzaty Andrzejak w „Elektrze" Eurypidesa. A na pewno ustępowała aktorom z krakowskiego Teatru Starego.

Bo też miał ten zespół pecha ze swoim „Dybukiem" Szymona Anskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy. To piękne, pełne wizualnego uroku przedstawienie (nagroda za scenografię i kostiumy dla Krystyny Zachwatowicz), tak porywające widzów w swej pierwszej części, po przerwie zionęło już tylko bezkresną nudą, w której reżyser pogrążył zarówno widzów jak i wykonawców.

Jurorzy upodobali sobie „kolektywny" sposób nagradzania aktorów. Uczynili to bowiem również i wobec zespołu Teatru Dramatycznego z Warszawy, który pokazał w Opolu „Kubusia Fatalistę" Diderota. Nie jestem przekonana czy taka „urawniłowka" w nagrodach powinna być stosowana wobec bardzo przecież konkurujących ze sobą ról — także i w tym przedstawieniu.

I jeszcze słowo o wyróżnieniu — dla reżysera Jana Nowary za „Elektrę" Eurypidesa (Teatr im. J. Kochanowskiego z Opola). Decyzja niewątpliwie słuszna. Jest to druga praca Nowary po debiucie — adaptacji i reżyserii „Brudnych czynów" Marka Hłaski — także w teatrze opolskim. Propozycja „Elektry" bardzo interesująca. Chodzi przede wszystkim o wyrażenie bólu i cierpienia, bez krzykliwej oprawy pomocniczych środków współczesnego teatru. Dzięki temu przekonujący staje się sam dramat ludzkiego istnienia naznaczonego piętnem losu, nieszczęściem przeznaczenia, igraszką w ręku bogów — jak chce Eurypides.

Imprezy towarzyszące to również mocna strona tegorocznych Opolskich Konfrontacji Teatralnych. Przyjechał sympatyczny zespół teatralny z Czeskiego Cieszyna z przyzwoicie zagraną sztuką H. Morstina „Polacy nie gęsi". Tesinske Divadlo jest bowiem zawsze stałym gościem festiwalu. Zaproszone zostały także spektakle, w których gra młodzież ze szkół teatralnych: „Mąż i żona" Fredry z teatru z Bielska-Białej (reż. Aleksandra Górska), oraz „Sen nocy letniej" Szekspira — PWST Kraków, reż. Bogdan Hussakowski. O ile Fredrowska komedia poprowadzona była „tradycyjnie", to Hussakowski, przyjąwszy interpretację Jana Kotta o bardziej erotycznej niż bajkowej wymowie sztuki — pozwolił młodym wykonawcom „pójść na całość". Zbyt jednostronna gra — choć efektowna — znużyła widzów nawet scenicznym seksem. A szkoda, bo młodych wykonawców stać było także na zagranie scen poetyckich, których w tej sztuce Szekspira nie brakuje.

Natomiast spektakl Polskiego Teatru Tańca z Poznania „Faust goes Rock" został przyjęty owacyjnie. Rozruszał widownię, nawet tę bardziej stateczną". Dobry, efektowny wizualnie taniec do odpowiednio dobranej muzyki, gracja, elegancja, właściwe oświetlenie — wszystko to było przykładem dobrze pomyślanej rozrywki.

Na koniec o występach Teatru im. St. Ignacego Witkiewicza z Zakopanego, także towarzyszącego Opolskim Konfrontacjom, gdyż teatr ten z zasady nie bierze udziału w konkursach. Zespół pod kierunkiem Andrzeja Dziuka miał w Opolu niemal swój benefis. Przywiózł aż trzy przedstawienia — znakomitą „Autoparodię" Witkacego, „Doktora Faustusa" Marlowe'a i „Jak wam się podoba" Szekspira. Młodzież nie opuściła żadnego przedstawienia. Bawiła się na nich świetnie. Trzeba sobie jednak powiedzieć, że na pewno stosowanie zawsze tych samych środków wyrazu do tak różnego repertuaru — musi zawodzić bardziej wyrobionego widza. Nie jestem pewna, czy zakopiański zespół, także traktujący swój teatr jako pyszną życiową przygodę, zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa popadania w sztampę i rutynę, z którą programowo chce walczyć.

Utrzymanie w napięciu i zainteresowaniu widzów imprezą teatralną trwającą bite dziesięć dni — bez oficjałek i tzw. towarzysko-urzędowych akcentów — to bardzo trudne zadanie. W Opolu to się udało. Należy więc gospodarzom opolskiej imprezy życzyć wytrwałości i powodzenia.

280

BIURO WYCINKÓW GLOB PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

RZECZPOSPOLITA
ul. Mysia 2
00-955 Warszawa

Nr ..... z dn. .....

257 4 - 5 -11-89

Nietypowy teatr

Grzegorz Stanisławski

W opublikowanym przed dwoma tygodniami wywiadzie dla „Reczpospolitej" minister Izabella Cywińska powiedziała, że widzi w Polsce miejsce dla trzech rodzajów teatrów: państwowych (w pełni dotowanych), miejskich (dotowanych przez ministerstwo przedmiotowo, na określone cele) i impresaryjnych, powstających z woli środowiska, z wolna przekształcających się w profesjonalne.

Do takich właśnie teatrów, powstających z woli i potrzeby środowiska można zaliczyć Teatr Ekspresji w Gdyni. Ma on oczywiście swoich przodków, żeby wymienić choćby sławny już teatr zakopiański, który zyskał tak wielkie uznanie w całym kraju. Ale mimo wszystko ta inicjatywa jest ze wszech miar godna uwagi.

Oto grupa zapaleńców, na czele z Wojciechem Misiuro, który występuje w roli inspiratora, autora i reżysera, tworzy zespół startujący na terenie, gdzie istnieje przecież uznany Teatr Wybrzeże, pod nosem słynnego już Teatru Muzycznego Gruzy. Istnieje zatem wyraźnie potrzeba stworzenia tam sceny nowej. Nowej w szerokim sensie, bowiem Teatr Ekspresji sięgnął do innych form niż dwie wymienione placówki. Tu mamy do czynienia z poszukiwaniami środków wyrazu poprzez słowo, gest, barwę i dźwięk. Bliższy jest ten teatr pantomimie niż tradycyjnej scenie dramatycznej, ociera się o balet, szuka możliwości artykulacji treści nie poprzez fabularyzację, ale raczej przez symbole, obrazy, uruchamianie wyobraźni odbiorcy.

Taki właśnie charakter mają „Dantończycy" — spektakl zaprezentowany ostatnio, podczas premiery w dniu 28 października. Ponieważ Teatr Ekspresji nie ma własnej sceny, gościnnie i bardzo życzliwie przygarnął go Jerzy Gruza, zaś sponsorem tej nowej placówki jest Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe CONTRACT, które jest wręcz wzorem mecenasa pozapaństwowego.

Historia Dantona, to historia rewolucji, która jest jakoby nieunikniona w każdej epoce historycznej. Danton, to symbol tej rewolucji wcielony w różne postaci czasem skrajnie przeciwstawne, reprezentujące Dobro i Zło w otaczającym je świecie kierującym się niezmiennymi prawami.

Tak ujęty spektakl zawiera treści cenne i ważne. Godne uwagi jest, że publiczność potrafiła je należycie odczytać i ocenić.

Premiera spektaklu była bardzo okazała, przybyli na nią liczni goście spoza Wybrzeża, zaś następne, już normalne przedstawienie, zostało przyjęte przez publiczność wręcz owacyjnie.

W każdym razie ta próba stworzenia nowego teatru bez szukania natychmiastowej dotacji z kiesy państwowej świadczy o tym, iż owa trzecia forma teatralnego życia proponowana przez Panią Minister już istnieje i przebija się na sceny Polski.

TEATR EKSPRESJI — GDYNIA. W. MISIURO „DANTOŃCZYCY". SCENOGRAFIA BARBARA HANICKA, MUZYKA ANDRZEJ ZMORA-RDUŁTOWSKI. PRAPREMIERA 28 10 89 R. NA SCENIE TEATRU MUZYCZNEGO W GDYNI.

Kurier Szczeciński

nr 88 z dnia 7 maje 1989

Po Szczecińskim Tygodniu Teatralnym

Nowa Forma w Małych Formach

TEGOROCZNY Szczeciński Tydzień Teatralny nie wycisnął z publiczności wielkich emocji i — jak to niegdyś bywało — wszelkich sił witalnych. Po pierwsze nie było w tym roku listy ocen artystycznych: za najlepsze przedstawienie, za twórcze u-

się przed ich rozpasaniem, kogoś zagubionego pomiędzy życiem i śmiercią, wiarą i niewiarą. Piękno tekstu, wzbogaconego sonetami Johna Donne'a, spotęgowane inscenizacją, w której z ogromnym talentem i fantazją Dziuk użył mrocznego światła, motywu muzycznego, masek, kostiumów o rzadkiej urodzie, pokazując zmagania Faustusa z Mefistofelesem i żądzami — sprawiło, że Teatr im. Witkiewicza

24 SZCZECIŃSKI Tydzień Teatralny stał się dla jego organizatorów nowym doświadczeniem. Wiadomo już, że przed-

życie tego czy innego elementu inscenizacyjnego, za rolę, za podjęcie tematu etc. etc. Po drugie zaś — program STT został rozłożony w czasie i przestrzeni; (Klub 13 Muz, Pleciuga, Zamek, Korab); codziennie oglądało się jeden spektakl, na ogół bez ścisku, pośpiechu i gorączkowych dyskusji.

TU DYGRESJA. Nie bardzo wiadomo jak to się dzieje, ale co roku, wiedziona dziwnym instynktem publiczność tłumnie oblega tę prezentację na szczecińskich przeglądach, która jest zdecydowanie najlepsza, najwartościowsza, najbardziej godna uwagi. Czasami siłę przyciągającą ma nazwisko, czasami zespół, ale bywa też, że działa jakieś wyczucie i oto tłum widzów zjawia się na przedstawieniu, które jest tym najwybitniejszym w całym przeglądzie.

W TYM ROKU publiczność oblegała dwa spektakle, z któ-

pozostał autorem największego sukcesu artystycznego kwietniowych spotkań teatralnych. Grali: Dorota Ficoń, Krzysztof Łakomik i Krzysztof Najbor. Muzykę skomponował Jerzy Chruściński, onże wraz z Andrzejem Jesionkiem, Piotrem Dąbrowskim i Martą Szmigielską wystąpili jako duchy w rozgrywanym w Sali Bogusława przedstawieniu.

ZUPEŁNIE inną kategorię zaprezentował Teatr Współczesny z Wrocławia, który przywiózł „Samobójcę" Erdmana w reżyserii Jerzego Jarockiego. W spektaklu tym z satysfakcją oglądało się inscenizacyjne rozwiązania, uwypuklające groteskowość życia i pragnień rosyjskiej klasy średniej w radzieckiej rzeczywistości.

DZIĘKI STT szczecińska publiczność doczekała się kontaktu z pomysłem Jacka Chmielnika, autora sztuki pt. „Romanca" na ukazanie brutalnej współczesności, zdeformowanej z pozornie pustym już dzisiaj teatrem dworsko-rycerskim, przywodzącym na myśl na przykład utwory Calderona. Pomysł jest ostry: toczącą się na scenie miło-

stawień nie powinno się przenosić z miejsca na miejsce (bo nie wszystkie one są jednakowo dobre „teatralnie"). Wiadomo też, że każdemu zespołowi trzeba zapewnić mniej więcej równe możliwości występów przed publicznością, co ma wpływ na głosowanie. Wiadomo wreszcie, że jak na każdej tego typu imprezie, młodzież mająca w dzisiejszych czasach wyjątkowo nikłe środki materialne, wpuszczana jest „na gapę", po wejściu widzów z biletami. Dlatego nieprzyjemnie było widzieć, że za drzwiami Zamku przed kolejnym przedstawieniem „Faustusa" pozostało kilku młodych ludzi. I proszę mnie nie przekonywać, że... Od zarania teatru młodzi-ubodzy praktykują ten zwyczaj, ku chwale sztuki dramatycznej i własnych zainteresowań.

WRESZCIE restauracja w Klubie 13 Muz. Jest bowiem nieopisanie śmieszne, gdy publiczność po spektaklu, po wernisażach, po spotkaniach autorskich, po imprezach — grzecznie omija barczystych panów pilnujących wejścia do restauracji w Domu Kultury Środowisk Twórczych.

J. FRYCZ

rymi przyjechał **Teatr im. Stanisława I. Witkiewicza z Zakopanego:** „Autoparodia" według tekstów patrona tej sceny oraz „Dr Faustus" Christop hera Marlowe'a — były to wydarzenia STT. Byłyby nimi zresztą w każdej konkurencji, bowiem zakopiański zespół, kie-

sną akcję zakłóca znienacka człowiek z widowni, a czyni to tekstem tak zręcznym, że na dobrą sprawę dają się nabrać wszyscy i trwa to tak długo, aż zza kulis ukazuje się wreszcie chuliganiący „widz"... ze sztyletem w plecach. Dobra, brawurowo zagrana przez Jacka Chmielnika, Bożenę Adamkównę i Krzysztofa Jędryska sztuka wraz z „Samobójcą" kandydowała do miana laureatki.

W MONODRAMACH kolejny raz zetknęliśmy się z niezwykłą sztuką Ireny Jun („Stara kobieta wysiaduje") i z umiejętnościami scenicznymi Anny Lutosławskiej („Putyfara" i „Greta"). Pierwszy z tych

rowany przez reżysera, scenografa i organizatora Andrzeja Dziuka od kilku lat skutecznie przebija się do czołówki krajowej. Czyni to z powodzeniem, gdyż dysponuje utalentowanymi artystami a ci pracują z rzadko dziś spotykaną pasją.

WYBÓR przedstawienia — laureata tegorocznego STT przez widzów wahał się między „Autoparodią" — rodzajem happeningu, do którego wykorzystano zwariowane parodie Witkacego, szaleństwo kostiumów i niezwykle zdynamizowane „dzianie się" luźno powiązanych ze sobą surrealistycznych scenek.

W „Dr. Faustusie" zakopiańczycy pokazali zgoła odmienne widowisko: odbywające się nocą, w przepełnionej kurzem pracowni XVI-wiecznego czarownika i badacza, misterium walki człowieka pragnącego zgłębić boskie tajemnice i pożądającego uciech, ale i broniącego

utworów, niezbyt szczęśliwie skojarzony został z fragmentów powieści Tomasza Manna „Józef i jego bracia" oraz z własnych współczesnych wtrętów scenicznych aktorki. Wyszedł banał. Lepsza była „Greta" według Grochowiaka, choć także nie porwała widzów.

LICZONO na „Moskwę — Pietuszki" Jefremowa. Łódzki Teatr 77 nie uniósł ciężaru przedstawienia na scenie tego „poematu" o ludzkim nieszczęściu, ozdobionego przekomicznymi obserwacjami z codzienności. Nie zachwyciła inscenizacja piosenek Włodzimierza Wysockiego, przywieziona przez krakowski Teatr Bagatela a Teatr im. Kici-Koci, którego troje młodych aktorów w prywatnym mieszkaniu (40 uczestników) próbowało odegrać reportaże o najnowszej emigracji, nie wywołał żadnych emocji.

Gazeta Poznańska

nr 107 z dn. 8 maja 1989r.

Spotkania nad Prosną

Teatralny „off" znowu górą

Przed dwoma laty rewelacją Kaliskich Spotkań Teatralnych okazał się Teatr im. Witkiewicza z Zakopanego. Od tamtej imprezy majowej znalazł on eksponowane miejsce w pejzażu naszego życia teatralnego. KST odegrały w jego przypadku szczególną — jak się wydaje — rolę promocyjną. Najciekawszym zjawiskiem tegorocznego Festiwalu jest ponownie scena reprezentująca polski „off", a więc w tym przypadku — pracownia „Teatr" z Warszawy. Nie pierwszy już raz podczas Kaliskich Spotkań przedstawienia towarzyszące zdobywają prymat nad przedstawieniami konkursowymi.

Potwierdzili to również gospodarze niemalże konspiracyjnym „Życiem wewnętrznym" Marka Koterskiego w wykonaniu Ireny Rybickiej i Marka Urbańskiego. Debiut reżyserski Anny Kulesy wypadł nadspodziewanie dobrze, a para aktorów odnalazła skromne, acz adekwatne do założeń reżyserskich środki. Kaliskie „Życie wewnętrzne", rozegrane w małej klatce — kuchni, uwydatniło swe paralele z dramaturgią i teatrem Różewicza. Stało się obrazem naszej małej, współczesnej (zdegradowanej i zredukowanej) egzystencji, podszytej bełkotem codzienności, bylejakością i prymitywizmem.

Natomiast prezentowany w nurcie konkursowym „Kaligula" Camusa w reżyserii Jerzego Zegalskiego (Teatr im. Wyspiańskiego z Katowic) okazał się artystycznym nieporozumieniem.

Błażej KUSZTELSKI

Przeciw Demonom

ODKĄD świat światem, szatan jest postacią fascynującą. Szaleństwem byłoby przeczyć jego istnieniu: wszechobecny, może się wcielić w jaką bądź istotę. W filmowej noweli Felliniego straszył kiedyś pod postacią jadowicie uśmiechniętej dziewczynki żonglującej piłką. W finale piłka przeobraziła się w głowę bohatera-samobójcy...

Tych artystycznych głów Asmodeusz Behemot Belzebub sporo ma już na swoim koncie. Śmierć — osobliwie śmierć artysty — to temat najgłębiej poruszający wyobraźnię. Wypada go więc wyreżyserować ze szczególną troską. Biegły w sztuce teatralizacji życia arcykapłan indywidualizmu, S.I. Witkiewicz wiedział o tym znakomicie...

Wybór tego patrona dla młodej sceny w Zakopanem zawsze mnie zastanawiał. Formuła zawodowa zaproponowana przez Andrzeja Dziuka — „zmieniać w święto szarość dnia codziennego" — pozwalała się domyślać niektórych powodów estetycznego powinowactwa. Jednak wystawiając „Wielki Teatr Świata", „Tragiczne dzieje Fausta" czy „Edypa", zespół dokonywał swoistej konfrontacji z postawą Witkacego, poszukując w sztuce duchowego dobra. Natomiast w metafizycznych dociekaniach autora „Sonaty Belzebuba" tylko zło jest rzetelne i realne. Dobro to żałosny pozór, kłamliwy wymysł, który chroni przed poznaniem prawdy o ludzkim losie. A jakaż to prawda?

Widzę czarne bezlitosne niebo i małą zbłąkaną kulkę, którą ty, Książę Ciemności, otaczasz nietoperzymi skrzydłami (...) Uczucia moje są to pigułki, które robi jakiś ohydny międzyplanetarny aptekarz i rzuca je w nicość na pożarcie zamrożonej przestrzeni — mówi Istvan, bohater niedawnej premiery Dziuka, „Sonaty Belzebuba". Groteskowy humor widowiska nie łagodzi sensu tego wyznania. Człowiek to małe, osobne, pozbawione znaczenia żyjątko, zagubione w obcej i obojętnej pustce. Przywraca mu godność tylko dogłębne odczucie stanu samotności i odrębności w świecie — zjednanie z nicością. To jest „przeżycie metafizyczne". Może je sprowokować sztuka (ostatni bastion metafizyki), ale sztuka (szatański pakt!) powstaje jedynie za cenę zerwania z ułudą uczuciowych więzi z ludźmi. *Już koniec. Sam rdzeń mojej istoty zmartwiał mi w lodowatym powiewie z centrum Niebytu.* Tyle Witkacy.

A co jego interpretatorzy? Spektakl zakopiański, ponury i komiczny na przemian, rozpoczyna się w posępnej ekspresjonistycznej atmosferze, by co prędzej podjąć tonację kabaretowej groteski. Z tego zderzenia efektów rodzi się Witkiewiczowska dziwność, czemu sprzyja wykorzystanie naturalnych walorów sali widowiskowej, w której wyeksponowano piękne, kilkuskrzydłowe odsłonięte okno. Tędy z dziedzińca teatru przenikać będą do wnętrza przybysze z piekielnych otchłani, przede wszystkim domniemany Belzebub, czyli Baltazar de Compos.

W wydzielonym czarnymi zasłonami, pogrążonym w półmroku prostokącie sceny umieszczono ledwie kilka rekwizytów: podniszczony pieczyk, blaszany czajnik, stolik z porcelaną. Zamierzone ubóstwo scenografii podsyca klimat niesamowitości, wydobywa urodę aktorskiego ruchu, efektowną symultaniczność działań osób dramatu. Trójplanowość miejsca akcji umożliwa niespodzianki przestrzenne. W głębi na tle kotar siedzi Istvan — przyszły genialny kompozytor sonaty wszechczasów. Czujny, nieobecny, jakby już wsłuchany w wewnętrzny nutowy dyktat... Jesteśmy w na wpół fantastycznym Mordowarze. Za chwilę Babcia Julia, trupioszara, zdziecinniała *starsza pani bez godności* (bardzo dobra rola Doroty Ficoń) zacznie bredzić o diable, który doprowadził do samobójstwa młodego muzyka...

Wszystko, co zobaczymy, wydaje się uzewnętrznieniem przeżyć bohatera. Obok diabła, artysty i perwersyjnej staruszki występują w „Sonacie" stali mieszkańcy teatralnej wyobraźni Witkacego: baron Sakaly-snob i arystokrata (Piotr Sambor), Krysia — podlotek w uczuciach dość niestały (Marta Szmigielska), Rio-Bamba — kochanek Babci Julii (Andrzej Jesionek) oraz Hilda — kobieta fatalna (Karina Krzywicka). Aktorzy, tworząc postacie groteskowe, podkreślają jednak ich wzajemne psychologiczne powiązania. Nagłe wtargnięcie Baltazara de Compos w krąg mordowarczyków stosunki te błyskawicznie i złowieszczo komplikuje.

Kim jest ów zagadkowy „plantator wina"? Wcieleniem szatana? A może tylko projekcją demonicznych i złych sił drzemiących we wnętrzu artysty? Szyderstwo i kpina mieszają się w widowisku z akcentami poważnymi. Tytułowy diabeł zapowiadając kompozytorowi uczuciową amputację w zamian za geniusz, demonstruje na przemian cechy błazeńskie i demoniczne. Pytanie, które zdają się stawiać realizatorzy spektaklu, analizując proces powstawania dzieła sztuki, brzmiałoby więc prowokacyjnie: czy tylko odrzucenie więzi z ludźmi i z życiem, wyzwolenie ukrytych w psychice mocy piekielnych może uczynić artystę dojrzałym? I godnym tego miana, bo godniej, bezpieczniej, wyzwolić się z emocjonalnych więzów raz na zawsze?

Lecz tu reżyser sięga po argumentację, jakiej nie oczekiwaliśmy. Za kotarą, spoza której wychynęło podium piekielnego kabaretu, odsłania się nagle ukrywany dotąd trzeci plan. Na ułamek sekundy w sinawobłękitnej poświacie ukazuje się tam naga postać: mężczyzna, potem kobieta. Zapada ciemność. Przez cały czas szatańskiego targu o uczuciową tożsamość artysty w planie tym, niczym w najgłębszym świecie imaginacji bohatera, wyłaniają się rozkołysane na trapezach nagie ciała, Ich spokój i piękno kontrastują ze sztampą sztucznej kabaretowej „dziwności". Wreszcie wizja znika, niby archetypiczne wyobrażenie Istvanowego „raju utraconego". Wraca groteska, podkreślając marionetkowość postaci. Człowiekowi, który stał się psychicznie martwy po wyschnięciu uczuciowego źródła i przetworzeniu żywych doznań w dźwięki — pozostanie już tylko fizyczne dopełnienie aktu samozagłady, podczas gdy muzyczne dzieło (owoc szatańskiej inspiracji) święcić będzie triumfy...

Przeobrażenie czującego bohatera w genialnego manekina miałoby więc stanowić tragiczny, ale konieczny okup, składany demonicznym potęgom w zamian za moc tworzenia? To mógłby sugerować heroiczno-„wisielczy" finał spektaklu, opatrzony piękną i sugestywną muzyką Jerzego Chruścińskiego. Stojąc na fortepianie Baltazar de Compos dyryguje w upojeniu niewidzialną orkiestrą. Ciało kompozytora znieruchomiało już w ostatnich drgawkach, ale muzyka nie przestaje grać. Wkraczamy w tonację patetyczną. Maestoso! Forte! Fortissimo! Aż tu nagle piano... Powrót kpiącego humoru w ostatnich sekwencjach przedstawienia powoduje, iż problem „ceny fatalnej" pozostaje otwarty. Czy nie sposób jej uniknąć?

(...) warunkiem tworzenia prawdziwej sztuki — zauważa kontynuatorka psychonalizy K. Horney — *jest pulsowanie w twórcy autentycznej osobowości — źródła głębokich i żywych doznań* (...) Ten, komu odjęto szansę podobnego odczuwania, komu odebrano zaufanie do własnych i cudzych uczuć, nie tworzy, ale szuka zadośćuczynienia w belzebubich snach o potędze, co tym bardziej odsuwa go od ludzi i stawia tamę siłom kreacyjnym. Podmiotowość artysty — to refleksja, jaką obudzić może zakopiańskie widowisko — pochłania wówczas zrodzona z głębokiej rozpaczy, lęku i niewiary w wartości pycha, nie — sztuka...

Przekonywanie lidera polskiego katastrofizmu w przeddzień triumfu szatańskich sił historii o tym, że miłość, afirmacja — nie negacja i duma — są pożywką tworzenia, byłoby daremne. Głosząc swoją zadomowioną w nicości prawdę, autor „pożegnania jesieni" był bowiem najuczciwszy. I może dlatego inscenizacja „Sonaty Belzebuba" w Zakopanem, mimo umiejętnego balansowania na granicy żartu i powagi, mimo, jak sądzę, potrzeby wypowiedzenia innej prawdy, ukrywa pod groteskowym grymasem akcenty tragiczne.

Przedstawienie uważam za najdojrzalszy spektakl zespołu Witkacego, tak pod względem inscenizacyjnym, jak i aktorskim. Przykuwają uwagę zwłaszcza obaj protagoniści, choć przeczuwam, że Piotr Dąbrowski (Istvan) nie wyzyskał jeszcze w pełni własnych możliwości, a Krzysztof Najbor (Baltazar vel Belzebub) zbyt szybko odsłania przed widzami aktorskie atuty, przez co postać nieco traci na rozmachu. W widowisku — wieloznacznym i efektownym — wśród wybuchów śmiechu, pod pozorami pełnej pomysłów zabawy, wielu ludzi naszego czasu może nieoczekiwanie odnaleźć swój dramat. Dramat tego samego braku miłości, tego samego niszczącego pożądania wielkości, tego samego głodu wartości. Głodu, który koniec końców obraca się przeciwko życiu.

Istnienie — mówi do nas Witkacy — to druga twarz nicości. „A gdy to mówi nicość właśnie /Kłami połyska zła i szczera". Czy to zanurzone w nicości życie można uczynić wartością inaczej niż przez śmierć?

EWA ŁUBIENIEWSKA

Teatr im. S.I. Witkiewicza w Zakopanem. S.I. Witkiewicz: Sonata Belzebuba. Adaptacja, reżyseria i scenografia A. Dziuk. Występują: D. Ficoń, K. Krzywicka, M. Szmigielska P. Dąbrowski, A. Jesionek, K. Najbor, P Sambor, L. Wołczyk (oraz I. Romanówna i S. Ziemianek). Muzyka: J. Chruściński. Premiera: styczeń 1989.

Nowe premiery w Zakopanem

WIDZ NIE CHCE WYJŚĆ Z TEATRU

JACEK SIERADZKI

Mniej więcej rok temu, o tej porze, dogasała właśnie w środkach masowego przekazu radosna euforia „odkrywania" dla szerokiej publiczności zakopiańskiego Teatru im. Witkiewicza. Przez długie tygodnie zakopiańczycy nie schodzili ze szpalt gazet, z ekranów telewizji i radiowych anten; stanowili ulubioną maskotkę redaktorów od kultury, chętnie rozczulających się nad ich wytrwałym dobijaniem się własnej sceny i rozgłosu. Cały ten pochwalny zgiełk łatwo przy tym głuszył podejmowane tu i ówdzie próby — z reguły także bardzo życzliwe — poważniejszego komentowania twórczości młodziutkiego zespołu. Do — proszę wybaczyć paskudne słowo — „nagłaśniania" sukcesu zbędne były głębsze analizy; w pełni wystarczały atrybuty czysto zewnętrzne: młodość, zapał i ambicja. No i jeszcze słynna darmowa herbata we foyer, zastępująca co poniektórym recenzentom całą ideologię artystyczną teatru.

OWO STADNE, natrętne i naiwne prasowo-radiowo-telewizyjne lansowanie przyniosło zakopiańczykom w ostatecznym rozrachunku więcej szkody niż pożytku. Wepchnęło teatr, który pragnął pełnić szczytną rolę podteatrzańskiego schroniska dla poszukiwaczy sztuki, w całkiem nieadekwatny krąg wartości kultury masowej. Zatem w system, gdzie ceni się najbardziej błysk, sensację, efektowne i niekonwencjonalne, choć puste pomysły, bunt — jakkolwiek powierzchownie rozumiany; gdzie trwa nieustanna przepychanka o pierwsze miejsce na liście przebojów i nieustanna licytacja atrakcji. Teatr im. Witkiewicza dał się uwikłać w te fałszywe kryteria i dał sobie tym samym przyprawić regularną, gombrowiczowską gębę: młodzieżowego, na poły amatorskiego teatrzyku, żywego i wdzięcznego, czasami pławiącego się w mistycznych sosach; uroczego, sympatycznego, lecz cokolwiek niepoważnego. I klamka zapadła: od telewizyjnej gęby uciec bodaj nie sposób.

Nieporozumienie związane z wtrąceniem Teatru im. Witkiewicza w świat kultury masowej — dokonanym, bądźmy szczerzy, nie wbrew chęciom jego bohaterów — nie mogło trwać zbyt długo. Traf chciał, że z apogeum sukcesu, z deszczem nagród i zachwytów, z triumfami gościnnych występów zbiegła się nieudana premiera spektaklu zatytułowanego „np. Edyp". Malkontenci rozdrażnieni stadną chwalbą mieli pyszną okazję do ataku na nowo promowanych idoli; inni niechętni prędko wyrobili sobie o nich „własne" opinie oparte na plotce, paru telewizyjnych migawkach i może jednym, oglądanym przypadkowo przedstawieniu. Kończyła się rozkręcona, masowa moda; teatr zapłacił za nią i za całą tę huśtawkę stanem swoistej zapaści twórczej ciągnącej się długo po wygaśnięciu publicznego boomu. Do końca 1988 nie było już w Zakopanem nowej premiery; miarowy przedtem puls pracy (czternaście tytułów w trzy lata) jakby zamarł. **I dopiero rok 1989 przyniósł „Sonatę b." i „Jak wam się podoba", dwie nowe pozycje repertuarowe pozwalające ufać, że teatr łapie równowagę.** Że nie powtórzy się oglądany wielokrotnie w polskich teatrach (także całkiem ostatnio) schemat zdarzeń, w którym zbyt gwałtowny, zbyt feeryczny sukces jest początkiem końca artystycznej drogi.

TO PIEKŁO MYSZKĄ TRĄCI

„Sonatę Belzebuba" czyli swoją wersję mitu faustowskiego Witkacy ukończył w 1925 roku na dwadzieścia dwa lata przed Thomasem Mannem; podobieństwa między tymi dziełami są, trzeba przyznać, zdumiewające. Obydwaj pisarze bohaterami uczynili muzyków, a przedmiotem kontraktu z diabłem stała się nie tyle wiedza i płynąca z niej władza — jak u Goethego — ile moc twórcza, kompozytorska wena, prawo do bycia artystą. Uprawianie sztuki w systemie poglądów Witkiewicza miało wymiar absolutny, bliski religii (dlatego „Sonata" w repertuarze zakopiańskiego teatru może być dość bezpośrednią kontynuacją „Dr Faustusa" Marlowe'a; w gruncie rzeczy podstawową wartością jest tam wiara, choć skądinąd Witkacy mocno by się pewnie żachnął na grzechy główne i całą tę moralitetową otoczkę). Aliści nie tylko uczynienie sztuki towarem diabelskiego targu łączy obydwie dwudziestowieczne wersje mitu. I Mann, i Witkiewicz portretują swoich Faustów na tle świata degenerującego się, świata chorego, świata, w którym giną, rozpływają się wartości. W Zakopanem ta konstatacja jest inscenizacyjnym punktem wyjścia „Sonaty b.".

W sali panuje półmrok. Odsłonięte i podświetlone, wielkie okno wysoko nad podłogą sugeruje suterenę lub piwnicę. Resztki wspaniałego serwisu na stoliku, obok biedny piecyk z wielką rurą. Ludzie zgromadzeni wokół tych nie pasujących do siebie sprzętów poubierani dziwnie: pośpiesznie, biednie, przypadkowo. Uciekinierzy? Wygnańcy? Z lękiem mówią o *„drugiej stronie jeziora"* wskazując kierunek skąd weszli widzowie. U Witkacego drugą stronę jeziora opanowali ekspansywni, mieszczańscy dorobkiewicze; tutaj w drzwiach wita wchodzących warta w spiczastych czapkach z czerwoną gwiazdą. To nie aluzja polityczna, to znak tych procesów społeczno-mentalnych, przed którymi Witkiewicz przestrzegał i których bał się najmocniej. Uchodźcy są coraz bardziej bezradni, ociężali, dziwaczni (pokazywane jest to niestety złymi środkami teatralnymi: łatwo o skojarzenia z niemądrym w polskich teatrach grywaniem Witkacego ostrą groteską ot, dla draczności. Ale to drobiazg do skorygowania). Wreszcie — w myśl starej legendy — zjawia się Belzebub ze świtą, jakby prosto z jakiej operetki: ostentacyjnie teatralny, trochę nieporadny. A jego piekło to zwykły klub jazzowy ze swingującą, rozkołysaną muzyką. Na odległej estradce, w rozbłyskach reflektorów migają nagie ciała rozpięte na linach; trochę perwersyjne są te pielkielne igraszki. I podejrzane — jak wszystko tutaj.

W tych dziwacznych, jakby zwulgaryzowanych okolicznościach zostaje podpisany diabelski cyrograf; rzeczywisty dramat tej decyzji dźwiga na sobie Istvan. **Piotr Dąbrowski** niejako na przekór groteskowej grze kolegów, precyzyjnie i czytelnie rysuje przemiany swego Fausta: jego początkową apatię, poczucie niespełnienia, późniejsze ożywienie, piekielny strach, przełamanie samego siebie, twórcze podniecenie, ekstazę. I samospalenie: po skomponowaniu sonaty jej twórca jest już tylko wyfraczonym, wyjałowionym trupem z przylepionym do warg uśmieszkiem światowego kretyna. To wyprucie duszy w akcie twórczym zagrane jest tak wyraziście i przejmująco, że w gruncie rzeczy zbędna jest już finałowa, zgodna z Witkacym, kropka nad „i": powieszenie się Istvana dokładnie w chwili, kiedy piekielna orkiestra smyczkowa kończy ostatnie tutti, a Belzeubub znika za oknem rzucając szyderce *„Dobranoc Państwu"*.

No więc cóż? W ramach mitu wszystko w porządku: akt twórczy dokonany, zapłata pobrana, rachunki wyrównane. Tyle, że wszystko razem zadziwiająco pomniejszone, skarlałe. Wegetujący w jakiejś piwnicy były artystokrata ducha, podpisawszy pakt z operetkowym diabłem, w knajpianym piekle układa muzykę, która przecież — przy całym szacunku dla świetnych kompozycji teatralnych **Jerzego Chruścińskiego** — nie jest warta aż duszy. Zaś najrealniejsze w tym wszystkim zdaje się samobójstwo — zrobione tak, żebyśmy się przestraszyli naprawdę, zanim przypomnimy sobie, że to tylko teatr. „Sonata b." bo bodaj najmroczniejszy z dotychczasowych spektakli **Andrzeja Dziuka.** To Witkacy zupełnie inny niż w „Autoparodii": tam był sprawcą towarzyskiego wygłupu, inteligenckiej zabawy (też co prawda rozganiała ją groteskowa rewolucja), zakończonej apelem o ocalenie *„zakopiańczyków prawdziwych"*. Tu jest profetą, katastroficznym czarnowidzem, a teatrowi ani w głowie łagodzić brutalność jego proroctw.

W UKŁADZIE ARDEŃSKIEGO LASU

O ile wszkaże „Sonata b." jest spektaklem ciężkim, przytłaczającym, przykrym, o tyle „Jak wam się podoba" doskonale spełnić może funkcję odtrutki. Witkacy jest tu mroczny, Szekspir — słoneczny. Tak słoneczny i radosny, że może pojawić się wątpliwość, czy w szaleństwie tej zabawy nie ginie zbyt wiele mądrości dramatopisarza?

Niewątpliwie samo okrojenie tekstu do rozmiarów niespełnia dwugodzinnego widowiska musi oznaczać redukcję; jej ofiarą pada cała melancholijna goryczka komedii. Nieistotne robi się przeciwstawienie przeżeranego intrygami dworu i idealizowanej natury, marginalną postacią staje się także Jakub-melancholik. Niemniej goryczka odsączona z dialogów, z fabuły, nie ginie bez śladu. Andrzej Dziuk delikatnie nasyca nią drugi plan swej inscenizacji. W arkadyjskim śniadaniu na trawie uczestniczy milcząc naga kobieta o kształtach nader obfitych, rzec by można gargantuicznych, wcielenie natury w stanie czystym; jest coś z barokowego konceptu w tym drwiącym pomyśle. W głębi przemyka się bukoliczny jelonek... wypchany, na sznurku. W finale poczciwy Hymen ze skrzydełkami aniołka sypie z balkonu confetti na weselące się pary. Teatr nie ukrywa konwencjonalności swej Arkadii, zachowuje do niej dystans, na tyle dyskretnie jednak, by mrugając porozumiewawczo do widza nie zakłócać zabawy. Nastrój poważnieje nieco w songach — choćby w tym sztandarowym, szekspirowskim: *„Świat cały jest sceną, Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety Są aktorami jedynie i mają Wejścia i Wyjścia..."*

Cały świat gra komedię, a jej motorem podstawowym jest w tym wypadku miłość — tak radosna, euforyczna, szalona, że można by obdzielić nią pewnie cały współczesny teatr, doszczętnie z uczucia tego wyprany. Miłość zatrzaśnięta przy tym w wyszukanych figurach barokowej retoryki. Tercet Rosalinda — Celia — Orlando **(Karina Krzywicka — Dorota Ficoń — Piotr Sambor)** za wszelką cenę stara się nasycić ową retorykę emocją tak, by złamać jej sztywność; próbuje nadać mowie naturalny tok, znaleźć jej odpowiedniki we własnej młodości, żywiołowości, temperamencie. I gdy to się udaje, wówczas cała ta gra zapałów i wahań, przebieranek i kamuflaży, lekkich docinków i skrywanych zazdrości, cała ta namiętność naturalna i słonecznie czysta, ujęta w cugle kunsztownej mowy przemienia się w zachwycającą, sceniczną lirykę.

Gdy się to udaje, powiadam. Gdy zaś nie — a w zakopiańskim teatrze wahania pomiędzy poszczególnymi spektaklami, zwłaszcza świeżo po premierze, są niestety bardzo znaczne — wówczas na placu boju pozostaje nie równoważony niczym żywioł komiczny, bardzo rozmaitego autoramentu. Jeszcze Probierek **(Krzysztof Najbor)** pozostaje klasycznym, szekspirowskim błaznem-rezonerem żonglującym efektownymi paradoksami, ale załotna Febe **(Krzysztof Łakomik)** i karykaturalny klecha **(Lech Wołczyk)** są już z grubej farsy, a Audrey **(Marta Szmiegielska)** dośmieszająca swoje zaloty groteskową „góralską" akcentacją ma w swoim repertuarze także żarty skatologiczne. I aczkolwiek Szekspir nie gardził niewyszukanym dowcipem, a z tej właśnie postaci — parodii sielankowej pasterki — bezlitośnie zrobił brzydką i tępą idiotkę — to jednak humor zakopiańskiego przedstawienia schodzi chwilami na bardzo niebezpieczną krawędź. Inscenizacja łatwo może przechylić się na stronę zgrywy płaskiej i trochę, by tak rzec, nieodpowiedzialnej.

Notuję to spostrzeżenie bardziej gwoli ostrzeżenia, niż krytykowania; zamysł harmonijnego równoważenia w spektaklu jak najszerszej gamy uczuć: od wysoce wysublimowanych po nisko trywialne widoczny jest w tej komedii także mimo tych czy innych wahnięć realizacji. Przedstawienia Teatru im. Witkiewicza nigdy nie bywają skończone na premierze; praca nad nimi trwa dalej, ewoluują, dojrzewają, bywa, że się psują. Takie założone z góry „dochodzenie do formy" inscenizacji na oczach publiczności może irytować, może wywoływać zarzut nonszalancji bądź amatorszczyzny. Jest to jednak pewnie cena główna za to, że spektakle żyją — nie kostnieją w rutynowej nudzie.

OTWORZYĆ DRZWI I OKNA

Co mają ze sobą wspólnego mroczna, ironiczno-tragiczna przypowieść o męce twórczej i stary, nieco zdegradowany mit z jednej strony, a miłosne pląsy i przekomarzanki w nieskrywanej, teatralnej ułudzie z drugiej? Co ma być atrakcyjnego w tych tematach — klasycznych, spatynowanych już trochę — dla teatru, którego naczelnym hasłem jest szacunek wobec widza, teatru, który niczego nie odgrywa z obowiązku i który nigdy nie uzurpował sobie prawa do nudzenia swoich gości?

Ludzie, którzy w życiu są słabsi, poszkodowani, odsunięci, mogą jednakże znaleźć sobie inne życie, własny Ardeński Las — tak streszczał kiedyś szekspirowską intencję Władysław Tatarkiewicz. I pisał dalej: *„Dzieła poezji zawsze prawie są niedopowiedziane do końca, zostawiają pole do interpretacji; następne pokolenia mają prawo do nich nawiązać i po swojemu je tłumaczyć. A w tych tłumaczeniach wypowiadają się same. Zamiast tworzyć nowe poetyckie konstrukcje, nowych bohaterów, nowe fikcje, wracają do schematów Sofoklesa czy Szekspira, do ich bohaterów i obrazów i — korzystając z nich — przedstawiają swoje myśli, swoje rozumienie wiecznych zagadnień człowieka. I jakkolwiek było z samym Szekspirem, ważniejsze dla nas jest to, że ta interpretacja Lasu Ardeńskiego, jaką dziś oglądamy na scenie teatru jest naszą koncepcją życia. Ta nasza koncepcja nie jest koncepcją ucieczki od rzeczywistości, ale otworzenia w niej drzwi i okien. Nie jest koncepcją negacji ludzkiej egzystencji, lecz jej rozszerzenia"*.

Nie pomylę się chyba, ryzykując twierdzenie, że te uwagi filozofa zakopiańczycy chętnie wypisaliby na własnych sztandarach — tak dalece jest to myśl zbieżna z ich sposobem widzenia własnych zadań. Z programem artystycznym dwóch ostatnich premier — o których tu obszerniej niż zazwyczaj w „Polityce" opowiadam — i z programem, na który składa się suma szesnastu premier Teatru im. Witkiewicza. *„Otworzyć drzwi i okna"* — ta lapidarna formuła profesora zawiera w sobie pełną odpowiedź na artykuł Władysława Zawistowskiego „Krupówki kontra Chramcówki („Autograf" nr 1/1989), gdzie podstawowym zarzutem jest eskapizm. Teatr im. Witkiewicza nie ignoruje rzeczywistości, chociaż jej nie odtwarza; wychodząc od własnego rozpoznania stanu ducha, świadomości, potrzeb swoich odbiorców, mając ten punkt wyjścia stale na względzie zaprasza ich do artystycznych podróży.

A miarą trafności rozpoznania owego stanu ducha i potrzeb są te grupki widzów — młodszych, starszych — które w wiele minut po zakończeniu zakopiańskich spektakli wciąż jeszcze spacerują po foyer, oglądają obrazy w galerii, przesiadują przy stole z herbatą, gadają, sprzeczają się. Nie chcą wyjść z teatru! Życzyłbym każdemu twórcy teatru w Polsce zobaczyć takie grupki we foyer swojej świątyni sztuki. Co więcej, tych właśnie widzów — rozluźnionych, odprężonych, nasyconych — nie zwabił tu telewizyjny rozgłos (wtedy raczej doszli inni: żądni sensacji, niecierpliwi, chwilowi). Tym najwierniejszym i najważniejszym obiorcom gęba młodzieżowych idoli, jaką zakopiańczycy dali sobie ongiś przyprawić była z pewnością mocno nie w smak. Myślę, że Teatr im. Witkiewicza dziś dobrze to już wie.

SONATA B. według Stanisława Ignacego Witkiewicza. Opracowanie tekstu, scenografia i reżyseria: Andrzej Dziuk, współpraca scenograficzna: Beata Wodecka, Aleksandra Szymczak, muzyka: Jerzy Chruściński. Premiera w Teatrze im. Witkiewicza w Zakopanem 7, 8 I 1989.

William Shakespeare: JAK WAM SIĘ PODOBA. Przekład: Maciej Słomczyński, reżyseria: Andrzej Dziuk, scenografia: Beata Wodecka i Andrzej Dziuk, muzyka: Jerzy Chruściński, choreografia: Lech Wołczyk. Premiera w Teatrze im. Witkiewicza w Zakopanem 18, 19 III 1989.

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
DZIENNIK ZACHODNI
ul. Młyńska 1
40-098 Katowice
Nr 146 24 z dn. 25-06-89

Z WIESŁAWEM CICHYM — aktorem Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu rozmawia reporterka „DZ"

Portret lęku



Wiesław Cichy w monodramie „Firma portretowa".
Foto: M. Maruszak

— Zrealizował pan monodram złożony z fragmentów tekstów Stanisława Ignacego Witkiewicza, a zatytułowany „Firma portretowa". O zaniku uczuć metafizycznych. Spektakl wzbudził wielkie zainteresowanie nie tylko specjalistów - witkacologów, ale przede wszystkim publiczności, nie zawsze i nie do końca przekonanej do twórczości autora „Szewców". Sukces tym większy, że na pańską prezentację złożyły się trudniejsze z tekstów Witkacego, dotyczące filozofii sztuki i filozofii dziejów. Ale... Modę na Witkacego przeżyliśmy w początkach lat osiemdziesiątych, kiedy był obecny na każdej niemal polskiej scenie, teraz zaś jakby ona mija. Pan się zwyczajnie spóźnił, czy był to wybór świadomy?

— Moje zainteresowania pisarstwem i postacią Stanisława Ignacego Witkiewicza trwają od dawna i nie mają nic wspólnego z modą na tego autora, która przyniosła zresztą sporo interesujących realizacji jego sztuk. Mnie Witkacy zafascynował znacznie wcześniej, w latach siedemdziesiątych. W czasie studiów zetknąłem się z Januszem Deglerem, który mi tę nieustającą sympatię do Witkacego zaszczepił i który pozostaje „współodpowiedzialnym" za trwające po dziś dzień zainteresowanie.

— Wcześniej jednak nie sięgał pan po to tworzywo.

— Wcześniej nigdy nie myślałem, że będę grał — bo tak to chyba trzeba nazwać — Witkacego w pojedynkę. Znalazłem jednak pewne wiersze i fragmenty tekstu, które zainspirowały kompozytorów Tomasza Krzemińskiego i Andrzeja Zaryckiego do napisania specjalnie do nich muzyki. I tak to narastało, powstawały nowe „muzyki" innych autorów, pewne fragmenty jakby już większej całości, zaczynał się rodzić kształt ideowy przedstawienia. Wtedy poprosiłem o pomoc scenografa Marka Mikulskiego oraz reżysera Andrzeja Pawłowskiego i wspólnymi siłami stworzyliśmy „Firmę portretową".

— Widzów fascynuje w tym spektaklu coś, co nazwałabym „ulogicznieniem" Witkacego. Z potoku słów, których świadomie nadużywał, pan — jako wykonawca i Andrzej Pawłowski wydobywacie przede wszystkim głęboki sens czasem umykający czytelnikowi, a tak ważny w Witkacowskim pojmowaniu świata i sztuki.

— Od idei wszystko się zaczęło. Od próby odpowiedzi na pytanie: jak pokazać świat bez uczuć metafizycznych? Świat rządzony przez pseudo-działaczy, dziwnych ludzi, którzy nie myślą kategoriami jakiegokolwiek humanizmu. To było zjawisko, które przeszkadzało Witkacemu i to jest zjawisko, które najbardziej drażni mnie — człowieka nie tylko innego pokolenia, ale wręcz innego świata. Autor „Wariata i zakonnicy" ostrzegał przed takim rozwojem rzeczywistości, widać to najlepiej przy lekturze „Nienasycenia".

I ja chciałem uczynić z tej przestrogi oś myślową rodzącego się spektaklu, konsekwentnie więc dobieraliśmy te teksty z pogranicza estetyki i filozofii, które o lękach metafizycznych mówią najwyraźniej. Tak więc owo ulogicznienie, o którym pani mówiła, to jest zabieg świadomy realizatorów i szczerze cieszę się, że nasze wysiłki okazały się czytelne. Skądinąd wizjonerstwo Witkacego, jeśli tylko czytać go uważnie i w skupieniu, bywa wstrząsające.

— Tytuł monodramu — „Firma portretowa" to tyleż nawiązanie do prawdy historycznej (Witkacy malował dla zarobku) co i pewna metafora...

— Oczywiście — tytuł nie jest przypadkiem. Kolejne portrety to coraz „doskonalszy" obraz działacza. Przybywa mu atrybutów władzy przybywa i dzikiego pożądania wydobycia się na piedestał. Poczucie pewności siebie i siły nie rozwiewa jednak lęków i nie przekreśla potencjalnej porażki. Świata osobistego nie da się oddzielić od świata w ogóle. Przekonanie, że sam zrezygnuję z uczuć, nie jest tożsame z obiektywnym ich zanikiem. Natomiast świadome niwelowanie uczuć i emocji daje efekt zgoła tragiczny.

— Tak to wygląda w pańskiej interpretacji. Odmiennie myśl Witkacego odczytują na przykład aktorzy Teatru im. St. Witkiewicza z Zakopanego w „Autoparodii".

— To prawda, że u nich jakby mniejszy jest ładunek grozy, ale to jest też zupełnie inne przedstawienie i inny sposób czytania Witkacego. Lubię pracę „Zakopiańczyków" i sądzę, że nasze spektakle po prostu uzupełniają się. A poza tym może ja jestem od nich starszy i doszedłem już do wniosków, do których oni dopiero dojdą...

— Czy pan nie obawiał się jednak, że gra słów, zabawne sytuacje, w które uwikłany jest bohater, wrażenie, że całość jest jednym wielkim dowcipem, nie przesłonią tych istotnych treści?

— Nie mogliśmy przewidzieć reakcji publiczności, a premierze towarzyszyły spore obawy w tej mierze. Na szczęście — bezzasadne.

— Spektakl został już w Polsce dostrzeżony.

— Na przeglądzie teatrów jednego aktora w Toruniu otrzymał jedną z dwóch głównych nagród oraz nagrodę wojewody.

— Jakie pan wiąże z tym nadzieje?

— Właściwie nie myślałem o tym. Spektakl został zaproszony

(Dokończenie na str. 4)

Portret lęku

(Dokończenie ze str. 3)

do Wrocławia, do Łodzi i do Poznania, więc jeśli idzie o nadzieje — to po prostu chcę go tam z dobrym oddźwiękiem pokazywać. Z całą pewnością natomiast była to kolejna próba sprawdzenia siebie. Wciąż jestem aktorem na dorobku — tak artystycznym, jak i życiowym — więc monodram to szansa pokazania siebie. I wzbogacenia warsztatu, co do tego nie mam wątpliwości.

Praca nad „Firmą portretową" była szalonym wysiłkiem, ale nie wynikała z niedosytu grania, bo gram sporo i to ról różnorodnych, lecz raczej z potrzeby zmierzenia się z inną formą artystyczną. A także z potrzeby ryzyka, które ma w sobie coś podniecającego i nie pozostawia złudzenia. Można tylko wygrać albo ponieść porażkę. Taki jednoosobowy teatr to jednak co innego niż odpowiedzialność w pracy nad spektaklem wieloobsadowym.

— Gra pan w Opolu od ukończenia wrocławskiej szkoły teatralnej?

— Tak. W tej chwili grywam także gościnnie w Teatrze Rozrywki w Chorzowie; rolę Riezanowa w „Oceanie niespokojnym". Bardzo lubię tę postać, to przedstawienie i ten typ pracy na scenie.

— A czego pan nie próbował?

— Och, wielu rzeczy. Nie znam na przykład smaku pracy w telewizji. Ale wyznaję zasadę, że mężczyzna-aktor osiąga mistrzostwo w wieku dojrzałym, tak więc mam jeszcze trochę czasu. Boleję natomiast nad tym, że z roku na rok karleje w teatrach polskich dobra twórcza atmosfera wynikająca z poczucia, iż na sukces składa się wspólny wysiłek wszystkich pracowników: twórców i realizatorów ale także stolarzy, fryzjerów, krawców etc. Zaznałem tej atmosfery w Opolu, więc wiem jaka to strata. Mówiąc o niej myślę w równej mierze o przedstawieniu wieloobsadowym co i o monodramie.

— A po ten ostatni rodzaj wypowiedzi będzie pan jeszcze sięgał?

— Oczywiście: być może będzie to Lema opowieść o odmrożeńcu, być może coś zgoła odmiennego.

— Zatem: powodzenia. I dziękuję.

Rozmawiała:
HENRYKA WACH-MALICKA

280
BIURO WYCINKÓW GLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
MIESIĘCZNIK LITERACKI
Pl. Zwycięstwa 9
00-078 Warszawa
Nr 6 z dn. -06-89

Diariusz *

Kwiecień 1989

1 IV W Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego obradowało Niezależne Forum Kultury. Przyjęto projekt „Karty kultury polskiej".

1—4 IV W Olsztynie odbyły się ogólnopolskie przesłuchania uczniów klas fortepianu szkół muzycznych I stopnia.

1—2 IV W Tychach obradował I Krajowy Zjazd Delegatów Robotniczych Stowarzyszeń Kultury. Wybrano Komitet Krajowy Stowarzyszenia: przewodniczący — Paweł Soroka, wiceprzewodniczący — Marcin Bajerowicz, Andrzej Zatorski.

1 IV Zwycięzcami Olimpiady Wiedzy Społeczno-Prawnej zostali: w kategorii młodzieży uczącej się — Agnieszka Kacprzak z LO im. Marii Konopnickiej w Warszawie, w kategorii młodzieży pracującej — Marek Szmyt, pracownik Aresztu Śledczego w Białymstoku.

1 IV W Opolu rozpoczęły się konfrontacje teatralne pod hasłem „Klasyka". Przedstawiono m.in.: *Dybuka* (Teatr Stary w Krakowie), *Tartuffe'a* Moliera (Teatr Nowy w Poznaniu), *Psie serce* (Teatr Powszechny w Warszawie), *Doktora Faustusa* Marlowe'a (Teatr im. St. Witkiewicza z Zakopanego), *Kubusia Fatalistę* wg Diderota (Teatr Dramatyczny w Warszawie), *Elektrę* Eurypidesa, *Męża i żonę* Aleksandra Fredry (Teatr im. J. Słowackiego w Opolu), *Sen nocy letniej* Szekspira (studenci Krakowskiej Szkoły Teatralnej).

1—30 IV Miesiąc Pamięci Narodowej.

2 IV Międzynarodowy Dzień Książki dla Dzieci.

3 IV W Łodzi rozpoczął się Przegląd Spektakli Dyplomowych Wyższych Szkół Aktorskich.

4 IV W Drozdowie, w domu rodziny Lutosławskich, wystawą „Flora i fauna Kotliny Biebrzańskiej" otwarto filię Łomżyńskiego Muzeum Okręgowego.

5—9 IV W Rzeszowie odbyły się Ogólnopolskie Spotkania Estradowe — „Oset 89". Wystąpili m.in. Edyta Geppert, Jan Jakub Należyty, Krzysztof Daukszewicz, Agnieszka Fatyga, „Wały Jagiellońskie", Danuta Morel, Jan Kondrak, kabaret „Długi", śpiewający studenci z Białegostoku z programem *Ogród wiszący — pieśniarze świata*, kabaret „Pro" z Krakowa, zespół „Super duo" z Poznania.

4 IV W Bydgoszczy rozpoczęły się Dni Kultury Chińskiej.

6 IV W Białymstoku utworzono Oddział Związku Literatów Polskich, prezesem wybrano prof. Władysława Serczyka.

7—8 IV 25-lecie działalności obchodził Zespół Pieśni i Tańca „Młody Toruń".

7—8 IV W Elblągu odbył się Ogólnopolski Festiwal Solistów i Zespołów muzyki rozrywkowej szkół muzycznych. Nagrodę Główną przyznano zespołowi „Big-Band" ze szkoły muzycznej w Katowicach, I nagrodę — Grażynie Pietras z Policealnego Studium Muzycznego w Poznaniu.

7—9 IV W warszawskim klubie „Riviera-Remont" odbył się XVII Jarmark Piosenki.

9 IV W Chorzowie zakończyła się XXX Ogólnopolska Olimpiada Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym. W grupie uczniów szkół średnich I miejsce zdobył Tomasz Korpusiński z II LO w Nowym Sączu; w grupie szkół zawodowych — Bogusław Gaścieniecki z Zasadniczej Szkoły Chemicznej w Płocku.

10 IV W Toruniu otwarto Ośrodek Alliance Française.

10 IV W Warszawie otwarto wystawę malarstwa prof. Tadeusza Dominika.

10—30 IV W Częstochowie czynne były wystawy malarstwa Janiny i Edwarda Chabdasów, Kazimierza Kopczyńskiego.

10 IV W Muzeum Plakatu w Wilanowie otwarto wystawę *Wiosenny salon plakatu polskiego*.

11 IV 60 urodziny obchodził prof. Roman Teisseyre — geofizyk.

12—17 IV W Leningradzie odbyły się Dni Gdańska nad Newą, przedstawiono dorobek kulturalny, naukowy i przemysłowy Trójmiasta.

12 IV Nagrody ministra zdrowia i opieki społecznej otrzymali m.in.: I stopnia — zespół pracowników Instytutu Kardiologii Akademii Medycznej w Krakowie, zespół pracowników Ośrodka Replantacji Mikrochirurgii i Chirurgii Ręki w Trzebnicy, Instytut Medycyny Wsi w Lublinie, Wojewódzki Ośrodek Chorób Płuc i Gruźlicy Dzieci i Młodzieży w Istebnej, Klinika Kardiologii Instytutu Kardiologii w Warszawie, Kardiochirurgia Centrum Zdrowia Dziecka, Zakład Radiologii Sercowo-Naczyniowej i Klinika Chirurgii Naczyń Akademii Medycznej w Lublinie, Klinika Nadciśnienia Tętniczego i Chorób Naczyń Akademii Medycznej w Warszawie.

13 IV *Wieniec sprawiedliwego* Władysława Terleckigo wyróżniony został Warszawską Premierą Miesiąca.

13 IV W Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie otwarto wystawę rysunków 30 artystów.

13 IV 65 urodziny obchodził prof. Andrzej Wyczański — historyk, pedagog.

13—15 IV W Krakowie XIV Konkurs Młodych Debiutujących Zespołów Jazzowych — „Jazz Juniors".

14—16 IV W Dartington College (Wielka Brytania) obradowało sympozjum poświęcone lubelskiemu teatrowi „Gardzienice".

15 IV Krakowskie stowarzyszenie „Kuźnica" przyznało nagrodę „Kowadła" prof. Januszowi Reykowskiemu.

15—16 IV W Wilnie odbył się I Zjazd Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie. Prezesem wybrano Jana Sienkiewicza, dziennikarza.

16 IV We Włocławku odbył się finał Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy o Partii. Zwycięzcy: Tomasz Korpusiński (Nowosądeckie), Robert Kirejew (Katowickie), Zbigniew Żerański (Ostrołęckie), Tomasz Wójcik (Piotrkowskie), Andrzej Cieszkowski (Gorzowskie), Aleksander Sieniawski (Gdańskie).

16 IV W Szczecinie XXIV Tydzień Teatralny. Wystąpiły m.in. Teatr Rzeczypospolitej z Warszawy, Teatr Współczesny z Wrocławia, Teatr „Bagatela" z Krakowa, Teatr Studio z Warszawy, Teatr „77" z Łodzi, Teatr im. St. Witkiewicza z Zakopanego.

18 IV Międzynarodowy Dzień Ochrony Zabytków.

18 IV 55 rocznicę istnienia obchodziło Towarzystwo im.

Fryderyka Chopina. W uroczystym koncercie jubileuszowym wystąpił Adam Harasiewicz.

18 IV W Galerii Sztuki Współczesnej w Katowicach otwarto wystawę malarstwa i rysunku Wojciecha Migockiego, plakatów Marka Mosińskiego.

18—19 IV W Muzeum Państwowym na Majdanku obradowała konferencja naukowa „Na nieludzkiej ziemi. Martyrologia lat II wojny światowej w literaturze".

19 IV W warszawskiej Galerii Promocyjnej otwarto wystawę tkaniny Marii Tyniec.

19—28 IV W Moskwie i 49 miastach Związku Radzieckiego odbyły się Dni Kultury Polskiej. Wystąpiły: Teatr Wielki w Łodzi, Teatr Polski w Warszawie, Teatr Stary w Krakowie, Orkiestra Kameralna PRiTV w Poznaniu pod dyrekcją Agnieszki Duczmal, Chór Chłopięcy i Męski Państwowej Filharmonii w Poznaniu pod dyrekcją Stefana Stuligrosza, Zespół Pieśni i Tańca AWF w Warszawie, zespół Bajm, Piotr Paleczny, Marek Mizera, Robert Kabara, Jerzy Artysz, Jadwiga Romańska, Dorota Imielowska, Jadwiga Teresa Stępień, Beata Kozidrak. W trakcie Dni Filmu Polskiego wyświetlono m.in. *Kronikę wypadków miłosnych* Andrzeja Wajdy, *Krótki film o zabijaniu* i *Krótki film o miłości* Krzysztofa Kieślowskiego, *Kingsajz* Juliusza Machulskiego, *Pociąg do Hollywood* R. Piwowarskiego, *Gdziekolwiek jest, jeśliś jest* Krzysztofa Zanussiego, krótkometrażowe — *Powrót* Tadeusza Makarczyńskiego, *Stadion, czyli żywot Józefa* J. Englerta, *Pro toto* A. Titkowa. Czynne były wystawy „Twórczość ludowa: tradycja i współczesność", „70 lat medalierstwa", „Współczesne polskie malarstwo portretowe", „Malarstwo młodych", wystawa książki polskiej, wystawa architektury, plakatu.

19 IV W Krakowie rozpoczęła się międzynarodowa konferencja „Wizje przyszłości Europy".

19 IV W IV Ogólnopolskim Przeglądzie Słuchowisk i Reportaży Radiowych — Gdańsk 89 nagrody za reportaże zdobyli: Jolanta Drużyńska za *Łabędzi śpiew*, Jerzy Zawartka za *10 dni po końcu świata*, za słuchowisko — Waldemar Modestowicz ze Szczecińskiej Rozgłośni PR za *Jeszcze jeden radosny dzień* i *Sybilla* wg tekstów P. Lagerkvista.

20 IV W Warszawie otwarto wystawę „Moskwa i Warszawa oczami polskich i radzieckich plastyków".

20 IV W Gdańsku rozpoczął się przegląd filmów „Młode Kino Polskie 88".

21 IV Nagrody Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki otrzymali: Mirosław Baka, Janusz Hajdun, Kazimierz Kalkowski, Teresa Miszkin, Ludmiła Ostrogórska, Wiktor Pepliński, Aniela Śliwka, Stefan Figlarowicz, Andrzej K. Waśkiewicz, Zygmunt Wysocki, Władysław Zawistowski, Zbigniew Zakiewicz.

22 IV W Nowej Soli odbył się Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny Uczniów Szkół Muzycznych.

22 IV W Galerii „Studio" otwarto wystawę kolekcji sztuki amerykańskiej lat osiemdziesiątych, stanowiącą dar Evy Pape.

22—25 IV W Szczecinie odbył się Ogólnopolski Przegląd Teatrów Małych Form.

23—29 IV W 13 miastach Zagłębia Ruhry odbyły się „Dni Kultury Polskiej", w czasie których zaprezentowano kulturę Opolszczyzny.

23 IV W Warszawie rozpoczęły się „Dni Komedy". 24 IV odbył się galowy koncert „Komeda żywy" z udziałem m.in. Urszuli Dudziak, Michała Urbaniaka, Adama Makowicza, Krzysztofa Sadowskiego, Jana Ptaszyna-Wróblewskiego, Zbigniewa Namysłowskiego, Włodzimierza Nahornego, Jerzego Miliana; 25—30 IV w „Iluzjonie" zaprezentowano 40 filmów, do których Komeda skomponował muzykę; obradowała sesja naukowo-publicystyczna „Krzysztof Komeda in memoriam", otwarto wystawę fotografii archiwalnej, fotogramów Marka Karewicza.

23 IV Laureatami „Wawrzynu PKOl 1988" zostali: Złotego — rzeźbiarz Edward Łagowski, Srebrnych — fotografik Leszek Fidusiewicz, rzeźbiarz Józef Marek, Brązowych — prof. Józef Lipiec za książkę *Kalokagatia*, Bogdan Tuszyński za album *100 lat WTC. 100 lat kolarstwa polskiego*.

24 IV W Skien (Norwegia) otwarto wystawę polskiej sztuki graficznej z przełomu XIX i XX wieku „Młoda Polska".

24 IV W Trójmieście rozpoczął się Tydzień Kultury Francuskiej.

25 IV W Grudziądzu otwarto wystawę historyczną „Pomorze w walce o niepodległość".

26—28 IV W Łodzi odbył się V Przegląd Filmów Przyrodniczych.

26 IV W Lublinie przedstawieniem *Dzieci Arbatu* (Teatr Wybrzeże) rozpoczęła się Wiosna Teatralna.

27 IV W Warszawie zmarł Leopold Buczkowski — pisarz, malarz, grafik.

28 IV 90 urodziny obchodził prof. Stanisław Lorentz — historyk sztuki, w latach 1936—1982 dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie.

28 IV Nagrody „Trybuny Ludu" otrzymali: za wkład w rozwój nauk społecznych oraz upowszechnianie ideologii i programu PZPR — I stopnia, prof. Zdzisław Cackowski; II stopnia — doc. Maria Jarosz, zespołową — zespół redakcyjny miesięcznika „Wojsko Ludowe" w składzie: płk Zdzisław Szerwiński, płk Franciszek Seweryn, Mieczysław Witczak; za osiągnięcia w dziedzinie ideowo-wychowawczej: I stopnia — Olgierd Fietkiewicz, Władysław Kruczek, II stopnia — Stanisław T. Kuśmierek, zespołowe — Odolańskie towarzystwo Kulturalne, Stowarzyszenie „Światowid" w Gdańsku, zespół dziennikarzy tygodnika „Perspektywy", Agnieszka Jarzębowska, Jadwiga Naorniakowska, Lesław Tokarski, zespół redakcyjny „Czterech pór roku" PR, Zdzisława Błażkowska, Tadeusz Cichomski, Anna Juśkiewicz, Małgorzata Kamykowa, Anna Lisiecka, Wojciech Marczyk, zespół Polskiej Kroniki Filmowej; za osiągnięcia w kształtowaniu i upowszechnianiu humanistycznych wartości kultury — I stopnia — Danuta i Witold Danilewiczowie z Poniatowej, Jerzy Duda-Gracz, Andrzej Kuśniewicz, Edward Lubaszenko, II stopnia — Hanna Banaszak, Witold Dołęgowski, Zdzisław Nalewalski; za inicjatywy społeczne i produkcyjne — I stopnia — Roman Nowicki, dr Marcin Święcicki, prof. Donat Tylman, Andrzej Wawrzyniak; II stopnia — Andrzej Grubba, Aleksander Olaszewski, Janusz Paul, dr Andrzej Rutkowski; zespołowe — zespół naukowców Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej pod kierownictwem płk. prof. Stanisława Barańskiego, zespół pracowników z Sędziszowskiej Fabryki Tłoków „Sefako" oraz Centralnego Biura Konstrukcji Kotłów z Tarnowskich Gór; nagrody specjalne — prof. Tadeusz Kielanowski, gen. dyw. Franciszek Księżarczyk, Jerzy Urban, Regionalny Społeczny Komitet Opiekuńczy przy redakcji „Wieczoru" w Katowicach, zespół metrampaży Działu Gazetowego DSP, Dariusz Boczar, Zbigniew Botwina, Maria Ebert, Wojciech Konopka, Stefan Kurylowicz, Andrzej Ługowski, Mirosław Łuszczyk, Józef Pieczarski, Marek Stępniewski, Henryk Suplewski, Janusz Tchorek, Andrzej Wojciechowski.

28 IV Doroczne nagrody OPZZ otrzymali: Jerzy Grzymkowski, Krystyna Kolińska, Tadeusz Siejak, Wiesław Rogowski.

29 IV Międzynarodowy Dzień Tańca.

30 IV Światowy Dzień Miast Bliźniaczych.

Nagrody im. księdza Bolesława Domańskiego, przyznawane przez PAX otrzymali: Róża Brzezińska z Radamicy, ks. dr Eugeniusz Kapusta z Żagania, mgr inż. arch. Andrzej Lorek z Koszalina, Wacław Milke z Płocka.

W Krakowie zarejestrowano Związek Żołnierzy Armii Krajowej.

W Warszawie zarejestrowano organizację Unia Młodzieży Demokratycznej.

W Gliwicach odbyła się V Gliwicka Konferencja Niemcoznawcza pod hasłem „Europa w 50 lat po napaści Niemiec na Polskę".

W Lublinie powstał „Związek Młodzieży Demokratycznej — Niezależne Stowarzyszenie Zarejestrowane".

Zmarła Barbara Sieroszewska — tłumaczka dzieł włoskich.

W Leningradzie rozpoczął działalność klub kulturalno-oświatowy „Polonia", afiliowany przy miejscowym oddziale Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej.

Krzysztof Jabłoński zdobył II nagrodę na VI Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Artura Rubinsteina w Tel-Awiwie.

15-letni skrzypek Bartłomiej Nizioł został laureatem Międzynarodowego Konkursu Yehudi Menuhina w Wielkiej Brytanii.

W Katowicach zarejestrowano Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie.

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
TEATR
Warszawa, ul. Jakubowska 14
Nr 7 z dn. -07- 89

280

w teatrze i wokół teatru

maj 1989

● Maj to, tradycyjnie, **szczyt sezonu festiwalowego.** W pierwszej dekadzie miesiąca odbyły się, po raz 29., **Kaliskie Spotkania Teatralne** — tym razem z udziałem: Starego T. im. Modrzejewskiej z Krakowa ze sztuką Wilde'a *Bądźmy poważni na serio* w reż. Kevina Hayesa, T. Śląskiego im. Wyspiańskiego z Katowic z *Kaligulą* Camusa w reż. Jerzego Zegalskiego, T. Polskiego z Wrocławia z *Niebezpiecznymi związkami* Hamptona w reż. Jana Buchwalda, T. Nowego z Poznania z *Tartufem* Moliera w reż. Izabelli Cywińskiej, T. Nowego z Łodzi z widowiskiem *Bonjour Marcel D.* Sitarza w reż. Lucyny Mielczarek, T. Współczesnego z Wrocławia z *Samobójcą* Erdmana w reż. Jerzego Jarockiego; gospodarze, T. im. Bogusławskiego z Kalisza, przedstawili *Gigantów z gór* Pirandella w reż. Jacka Pazdro.

Jury 29 KST w składzie: Anna Lutosławska (przewodnicząca), Barbara Borkowska, Zbigniew Kościelak, Andrzej Lis, Jerzy Sokołowski i Andrzej Wanat — nagrodami głównymi uhonorowało: **Danutę Stenkę** za rolę Elmiry w *Tartufie* i **Genę Wydrych** za rolę Serafimy Iljicznej w *Samobójcy;* pozostałe nagrody aktorskie otrzymali: **Magda Jarosz** za rolę Gwendoliny w przedstawieniu *Bądźmy poważni na serio,* **Beata Kolak** za rolę Ilzy w *Gigantach z gór,* **Krzysztof Kuliński** za rolę Podsiekalnikowa w *Samobójcy,* **Jerzy Schejbal** za rolę Valmonta w *Niebezpiecznych związkach,* **Jerzy Stasiuk** za rolę Orgona w *Tartufie* i **Maria Rybarczyk** za rolę Marianny w tym samym przedstawieniu. Nagrody za role drugoplanowe przyznano: **Sławie Kwaśniewskiej** za rolę Pani Pernelle w *Tartufie* i **Idze Mayr** za rolę Pani de Rosemonde w *Niebezpiecznych związkach;* nagrodę za rolę epizodyczną otrzymał **Bolesław Abart** za rolę Podejrzanego Typa w *Samobójcy,* nagrodę dla młodego aktora otrzymała **Dorota Segda** za rolę Cecylii w przedstawieniu *Bądźmy poważni na serio.* Ponadto wyróżniono: **Mirosławę Marcheluk** za rolę Kobiety Bez Imienia w przedstawieniu *Bonjour Marcel D.* i **Jolantę Zalewską** za rolę Cecylii de Volanges w *Niebezpiecznych związkach.* Specjalnymi nagrodami jury uhonorowało również twórców i wykonawców przedstawień prezentowanych w ramach imprez towarzyszących: **Kazimierę Starzycką-Kubalską** za rolę Markizy w *Miłosierdziu płatnym z góry* Zanussiego i Żebrowskiego z T. im. Bogusławskiego z Kalisza, **Annę Kulesę** (reżysera), **Marka Brauna** (scenografa), **Irenę Rybicką** i **Marka Urbańskiego** (aktorów) za przedstawienie *Życia wewnętrznego* Koterskiego z T. im. Bogusławskiego w Kaliszu oraz **zespół Pracowni Teatr** z Warszawy za spektakle prezentowane podczas 29 Kaliskich Spotkań Teatralnych: *Partyturę* Bajerskiego i Wojtaszka, *Andrzeja Bursę, czyli naukę chodzenia* Wojtaszka i *Obiad* Bajerskiego.

*** Mimo braku w tym roku ministerialnej dotacji, po raz 31. odbył się w Toruniu **Festiwal Teatrów Polski Północnej** — zorganizowany dzięki wsparciu finansowemu lokalnych władz. Do tegorocznego przeglądu zakwalifikowano następujące przedstawienia: *Operetkę* Gombrowicza z T. Dramatycznego im. Węgierki w Białymstoku w reż. Andrzeja Jakimca, *Mieszkanko Zojki* Bułhakowa z T. Dramatycznego w Elblągu w reż. Piotra Szumiejki, *Pluskwę* Majakowskiego z T. Wybrzeże w Gdańsku w reż. Ryszarda Majora, *Azyl* wg Kafki z T. Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu w reż. Wiesława Hołdysa, *Pieśń nad pieśniami* Dymnego z T. Współczesnego w Szczecinie w reż. Ryszarda Majora, *Szalbierza* Spiró z T. im. Jaracza w Olsztynie w reż. Krzysztofa Ziembińskiego i *Pchłę* Zamiatina z T. im. Horzycy w Toruniu w reż. Krystyny Meissner. Przedstawienia oceniało jury w składzie: Irena Jun (przewodnicząca) oraz Andrzej Hausbrandt, Michał Misiorny, Janusz Nyczak i Bożena Winnicka.

Główną nagrodę festiwalu — Nagrodę Zespołową Wojewody Toruńskiego — otrzymał **T. im. Horzycy w Toruniu** za *Pchłę.* Nagrody Zespołowej Prezydenta Torunia nie przyznano. Dwie nagrody reżyserskie otrzymali: pierwszą — **Krystyna Meissner** za *Pchłę,* drugą — **Piotr Szumiejko** (dyrektor artystyczny T. Dramatycznego z Sowietska w ZSRR) za *Mieszkanko Zojki.* Nagrodą za scenografię uhonorowano **Aleksandrę Semenowicz,** autorkę oprawy plastycznej do *Pchły,* nagrodami aktorskimi — czwórkę wykonawców tego spektaklu: **Annę Romanowicz-Kozanecką, Tadeusza Kutę, Ildefonsa Stachowiaka** i **Pawła Tchórzelskiego.** Nie przyznano tym razem nagrody toruńskiego dziennika *Nowości* za kreację aktorską oraz Nagrody im. Morycińskiego dla młodego aktora. W podsumowaniu swego werdyktu jury stwierdziło, iż „poziom artystyczny przedstawień uczestniczących w 31. FTPP w większości wypadków nie spełnił oczekiwań, co świadczy o utrzymywaniu się kryzysu scen dramatycznych także w regionie północnym." *** Ponadto odbyły się: XVII Przemyska Wiosna Teatralna, V Festiwal Młodego Teatru we Wrocławiu i VIII Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu. *** W uzupełnieniu notatki dotyczącej 24. Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego (poprzedni numer *Teatru)* informujemy, iż główną — i jedyną — nagrodę tego festiwalu: honorową nagrodę publiczności otrzymał zespół **T. im. Witkiewicza w Zakopanem** za *Doktora Faustusa* Marlowe'a w reż. Andrzeja Dziuka.

● 10 grudnia ubiegłego roku z inicjatywy kierownictwa wrocławskiego T. Współczesnego (obchodzącego właśnie jubileusz 40-lecia) odbyła się panelowa dyskusja na temat obecnej sytuacji teatru polskiego. Zapis tej dyskusji, opatrzony tytułem *Im lepiej, tym gorzej* publikuje krakowski miesięcznik *Zdanie* (nr 3). Z obszernego stenogramu wybieramy najciekawszą, naszym zdaniem, wypowiedź **Tadeusza Nyczka:**

„Zostawmy na chwilę pieniądze i spójrzmy na problem teatru jako sztuki. Sztuka mianowicie nie jest obowiązkiem. Sztuka jest szaleństwem, manią, fascynacją, chęcią zrobienia czegoś, co w praktyce nie jest egzystencjalnym obowiązkiem człowieka. Tymczasem teatr, tak jak wiele innych rzeczy, stał się w naszym ukochanym kraju ponurym obowiązkiem, który należy wykonywać z dziką determinacją. Wokół nas pełno jest ofiar wykonywania tego obowiązku, ofiar bycia artystą. Dzieje się tak dlatego, że istnieje obowiązek utrzymywania kilkudziesięciu teatrów, kilku tysięcy aktorów, obowiązek wykonywania repertuaru, grania, itp. Setki obowiązków... (...)

Na tak zwanym świecie teatr jest jednym z wielu dosyć zwyczajnych przejawów życia. Pojawiają się talenty, prywatna wola zrobienia czegoś, co jest pasją i namiętnością, czasem forsą lub karierą, ale nie k o n i e c z n o ś c i ą zrobienia tego czegoś, bo taki mam obowiązek wobec narodu, tradycji, kultury i Bóg wie czego jeszcze. U nas samo istnienie teatru stało się potwornym musem, podobnie jak pisanie literatury czy wydawanie gazet. Nie jestem zresztą pewien, czy akurat dzisiaj jest to bardziej sprawa samych artystów, czy skutek niegdysiejszych politycznych ambicji nowej władzy w PRL. (...)

W wielu krajach teatr jest na marginesie i robi się go na marginesie życia. Chodzi się do teatru, tak jak chodzi się na kawę, do kina, do restauracji. Myśmy zrobili z pójścia do teatru wielką sprawę, ponieważ nie mamy co jeść — niekoniecznie w dosłownym znaczeniu — i gdzie pójść. Teatr ma nam nasze klęski, niepowodzenia i niedostatki zrekompensować.

A tymczasem teatr nam tego dać nie może. To jest ponad jego siły. Teatr wali się z różnych powodów, może i z tego, że nie jest w stanie udźwignąć odpowiedzialności, jaką go obarczyliśmy w naszym życiu i w naszej kulturze.

Co z tym robić? Najprościej byłoby przekłuć ten balon z napisem teatr i sprowadzić go do normalnych, zdrowych proporcji. Ale ponieważ nie jesteśmy normalnym, zdrowym krajem, jak wiele innych, obawiam się, że to nam się nie uda."

● **Z majowego afisza.** Po wyjątkowo długiej przerwie w T. Współczesnym w Warszawie nareszcie premiera: znane dotąd z drugiego obiegu *Życie i niezwykłe przygody Iwana Czonkina* Wojnowicza w adaptacji i reżyserii Macieja Englerta. *** W T. Powszechnym w Warszawie — *Wujaszek Wania* Czechowa w reż. Rudolfa Zioły. Również Czechow, ale niejako z drugiej ręki, w T. Dramatycznym: *Parasolka* amerykańskiego autora węgierskiego pochodzenia — Franka Dunaia — na motywach opowiadania *Trzy lata* (reż. Zbigniew Zapasiewicz). *** Kilka ciekawych propozycji na scenach łódzkich: w T. im. Jaracza — *Sen srebrny Salomei* Słowackiego w reż. Bogdana Hussakowskiego i *Obywatel Pekosiewicz* Słobodzianka w reż. Mikołaja Grabowskiego (na afiszu łódzkiego spektaklu widnieje słowo „prapremiera", choć, jak wiadomo, pierwszy sztukę Słobodzianka wystawił w T. Polskim w Bydgoszczy Andrzej Maria Marczewski, jednak na tę realizację autor nie wyraził zgody); w T. Studyjnym '83 — „niecenzuralny" do niedawna *Mój wiek* Wata w adaptacji i reżyserii Marka Mokrowieckiego. *** Ponadto: w T. Wybrzeże w Gdańsku — *Pluskwa* Majakowskiego w reż. Ryszarda Majora, w T. Polskim w Bydgoszczy — *Sztuka konwersacji* Kazimierza Brandysa w reż. Wiesława Nowickiego — *Ilustrowany Kurier Polski* nr 105 zatytułował bydgoski spektakl *Sztuka kochania* (!); w T. Śląskim im. Wyspiańskiego w Katowicach — *Dom lalki* Ibsena w reż. Jerzego Zegalskiego.

● Dyrektor T. Polskiego we Wrocławiu, **Jacek Bunsch,** o współczesnej polskiej dramaturgii (w rozmowie z Urszulą Bielską):

„Jestem zdania, że przynajmniej raz w ciągu sezonu powinna się pojawiać komunikatywna sztuka napisana przez polskiego dramaturga, mówiąca o tym, co się dzieje wokół. Nie dokładnie dokumentalna, nie o to chodzi. Tylko taka, która stanowiłaby rodzaj wysłuchania stanów intelektualnych i psychicznych społeczeństwa. Tymczasem tu jest potężna luka. Obawiamy się wprowadzać na scenę sztuki o charakterze, jak ja to nazywam, aktualnego realizmu.

Nie ma ich?

Sądzę, że powstałyby, gdyby nie złe doświadczenia wieloletnie, kiedy utwory tego typu były utrącane przez tzw. decydentów i dodatkowo obrywały cięgi od krytyków, którzy uznawali owe sztuki jako »niegodne«, »dosłowne« czy »niezbyt nośne«. Na skutek tego autorzy zaczęli się chować w siebie i uciekać ku metaforom. A to jest na dłuższą metę nieznośne. Tymczasem sztuki, które byłyby czymś w rodzaju panoramy naszej rzeczywistości, na pewno zainteresowałyby publiczność. Jeżeli niekiedy skarżymy się, że zrywa się nasza więź z widzem, to wynika to m.in. z niedostatków współczesnej dramaturgii." (*Kultura* nr 20)

● **Personalia.** Najciekawszymi wydarzeniami bieżącego sezonu są tyleż premiery co nominacje na dyrektorskie stanowiska. Po Andrzeju Wajdzie, który objął kierownictwo T. Powszechnego w Warszawie kolejna zmiana, i to raczej dość niespodziewana: ze stanowiska dyrektora naczelnego i artystycznego T. Nowego zrezygnował na skutek choroby Bohdan Cybulski; jego miejsce zajął **Adam Hanuszkiewicz,** długoletni dyrektor T. Powszechnego i Narodowego, zdymisjonowany w 1982 roku przez ówczesnego ministra kultury i sztuki Kazimierza Żygulskiego. Na swej pierwszej konferencji prasowej dyr. Hanuszkiewicz nie przedstawił, co prawda, konkretnych planów repertuarowych, zapowiedział wszakże, iż swej działalności nie zamierza ograniczać jedynie do sceny przy ul. Puławskiej; chce również wykorzystać do celów teatralnych Teatr na Wyspie w Łazienkach i zabytkowy pałac na Ursynowie należący do Akademii Rolniczej. *** Przedziwne korowody związane ze zmianą kierownictwa T. im. Słowackiego w Krakowie (nie pierwsze zresztą w historii tej sceny) opisuje *Echo Krakowa* (nr 89): „Zapowiadało się niewinnie... Jubileusz 40-lecia pracy twórczej, 65-lecie urodzin i pożegnanie (...) Jana Pawła Gawlika. Pierwszy punkt programu (...) odbył się w sympatycznym nastroju, choć J.P. Gawlik samokrytycznie oświadczył, że jego 4-letnie dyrektorowanie teatrem nie było dobrym okresem tej sceny, odeszła najlepsza publiczność i nie udało się zintegrować zespołu. Nie zazdrości też następcy, który przejmie teatr z widmem komercjalizacji, »a co grać w Polsce w tych czasach, tak konkurencyjnych dla teatru?«.

A potem za przyczyną wiceprezydenta J. Nowaka odbyła się autentyczna psychodrama. Prezydent zażądał od zgromadzonego zespołu teatru, by opowiedział się, czy chce objęcia stanowiska dyrektora przez zaproszonego na to spotkanie Jana Prochyrę. Wrażenie było duże. Wyraźnie skonfundowany Jan Prochyra powiedział, że w tak niekonkretnej sytuacji trudno mu występować z własnym programem. (...)

Aktorzy usiłowali wymusić na władzach deklarację, czy J. Prochyra jest kandydatem czy dyrektorem? Władze wymigały się od decyzji, zasłaniając się brakiem opinii ZASP i Ministerstwa." Ministerstwo podjęło wreszcie decyzję: Jan Prochyra będzie od nowego sezonu dyrektorem naczelnym i artystycznym T. im. Słowackiego w Krakowie. Opuszczone przez Prochyrę stanowisko dyrektora T. Współczesnego we Wrocławiu obejmie **Bogdan Hussakowski,** dotychczasowy dyrektor T. im. Jaracza w Łodzi. *** Nowym szefem T. Polskiego w Szczecinie został mianowany (zgodnie z sugestiami koła ZASP-u) **Zbigniew Wilkoński,** reżyser, dotychczasowy dyrektor artystyczny T. Lalek „Miniatura" w Gdańsku. Kierujący szczecińską sceną przez kilka ostatnich sezonów Andrzej May złożył rezygnację. *** T. Studyjny '83 im. Tuwima w Łodzi poprowadzi od nowego sezonu, po odejściu Pawła Nowickiego, reżyser **Andrzej Pawłowski.** *** Przełamano impas w sprawie ursynowskiego T. Za Dalekiego, nad którym patronatu zrzekł się przed kilkoma miesiącami T. Dramatyczny. Obecnie T. Za Daleki przeszedł pod zarząd Domu Sztuki SBM „Ursynów". Szefem placówki została **Beata Gościk,** absolwentka Wydziału Wiedzy o Teatrze warszawskiej PWST, związana z T. Ateneum i T. Telewizji. Funkcję kierownika artystycznego objął reżyser Michał Kwieciński.

● Po blisko czterech latach przygotowań, kompetencyjnych przepychanek czy — mówiąc wprost — zwykłego bałaganu organizacyjnego ruszyła chyba wreszcie na dobre odbudowa **T. Narodowego.** Do pracy przystąpił specjalnie sprowadzony żuraw, który pomoże w rozbiórce wewnętrznych konstrukcji budynku (mury kruszone również będą za pomocą tzw. mikrowybuchów). Zakończenie prac rozbiórkowych przewiduje się w przyszłym roku. Łza się w oku kręci, gdy się pomyśli, że przez ten czas w niejednym kraju udało się zbudować od podstaw zupełnie nowy teatr...

● W ramach prezentacji **T. Rzeczypospolitej** w Warszawie wystąpił zespół krakowskiego Starego T. im. Modrzejewskiej z *Marzycielami* Musila w reż. i scen. Krystiana Lupy — ubiegłorocznego laureata Nagrody im. Swinarskiego. *** W Chełmie i Krakowie wystąpił T. Polski z Bydgoszczy z *Mistrzem i Małgorzatą* Bułhakowa w reż. Andrzeja Marii Marczewskiego.

● **Andrzej Wajda** został doktorem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

● O poselskie i senatorskie mandaty ubiegają się w tegorocznych wyborach również przedstawiciele środowiska teatralnego. Z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarności" kandydują: **Gustaw Holoubek** (senat, woj. krośnieńskie), **Andrzej Łapicki** (sejm, woj. stołeczne warszawskie), **Andrzej Szczepkowski** (senat, woj. chełmskie) i **Andrzej Wajda** (senat, woj. suwalskie). Z ramienia PZPR: **Jerzy Trela** (senat, woj. miejskie krakowskie) i **Szymon Szurmiej** (sejm, lista krajowa).

● Z okazji **trzydziestej rocznicy powstania T. Laboratorium Jerzego Grotowskiego,** w Jeleniej Górze odbyło się **okolicznościowe sympozjum** zorganizowane przez Ośrodek Badań i Praktyk Kulturowych przy T. im. Norwida oraz Zakład Teorii Kultury i Sztuk Widowiskowych Uniwersytetu Wrocławskiego. Z referatami wystąpili m.in.: Józef Kelera, Zbigniew Osiński, Tadeusz Burzyński i Elena Chodunowa (ZSRR). Odbyły się też pokazy filmów o T. Laboratorium.

● Na zaproszenie Polskiego Ośrodka ITI z krótką wizytą w Warszawie przebywał **Joseph Papp,** amerykański aktor, reżyser, organizator życia teatralnego, twórca i animator New York Shakespeare Festival. Na scenie T. Ateneum Papp poprowadził specjalne warsztaty, w ramach których przedstawił — z udziałem polskich aktorów — fragmenty czterech nowych sztuk amerykańskich, wystawionych w ostatnim okresie w kierowanym przez siebie Public Theater.

● **Jubileusze.** 65. rocznicę urodzin obchodzi **Kazimierz Dejmek,** aktor, reżyser, dyrektor teatrów, prezes ZASP-u. *** 45-lecie pracy artystycznej obchodzi **Henryk Olszewski,** aktor, reżyser, dyrektor teatrów; 35-lecie: **Stanisław Brodacki,** aktor T. Dramatycznego w Elblągu i **Andrzej Juszczyk** — aktor T. Polskiego w Bydgoszczy.

● **Medalem im. Leona Wójcikowskiego** — wyróżnieniem dla młodego, zdolnego tancerza przyznawanym przez kolegium redakcyjne czasopisma *Taniec* — uhonorowana została w roku bieżącym **Malwina Poleszak,** solistka Polskiego T. Tańca w Poznaniu.

● Sporo zagranicznych zespołów teatralnych przebywało w maju na gościnnych występach w Polsce. Dominowały wśród nich zespoły ze Związku Radzieckiego. W Szczecinie wystąpił T. im. Rainisa z Rygi z czterema przedstawieniami: *Czarną grzywą* Paukssa, *Ostatnią nocą Sokratesa* Canewa, *Tangiem* Mrożka i sztuką Zivertsa *Ktoś, kogo nie ma.* *** W Szczecinie wystąpił również teatr z Mostu (CSRS) ze sztuką *Armia Brancaleona* Novaka i Srby. *** T. Marionetek z Tbilisi pokazał w Białymstoku widowisko *Ja — to pokój* Bojaczkina, Buerry, Gumberidze i Topurii; inny gruziński zespół — T. im. Rustawelego wystąpił w Warszawie ze spektaklem *Macocha Samaniszwili* Kłdiszwilego. *** W Łodzi gościł Rosyjski T. Dramatyczny z Wilna z *Lekcją muzyki* Pietruszewskiej i *Impromptu* Wilkina i Sławutina oraz T. Miejski z Karl-Marx-Stadt z NRD z *Antygoną* Sofoklesa i sztuką dla dzieci *Oj, piesku* Wolfa. *** *Drugie danie* Mrożka pokazał na scenie zakopiańskiego T. im. Witkiewicza T. Dramatyczny z Uljanowska, natomiast T. im. Zankowieckiej ze Lwowa wystąpił w Krakowie z *Nieszczęsną* Karpenki-Karyja. *** Państwowy T. Północnej Grecji z Salonik wystąpił w Warszawie z *Trojankami* Eurypidesa.

● W specjalistę od erotyki w teatrze bawi się na łamach *Wybrzeża* (nr 21) Krzysztof Antoń. W swym artykule stwierdza m.in., iż „w Polsce striptiz nobilitował Konrad Swinarski, wprowadzając go do swej inscenizacji *Bani* Majakowskiego". Jedno krótkie zdanie i kilka błędów. Po pierwsze, nie istnieje sztuka pt. *Bania;* w języku polskim utwór Majakowskiego nosi nazwę *Łaźnia.* Po drugie, Konrad Swinarski nie inscenizował *Łaźni,* lecz *Pluskwę.* Po trzecie, striptiz na polskich scenach oglądać mogliśmy wcześniej niż miała miejsce premiera *Pluskwy.*

● Na koniec anegdota zaczerpnięta z wywiadu Gustawa Holoubka dla *Sztandaru Ludu* (nr 81):

„Przeniosłem się do Warszawy z Katowic w 1958 roku. (...) Pierwsze kroki skierowałem do hotelu *Bristol,* żeby się ostrzyc, bo chciałem przyzwoicie wyglądać, jako że miałem złożyć jakąś oficjalną wizytę. U fryzjera czekałem dwie godziny, zanim zaproszył mnie na fotel. Zamachał prześcieradłem, zatrzymał się w pół gestu, po czym oddalił się i spojrzał na mnie jak na obraz. Wreszcie zapytał: »Kto pana strzygł?« Odpowiedziałem: »W Krakowie...«. — »Tak jest — usłyszałem — z tą głową nic się nie da zrobić...« I wyrzucił mnie. Potem zrozumiałem, na czym to wszystko polega..."

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
280
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
GAZETA KRAKOWSKA
ul. Wielopole 1
31-072 Kraków
Nr 188 z dn. 12.15.08.88

magnetofonowej)

— Panie naczelniku, mimo że został Pan wybrany gospodarzem miasta, to jednak całe Zakopane wrze dotąd z powodu działalności Pana na stanowisku I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR. Wielu naszych rozmówców nie ukrywa, że postępował Pan po dyktatorsku.

— Chciałem wreszcie doprowadzić do rozwoju Zakopanego. Podejmowano dotąd setki uchwał, nawet zupełnie dobrych, ale nikt ich nie realizował. Przez to istnieje taki marazm. Baza turystyczna, kulturalna, komunalna jest bardzo słaba. Czy tak powinno wyglądać miasto na miarę Zakopanego?

— Chodzi nam o metody Pańskiego działania. Wyrzucał Pan ludzi ze stanowisk i te zmiany do niczego nie prowadziły. Przy tym działał Pan metodą sądów kapturowych. Ileż to razy ludzie dowiadywali się z gazet, że odebrano im rekomendację partyjną.

— Rekomendacji nie odbiera jeden człowiek, decyduje o tym egzekutywa komitetu miejskiego. Na jej posiedzeniach była co do tego zwykle zgodność. Ale może najpierw powiem, dlaczego dochodziło do odebrania rekomendacji. Pewni ludzie nie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Zabraliśmy pewne zamierzenia w indeks i każdy przyjął na siebie konkretne zadania. Partia się temu przyglądała i rozliczała ich. Jeśli zawiedli, to nie mogli się spotkać z naszą pochwałą.

— Mówi się, że ten indeks był zbiorem pobożnych życzeń. Natomiast wasze działania doprowadziły do zrodzenia się atmosfery strachu, wielu ludzi zostało wykończonych, ich zdaniem, niewinnie. Pan — zdaniem naszych rozmówców — jest symbolem zakopiańskiego terroru. To nie są wcale odosobnione zdania, takie sądy wyrażają wieloletni działacze partyjni.

— W Zakopanem dzieją się rzeczy nie do pojęcia. Tu buduje się szkołę 11 lat, gdzie indziej most 12 lat, salę teatralną — 10 lat, kino dwusalowe — 11 lat. To było nie do wytrzymania. Przecież ktoś ponosi odpowiedzialność za swe czyny. Wy zrobicie z tego tematu co będziecie chcieli. Wy macie prawo. Ale proszę takie samo prawo pozostawić mnie.

— Czy realizacja indeksu zakończyła się sukcesem? Czy dało to coś miastu?

— Mnie się wydaje, że bardzo wiele. Posłużę się tylko jednym przykładem. Gdyby dzięki indeksowi nie udało się przeskoczyć sprawy Studium Medycznego, jedyny w kraju tytuł inwestycyjny zszedłby z planów. Indeks to nie tylko nasze pobożne życzenia. On stał się integralną częścią planu i budżetu Rady Narodowej, był przedmiotem obrad sesji i komisji. Rodzi się pytanie — czy instancja działała sobie a muzom? Ona porządkowała te sprawy we współdziałaniu z Radą Narodową.

— Czy jest Pan przekonany, że powinna to robić partia?

— Nie i dlatego teraz jestem tu, w Urzędzie Miasta.

— Z tego, co Pan mówi wnioskujemy, że pełni Pan przez całą kadencję sekretarzowania funkcję naczelnika miasta.

— Jest to zarzut, z którym się muszę godzić od początku do końca. Nikt mi tego zarzutu dotąd formalnie nie postawił. Uważam, że za dużo uwagi poświęcaliśmy sprawom gospodarczym. Z tym, że to nie kłóciło się z ani jednym ówczesnym przepisem — ani z dawnym ani z obecnym. Nigdzie pan nie znajdzie, zapisu, że komitet miejski partii zobowiązuje naczelnika czy dyrektora do zrobienia tego czy owego. Są to wystąpienia płynące do radnych, członków PZPR o załatwienie określonych spraw. Dyskutowaliśmy wyłącznie z radnymi — członkami PZPR. Powstaje pytanie — czy jeśli sprawy gospodarcze nie będą załatwiane, czy wręcz będą odkładane, partia ma rację bytu w danym środowisku? Bo według mnie nie ma wtedy szans na odgrywanie jakiejś wiodącej roli.

— Można by zrozumieć zmiany, które prowadzą do pozytywnych efektów. Ale jeśli w budownictwie przedsiębiorstwo „Podhale" po zmianach jest gorsze niż „Podhale" przed zmianami, to po co ta cała zabawa?

— Kto panom to powiedział? Niektóre sprawy dobrze pamiętam. Na niektóre zwracałem mniejszą uwagę. Ale jeżeli operujemy konkretami... Podstawą wyciągnięcia jakichkolwiek sankcji względem skądinąd bardzo porządnego człowieka jakim jest dyrektor „Podhala" Pawłowski było istnienie przefakturowań rzędu 200 mln zł. Czy wiecie, że

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—5)

Dyrektor, sekretarz, naczelnik – Człowiek Roku 1988

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

jego następca Marcinkowski, który był komisarycznym zarządcą wyciągał tę sprawę do dnia dzisiejszego. Przefakturowania tak olbrzymie, iż wydawało się, że trzeba będzie przedsiębiorstwo spisać na straty.

— Ale dlaczego w takiej sytuacji nie pomówić z człowiekiem, z jego organizacją partyjną? Skąd sądy kapturowe?

— To w przypadku Sikory. Tu zawaliliśmy. Dlatego Komitet Wojewódzki miał prawo zająć takie stanowisko, nie inne. Popełniony został błąd przez nas i ta uchwała została uchylona. Powinniśmy temat przenieść na kolejne posiedzenie egzekutywy, a w międzyczasie prosić o opinię POP „Tatr". Tak, to jest nasz błąd. Ale można też było w Komitecie Wojewódzkim w innym kierunku interpretować całe zdarzenie. Ale mieli prawo przywrócić Sikorze rekomendację. Choć ja mam odnośnie tej konkretnej osoby odczucie zgoła odmienne. Byłem przez pewien czas zastępcą dyrektora i jestem ekonomistą, może mam zwariowane pomysły, ale na miejscu Sikory dawno już bym wyremontował ten fragment budynku, który zresztą został dobudowany jako osobny element. Mówię o sali teatralnej.

— Wiadomo jednak, że teatr to tylko cząstka „Morskiego Oka".

— 10 lat temu w miejscu teatru można było zrobić to, co było przed wojną. Mógł być tam kwartet, kwintet, oktet, można było zrobić kabaret, ustawić 20 stolików. Bo tam dla 300 osób było niebezpiecznie. Stu ludzi mogło śmiało przebywać w tym pomieszczeniu.

— Ale salę zamknęły władze architektoniczne.

— Bo wchodził tam tłum. A dziś utrzymuje się tam magazyn.

— Wiadomo jednak, że dziś nie można tam robić kosmetyki. Remont musi być generalny.

— Macie rację, dziś taki Ale 10,5 roku temu Zakopane dosłownie wrzało, mówiąc o sali widowiskowej im. Modrzejewskiej.

— Ale to była wina wszystkich. Po co było dodawać „Morskie Oko" „Tatrom"?

— Wychodząc z tego założenia zrobiłem tak: rozpisałem rozprawę administracyjną z „Tatrami". Proszę spojrzeć w dokumenty: budynek i grunt, na którym stoją „Tatry" jest własnością państwa. Tak jest z „Morskim Okiem", „Jaworzynką", „Kuźnicami", „Warszawianką". W dokumentach pisze, że ja mogę im zabrać zarząd. Spotkajmy się więc, podyskutujmy. Potem zobaczymy. Jeśli rzeczywiście mogę go odebrać, to dziś już mam trzech kontrahentów.

— Ale na cały budynek?

— Na cały. Mam trzech kontrahentów, którzy mogą zacząć remontować budynek. W naszych ustaleniach indeksu nie pisaliśmy, że ma to być sala teatralna. Chcieliśmy, aby salę zacząć eksploatować, aby ustalić jej funkcję. Zapis w indeksie, to była koncepcja zagospodarowania. Koncepcja. Przecież to proste. Siądziemy w kilka osób i w ciągu kilku godzin potrafimy to zrobić. Oni nie mają koncepcji. Nie potrafili tego opracować. Gdyby w indeksie było: proszę opracować dokumentację, proszę wykonać remont kapitalny. To co innego.

— Chodziło o założenia techniczno-ekonomiczne projektu.

— Wcale nie, tylko o koncepcję.

— To, co zawarł indeks, wygląda na odfajkowanie sprawy. Koncepcji można mieć i pięć. To nie nie daje. Przejdźmy jednak do kolejnej ofiary — Bielawy.

— To nie my go usunęliśmy, lecz jego organizacja.

— Ile? 3—4 osoby.

— Sprawdźcie to, organizacja liczy 15 osób.

— Może teraz, dawniej to były dwie, trzy osoby.

— Zresztą sama organizacja to byłoby małe piwo. My nie mogliśmy wyciągnąć konsekwencji względem Bielawy, gdyż to członek ZSL. Jemu wypowiedziało posłuszeństwo koło ZSL. I my zwróciliśmy się w tej sprawie do Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL. Jurek Bielawa nie miał de facto cofniętej rekomendacji partyjnej. Odwołał go z tego stanowiska Miejsko-Gminny Komitet ZSL, nie Komitet Partii. My doprowadziliśmy do zwołania wspólnego posiedzenia egzekutywy KM i prezydium miejsko-gminnego ZSL, poprosiliśmy całe koło ZSL, całą organizację partyjną, samorząd robotniczy. Na pięć minut przed posiedzeniem odwołano to spotkanie. Nasi koledzy, przyjaciele powiedzieli, że oni nie chcą dopuścić do sądu i zgadzają się — mając na uwadze fakty, aby Jurek Bielawa odszedł ze stanowiska. Jest to wewnętrzna sprawa Komitetu ZSL. Przepychanki u nich w tej sprawie trwają do dzisiaj.

— Sam Pan mówi, że ma Pan dla niego uznanie. Jest to człowiek kontrowersyjny, ale zarazem energiczny.

— Dam przykład. Mało który redaktor szczypał mnie tak jak Ryszard Niemiec. Bezpodstawnie, nieuczciwie, bez skonfrontowania. Jeśli się spotykamy, ja próbuję coś wytłumaczyć, dochodzi nawet do spięć, uznajecie w końcu, że macie rację. To jest co innego. Niemiec tego nie próbował. Ale go szanuję, powołałem do Komitetu Organizacyjnego Memoriału Bronka Czecha. Podobnie z Bielawą. Uważam, że jest pozytywny. Jeszcze raz mówię, mnie nie interesowali ludzie, interesowała mnie sprawa

— Mówi Pan, że nie chciał Pan dotykać ludzi. Członkowie egzekutywy mówili nam, iż bardzo często używał Pan sformułowań: sprowadzić do parteru, prostować kręgosłup, brać za łeb. Czy Pan wie jak Pana nazywają w Zakopanem?

— Słucham.

— Robespierre, młody Stalin.

— Z tym drugim określeniem się zetknąłem. I teraz, panowie, weźcie się za porządkowanie czegokolwiek! Nie będę mówił, jak się wyrażali członkowie egzekutywy. Wiem, że podejmujemy wspólną decyzję, a potem wieczorem dyskutują o niej zgoła odmiennie.

— Właśnie rozmawialiśmy z niektórymi członkami egzekutywy, którzy zmienili teraz front.

— Chyba nie wszyscy zmienili. Zresztą ja wiem, to może być Jurek Jodłowski, Władek Walczewski. Proszę wskazać mi innych. Proszę rozmawiać ze Zborowskim, Łuszczkiem, z sekretarzami, z innymi, którzy w charakterze gości występują na posiedzeniach egzekutywy.

— Nie ma Pan jednak dobrego rozeznania.

— Możliwe, może macie rację. Ja wiem co było mówione co podkreślano, ale ludzie są tylko ludźmi. Takie jest życie.

— Dlaczego pozwoliliście wejść w skład Prezydium Rady Narodowej dwóm członkom partii występującym jako bezpartyjni?

— W łonie stronnictw i partii zawsze trwały walki o zagwarantowanie sobie dostatecznej liczby mandatów. Dlaczego pan nie spyta ZSL? W minionej kadencji bezpartyjny pan Hagowski, radny WRN, został członkiem ZSL.

— Czy oni dalej są członkami prezydium?

— Tak, bo zostali wybrani jako bezpartyjni i dopiero potem wstąpili do PZPR. Zresztą, jak znam ordynację, to nie ma czegoś takiego, jak klub radnych bezpartyjnych.

— Ale przecież zwyczajowo u was taki klub działa?

— Macie rację.

— Bezpartyjni mówią: jest to normalna manipulacja.

— Jest to głośne, gdyż partyjni to zrobili. A gdy to samo zrobiło ZSL, nikt nic nie mówił.

— Rozmawialiśmy z liderem grona bezpartyjnych, Pawlikowskim. Powiedział: Komitetowi, władzy, wydaje się, że ludzie są tacy głupi i wszystko wezmą za dobrą monetę.

— Dlaczego mnie pan pyta o radnych? Dlaczego mnie pan nie spyta, na jakich zasadach przedstawiciele różnych partii otrzymali działki w Zakopanem, na jakich zasadach otrzymują zgody na handel?

— Tak, teraz nas pytają, na jakich zasadach otrzymał mieszkanie pan Możdzierz. Mówią, że Pan osobiście podpisywał ten przydział.

— Co pan takie rzeczy mówi! Ja niczego nie podpisywałem. Ja nie mogę podpisać za kierownika wydziału. On musi. Poproszę zresztą akta. Jeśli ja podpisałem, nadaje się to do uchylenia. Sprawdzimy.

(Po dostarczeniu akt okazało się, że przydział dużego mieszkania dla Kazimierza Możdzierza podpisał zastępca naczelnika. A więc nie kierownik wydziału lokalowego.)

— Przejdźmy do wyborów naczelnika. Dlaczego Pan zastrzegł, iż nie chce konkurenta? To przecież stawia Pana w dyktatorskiej roli. Czy nie byłoby bardziej politycznie dopuścić kontrkandydata?

— To były moje najtrudniejsze wybory. Ale... Zróbcie mi przyjemność, cofnijcie się o kilka lat i przeanalizujcie wszystkie wybory zakopiańskie. Rady narodowej, prezydium rady narodowej, komisje rady narodowej, partie...

— To nie jest tłumaczenie. Jeśli się tak działo, to czy nadal musimy popełniać te same błędy? Musimy w to brnąć? Czy nie ma żadnego alternatywnego programu w Zakopanem?

— Proszono mnie, abym się zgodził kandydować na naczelnika. Zdaję sobie sprawę z tego, iż godziłem się na degradację, przechodząc na funkcję naczelnika. Wiedziałem co się będzie działo po moim odejściu z komitetu, że dostanę baty za to wszystko co było.

— Mówi się, że miał Pan swojego człowieka w komitecie, który miał Pana zastąpić jako pierwszy sekretarz.

— ZSL nie miało kandydata, SD nie miało kandydata, bezpartyjni nie mieli kandydata. Czy ja nie mogłem postawić jakiegoś warunku? Postawiłem sprawę jasno. Jak ja mogę się ubiegać o tę funkcję razem z członkiem partii? Jeśli są kandydaci spoza PZPR to owszem. Jeśli mi się wszędzie mówi; mówi mi to ksiądz dziekan, przewodniczący PRON, przewodniczący rady, nawet zastępcy naczelnika, że nie ma innego kandydata; przyjdź, pomóż te sprawy ustawić. Ale skoro jest inny kandydat, po co ja mam mu wchodzić w konkury?

— Sam Pan agitował innego kandydata, przeprowadzał z nim Pan rozmowy. Ściągało się go telegramami. Potem nikt mu nawet nie powiedział dziękuję. I to już drugi raz.

— Nie drugi raz.

— Tak, drugi raz. Pierwszy raz było przy wyborze poprzedniego naczelnika Skrzętuskiego.

— Wówczas Łukasiewicz startował.

— Nie, nie startował. Byliśmy obecni przy wyborze Skrzetuskiego.

— Owszem, ale przepadł wcześniej, na posiedzeniu POP przy Urzędzie Miasta, kiedy nie dostał poparcia. Chciałbym, aby ta sprawa nie pozostawiła cienia wątpliwości. Łukasiewicz to znakomity facet. Zawsze go wysoko ceniłem. Początkowo do głowy mi nie przyszło, abym mógł współkandydować na stanowisko naczelnika miasta i gminy w Zakopanem. Rozmawiałem z nim, czy wobec tego, że pracuje w Krakowie chciałby się ubiegać o stanowisko naczelnika. Rozmawialiśmy prywatnie. Powiedział mi, że tak. Ale jego kandydatura postawiona na posiedzeniu egzekutywy nie uzyskała akceptacji.

— Nie sposób pojąć, dlaczego Pan stawiał taki warunek. Wkraczamy w epokę demokracji.

— Czy nie wolno mi było?

— Niech się Pan nie gniewa, ale są to dyktatorskie zapędy.

— Panowie uważają, że ten kto stawia warunek, jest dyktatorem, a ci co akceptują, są bez winy?

— Zdaje sobie Pan sprawę z tego, jacy często są współpracownicy. Są to pochlebcy. Kazimierz Możdzierz oświadczył nam, iż Pan sam postawił warunek: tylko jeden kandydat.

— Nie wypieram się tego.

— Pański kontrkandydat Łukasiewicz posiadał poparcie ZSL.

— Ależ drodzy panowie, na tego typu funkcje delegują kandydatów poszczególne partie. Jeszcze raz powiadam, dlaczego miałbym stawać w konkury innemu kandydatowi, który miałby jakikolwiek program?

— Ale był kontrkandydat, którego Pan sam aktywizował.

— Sprawy tego kontrkandydata nie przeszły. Jeśli chce pan znać szczegóły, niech pan sięgnie do protokołów, porozmawia z chłopakami o tym, dlaczego sprawa Łukasiewicza nie przeszła. Nie uzyskał akceptacji, rekomendacji egzekutywy.

— Czy uważa Pan, że takie awansowanie ludzi z komitetu na stanowisko jest słuszne? Do czego zmierzamy? Podobno dwóch zastępców naczelnika to ludzie z komitetu?

— Jeden tak, to mój dawny sekretarz rolno-ekonomiczny. Ale jego sprawa przeszła bo to góral, mieszkaniec Olczy.

— Drugi nie jest z komitetu?

— Nie, pracował w rejonie energetycznym.

— Po Zakopanem wieść niesie, że po to wykończono dyrektora Szkoły Muzycznej Hamarę, aby dać po nim posadę Pańskiemu pracownikowi z komitetu.

— Nie, dodają, że był to pracownik tej szkoły i że jest to nieprawdopodobna strata dla Komitetu Partii. To chłopak, który skończył konserwatorium i uczył w tej szkole. W komitecie był bardzo potrzebny i to co robił, to robił znakomicie. Ale dlaczego nie sięgamy dalej? Gdzie są fortepiany, kto handlował instrumentami muzycznymi w tej szkole? Gdzie się podziały materiały budowlane? To są rzeczy, które mają wpływ na pewne decyzje kadrowe.

— Nam też opowiadano dziesiątki plotek, ale nie sposób je udowodnić, więc Panu ich nie zarzucamy. Wracając do rzeczy, wie Pan, co mówią złośliwi na temat Pańskiego odej-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)

Dyrektor, sekretarz, naczelnik – Człowiek Roku 1988

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 4)

ścia? Istnieje teraz tylko pięć stanowisk z nomenklatury. Nie miał więc Pan pola do wyżycia się. Nie miałby Pan możliwości „brania lbów". Jak dziś, po odejściu z tej funkcji widzi Pan swoją działalność?

— Myślę, że w większości przypadków postąpiłbym identycznie jak wówczas. Z tym, że połowę tych przypadków oddałbym prokuraturze.

— Właśnie, chyba taka powinna być Pańska rola. Pan sądził bez sądu. Jak dyktator. Dziś Panu mogą wywlec, że Pan to wszystko ukrywał.

— Dziś byłbym o wiele mądrzejszy.

— Widzimy, że w Zakopanem nastąpiło jeszcze większe skłócenie, jeszcze większa stagnacja.

— Ale dobrze, niech mi panowie podadzą inne trudne sytuacje poza „Tatrami" w Zakopanem.

— PSS. Na Gubałówce jest dwa lata zamknięta restauracja. Nic się nie robi.

— Rachunek ekonomiczny panowie przeanalizowali?

— Uważa więc Pan, że ten lokal winien być zamknięty?

— Ależ skąd. Właśnie ja tu przyszedłem, aby pewne sprawy wyprostować.

— Wcześniej zwolnił Pan prezesa, który wyremontował delikatesy, wybudował piekarnię, był dobrym gospodarzem, zmodernizował dom towarowy, bagieclarnię. Coś się wówczas działo. Mówi się, że jeśli chodzi o handel, to jest w Zakopanem gorzej. Wchodzimy do baru mlecznego. O czwartej nie ma nic do jedzenia. Nic.

— Jesteście panowie przyjaciółmi Zakopanego. Przeanalizujcie przydział towarów. Czy jest on dla 30-tysięcznego miasta, czy przewiduje ktoś, że tu przyjeżdżają setki tysięcy turystów?

— Mówi Kłak, były naczelnik, że nie zgadzał się z Panem i musiał odejść. Za jego kadencji ruszyła sprawa gazyfikacji, ujęcia wody pitnej, składowiska śmieci, wreszcie oczyszczalni ścieków. A więc sprawy, które wlokły się w Zakopanem po kilkanaście lat.

— Ludzie są nieuczciwi, jeśli używają takich argumentów. Bez względu na to, co wam Kłak naopowiadał, ja go szanuję, uważam, że jego odejście było przedwczesne i niepotrzebne. Moim zdaniem był to mądry gość. Dlaczego odszedł, tego nie potrafię powiedzieć. Myślę, że on się po prostu wystrzelał. Stracił inicjatywę, stracił pomysłowość. Nikt nie nakłaniał Roberta Kłaka do odejścia. W pewną część ciała dostawał on, jak i ja będę musiał dostawać dzisiaj.

— Kłak utrzymuje, że czuł się jak podporządkowany Panu pracownik.

— Nie zwykłem nikomu wydawać poleceń, staram się wprowadzać stosunki koleżeńskie. Zresztą naczelnik jest poza zasięgiem instancji miejskiej. Wielu jest zakopiańczyków, którzy bardzo dużo robili w sprawie gazu. Ale fakty są takie, że dopiero 18 marca 1988 roku dostaliśmy decyzję o przydzieleniu gazu w Zakopanem. Proszę sprawdzić, czy wtedy Robert Kłak był jeszcze naczelnikiem. Jest to efekt realizacji indeksu.

— Kłak powiada, że obronił gazyfikację Zakopanego w Warszawie, kiedy już, już gaz miał być przydzielony. Szczawnicy. Stefan Gustek mówi to samo, byli razem z Kłakiem w stolicy.

— Pokażcie mi podkłady geodezyjne pod gaz. Nie ma. A więc do jasnej cholery — jak mógł być gaz załatwiany, skoro nie zlecono nawet wykonania podkładów geodezyjnych? Dlaczego Kłak nie formułował zarzutów moim poprzednikom — Wargowskiemu i Koprowskiemu? Bo u mnie jest tak, jak jest u was. Zadajecie pytanie i żądacie odpowiedzi od... do. Jeśli ona was nie satysfakcjonuje, to mówicie: panie, co mi pan opowiadasz. To samo jest z robotą. Zleciłeś, pokaż mi zlecenie. Wydałeś decyzję, pokaż mi podpisaną decyzję. Mówicie — dlaczego pan nie chciał drugiego kandydata? A kto mnie pytał: idioto, jesteś na zwolnieniu lekarskim, a pracujesz. Tak, pracuję jak wół.

— Panie naczelniku, w Zakopanem mówią, że Pan przegrał wybory w Komitecie Partii.

— Można tak powiedzieć. Zmiana szefa musi pociągnąć za sobą zmianę polityki instancji. Była szansa, aby istniała ciągłość tej polityki. Nie chodzi mi tu o „zdejmowanie głów". Chodzi generalnie o tę siłę przebicia, o tę ekspansywność, o nowatorstwo w działaniu. Gdyby ktoś z tej ekipy wszedł, to byłaby kontynuacja. Gdyby Władek Walczewski został pierwszym sekretarzem, a dziś się z wszystkiego wymiguje, byłaby większa szansa, wszystko byłoby utrzymane. Bo autorem indeksu był Władek Walczewski.

— On tego nie kryje.

— Ale wracając do komitetu. Rodzi się pytanie, jaka jest ta partia i jaka ma ona być. Ja bardzo przepraszam, nawet nie znam waszej przynależności. Ale nie to jest najważniejsze. Dziś cała Polska dyskutuje — jeśli partia ma się sprowadzić do roli stronnictwa, to wszystko w porządku, jeśli zaś miałaby spełniać kierowniczą rolę, to koniec.

— Mamy rozumieć, że ten wybór położył partię?

— Nie, nie położył. Ale wybór pociągnie zmiany w działaniu, co będzie miało swoje konsekwencje.

— Wydaje się jednak, że dotychczasowy styl kierowania partią w zakopiańskim środowisku nie zdał i nie zda egzaminu. Tu muszą być inni ludzie, jest tu mocne środowisko kulturalne, a my ciągle obracamy się wokół tych samych.

— Ja się tu urodziłem. Kto ma decydować o przyszłości Zakopanego? Ci co tu przyjechali?

— Nam chodzi o szersze pojęcie. O ludzi z otwartą głową.

— Mówi pan, że są ludzie kultury z otwartą głową. Oni robili wszystko, aby utrącić Teatr Witkacego za wszelką cenę.

— Dziwne, do Teatru Witkacego każdy się przyznaje — że go chroni, że dmucha na niego.

— On nie potrzebuje ochrony. On potrzebuje pomocy finansowej. Dziś jest sukces, wszyscy są jego ojcami. Ale niech pan zapyta Dziuka. Kto mu najwięcej pomógł w Zakopanem? Skąd się wzięło 100 mln zł?

— Rozmawiając z Panem dochodzi się do wniosku, że w Zakopanem nie ma człowieka na funkcji kierowniczej, który by się sprawdził.

— O, jest bardzo dużo osób. Nawet ci, którzy dostali od nas lanie. Choćby Strachanowska. Jest teraz przygotowywany wyjazd na podpisanie umowy w Holandii i ona tam jedzie.

— Mówiono jednak, że jej dni w wydziale są policzone.

— Zaprzeczam temu. Włos jej z głowy nie spadnie, dokąd ja tu jestem. Jest jedyną osobą, która jest w stanie połączyć stare tradycje zakopiańskie z nowymi wymaganiami w zakresie kultury. Biją mnie na oślep. Tylu było moich poprzedników. Ale „trykot" od WPHW zabrał Kozioł na Ośrodek Kultury Regionalnej. Panowie, gdybyście zbierali ten materiał na moją prośbę, albo z inicjatywy tych, którym się Zakopane podoba, na pewno stawialibyście inne pytania.

— Jest Pan człowiekiem roku według PAP, obok Tadeusza Bradeckiego i jeszcze kilku innych. Czy Pan może określiłby za co otrzymał ten tytuł? Jakie Pan ma osiągnięcia?

— Nie powiem, abym się śmucił z tego wyróżnienia, choć pewnie jest wiele osób, którym się ten tytuł należał. Myślę, że to, co zadecydowało, to moja kontrowersyjność. Panowie zrozumcie jedno, że trzeba czekać, aby coś wyszło. Po inicjatywie przychodzi faza realizacji i tu trzeba nadzoru. Wszystko wymaga czasu. Wy mi go nie dajecie.

— Sam Pan odbierał tę możliwość ludziom. Golik był zaledwie trzy lata i Pan go zdjął.

— Myślę, że ma on w głowie poukładane i trzeba pomyśleć o jego „zagospodarowaniu". To ja z nim rozmawiałem, aby przeszedł do pracy w spółce. A więc jestem z jednej strony ludożercą w stosunku do Golika, a z drugiej proponuję mu funkcję. Jeszcze raz mówię: to nie chodzi o Golika, nie chodzi o Sikorę, czy Iksińskiego. Tu chodzi o sprawę.

— Wróćmy do sprawy. Prezes Sądu Rejonowego Krupa buduje zmach sądu. Rozliczam się go za wznoszenie budynku, nie za to, jak sądzi ludzi, jak dotrzymuje terminów itp. Są to chyba zasady błędne. Na ile sędzia może się znać na budownictwie?

— Może trochę inaczej. Dlaczego ci ludzie dają się wpuszczać w taki kanał? Ci ludzie na coś liczą. Ano drzwi do ministra sprawiedliwości są otwarte, bo wszystkie wizyty w Zakopanem są tłumaczone troską o postęp w budowie, bo to jest uznanie na szczeblu centralnym, to jest cała sprawa. Wielu działaczy rodzinę by poświęciło dla pozycji i uznania.

— Ale to Pan wmanipulowuje ludzi w jakiś kanał i potem Pan czeka i się cieszy. Jak mu nie wyjdzie...

— Ja rozwinę pańską myśl... to się mu przyglądnę.

— Pan ich do tego ponagla, wciąga w układy. Ludzie są ludźmi. Są takie sytuacje w naszym kraju, a ludzi wciąga sytuacja.

— Ale dlaczego nie atakujecie całej sytuacji, tylko mały wycinek budując na tym swoją teorię? Co was do takiego działania upoważnia? I kto? Śmiem twierdzić, że nikt. Nawet własne sumienia nie pozwalają wam tego robić. Dlaczego formułujecie wobec mnie zarzuty, skoro sąd był budowany 10 lat?

— Ale kto za to powinien odpowiadać, kto był inwestorem?

— Mnie pan o to pyta?

— Dając rekomendację powinien Pan dokładnie rozeznać sprawę. Musi Pan dokładnie wszystko poznać. Położyć na szalę i zważyć. Powiem brutalnie. Pan obraca się po omacku i bije Pan na oślep. Tę metodę lepiej określę na kwestiach sportowych. Co Pan chciał uczynić przez cofnięcie Bafii rekomendacji? Trzeba było raczej zwołać konferencję prasową, nie załatwiać sprawy drogą partyjną. Bo co ma partia do związku narciarskiego? Słusznie Pana wykpił Niemiec i wyśmiała cała Polska. Pan powinien zwołać konferencję i powiedzieć: Bafii nie robi tego, tego i tego. Koniec. Pierwszy poparłbym Pana, bo Bafia był rzeczywiście słabym prezesem.

— A czemu pan tego nie zrobił?

— Nieraz pisaliśmy o tym.

— I co osiągnęliście? Gdyby jednak po pańskim artykule zdjęli go, widzielibyśmy, kto byłby winien: Stanowski. Ale wróćmy do sądu. Zapomnianie panowie, odkąd Krupa realizuje ten budynek. Pomijacie fakt, że w tym pierwszym wybudowanym obiekcie jest 18 nielegalnych pokoi gościnnych, o 36 miejscach. A notariat, adwokaturę, co by pan nie chciał, związane z sadownictwem rozrzucono po całym mieście, na czele z prokuraturą. I panowie zadajecie mi teraz pytanie, jakim prawem my próbujemy oceniać działalność Krupy.

— A ile jest w komitecie miejsc gościnnych?

— Nie wiem. Jest chyba 6 pokoi. Ale komitet, proszę panów, mieści się w budynku prywatnym. I partia płaci czynsz za teren i za budynek. Sąd miał określoną decyzję z przeznaczeniem poszczególnych pomieszczeń na ściśle określony cel. I teraz rodzi się pytanie — jakim prawem ja się do tego wtrącam chcąc uporządkować sprawy, które są na moim terenie, a nie powstaje pytanie, dlaczego inni oceniają moje postępowanie nie bazując na podstawach. Panowie stawiacie zarzuty dotyczące sportu. Na plenum Komitetu Miejskiego, poświęconym sportowi, byli Bafia, Waldemar Krajewski, szef pionu gwardyjskiego, wojskowego, ponad sto osób na sali. Przyjmuje się uchwałę, a dyskusja pseudodziałaczy zakopiańskich, że płakać się chce. I teraz kolejne spotkanie i posiedzenie egzekutywy. I jest wniosek o cofnięcie rekomendacji a nie ich cofnięcie.

— Do jednego się to sprowadza.

— Wystąpiliśmy z określonym stanowiskiem na szczebel centralny. I stało się tak, że Bafia odszedł. Czy to jest więc naszą zasługą czy naszą porażką?

— Jaka wasza zasługa! Był walny zjazd i go usunęli. Czas zresztą pokarał czy to usunięcie coś dało. Dzisiejsze narciarstwo chyba nie jest lepsze od ówczesnego. Metoda Pańskiego działania to bicie na oślep. Znamy przypadek cofnięcia rekomendacji naczelnikowi i jego zastępcy za to, że wyładowali przesyłkę jakiejś książki.

— Wprowadzono panów w błąd. Organizacja podstawowa PKP wystąpiła z wnioskiem i cofnęła rekomendację swoją zawiadowcy i zastępcy zawiadowcy.

— Czy uważa Pan, że po tym wszystkim może Pan zarządzać z sukcesem Zakopanem?

— Gdybym inaczej myślał, nie podjąłbym się tej funkcji. Tu trzeba działać twardo, po nowemu, z dokładnie ustalonym programem. Zadania moje są utrwalone w indeksie.

*

Od naszej rozmowy z naczelnikiem Koziołem upłynęło pół roku. W dalszym ciągu nikt nie rehabilitował działaczy, którzy musieli opuścić swoje funkcje. Jeden z członków Komitetu Miejskiego podczas konferencji sprawozdawczej instancji miejskiej zgłosił wniosek o wniesienie całej sprawy do Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR. Od tego czasu minęły miesiące, wniosek przeszedł bez echa. Także w szufladach Komitetu Wojewódzkiego w Nowym Sączu tkwią nie rozpatrzone odwołania ludzi z Zakopanego. Do terenu dalej nie dochodzą nowe wiatry z centrali.

ZBIGNIEW SATAŁA
ANDRZEJ STANOWSKI

...rektor, sekretarz, naczelnik - Człowiek Roku 1988

(cz. II)

Zbigniew Satała i Andrzej Stanowski rozmawiają z naczelnikiem Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej – MARKIEM KOZIOŁEM

We wczorajszym numerze „Gazety Krakowskiej" drukowaliśmy pierwszą część reportażu Zbigniewa Satały i Andrzeja Stanowskiego na temat kontrowersyjnej działalności kadrowej byłego I sekretarza KMG w Zakopanem, obecnego naczelnika miasta i gminy Marka Kozioła. W publikacji omawialiśmy cofanie rekomendacji partyjnych niektórym działaczom, konflikty związane z wyborem członków Prezydium Rady Narodowej i naczelnika miasta. Szczegóły dotyczące Przedsiębiorstwi „Tatry", „Podhale", Ogrodniczej Spółdzielni, MPRD, PSS a także Sikory, Golika, Pawlowskiego, Hamary, Strachanowskiej i innych, czyli ludzi, którzy w opinii Zakopanego zostali skrzywdzeni, można znaleźć we wczorajszym numerze „Gazety".

(Wywiad nie autoryzowany, spisany z taśmy magnetofonowej)

— Panie naczelniku, mimo że został Pan wybrany gospodarzem miasta, to jednak całe Zakopane wrze dotąd z powodu działalności Pana na stanowisku I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR. Wielu naszych rozmówców nie ukrywa, że postępował Pan po dyktatorsku.

— Chciałem wreszcie doprowadzić do rozwoju Zakopanego. Podejmowano dotąd setki uchwał, nawet zupełnie dobrych, ale nikt ich nie realizował. Przez to istnieje taki marazm. Baza turystyczna, kulturalna, komunalna jest bardzo słaba. Czy tak powinno wyglądać miasto na miarę Zakopanego?

— Chodzi nam o metody Pańskiego działania. Wyrzucał Pan ludzi ze stanowisk i te zmiany do niczego nie prowadziły. Przy tym działał Pan metodą sądów kapturowych. Ileż to razy ludzie dowiadywali się z gazet, że odebrano im rekomendację partyjną.

— Rekomendacji nie odbiera jeden człowiek, decyduje o tym egzekutywa komitetu miejskiego. Na jej posiedzeniach była co do tego zwykle zgodność. Ale może najpierw powiem, dlaczego dochodziło do odebrania rekomendacji. Pewni ludzie nie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Zebraliśmy pewne zamierzenia w indeks i każdy przyjął na siebie konkretne zadania. Partia się temu przyglądała i rozliczała ich. Jeśli zawiedli, to nie mogli się spotkać z naszą pochwałą.

— Mówi się, że ten indeks był zbiorem pobożnych życzeń. Natomiast wasze działania doprowadziły do zrodzenia się atmosfery strachu, wielu ludzi zostało wykończonych, ich zdaniem, niewinnie. Pan — zdaniem naszych rozmówców — jest symbolem zakopiańskiego terroru. To nie są wcale odosobnione zdania, takie sądy wyrażają wieloletni działacze partyjni.

— W Zakopanem dzieją się rzeczy nie do pojęcia. Tu buduje się szkołę 11 lat, gdzie indziej most 12 lat, salę teatralną — 10 lat, kino dwusalowe — 11 lat. To było nie do wytrzymania. Przecież ktoś ponosi odpowiedzialność za swe czyny. Wy zrobicie z tego tematu co będziecie chcieli. Wy macie prawo. Ale proszę takie samo prawo pozostawić mnie.

— Czy realizacja indeksu zakończyła się sukcesem? Czy dało to coś miastu?

— Mnie się wydaje, że bardzo wiele. Posłużę się tylko jednym przykładem. Gdyby dzięki indeksowi nie udało się przeskoczyć sprawy Studium Medycznego, jedyny w kraju tytuł inwestycyjny zszedłby z planów. Indeks to nie tylko nasze pobożne życzenia. On stał się integralną częścią planu i budżetu Rady Narodowej, był przedmiotem obrad sesji i komisji. Rodzi się pytanie — czy instancja działała sobie a muzom? Ona porządkowała te sprawy we współdziałaniu z Radą Narodową.

— Czy jest Pan przekonany, że powinna to robić partia?

— Nie i dlatego teraz jestem tu, w Urzędzie Miasta.

— Z tego, co Pan mówi wnioskujemy, że pełni Pan przez całą kadencję sekretarzowania funkcję naczelnika miasta.

— Jest to zarzut, z którym się muszę godzić od początku do końca. Nikt mi tego zarzutu dotąd formalnie nie postawił. Uważam, że za dużo uwagi poświęcaliśmy sprawom gospodarczym. Z tym, że to nie kłóciło się z ani jednym ówczesnym przepisem — ani z dawnym ani z obecnym. Nigdzie pan nie znajdzie, zapisu, że komitet miejski partii zobowiązuje naczelnika czy dyrektora do zrobienia tego czy owego. Są to wystąpienia płynące do radnych, członków PZPR o załatwienie określonych spraw. Dyskutowaliśmy wyłącznie z radnymi — członkami PZPR. Powstaje pytanie — czy jeśli sprawy gospodarcze nie będą załatwiane, czy wręcz będą odkładane, partia ma rację bytu w danym środowisku? Bo według mnie nie ma wtedy szans na odgrywanie jakiejś wiodącej roli.

— Można by zrozumieć zmiany, które prowadzą do pozytywnych efektów. Ale jeśli w budownictwie przedsiębiorstwo „Podhale" po zmianach jest gorsze niż „Podhale" przed zmianami, to po co ta cała zabawa?

— Kto panom to powiedział? Niektóre sprawy dobrze pamiętam. Na niektóre zwracałem mniejszą uwagę. Ale jeżeli operujemy konkretami... Podstawą wyciągnięcia jakichkolwiek sankcji względem skądinąd bardzo porządnego człowieka jakim jest dyrektor „Podhala" Pawłowski było istnienie przefakturowań rzędu 200 mln zł. Czy wiecie, że

(CIĄG DALSZY NA STR. 4—5)

Dyrektor, sekretarz, naczelnik - Człowiek Roku 1988

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

jego następca Marcinkowski, który był komisarycznym zarządcą wyciągał tę sprawę do dnia dzisiejszego. Przefakturowania tak olbrzymie, iż wydawało się, że trzeba będzie przedsiębiorstwo spisać na straty.

— Ale dlaczego w takiej sytuacji nie pomówić z człowiekiem, z jego organizacją partyjną? Skąd sądy kapturowe?

— To w przypadku Sikory. Tu zawaliliśmy. Dlatego Komitet Wojewódzki miał prawo zająć takie stanowisko, nie inne. Popełniony został błąd przez nas i ta uchwała została uchylona. Powinniśmy temat przenieść na kolejne posiedzenie egzekutywy, a w międzyczasie prosić o opinię POP „Tatr". Tak, to jest nasz błąd. Ale można też było w Komitecie Wojewódzkim w innym kierunku interpretować całe zdarzenie. Ale mieli prawo przywrócić Sikorze rekomendację. Choć ja mam odnośnie tej konkretnej osoby odczucie zgoła odmienne. Byłem przez pewien czas zastępcą dyrektora jestem ekonomistą, może mam zwariowane pomysły, ale na miejscu Sikory dawno już bym wyremontował ten fragment budynku, który zresztą został dobudowany jako osobny element. Mówię o sali teatralnej.

— Wiadomo jednak, że teatr to tylko cząstka „Morskiego Oka".

— 10 lat temu w miejscu teatru można było zrobić to, co było przed wojną. Mógł być tam kwartet, kwintet, oktet, można było zrobić kabaret, ustawić 20 stolików. Bo tam dla 300 osób było niebezpiecznie. Stu ludzi mogło śmiało przebywać w tym pomieszczeniu.

— Ale salę zamknęły władze architektoniczne.

— Bo wchodził tam tłum. A dziś utrzymuje się tam magazyn.

— Wiadomo jednak, że dziś nie można tam robić kosmetyki. Remont musi być generalny.

— Macie rację, dziś taki Ale 10,5 roku temu Zakopane dosłownie wrzało, mówiąc o sali widowiskowej im. Modrzejewskiej.

— Ale to była wina wszystkich. Po co było dodawać „Morskie Oko" „Tatrom"?

— Wychodząc z tego założenia zrobiłem tak: rozpisałem rozprawę administracyjną z „Tatrami", Proszę spojrzeć w dokumenty: budynek i grunt, na którym stoją „Tatry" jest własnością państwa. Tak jest z „Morskim Okiem", „Jaworzynką", „Kuźnicami", „Warszawianką". W dokumentach pisze, że ja mogę im zabrać zarząd. Spotkajmy się więc, podyskutujmy. Potem zobaczymy. Jeśli rzeczywiście mogę go odebrać, to dziś już mam trzech kontrahentów.

— Ale na cały budynek?

— Na cały. Mam trzech kontrahentów, którzy mogą zacząć remontować budynek. W naszych ustaleniach indeksu nie pisaliśmy, że ma to być sala teatralna. Chcieliśmy, aby salę zacząć eksploatować, aby ustalić jej funkcję. Zapis w indeksie, to była koncepcja zagospodarowania. Koncepcja. Przecież to proste. Siądziemy w kilka osób i w ciągu kilku godzin potrafimy to zrobić. Oni nie mają koncepcji. Nie potrafili tego opracować. Gdyby w indeksie było: proszę opracować dokumentację, proszę wykonać remont kapitalny. To co innego.

— Chodziło o założenia techniczno-ekonomiczne projektu.

— Wcale nie, tylko o koncepcję.

— To, co zawarł indeks, wygląda na odfajkowanie sprawy. Koncepcji można mieć i pięć. To nie nie daje. Przejdźmy jednak do kolejnej ofiary — Bielawy.

— To nie my go usunęliśmy, lecz jego organizacja.

— Ile? 3—4 osoby.

— Sprawdźcie to, organizacja liczy 15 osób.

— Może teraz, dawniej to były dwie, trzy osoby.

— Zresztą sama organizacja to byłoby małe piwo. My nie mogliśmy wyciągnąć konsekwencji względem Bielawy, gdyż to członek ZSL. Jemu wypowiedziało posłuszeństwo koło ZSL. I my zwróciliśmy się w tej sprawie do Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL. Jurek Bielawa nie miał de facto cofniętej rekomendacji partyjnej. Odwołał go z tego stanowiska Miejsko-Gminny Komitet ZSL, nie Komitet Partii. My doprowadziliśmy do zwołania wspólnego posiedzenia egzekutywy KM i prezydium miejsko-gminnego ZSL, poprosiliśmy całe koło ZSL, całą organizację partyjną, samorząd robotniczy. Na pięć minut przed posiedzeniem odwołano to spotkanie. Nasi koledzy, przyjaciele powiedzieli, że oni nie chcą dopuścić do sądu i zgadzają się — mając na uwadze fakty, aby Jurek Bielawa odszedł ze stanowiska. Jest to wewnętrzna sprawa Komitetu ZSL. Przepychanki u nich w tej sprawie trwają do dzisiaj.

— Sam Pan mówi, że ma Pan dla niego uznanie. Jest to człowiek kontrowersyjny, ale sarazem energiczny.

— Dam przykład. Mało który redaktor szczypał mnie tak jak Ryszard Niemiec. Bezpodstawnie, nieuczciwie, bez skonfrontowania. Jeśli się spotykamy, ja próbuję coś wytłumaczyć, dochodzi nawet do spięć, uznajecie w końcu, że macie rację. To jest co innego. Niemiec tego nie próbował. Ale go szanuję, powołałem do Komitetu Organizacyjnego Memoriału Bronka Czecha. Podobnie z Bielawą. Uważam, że jest pozytywny. Jeszcze raz mówię, mnie nie interesowali ludzie, interesowała mnie sprawa.

— Mówi Pan, że nie chciał Pan dotykać ludzi. Członkowie egzekutywy mówili nam, iż bardzo często używał Pan sformułowań: sprowadzić do parteru, prostować kręgosłup, brać za łeb. Czy Pan wie jak Pana nazywają w Zakopanem?

— Słucham?

— Robespierre, młody Stalin.

— Z tym drugim określeniem się zetknąłem. I teraz, panowie, weźcie się za porządkowanie czegokolwiek! Nie będę mówił, jak się wyrażali członkowie egzekutywy. Wiem, że podejmujemy wspólną decyzję, a potem wieczorem dyskutują o niej zgoła odmiennie.

— Właśnie rozmawialiśmy z niektórymi członkami egzekutywy, którzy zmienili teraz front.

— Chyba nie wszyscy zmienili. Zresztą ja wiem, to może być Jurek Jodłowski, Władek Walczewski. Proszę wskazać mi innych. Proszę rozmawiać ze Zborowskim, Łuszczkiem, z sekretarzami, z innymi, którzy w charakterze gości występują na posiedzeniach egzekutywy.

— Nie ma Pan jednak dobrego rozeznania.

— Możliwe, może macie rację. Ja wiem co było mówione co podkreślano, ale ludzie są tylko ludźmi. Takie jest życie.

— Dlaczego pozwoliliście wejść w skład Prezydium Rady Narodowej dwóm członkom partii występującym jako bezpartyjni?

— W łonie stronnictw i partii zawsze trwały walki o zapewnienie sobie dostatecznej liczby mandatów. Dlaczego pan nie spyta ZSL? W minionej kadencji bezpartyjny pan Hagowski, radny WRN, został członkiem ZSL.

— Czy oni dalej są członkami prezydium?

— Tak, bo zostali wybrani jako bezpartyjni i dopiero potem wstąpili do PZPR. Zresztą, jak znam ordynację, to nie ma czegoś takiego, jak klub radnych bezpartyjnych.

— Ale przecież zwyczajowo u was taki klub działa?

— Macie rację.

— Bezpartyjni mówią: jest to normalna manipulacja.

— Jest to głośne, gdyż partyjni to zrobili. A gdy to samo zrobiło ZSL, nikt nic nie mówił.

— Rozmawialiśmy z liderem grona bezpartyjnych, Pawlikowskim. Powiedział: Komitetowi, władzy, wydaje się, że ludzie są tacy głupi i wszystko wezmą za dobrą monetę.

— Dlaczego mnie pan pyta o radnych? Dlaczego mnie pan nie spyta, na jakich zasadach przedstawiciele różnych partii otrzymali działki w Zakopanem, na jakich zasadach otrzymują zgody na handel?

— Tak, teraz nas pytają, na jakich zasadach otrzymał mieszkanie pan Moździerz. Mówią, że Pan osobiście podpisywał ten przydział.

— Co pan takie rzeczy mówi! Ja niczego nie podpisywałem. Ja nie mogę podpisać za kierownika wydziału. On musi. Poproszę zresztą akta. Jeśli ja podpisałem, nadaje się to do uchylenia. Sprawdzimy.

(Po dostarczeniu akt okazało się, że przydział dużego mieszkania dla Kazimierza Moździerza podpisał zastępca naczelnika. A więc nie kierownik wydziału lokalowego.)

— Przejdźmy do wyborów naczelnika. Dlaczego Pan zastrzegł, iż nie chce konkurenta? To przecież stawia Pana w dyktatorskiej roli. Czy nie byłoby bardziej politycznie dopuścić kontrkandydata?

— To były moje najtrudniejsze wybory. Ale... Zróbcie mi przyjemność, cofnijcie się o kilka lat i przeanalizujcie wszystkie wybory zakopiańskie. Rady narodowe, prezydium rady narodowej, komisje rady narodowej, partie...

— To nie jest tłumaczenie. Jeśli się tak działo, to czy nadal musimy popełniać te same błędy? Musimy w to brnąć? Czy nie ma żadnego alternatywnego programu w Zakopanem?

— Proszono mnie, abym się zgodził kandydować na naczelnika. Zdajecie sobie sprawę z tego, iż godziłem się na degradację, przechodząc na funkcję naczelnika. Wiedziałem co się będzie działo po moim odejściu z komitetu, że dostanę baty za to wszystko co było.

— Mówi się, że miał Pan swojego człowieka w komitecie, który miał Pana zastąpić jako pierwszy sekretarz.

— ZSL nie miało kandydata, SD nie miało kandydata, bezpartyjni nie mieli kandydata. Czy ja nie mogłem postawić jakiegoś warunku? Postawiłem sprawę jasno. Jak ja mogę się ubiegać o tę funkcję razem z członkiem partii? Jeśli są kandydaci spoza PZPR to owszem. Jeśli mi się wszędzie mówi; mówi mi to ksiądz dziekan, przewodniczący PRON, przewodniczący rady, nawet zastępcy naczelnika, że nie ma innego kandydata: przyjdź, pomóż te sprawy ustawić. Ale skoro jest inny kandydat, po co ja mam mu wchodzić w konkury?

— Sam Pan agitował innego kandydata, przeprowadzał z nim Pan rozmowy, ściągało się go telegramami. Potem nikt mu nawet nie powiedział dziękuję. I to już drugi raz.

— Nie drugi raz.

— Tak, drugi raz. Pierwszy raz było przy wyborze poprzedniego naczelnika Skrzętuskiego.

— Wówczas Łukasiewicz startował.

— Nie, nie startował. Byliśmy obecni przy wyborze Skrzetuskiego.

— Owszem, ale przepadł wcześniej, na posiedzeniu POP przy Urzędzie Miasta, kiedy nie dostał poparcia. Chciałbym, aby ta sprawa nie pozostawiła cienia wątpliwości. Łukasiewicz to znakomity facet. Zawsze go wysoko ceniłem. Początkowo do głowy mi nie przyszło, abym mógł współkandydować na stanowisko naczelnika miasta i gminy w Zakopanem. Rozmawiałem z nim, czy wobec tego, że pracuje w Krakowie chciałby się ubiegać o stanowisko naczelnika. Rozmawiałem prywatnie. Powiedział mi, że tak. Ale jego kandydatura postawiona na posiedzeniu egzekutywy nie uzyskała akceptacji.

— Nie sposób pojąć, dlaczego Pan stawiał taki warunek. Wkraczamy w epokę demokracji.

— Czy nie wolno mi było?

— Niech się Pan nie gniewa, ale są to dyktatorskie zapędy.

— Panowie uważają, że ten kto stawia warunek, jest dyktatorem, a ci co akceptują, są bez winy?

— Zdaje sobie Pan sprawę z tego, jacy często są współpracownicy. Są to pochlebcy. Kazimierz Moździerz oświadczył nam, iż Pan sam postawił warunek: tylko jeden kandydat.

— Nie wypieram się tego.

— Pański kontrkandydat Łukasiewicz posiadał poparcie ZSL.

— Ależ drodzy panowie, na tego typu funkcje delegują kandydatów poszczególne partie. Jeszcze raz powiadam, dlaczego miałbym stawać w konkury innemu kandydatowi, który miałby jakikolwiek program?

— Ale był kontrkandydat, którego Pan sam aktywizował.

— Sprawy tego kontrkandydata nie przeszły. Jeśli chce pan znać szczegóły, niech pan sięgnie do protokołów, porozmawia z chłopakami o tym, dlaczego sprawa Łukasiewicza nie przeszła. Nie uzyskał akceptacji, rekomendacji egzekutywy.

— Czy uważa Pan, że takie awansowanie ludzi z komitetu na stanowisko jest słuszne? Do czego zmierzamy? Podobno dwóch zastępców naczelnika to ludzie z komitetu?

— Jeden tak, to mój dawny sekretarz rolno-ekonomiczny. Ale jego sprawa przeszła bo to góral, mieszkaniec Olczy.

— Drugi nie jest z komitetu?

— Nie, pracował w rejonie energetycznym.

— Po Zakopanem wieść niesie, że po to wykończono dyrektora Szkoły Muzycznej Hamarę, aby dać po nim posadę Pańskiemu pracownikowi z komitetu.

— Nie dodają, że był to pracownik tej szkoły i że jest to nieprawdopodobna strata dla Komitetu Partii. To chłopak, który skończył konserwatorium i uczył w tej szkole. W komitecie był bardzo potrzebny i to co robił, to robił znakomicie. Ale dlaczego nie sięgamy dalej? Gdzie są fortepiany, kto handlował instrumentami muzycznymi w tej szkole? Gdzie się podziały materiały budowlane? To są rzeczy, które mają wpływ na pewne decyzje kadrowe.

— Nam też opowiadano dziesiątki plotek, ale nie sposób je udowodnić, więc Panu ich nie zarzucamy. Wracając do rzeczy, wie Pan, co mówią złośliwi na temat Pańskiego odej-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)

Dyrektor, sekretarz, naczelnik - Człowiek Roku 1988

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 4)

ścia? Istnieje teraz tylko pięć stanowisk z nomenklatury. Nie miał więc Pan pola do wyżycia się. Nie miałby Pan możliwości „brania łbów". Jak dziś, po odejściu z tej funkcji widzi Pan swoją działalność?

— Myślę, że w większości przypadków postąpiłbym identycznie jak wówczas. Z tym, że połowę tych przypadków oddałbym prokuraturze.

— Właśnie, chyba taka powinna być Pańska rola. Pan sądził bez sądu. Jak dyktator. Dziś Panu mogą wywlec, że Pan to wszystko ukrywał.

— Dziś byłbym o wiele mądrzejszy.

— Widzimy, że w Zakopanem nastąpiło jeszcze większe skłócenie, jeszcze większa stagnacja.

— Ale dobrze, niech mi panowie podadzą inne trudne sytuacje poza „Tatrami" w Zakopanem.

— PSS. Na Gubałówce jest dwa lata zamknięta restauracja. Nic się nie robi.

— Rachunek ekonomiczny panowie przeanalizowali?

— Uważa więc Pan, że ten lokal winien być zamknięty?

— Ależ skąd. Właśnie ja tu przyszedłem, aby pewne sprawy wyprostować.

— Wcześniej zwolnił Pan prezesa, który wyremontował delikatesy, wybudował piekarnię, był dobrym gospodarzem, zmodernizował dom towarowy, bagieciarnię. Coś się wówczas działo. Mówi się, że jeśli chodzi o handel, to jest w Zakopanem gorzej. Wchodzimy do baru mlecznego. O ozwartej nie ma nic do jedzenia. Nic.

— Jesteście panowie przyjaciółmi Zakopanego. Przeanalizujcie przydział towarów. Czy jest on dla 30-tysięcznego miasta, czy przewiduje ktoś, że tu przyjeżdżają setki tysięcy turystów?

— Mówi Klak, były naczelnik, że nie zgadzał się z Panem i musiał odejść. Za jego kadencji ruszyła sprawa gazyfikacji, ujęcia wody pitnej, składowiska śmieci, wreszcie oczyszczalni ścieków. A więc sprawa, które wlokły się w Zakopanem po kilkanaście lat.

— Ludzie są nieuczciwi, jeśli używają takich argumentów. Bez względu na to, co wam Klak naopowiadał, ja go szanuję, uważam, że jego odejście było przedwczesne i niepotrzebne. Moim zdaniem był to mądry gość. Dlaczego odszedł, tego nie potrafię powiedzieć. Myślę, że on się po prostu wystrzelał. Stracił inicjatywę, stracił pomysłowość. Nikt nie nakłaniał Roberta Klaka do odejścia. W pewną część ciała dostawał on, jak i ja będę musiał dostawać dzisiaj.

— Klak utrzymuje, że czuł się jak podporządkowany Panu pracownik.

— Nie zwykłem nikomu wydawać poleceń, staram się wprowadzać stosunki koleżeńskie. Zresztą naczelnik jest poza zasięgiem instancji miejskiej. Wielu jest zakopiańczyków, którzy bardzo dużo robili w sprawie gazu. Ale fakty są takie, że dopiero 18 marca 1988 roku dostaliśmy decyzję o przydzieleniu gazu w Zakopanem. Proszę sprawdzić, czy wtedy Robert Klak był jeszcze naczelnikiem. Jest to efekt realizacji indeksu.

— Klak powiada, że obroniła gazyfikację Zakopanego w Warszawie, kiedy już, już gaz miał być przydzielony Szczawnicy. Stefan Gustek mówi to samo, byli razem z Klakiem w stolicy.

— Pokażcie mi podkłady geodezyjne pod gaz. Nie ma. A więc do jasnej cholery — jak mógł być gaz załatwiany, skoro nie zlecono nawet wykonania podkładów geodezyjnych? Dlaczego Klak nie formułował zarzutów moim poprzednikom — Wargowskiemu i Koprowskiemu? Bo u mnie jest tak, jak jest u was. Zadajecie pytanie i żądacie odpowiedzi od... do. Jeśli ona was nie satysfakcjonuje, to mówicie: panie, co mi pan opowiadasz. To samo jest z robotą. Zleciłeś, pokaż mi zlecenie. Wydałeś decyzję, pokaż mi podpisaną decyzję. Mówicie — dlaczego pan nie chciał drugiego kandydata? A kto mnie spytał: idioto, jesteś na zwolnieniu lekarskim, a pracujesz. Tak, pracuję jak wół.

— Panie naczelniku, w Zakopanem mówią, że Pan przegrał wybory w Komitecie Partii.

— Można tak powiedzieć. Zmiana szefa musi pociągnąć za sobą zmianę polityki instancji. Była szansa, aby istniała ciągłość tej polityki. Nie chodzi mi tu o „zdejmowanie głów". Chodzi generalnie o tę siłę przebicia, o tę ekspansywność, o nowatorstwo w działaniu. Gdyby ktoś z tej ekipy wszedł, to byłaby kontynuacja. Gdyby Władek Walczewski został pierwszym sekretarzem, a dziś się z wszystkiego wymiguje, byłaby większa szansa, wszystko byłoby utrzymane. Bo autorem indeksu był Władek Walczewski.

— On tego nie kryje.

— Ale wracając do komitetu. Rodzi się pytanie, jaka jest ta partia i jaka ma ona być. Ja bardzo przepraszam, nawet nie znam waszej przynależności. Ale nie to jest najważniejsze. Dziś cała Polska dyskutuje — jeśli partia ma się sprowadzić do roli stronnictwa, to wszystko w porządku, jeśli zaś miałaby spełniać kierowniczą rolę, to koniec.

— Mamy rozumieć, że ten wybór położył partię?

— Nie, nie położył. Ale wybór pociągnie zmiany w działaniu, co będzie miało swoje konsekwencje.

— Wydaje się jednak, że dotychczasowy styl kierowania partią w zakopiańskim środowisku nie zdał i nie zda egzaminu. Tu muszą być inni ludzie, jest tu mocne środowisko kulturalne, a my ciągle obracamy się wokół tych samych.

— Ja się tu urodziłem. Kto ma decydować o przyszłości Zakopanego? Ci co tu przyjechali?

— Nam chodzi o szersze pojęcie. O ludzi z otwartą głową.

— Mówi pan, że są ludzie kultury z otwartą głową. Oni robili wszystko, aby utrącić Teatr Witkacego za wszelką cenę.

— Dziwne, do Teatru Witkacego każdy się przyznaje — że go chroni, że dmucha na niego.

— On nie potrzebuje ochrony. On potrzebuje pomocy finansowej. Dziś jest sukces, wszyscy są jego ojcami. Ale niech pan zapyta Dziuka. Kto mu najwięcej pomógł w Zakopanem? Skąd się wzięło 100 mln zł?

— Rozmawiając z Panem dochodzi się do wniosku, że w Zakopanem nie ma człowieka na funkcji kierowniczej, który by się sprawdził.

— O, jest bardzo dużo osób. Nawet ci, którzy dostali od nas lanie. Choćby Strachanowska. Jest teraz przygotowywany wyjazd na podpisanie umowy w Holandii i ona tam jedzie.

— Mówiono jednak, że jej dni w wydziale są policzone.

— Zaprzeczam temu. Włos jej z głowy nie spadnie, dokąd ja tu jestem. Jest jedyną osobą, która jest w stanie połączyć stare tradycje zakopiańskie z nowymi wymaganiami w zakresie kultury. Biją mnie na oślep. Tylu było moich poprzedników. Ale „trykot" od WPHW zabrał Kozioł na Ośrodek Kultury Regionalnej. Panowie, gdybyście zbierali ten materiał na moją prośbę, albo z inicjatywy tych, którym się Zakopane podoba, na pewno stawialibyście inne pytania.

— Jest Pan człowiekiem roku według PAP, obok Tadeusza Bradeckiego i jeszcze kilku innych. Czy Pan może określiłby za co otrzymał ten tytuł? Jakie Pan ma osiągnięcia?

— Nie powiem, ahym się smucił z tego wyróżnienia, choć pewnie jest wiele osób, którym się ten tytuł należał. Myślę, że to, co zadecydowało, to moja kontrowersyjność. Panowie zrozumcie jedno, że trzeba czekać, aby coś wyszło. Po inicjatywie przychodzi faza realizacji i tu trzeba nadzoru. Wszystko wymaga czasu. Wy mi go nie dajecie.

— Sam Pan odbierał tę możliwość ludziom. Golik był zaledwie trzy lata i Pan go zdjął.

— Myślę, że ma on w głowie poukładane i trzeba pomyśleć o jego „zagospodarowaniu". To ja z nim rozmawiałem, aby przeszedł do pracy w spółce. A więc jestem z jednej strony ludożercą w stosunku do Golika, a z drugiej proponuję mu funkcję. Jeszcze raz mówię: to nie chodzi o Golika, nie chodzi o Sikorę, czy Iksińskiego. Tu chodzi o sprawę.

— Wróćmy do sprawy. Prezes Sądu Rejonowego Krupa buduje gmach sądu. Rozliczają się go za wznoszenie budynku, nie za to, jak sądzi ludzi, jak dotrzymuje terminów itp. Są to chyba zasady błędne. Na ile sędzia może się znać na budownictwie?

— Może trochę inaczej. Dlaczego ci ludzie dają się wpuszczać w taki kanał? Ci ludzie na coś liczą. Ano drzwi do ministra sprawiedliwości są otwarte, bo wszystkie wizyty w Zakopanem są tłumaczone troską o postęp w budowie, bo to jest uznanie na szczeblu centralnym, to jest cała sprawa. Wielu działaczy rodzinę by poświęciło dla pozycji i uznania.

— Ale to Pan wmanipulowuje ludzi w jakiś kanał i potem Pan czeka i się cieszy. Jak mu nie wyjdzie...

— Ja rozwinę pańską myśl... to się mu przyglądnę.

— Pan ich do tego ponagla, wciąga w układy. Ludzie są ludźmi. Są takie sytuacje w naszym kraju, a ludzi wciąga sytuacja.

— Ale dlaczego nie atakujecie całej sytuacji, tylko mały wycinek budując na tym swoją teorię? Co was do takiego działania upoważnia? I kto? Śmiem twierdzić, że nikt. Nawet własne sumienia nie pozwalają wam tego robić. Dlaczego formułujecie wobec mnie zarzuty, skoro sąd był budowany 10 lat?

— Ale kto za to powinien odpowiadać, kto był inwestorem?

— Mnie pan o to pyta?

— Dając rekomendację powinien Pan dokładnie rozeznać sprawę. Musi Pan dokładnie wszystko poznać. Położyć na szalę i wyważyć. Powiem brutalnie. Pan obraca się po omacku i bije Pan na oślep. Tę metodę lepiej określę na kwestiach sportowych. Co Pan chciał uczynić przez cofnięcie Bafii rekomendacji? Trzeba było raczej zwołać konferencję prasową, nie załatwiać sprawy drogą partyjną. Bo co ma partia do związku narciarskiego? Słusznie Pana wykpił Niemiec i wyśmiała cała Polska. Pan powinien zwołać konferencję i powiedzieć: Bafia nie robi tego, tego i tego. Koniec. Pierwszy poparłbym Pana, bo Bafia był rzeczywiście słabym prezesem.

— A czemu pan tego nie zrobił?

— Nieraz pisaliśmy o tym.

— I co osiągnęliście? Gdyby jednak po pańskim artykule zdjęli go, widzielibyśmy, kto byłby winien: Stanowski. Ale wróćmy do sądu. Zapomnieliście panowie, odkąd Krupa realizuje ten budynek. Pomijacie fakt, że w tym pierwszym wybudowanym obiekcie jest 18 nielegalnych pokoi gościnnych, o 36 miejscach. A notariat, adwokaturę, co by pan nie chciał, związane z sadownictwem rozrzucono po całym mieście, na czele z prokuraturą. I panowie zadajecie mi teraz pytanie, jakim prawem my próbujemy oceniać działalność Krupy.

— A ile jest w komitecie miejsc gościnnych?

— Nie wiem. Jest chyba 6 pokoi. Ale komitet, proszę panów, mieści się w budynku prywatnym. I partia płaci czynsz za teren i za budynek. Sąd miał określoną decyzję z przeznaczeniem poszczególnych pomieszczeń na ściśle określony cel. I teraz rodzi się pytanie — jakim prawem ja się do tego wtrącam chcąc uporządkować sprawy, które są na moim terenie, a nie powstaje pytanie, dlaczego inni oceniają moje postępowanie nie bazując na podstawach. Panowie stawiacie zarzuty dotyczące sportu. Na plenum Komitetu Miejskiego, poświęconym sportowi, byli Bafia, Waldemar Krajewski, szef pionu gwardyjskiego, wojskowego, ponad sto osób na sali. Przyjmuję się uciwalę, a dyskusja pseudodziałaczy zakopiańskich, że płakać się chce. I teraz kolejne spotkanie i posiedzenie egzekutywy. I jest wniosek o cofnięcie rekomendacji a nie ich cofnięcie.

— Do jednego się to sprowadza.

— Wystąpiliśmy z określonym stanowiskiem na szczebel centralny. I stało się tak, że Bafia odszedł. Czy to jest więc naszą zasługą czy naszą porażką?

— Jaka wasza zasługa! Był walny zjazd i go usunęli. Czas zresztą pokazał czy to usunięcie coś dało. Dzisiejsze narciarstwo chyba nie jest lepsze od ówczesnego. Metoda Pańskiego działania to bicie na oślep. Znamy przypadek cofnięcia rekomendacji naczelnikowi i jego zastępcy za to, że wyładowali przesyłkę jakiemuś księdzu.

— Wprowadzono panów w błąd. Organizacja podstawowa PKP wystąpiła z wnioskiem i cofnęła rekomendację swoją zawiadowcy i zastępcy zawiadowcy.

— Czy uważa Pan, że po tym wszystkim może Pan zarządzać z sukcesem Zakopanem?

— Gdybym inaczej myślał, nie podjąłbym się tej funkcji. Tu trzeba działać twardo, po nowemu, z dokładnie ustalonym programem. Zadania moje są utrwalone w indeksie.

*

Od naszej rozmowy z naczelnikiem Koziołem upłynęło pół roku. W dalszym ciągu nikt nie rehabilitował działaczy, którzy musieli/opuścić swoje funkcje. Jeden z członków Komitetu Miejskiego podczas konferencji sprawozdawczej instancji miejskiej zgłosił wniosek o wniesienie całej sprawy do Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR. Od tego czasu minęły miesiące, wniosek przeszedł bez echa. Także w szufladach Komitetu Wojewódzkiego w Nowym Sączu tkwią nie rozpatrzone odwołania ludzi z Zakopanego. Do terenu dalej nie dochodzą nowe wiatry z centrali.

ZBIGNIEW SATAŁA
ANDRZEJ STANOWSKI

280

BIURO WYCINKÓW PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

KURIER POLSKI
ul. Hibnera 11
00-018 Warszawa
Nr 167 z dn. 29-08-89

Centrum na uboczu kultury

Z powstaniem Centrum Informacji Kulturalnej w Łodzi wiązano duże nadzieje. Miały one związek z planowanymi, a nowatorskimi rozwiązaniami, dotyczącymi reklamy imprez kulturalnych oraz impresariatu. CIK przeprowadził się do wspaniałego pod względem architektonicznym budynku plomby w centrum miasta przy ul. Zamenhofa.

Jednak w ciągu półtora roku, kontakt z instytucjami kulturalnymi miał charakter jednostronny. Do tej pory pracownicy centrum jeżdżą po całym mieście, żeby zdobyć informacje o tym, co, gdzie i kiedy się wydarzy. Kalendarze imprez i reklamy zamieszczane dotychczas w Łódzkim Przewodniku Kulturalnym „Kalejdoskopie" — agendzie CIK — były bezpłatne. Ma się to zmienić w najbliższym czasie, skoro wszyscy stawiają na przedsiębiorczość. Na razie trudno przez telefon uzyskać zwięzłe streszczenie licznych filmów przedpremierowych i choć lepiej jest z wiedzą o przedstawieniach teatralnych, OIRF i dyrekcje teatrów nie kwapią się z zawiadamianiem centrum o zmianach repertuarowych.

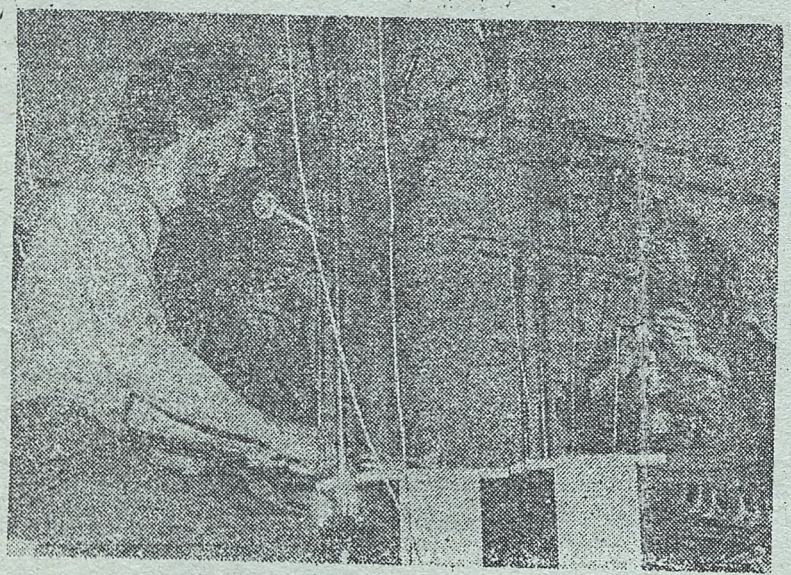
Od dawna nie wykorzystana jest świetlna mapa kulturalna wraz z monitorem i komputerem, podobna do sprzętu użytkowanego przez podróżnych na Dworcu Centralnym w Warszawie. Dopiero od września będą pieniądze na rozruch. Czy znajdzie się wielu chętnych do skorzystania z techniki komputerowej — trudno powiedzieć, choć miejsce doskonałe na ten cel.

Centrum Informacji Kulturalnej ma kawiarnię na 80 miejsc, gdzie co miesiąc organizuje się kameralne imprezy estradowe w ramach cyklu: „Słódź nam tę Łódź". Tytuł okropny, ale wykonawcy przedni, m. in.: Andrzej Zaucha, Ewa Bem czy Agnieszka Fatyga. Takie programy są jednak zbyt rzadkie, podobno na większą częstotliwość nie pozwala brak funduszów. Recitale dotowane są przez gospodarza. Dlaczego w takim razie nikt nie rozgląda się za sponsorami?

Od września zapowiadane są w kawiarni znane „poszukujące" grupy teatralne, m. in. Teatr im. W.Łukiewicza z Zakopanego. Urozmaiceniem mają być wideoprojekcje obrazów nagrodzonych na X Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych oraz kolejna wielka wystawa wyrobów członków Klubu Rzemiosła Artystycznego przy łódzkiej Izbie Rzemieślniczej. W hallu znajdzie się ekspozycja „Portrety sławnych ludzi" obejmująca prace m. in. Jerzego Kosińskiego i Jacka Marczewskiego, jak również pokonkursowa prezentacja nagrodzonych prac w ogólnopolskim, dziecięcym konkursie rysunku o tematyce związanej z Centrum Zdrowia Matki Polki.

Czy imprezy te zgromadzą zainteresowanych — zależy od sprawnego zorganizowania promocji. Nie wystarczy — jak dotychczas — bazować na wzmiankach w lokalnej prasie. Bez prawdziwej kampanii reklamowej mogą po prostu nie wypalić.

(Jer)



Centrum Informacji Kulturalnej w Łodzi za rzadko pełni rolę impresaria. A może by tak spróbować np. z grupą „Ossian"? (na zdjęciu)?
Fot. G. SZYMAŃSKI

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
TEATR
Warszawa, ul. Jakubowska 14
Nr 8 z dn. -08- 89

280

w teatrze i wokół teatru

czerwiec 1989

● We Wrocławiu zakończył się **28. Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych.** Na program tegorocznego przeglądu złożyły się następujące inscenizacje: *Stąd do Ameryki* Zawistowskiego z T. Wybrzeże w Gdańsku, *Sublokatorka* Hanny Krall z T. im. Wyspiańskiego z Katowic (reż. Jan Maciejowski), *Dzień gniewu* Brandstaettera z T. Ludowego w Krakowie (reż. Henryk Giżycki i Romana Bobrowska), *Wolność dla Barabasza* Wójcickiego z T. Wybrzeże w Gdańsku (reż. Andrzej Markowicz), *Małżeństwo Marii Kowalskiej* Nurowskiej z T. Współczesnego we Wrocławiu (reż. Maciej Domański), *Lekcja polskiego* Anny Bojarskiej z T. Powszechnego z Warszawy (reż. Andrzej Wajda), *Kartoteka* Różewicza z Centrum Sztuki Studio z Warszawy (reż. Zbigniew Brzoza, Maciej Cirin, Szczepan Szczykno i Jarosław Kilian) oraz *Obywatel Pekosiewicz* Słobodzianka z T. im. Jaracza w Łodzi (reż. Mikołaj Grabowski).

Bezapelacyjnym zwycięzcą festiwalu został **Tadeusz Łomnicki.** Jury, pod przewodnictwem Władysława Terleckiego, uhonorowało Łomnickiego Grand Prix za role Bohatera w *Kartotece* i Kościuszki w *Lekcji polskiego.* Nagrodę główną otrzymała **Joanna Szczepkowska** za rolę Emilii Zeltner w *Lekcji polskiego*, nagrodę — **Mariusz Saniternik** za tytułową rolę w *Obywatelu Pekosiewiczu.* Wyróżniono — **Mikołaja Grabowskiego** za reżyserię *Obywatela Pekosiewicza* i autora tej sztuki — **Tadeusza Słobodzianka.** Jury postanowiło także uhonorować nagrodą zespołową **realizatorów i wykonawców** prezentowanego w myśl pierwotnych założeń poza konkursem, spektaklu *Polowanie na lisa* Mrożka z Białostockiego T. Lalek w reż. Piotra Tomaszuka i ze scenografią Mikołaja Maleszy. *** W ramach imprez towarzyszących festiwalowi odbyła się sesja teatrologiczna pod hasłem *Czy Gombrowicz mógłby uratować polski teatr?*; zorganizowano także wystawy *Rozmowy z Gombrowiczem, Stasys i teatr*, pokazy wideo Gombrowiczowskich inscenizacji telewizyjnych oraz dorobku T. Laboratorium. *** Wiele kontrowersji wywołała decyzja dyrektora T. Polskiego w Warszawie, Kazimierza Dejmka, o nieuczestniczeniu w tegorocznym przeglądzie, mimo iż w repertuarze teatru było przedstawienie — *Sztuka konwersacji* Kazimierza Brandysa w reż. Andrzeja Łapickiego — które miało wszelkie dane, by znaleźć się we Wrocławiu. Zdaniem Tadeusza Buskiego, swoisty „bojkot" festiwalu zastosowany przez Dejmka był próbą ukarania organizatorów za to, że prezentowane w ubiegłym roku *Drzewo* Myśliwskiego nie znalazło, w opinii reżysera, należytego uznania w oczach jury. „Decyzja Dejmka — pisze felietonista *Spraw i Ludzi* (nr 22) — (...) jest dla tej imprezy fatalna. Wszak każdy wie, że w ostatnich latach właśnie na scenie warszawskiego Teatru Polskiego odbywa się najwięcej prapremier polskich sztuk współczesnych (...) i brak tej sceny na festiwalu czyni przegląd niepełny, okaleczony, niereprezentatywny. (...)"

● Końcówka sezonu zaowocowała **kilkoma ciekawymi premierami.** W Starym T. w Krakowie od dawna oczekiwany spektakl Jerzego Jarockiego *Słuchaj, Izraelu!* Sito i *Hamlet* Szekspira w reż. Andrzeja Wajdy z Teresą Budzisz-Krzyżanowską w roli tytułowej (!). W T. Polskim w Warszawie — *Rewizor* Gogola w reż. Kazimierza Dejmka z Januszem Zakrzeńskim w roli Horodniczego i Janem Englertem jako Chlestakowem. W warszawskim T. Ateneum — na inaugurację tzw. Sceny Niezależnej, na której prezentowane będą pozycje z literatury drugoobiegowej — *Ciemność w południe* Koestlera w reż. Janusza Warmińskiego i Stanisława Mączyńskiego.

● Zamierające życie kulturalne stolicy (niektóre z teatrów rozpoczęły już letnie urlopy) ożywił *Mir Caravane* — wędrujący festiwal teatralny, zorganizowany z inicjatywy grup alternatywnych z Francji, ZSRR i Polski (Akademia Ruchu) dla uczczenia 200-lecia Rewolucji Francuskiej i radzieckiej „pieriestrojki". W drodze z Moskwy, poprzez Leningrad, Pragę, Berlin Wschodni, Kopenhagę, Amsterdam, Lozannę, do Blois, gdzie we wrześniu odbędzie się V Międzynarodowy Festiwal Teatru Europejskiego — „karawana pokoju" zatrzymała się na kilka dni w Warszawie. Na błoniach Stadionu X-lecia, na Starym Mieście, w dawnych zakładach Norblina oraz w kinie „Tęcza" na Żoliborzu, które jest siedzibą Akademii Ruchu, przez sześć dni — od 27 czerwca do 2 lipca — odbywały się festiwalowe prezentacje. Uczestniczyło w nich osiem zespołów: La Compagnie du Hasard z Blois, Licedei z Leningradu, Footsbarn TT z Anglii, Divadlo na Provázku z Brna, Teatro Nucleo z Buenos Aires, Circ Perillos z Barcelony, Svoja igra z Moskwy i T. Ósmego Dnia z Poznania (obecna siedziba — w Ferrarze). *** Po raz czternasty w Zamościu i kilku miastach Lubelszczyzny w czerwcu i lipcu odbywały się plenerowe (choć nie wyłącznie) pokazy teatralne w ramach **XIV Zamojskiego Lata Teatralnego.** W tym roku uczestniczyły w nim: T. im. Kochanowskiego z Opola, T. im. Horzycy z Torunia, warszawski T. Dramatyczny, Słupski T. Dramatyczny, T. Popularny z Warszawy, T. STU z Krakowa oraz, tradycyjnie, T. Ochoty z Warszawy. Organizatorem imprezy był Wojewódzki Dom Kultury w Zamościu przy współudziale m.in. T. Rzeczypospolitej.

● W *Głosach i głosach* — dodatku kulturalnym do krakowskiego *Dziennika Polskiego* (nr 147) — sporo materiałów na tematy teatralne. Między innymi — obszerna rozmowa Jolanty Ludźmierskiej-Żyły z **Tadeuszem Bradeckim.**

O sobie: „(...) Wiele zdarzyło się w moim życiu prywatnym. Zostałem ojcem, a tą zupełna rewolucja. Z najwyższym trudem godzę intensywność zajęć domowych i zawodowych. I pewnie jakiś czas tak będzie. Zmienił się teatr, warunki jego uprawiania. Stan rozpadu teatru polskiego — materialny, psychiczny, duchowy, widoczny jest gołym okiem. Sądzę, że sięgnął już dna. Przed trzema laty byłem znacznie młodszy, więcej było we mnie optymizmu i wiary we własne siły, mniej przejmowałem się przeciwnościami. Teraz wszystko wydaje mi się bardziej złożone, trudniejsze — pokorniej więc myślę o sobie i pracy."

O Starym Teatrze: „Kiedy 12 lat temu rozpoczynałem pracę w Starym Teatrze, miałem świadomość, że trafiłem do wyjątkowego zespołu, było się tu czego uczyć i było od kogo. Wyobrażałem sobie, że znaleźć tu swoje miejsce, robić najwspanialsze, da Bóg, przedstawienia, czegóż można chcieć więcej? Z perspektywy dnia dzisiejszego sądzę, że takie wyobrażenie jest błędne, czasy są inne, i to, co powiedziałem, nie może stanowić programu dla reżysera w tym mieście. Tzn. Stary Teatr jest nadal wartością — ciągłość, tradycja tego zespołu, jego zwartość i styl pozostają fenomenem samym w sobie, czymś unikalnym na tle rozpadającego się teatru w Polsce, ale trudno dziś w nim uważać się za etatowego reżysera. Przestałem mieć wpływ na to, co, kiedy, jak wchodzi do repertuaru, kto może być na próbach, kto będzie, kto zaczyna rolę, a kto ją skończy na premierze, kto wreszcie będzie umiał tekst, a kto nie. Odbywa się to w atmosferze tak wielkiej improwizacji, że trudno w tych realiach budować życiowy plan".

O inscenizacji „Operetki": „*Operetka* stanowiła dla mnie niemal sportowe wyzwanie. (...) Moją złość na siebie wynika stąd, że »otwierając« *Operetkę* posłużyłem się chyba złym kluczem, zmieniliśmy go potem w trakcie pracy.... W sumie finalny efekt to krzyżujące się ze sobą trzy, może cztery różne odczytania tekstu. Tekstu, który sam w sobie jest niespójny, który jest jednym wielkim oszustwem literackim i filozoficznym. I my daliśmy się w to oszustwo wciągnąć. (...)

Nie jestem gombrowiczologiem i im bardziej się w niego wczytuję, tym bardziej mnie denerwuje i złości. To wspaniały, cudowny pisarz. Tylko, że to, co stanowi jego propozycję ponadestetyczną, okazuje się po bliższej analizie straszliwie miałkie."

● **Personalia.** Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, z funkcji dyrektora T. Ludowego w Krakowie zrezygnował Henryk Giżycki. Jego następcą został **Jerzy Fedorowicz** (l. 42), absolwent krakowskiej PWST, współzałożyciel T. STU, od 18 lat aktor Starego T. *** Jerzy Fedorowicz w rozmowie z Wacławem Krupińskim:

„Nagrałem się przez te 20 lat... A że, niestety, nie udało mi się zostać wielkim aktorem (...), pomyślałem, że trzeba by coś w życiu zmienić... Nie chciałbym odchodzić z tego świata z przymiotnikiem średniego aktora, więc może mi się uda być bardzo dobrym dyrektorem? (...)

Frustracja aktora to niekoniecznie wystarczająca rekomendacja na stanowisko szefa teatru...

(...) Oceniam (...), co pewnie zabrzmi nieskromnie, że posiadam pewne kwalifikacje przydatne w prowadzeniu teatru i kierowaniu ludźmi. Myślę tu o doświadczeniach z działalności jeszcze w czasie studiów w ZSP czy np. w okresie 1980—81, kiedy to odpowiadałem za teatr »Solidarności«, który skupiał najlepszych aktorów Krakowa. Poza tym doprowadziłem do powstania kilku premier". *** Dyrektor-elekt ujawnił też swe pierwsze propozycje repertuarowe. Na początek sceniczna adaptacja *Człowieka z marmuru* Ścibora-Rylskiego (dokonana przez Joannę Olczak-Ronikier, nowego kierownika literackiego teatru) w reż. Krzysztofa Orzechowskiego. W następnej kolejności — *Iwona, księżniczka Burgunda* Gombrowicza w reż. Jerzego Stuhra (który zagra również rolę Króla).

● Komitet Obywatelski „Solidarności" reprezentować będą zasiadający w Zgromadzeniu Narodowym przedstawiciele środowiska teatralnego — senatorzy: **Gustaw Holoubek, Andrzej Szczepkowski** i **Andrzej Wajda** oraz poseł **Andrzej Łapicki.**

● **Edward Dobrzański** z krakowskiej PWST, dziekan Wydziału Aktorskiego, mianowany został profesorem nadzwyczajnym.

● **Przyznano nagrody Funduszu Literatury za rok 1988.** W dziedzinie dramatu nagrody otrzymali: **Jerzy S. Sito** za dramat *Słuchaj, Izraelu!* i **Władysław Terlecki** za *Cyklopa;* wyróżnienie: **Krzysztof Wójcicki** za *Wolność dla Barabasza* i **Władysław Zawistowski** za *Stąd do Ameryki.* W dziedzinie teatraliów nagrodę otrzymał **Grzegorz Sinko** za książkę *Postać sceniczna i jej przemiany w teatrze XX wieku* (Ossolineum); wyróżnienia: **Maria Bojarska** za książkę *Mieczysława Ćwiklińska* (PIW), **Leszek Kolankiewicz** za książkę *Święty Artaud* (PIW) i **Józef Opalski** za *Rozmowy o Konradzie Swinarskim i »Hamlecie«* (Wydawnictwo Literackie). W dziedzinie przekładu jedną z dwu nagród otrzymał **Antoni Libera** za przekład *Dzieł dramatycznych* Samuela Becketta (PIW).

● Polski Ośrodek ASSITEJ (Międzynarodowego Stowarzyszenia Teatrów dla Dzieci i Młodzieży) przyznał **nagrody za teksty publicystyczne poświęcone teatrowi dla dzieci i młodzieży** opublikowane w 1987 i 1988 roku. Laureatami zostali: **Teresa Ogrodzińska** za tekst *Dormana teatr dla dzieci* zamieszczony w *Dialogu* nr 2/87 i **Jarosław Haak** za *Syndrom kota w butach* zamieszczony w *Sztuce dla dziecka* nr 5—6/88.

● Zarząd Główny ZMW przyznał swe doroczne **Nagrody im. Jędrzeja Cierniaka** za najcenniejsze inicjatywy społeczno-kulturalne i promocję wartości kultury. Wśród laureatów uhonorowanych nagrodą I stopnia znalazł się również **Andrzej Dziuk,** szef zakopiańskiego T. im. Witkacego.

● **„W kolejce po role"** — to tytuł rozmowy Ilony Kondrat z **Eugeniuszem Priwieziencewem,** byłym aktorem T. Studio, od kilku lat zamieszkałym we Francji:

„Wszelkie opowieści o oszałamiających karierach polskich aktorów na Zachodzie można włożyć między bajki. My gramy tam wyłącznie postacie, do odtwarzania których nie nadaje się rodzimy aktor, a więc Marokańczyków, Mongołów, Czechów, emigrantów rosyjskich, Marsjan i wszelkie inne stwory. To jest nasz chleb powszedni. (...)

Z grania »ogonów« w zachodnich filmach można się tak dobrze utrzymać?

To jest właśnie paradoks! W Polsce aktorzy grają na okrągło — film, teatr, dubbing, telewizja, radio. Podpierają się nosem, a nic z tego nie mają. Kiedyś za dużą rolę w filmie można było kupić »malucha«, a dziś co najwyżej komplet opon do niego. Mnie dwa dni zdjęciowe gwarantują miesiąc życia. Przeciętnie, aby utrzymać rodzinę, muszę »wykręcić« 24—30 dni w ciągu roku, co wcale nie jest łatwe. Trzeba się nieźle naganiać, aby dostać tyle pracy.

(...) w każdej chwili mógłbym tu wrócić i — przy obecnym kursie dolara — być królem życia. Szkoda mi jednak szansy, jaką mają tam moje dzieci. Najstarsza córka, 14-letnia, chodzi do szkoły dla utalentowanych dzieci i mówi perfekt czterema językami. Młodsza, czteroipółletnia, też zna już dwa języki. Mamy dla nich dużo czasu, żyjemy spokojnie, zdrowo. Jeździmy wszyscy na narty, gramy w tenisa." *(Przegląd Tygodniowy* nr 27)

● Po kilku latach nieobecności przyjechał do Polski **Andrzej Seweryn,** były aktor T. Ateneum, od blisko dziesięciu lat mieszkający we Francji i współpracujący z Peterem Brookiem. Wizyta związana jest z rejestracją w krakowskim studiu telewizyjnym *Ryszarda III* Szekspira w reż. Feliksa Falka, w którym to spektaklu Seweryn gra rolę tytułową.

● W *Odrze* (nr 5) bardzo interesujący wywiad Roberta Różyckiego z **Tadeuszem Kantorem.** Z obszernej publikacji wyjmujemy kilka uwag twórcy „Cricotu" na temat aktorstwa:

„Obecnie w Polsce, i to proszę podkreślić, mamy obniżenie poziomu aktorstwa p o t w o r n e. A to dlatego, że nie ma szkół teatralnych. Te, które są, prowadzone są starym systemem, już zjełczałym, przeżywania naturalistycznego. Przecież jeśli chodzi o jakąkolwiek metodę czy kierunek formalny gry aktora, to u nas po wojnie właściwie nic się nie rozwinęło.

Kto według Pana miałby to robić?

A cóż mnie to obchodzi? Mnie to nic nie obchodzi. Ja się nawet bardzo cieszę, że nie ma nikogo... Ja nie jestem ani zbawcą teatru, ani reformatorem, ani reformatorem świata, ani w ogóle. Ja po prostu robię swoją robotę, swoją pracę i swoją twórczość. (...)

Na początku, jeszcze po wojnie (rok 45—46) były resztki szkoły Osterwy czy Jaracza, tzn. szkoły Stanisławskiego. Przy czym Jaracz miał pewną tendencję do upraszczania, do takiego pewnego zaostrzania formy, tak jak w malarstwie kubizm, ale na tym się skończyło. I potem nie było już nic, żadnego prądu, który wniósłby coś nowego do gry aktorskiej. A przed wojną... można było powiedzieć, że jest system gry aktora naturalistycznego i to była wtedy awangarda, system ekspresjonistyczny (Wierciński to reprezentował), było coś z konstruktywizmu i biomechaniki (u Leona Schillera), a potem już nic."

● **Jubileusze.** 80. rocznicę urodzin obchodzi **Zdzisław Mrożewski,** aktor, absolwent Oddziału Dramatycznego przy Konserwatorium Warszawskim (1932). Do 1939 roku występował w teatrach poznańskich, warszawskich, wileńskich i krakowskich; po wojnie na scenach krakowskich — w Starym T. i T. im. Słowackiego; od 1959 roku na scenach warszawskich — w Narodowym, Współczesnym i Polskim. *** 40-lecie pracy artystycznej obchodzi **Jerzy Ernz,** aktor. Występował na scenach Warszawy, Wrocławia, Białegostoku i Torunia; od 1970 związany ze scenami Szczecina (obecnie w T. Współczesnym). *** 35-lecie pracy artystycznej obchodzi **Witold Tokarski,** aktor, absolwent krakowskiej PWST. Debiutował w Kielcach, po odejściu Byrskich związał się z T. im. Horzycy w Toruniu, na którego scenie występuje nieprzerwanie od 30 lat. Współorganizator Festiwali Teatrów Polski Północnej. *** Sześćdziesiąt lat działa już warszawski **Teatr Lalek „Baj"** na Pradze przy ul. Jagiellońskiej. Z tej okazji, w ramach „Bajowych dni", na gościnne występy zaproszono kilka zaprzyjaźnionych z „Bajem" zagranicznych zespołów teatralnych.

● Na zaproszenie T. Rzeczypospolitej wystąpiły w Polsce dwa słynne zespoły baletowe: **Dance Company Elisy Monte** ze Stanów Zjednoczonych i **Batsheva Dance Company** z Izraela. *** *Wyprzedaż* — sztukę młodego francuskiego dramaturga Philippe'a Minyany — zaprezentowały w Warszawie trzy francuskie aktorki: Edith Scob, Florence Giorgetti i Judith Magre. *** Ze spektaklem *Ku drugiemu brzegowi* na motywach twórczości Rabindranatha Tagore wystąpił w Warszawie znany aktor australijski Robin Ramsay. *** Ponadto: w Krakowie wystąpił zespół Polskiego T. Ludowego ze Lwowa z *Zemstą* Fredry i sztuką Różewicza *Stara kobieta wysiaduje. Pinokia* Doninellego (w reż. Tadeusza Bradeckiego) i spektakl na motywach z Calderona — *Nostra Signora della Walle* przedstawił w Warszawie, Pile, Krakowie i Poznaniu zespół Teatro dell Arca z Forli we Włoszech. T. im. Leninowskiego Komsomołu z Leningradu pokazał w Krakowie *Kopciucha* Głowackiego. *** Rozwija się coraz owocnej wymiana między teatrami Polski i ZSRR. Zaprzyjaźniony z T. im. Żeromskiego w Kielcach — Ukraiński T. Muzyczno-Dramatyczny im. Sadowskiego z Winnicy wystąpił gościnnie z *Szafotem* wg Ajtmatowa i sztuką Staryćkiego *Oj, nie chodź, Hryciu, oj, na wieczorynki. Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa i *Tomka Sawyera* wg Twaina pokazał w Radomiu T. Młodego Widza z Jarosławla. W Gorzowie, w ramach dorocznych Gorzowskich Spotkań Teatralnych, wystąpił T. im. Kolcowa z Woroneża z *Ożenkiem* Gogola. *Kurs mistrzowski* Pownalla zaprezentował publiczności Torunia zaprzyjaźniony z miejscowym T. im. Horzycy — T. Dramatyczny z Tallina.

● W Pałacu Opatów w Oliwie otwarto wystawę **„Świat teatru Karola Wojtyły".** Jest to nowa wersja ekspozycji zorganizowanej w ubiegłym roku w Muzeum Starego T. w Krakowie z okazji 10-lecia pontyfikatu Jana Pawła II. Autorem scenariusza wystawy jest, tak jak poprzednio, Jan Ciechowicz z Uniwersytetu Gdańskiego, z którego prywatnych zbiorów pochodzi połowa prezentowanych eksponatów.

● Swój stały felieton na łamach *Kultury i Życia* (nr 13) — dodatku kulturalnego do *Życia Warszawy* — Maciej Karpiński poświęcił tym razem Halinie Mikołajskiej (tekst ten napisany został na kilka dni przed śmiercią wybitnej artystki — przyp. A.M.). W tym kontekście Karpiński przypomina, iż był autorem obszernego szkicu o Mikołajskiej, przeznaczonego dla *Teatru.* Artykuł ten — zdaniem Karpińskiego — „nigdy nie dotarł do rąk czytelników; tamten numer *Teatru* miał się ukazać z datą 13 grudnia".

Felietonistę *Życia* zawiodła nieco pamięć. Tamten numer *Teatru* dotarł jednak do czytelników. Chociażby dlatego, iż nie nosił on daty „13 grudnia" a po prostu — „grudzień 1981" i ukazał się, co było regułą nawet w tamtych niełatwych czasach, na początku miesiąca.

● Na niestrawność zapadła po obejrzeniu *Czerwonej magii* Gheldorode'a w teatrze gorzowskim recenzentka *Ziemi Gorzowskiej* (nr 19) Krystyna Kamińska:

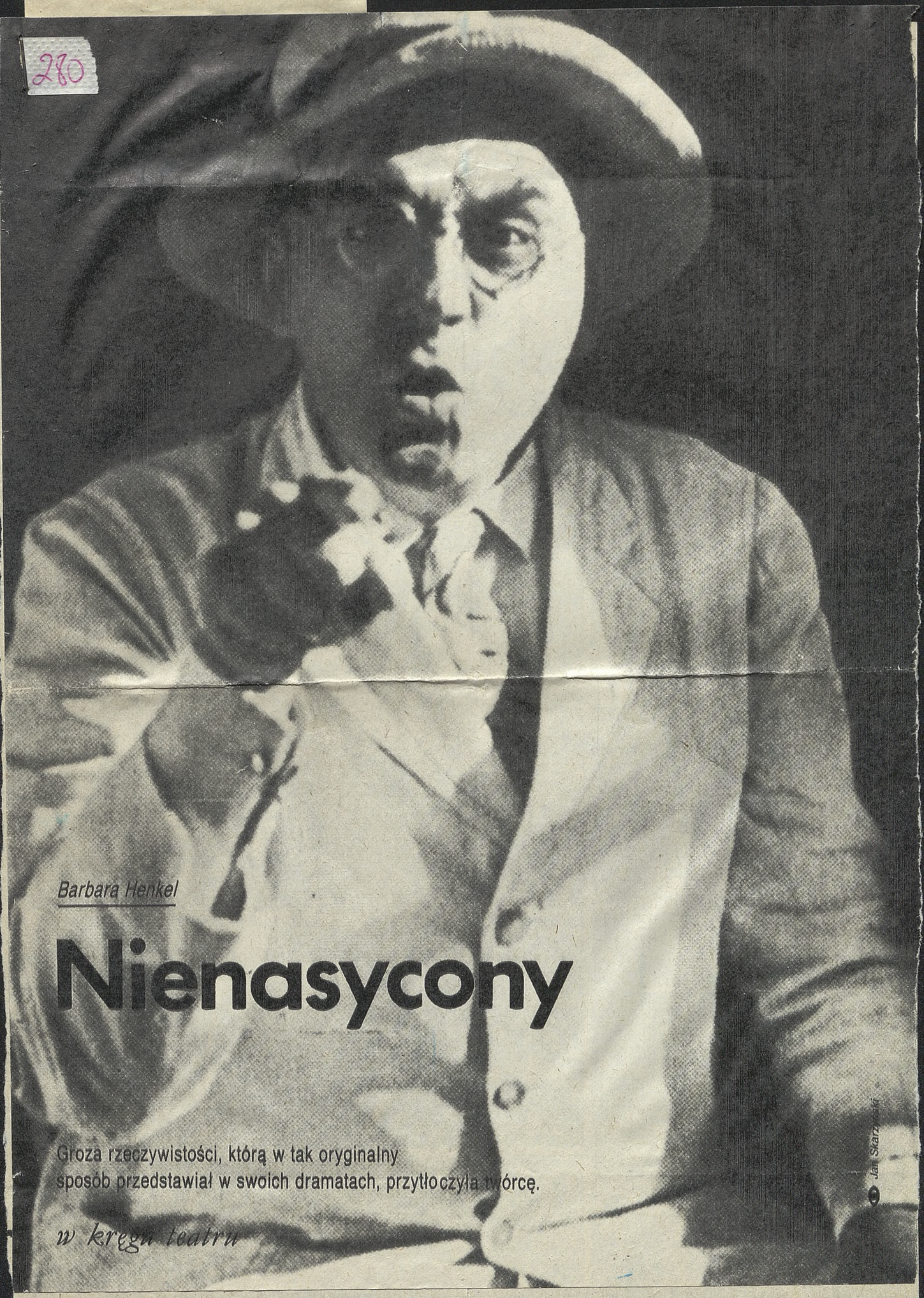
„(...) rzecz jest wystawiona w tradycyjnej konwencji. Może gdyby z *Czerwonej magii* zrobić musical, wykpić starego Hieronimusa i jego niepohamowaną żonecznkę, okrasić piosenkami, może dałoby się jeszcze tę sztukę przełknąć. Obecna formuła jest zwyczajnie niestrawna." Może się sztuka nie podobać — to rzecz gustu. Mamy tylko obawy, czy recepta, jaką proponuje recenzentka, jest aby na pewno najlepszą drogą do sukcesu.

● Anegdota teatralna zanotowana przez Stefana Szramela ze Starego T.:

„Ludwik Solski zaproszony przez dyrektora Gąssowskiego, występował gościnnie w Bielsku-Białej. Pewnego dnia wraz z całym zespołem udał się na występ do Czechosłowacji. Po uroczystym przedstawieniu odbył się bankiet, na którym gospodarze wznosili toasty na cześć przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Ze strony polskiej głos zabrał sędziwy Ludwik Solski, który zakończył swoje wystąpienie toastem: — Niech żyje Jugosławia. Dyrektor Gąssowski, który słuchał obok, dramatycznym szeptem zwrócił się do przygłuchego już Solskiego: — Czechosłowacja, Czechosłowacja mistrzu. — Przepraszam — poprawił się Solski. — Niech żyje Jugoczechosłowacja!" *(Dziennik Polski* nr 147)

Opracował
ANDRZEJ MULTANOWSKI

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
SCENA
02-089 WARSZAWA
ul. Roja Nr 9
Nr 8 z dn. -08- 88
280



Barbara Henkel

Nienasycony

Groza rzeczywistości, którą w tak oryginalny sposób przedstawiał w swoich dramatach, przytłoczyła twórcę.

w kręgu teatru

© Jan Skarzyński

Nie mieścił się w ramach wizji świata, który przeczuwał i przewidywał. Nie widział siebie na tle odmienionej sytuacji politycznej. Był pełen obaw o losy cywilizacji, kultury i sztuki, ostrzegał przed molochem mechanizacji. Sam zdecydował się uwolnić od przyglądania się dalszemu ciągowi, jaki pisze pracowicie każda rzeczywistość, która szybko staje się historią. Adolf Rudnicki uznał go za największe zjawisko artystyczne pierwszej połowy XX wieku.

Trzynaście ostatnich, wrześniowych dni Stanisława Ignacego Witkiewicza pamiętnego 1939 roku znamy z bardzo subiektywnego opisu Czesławy Oknińskiej, dzielącej ostatnie chwile z przyjacielem. Autor „Pożegnania jesieni" wyreżyserował starannie swoje odejście — zawsze był perfekcjonistą, nawet w ostatniej chwili, gdy szukał drzewa w lesie, pod którym „to" się miało stać. *„Świetnie znał przyrodę, nawet najmniejsze żyjątka w trawie, lesie, w wodzie, wszędzie"* — napisała pani Oknińska z podziwem, że podał nazwę maleńkiej, ślicznej, zielonej żabki, którą spłoszyła swoją stopą w ich wspólnej wędrówce do kresu. Jego pogrzeb we wsi polskiej Jeziory był cichy. Postawiono mu krzyż, wyżłobiono na tabliczce z drewna daty urodzenia i śmierci, postawiono jakieś małe kwiatki, mówiąc słowami jego towarzyszki, która się uratowała i nie ponowiła już samobójczej próby; zawróciła w pół drogi. „Przed wyjazdem poszłam jeszcze raz na cmentarz, aby się pożegnać. Nie płakałam — nie mogłam, tylko z trudem odzywałam się do ludzi".

Blisko pół wieku później przeniesiono doczesne szczątki Witkacego do Zakopanego na Pęksowy Brzyzek, zakopiański cmentarzyk-panteon, zapatrzony w górskie szczyty. Scenariusz tej niezwykłej ceremonii obymślili aktorzy Teatru imienia Witkacego — z wyczuciem formy należnej patronowi, który wszystko teatralizował. Szepty sceptyków, czy należało go ruszać z miejsca dawnego spoczynku nie mają już w tej chwili żadnego znaczenia, gdy szumią mu zakopiańskie drzewa. Sam był przecież nauleczalnym zakopiańczykiem.

Czyż nie pisał: „Dla tytanów ducha Zakopane jest miejscem, w którym kondensuje się ich istota, roztwierają się nowe horyzonty, a twórczość artystyczna, społeczna czy naukowa stwarza nowe formy i buduje nowe wartości..."? Jednym z najbardziej podniecających narkotyków była dla niego właśnie „zakopianina", jak ją nazwał ten, który lubił się posługiwać własnym, niebanalnym słownikiem, stwarzać słowa przedtem nieznane.

Czy Witkacy, któremu przyszło by dziś żyć pod Tatrami, powtórzyłby swoje wyznanie wiary, byłby nadal przekonany o genius loci miejscowości nad którą czuwa śpiący Rycerz — Giewont? Czy wadziłby się po swojemu z dzisiejszymi artystami tu osiadłymi, którzy nadają koloryt letniej i zimowej stolicy? Tadeusz Boy-Żeleński napisał o nim, że odziedziczył po ojcu „zarówno skłonność do walki, jak ciekawość do mnóstwa spraw. Przewyższa jednak ojca nieokiełzanym rozmachem i — powiedziałbym — demonizmem osobowości".

W swej „Kolekcji dusz" Anatol Stern wspomina: „Pamiętam wieczór futurystyczny w Zakopanem (Czyżewski, Jasieński, Wat), gdzie afisze olbrzymimi literami zapowiadały m.in. „Walkę na noże" pomiędzy Witkacym a mną. Publiczność była bardzo niezadowolona, kiedy przekonała się, że nie zamierzamy wypruć sobie bebechów i że ma to być walka o charakterze czysto teoretycznym..."

Na kim by teraz kruszył kopie? Jak przyjąłby „Stasia" Jerzego Jarockiego, który próbował pokazać reakcję między



ojcem a synem, pozostającymi w wielkiej współzależności, ale i w ciągłych konfliktach? Stołeczne przedstawienie w zakopiańskim teatrze robiło zresztą szczególne wrażenie dzięki okolicznościowej scenografii, czyli rozwieszonych na ścianach głównej sali portretów fotograficznych, przedstawiających Witkacego w różnych okresach jego życia — od maleńkości po wiek dojrzały jego, co wedle Boya „zawsze chodzi do góry nogami, z cudacznie wykrzywioną twarzą".

Co miałby do powiedzenia — jakie pochwały czy zarzuty rzuciłby w twarz reżyserom teatralnym i telewizyjnym wystawiającym teraz jego sztuki dla wszystkich, bez ograniczeń? I pomyśleć, że za jego życia, gdy grano w Toruniu Witkiewicza, wstęp dla młodzieży i wojskowych był wzbroniony! Że aktorzy warszawscy zbuntowali się i odmówili grania „Tumora Mózgowicza"! Tak wydawał im się dziwaczny. A gdy w latach dwudziestych wystawiono w Warszawie w Teatrze Dramatycznym przy ulicy Śniadeckich „Jana Macieja Karola Wścieklicę" Witkacy orzekł: „Świetnie grają, lecz wciąż jeszcze nie rozumieją co to jest groteska... „Ogół jak uczy doświadczenie, nigdy nie był w stanie nadążać za prekursorami, otwierającymi nieznane horyzonty.

Który z plejady reżyserów w ojczyźnie i za granicą, wystawiających jego sztuki, byłby mu najbliższy w wykładni jego idei, rozumieniu sensu, stylu i formy? Doświadczony Jarocki czy młodsi od niego Jacek Bunsch i Andrzej Dziuk, który „Autopariodię Witkacy" skroił w teatrze zakopiańskim. Czy z właściwym sobie temperamentem wkroczyłby w szranki polemiki z witkacologami drobiazgowo rozbierającymi jego dzieła wszystkie, całą spuściznę pisaną i twórczość plastyczną czyli „teatr zastygły na płótnie"?

Ciągle zastanawiający jest jego fenomen sztuki portretowania. Ta jego niezwykła sprawność. Dziesięć portretów w jeden dzień potrafił machnąć. Przywołajmy na świadka takiego jednego seansu w Firmie Portretowej Eugeniusza Szermentowskiego, który tak to bardzo barwnie opisał: „Posadził mnie w fotelu, długo mył ręce (pedant był piekielny na punkcie higieny) i wrócił, chlusnął mi prosto w twarz nie reflektor już, ale cały chyba filmowy jupiter, który mnie omal nie oślepił. Chwycił karton (zawsze tego samego formatu), kredki, wziął się do roboty. Od czasu do czasu wydawał przy pracy dzikie okrzyki i wrzaski. Kwiczał jak prosie, piał jak kogut, ryczał jak bawół, buczał jak bąk. Do modela się nie odzywał. Praca długo nie trwała. Po półtorej godzinie, może po dwóch, portret był gotów..."

Jak przyjąłby wnikanie w jego biografię, odczytywanie tych szczególnie poplątanych, stanowiących istny labirynt linii życia? Tyle jest jeszcze wątków i tajemnic do końca nierozwikłanych, co uwidoczniło się także w ciekawym, bezpośrednim zderzeniu poglądów takich znawców jak Jan Błoński, Janusz Degler, Konstanty Puzyna — podczas posiadów w salonach teatru po pogrzebie. Nie skłaniał ich przecież do żałoby, trudno płakać po kimś, którego doczesne szczątki już blisko pół wieku spoczywają w ziemi — tylko do refleksji związanych z tragedią twórcy i człowieka, miotanego sprzecznościami, widzącego istotę zjawisk ostrzej, głębiej, z wrażliwością wizjonera.

Maria Kasprowiczowa powiedziała o nim: „NIENASYCONY — to słowo najtrafniej go określa. Nienasycony myśli, nienasycony piękna ziemskiego, nienasycony wrażeń, miłości..." Takim jawi się nam i dziś mimo, że jego twórczość (był także wirtuozem fortepianu chwalonym przez Rubinsteina) i życiorys obrosły tyloma interpretacjami.

Jacek Lalak

BIURO WYCINKÓW GLOB PRASOWYCH

Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW
„Prasa-Książka-Ruch"

Wzm.

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

S C E N A
02-055 WARSZAWA
ul. Rola Nr 9

Nr ..... z dn. 9 . 06 - 09 - 69

NOWY SĄCZ — ULIANOWSK

280

Kultura zajmuje czołową pozycję w coraz żywszej współpracy między Nowym Sączem, a Ulianowskiem nad Wołgą. Zaowocowało to m.in. wizytą Państwowego Teatru Lalek „Rabcio" w Ulianowsku. W marcu br.reżyserka rabczańskiego teatru — Ewa Marcinkówna wystawiła nad Wołgą własną sztukę „O kotku Herkulesie". Jesienią do Rabki przyjedzie Ulianowski Teatr Lalek, a „Rabcio" da premierę puszkinowskiej bajki „O rybaku i złotej rybce", w reżyserii Ludmiły Gawriłowej z Ulianowska.

W pierwszej dekadzie maja Zakopane i Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza gościły Teatr Dramatyczny z Ulianowska. Jak powiedział jego dyrektor szczyci się 200-letnimi tradycjami i należy do najstarszych rosyjskich scen. W repertuarze ma m.in. sztuki Szekspira i Ibsena, klasyków rosyjskich, dramaturgię współczesną. W ub.r. na ulianowskiej scenie zagościł Sławomir Mrożek.

— Wadim Klimowski z Moskwy — mówi Jurij Kopyłow — przełożył na rosyjski „Drugie danie" Mrożka i sztukę tę wyreżyserował u nas. Było to pierwsze spotkanie naszej publiczności z twórczością tego pisarza. Pokazywaliśmy spektakl m.in. w Moskwie i Leningradzie, zbierając bardzo dobre recenzje. Przywieźliśmy go też do Zakopanego i tamtejszego teatru Witkacego. Jechaliśmy z wielką tremą, bo była to nasza pierwsza podróż zagraniczna, w dodatku mieliśmy pokazać Mrożka na scenie awangardowego teatru Andrzeja Dziuka. Publiczność przyjęła nas serdecznie, wypowiedziano wiele komplementów, gratulowano aktorom.

Witkacy

CZYLI ARTYSTA ŻYCIA

KRZYSZTOF PYSIAK



Czym była ta samobójcza śmierć na dalekim Wołyniu, dokąd zabrnął Witkacy w ucieczce przed brunatnym potopem zalewającym Polskę od zachodu? Wynikiem przerażenia na wieść o tym, że ojczyzna została wzięta we dwa ognie? Rezultatem ostatecznego znużenia? A może – w obliczu śmierci cofamy się przed taką, narzucającą się skądinąd, interpretacją – jeszcze jedną błazeńską rolą Witkacego czy też gestem obliczonym na demoniczny efekt? Oczywiście, byłby to gest należący do tego gatunku clownady, który podszyty jest tragiczną rozpaczą.

Czy może wreszcie była ta śmierć najwyższą konsekwencją tego, o czym pisał i co przewidywał już jako autor „Nowych form w malarstwie"? Przez niemal całe twórcze życie Witkiewicz wieszczył – niby dwudziestowieczna Kasandra – koniec świata, w którym żył jako jeden z ostatnich zapewne artystów. 18 września przepowiednia poczęła się spełniać. Od kilku dni sytuacja na froncie była beznadziejna. Warszawa otoczona została przez wojska niemieckie, które zbliżały się też do Lwowa. Rząd polski i prezydent przekroczyli właśnie granicę i znajdowali się już w Rumunii. Poprzedniego dnia rząd Stalina stwierdził, że wobec klęski armii polskiej musi przyjść z pomocą ludności białoruskiej i ukraińskiej, i w związku z tym rozkazał Armii Czerwonej „wzięcie pod ochronę życia i mienia mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi".

Gdy więc kończył się świat Witkacego, nie miał on po co żyć dłużej.

Minęło niespełna dwadzieścia lat od śmierci autora „Szewców", gdy zrazu chyłkiem, przez wąską furtkę uchyloną przez zbiorowy tom wspomnień (1957), a potem szerzej – bramą otwartą pełnym wydaniem dramatów przygotowanym przez Konstantego Puzynę – zaczęła się wdzierać do naszej współczesnej świadomości kulturalnej tamta twórczość. Z czasem doszło do pełnego jej uznania i przyznania Witkiewiczowi miejsca wśród najwybitniejszych artystów i pisarzy XX stulecia. Legenda Witkacego – wielkiego nowatora i prekursora wielu współczesnych zjawisk artystycznych – nabrała oczywiście innego wymiaru niż przed wojną, gdy był zaliczany do galerii artystów-dekadentów à la Przybyszewski albo pozerów i szarlatanów. Bowiem w legendzie towarzyszącej Witkacemu od początku działalności, zresztą świadomie przezeń podsycanej, za życia jej bohatera dominowały negatywy. A więc z jednej strony w sposobie bycia Witkiewicza zanotowano coś z orgiastycznego stylu młodopolskiej bohemy, erotomanię, alkoholizm, narkotyki czy towarzyskie dziwactwa. Z drugiej – nie chciała go opuścić przez cały okres międzywojnia fama artysty nie tyle nawet ekscentrycznego (bo to artystom zawsze w końcu odpuszczano), co po prostu niezrozumiałego, a przy tym zadufanego. Jego dzieła malarskie w pospolitej opinii (która wielokrotnym echem powraca we wspomnianej „Księdze pamiątkowej" z 1957 roku) to pokraczne bohomazy przedstawiające „jakieś przeraźliwe, makabryczne maszkary o potworno-człowieczych wybrzuszeniach, skrętach, spiralach, wypupieniach".

Rozpoczniemy od końca. Rozpoczniemy mianowicie od dnia 18 września 1939 roku, w którym Stanisław Ignacy Witkiewicz, malarz, filozof i powieściopisarz, bohater wielu bulwersujących przedwojennego filistra ekscesów i plotek towarzyskich, autor cenionych przez high life stolicy „udziwnionych" (albo i nie – zależnie od życzenia i przede wszystkim wysokości honorarium) portretów, zażywszy wraz ze swoją towarzyszką panią C.K., większą ilość środków usypiających, poderżnął sobie następnie gardło brzytwą.



Autoportret z 1913 r., olej

Sztuki teatralne z kolei pisze on tak nonsensowne, że nie chcą ich grać aktorzy (słynny i rozdmuchany przez toczącą się wokół ostrą dyskusję prasową z udziałem wpływowych autorów – Irzykowskiego i Boya – był „strajk" aktorów warszawskiego Teatru Małego, którzy odmówili występowania w zupełnie niezrozumiałym – ich zdaniem – „Tumorze Mózgowiczu"). Wreszcie rozfilozofowane powieści Witkacego, nie przypominające niczego, co dotychczas napisano w tym gatunku, to – zgodnie z oceną Lechonia – przykłady „niepohamowanego gadulstwa", reprezentujące wedle opinii innej, choć równie znaczącej, bo Irzykowskiego, „genialność" ale... cynizmu.

Dlaczego recepcja Witkacego w okresie przedwojennym była tak powierzchowna? Dlaczego widziano w nim przede wszystkim ekscentrycznego artystę, dziwaka z Zakopanego – nie zaś oryginalnego teoretyka sztuki i ciekawego malarza, bacznego obserwatora procesów historycznych, genialnego dramatopisarza? Dlaczego nie umiano – co czyni się łatwo dzisiaj – spostrzec we wszystkich uprawianych przezeń dziedzinach, od filozofii i teorii estetycznej, poprzez malarstwo, fotografię, dramaturgię, powieść i żywą publicystykę, niezwykłej tożsamości problematyki z nadającą jej tym bardziej jednorodny charakter fascynującą, choć zawładniętą chorobliwymi prawie obsesjami, osobowością autora. Najprostsza odpowiedź brzmi: bo Witkacy wyprzedzał swój czas. To przecież dopiero w naszej dobie przyszła pora na jego akceptujące zrozumienie.

Ale jest jeszcze inna odpowiedź. Otóż, Witkacy we wszystkim, czego się imał, otwierał jakieś wielkie perspektywy, lecz w końcu zostawiał rzecz nie wykończoną, możliwości – nie wyczerpane. Był wielki, ale w sferze projektów, nie realizacji.

Obdarzony ujawniającymi się od dzieciństwa wybitnymi zdolnościami muzycznymi, malarskimi i aktorskimi, wychowujący się w środowisku elity kulturalnej, od najmłodszych lat otoczony grupą przyjaciół, spośród których wyjdą liczące się indywidualności w różnych dziedzinach – czy można chcieć więcej, czy nie spełnione zostały warunki dla wytworzenia... geniusza?

Dodać warto, że młody Staś stał się obiektem mądrego, a przy tym interesującego eksperymentu pedagogicznego. Otóż, jego ojciec, malarz i krytyk sztuki, twórca tzw. stylu zakopiańskiego w architekturze, człowiek ceniony wielce przez współczesnych jako autorytet moralny, w związku z synem – jedynakiem żywił ogromne ambicje. Od razu dostrzegł zdolności Stasia i zapragnął możliwie najpełniej je rozwinąć. Pierwsza zasada, jaką przyjął w edukacji syna – to nie

Dokończenie na str. 22

Witkacy
CZYLI ARTYSTA ŻYCIA

Dokończenie ze str. 11

przeszkadzać. W związku z tym zrezygnowano z posyłania Stasia do szkoły i pozwolono mu na dowolne rozwijanie zainteresowań. Nad wszystkim czuwał dyskretnie ojciec, poświęcając bardzo wiele czasu synowi. Każdy przejaw jego żywotnej natury traktowany był z powagą jako wyraz osobowości, każda nowa fascynacja Stasia znajdowała w ojcu pomocnika w realizacji. W dziedzinach, w których ojciec czuł się niepewnie, jak np. matematyka, Staś otrzymał najlepszych nauczycieli, na poziomie uniwersyteckim. To wszystko ukształtowało w rezultacie człowieka o bardzo szerokich horyzontach, pełnego do końca życia dziecięcej ciekawości świata, ale równocześnie jakby pozbawionego solidniejszych podstaw.

Zresztą cała biografia układa się Witkacemu w sposób zaiste modelowy. Znalazło się w niej miejsce – i to w najbardziej odpowiednim momencie, gdy umysł młodzieńca był szczególnie chłonny – na podróże do artystycznej stolicy Europy – Paryża, do Włoch, Londynu i w egzotyczne tropiki; na romans z najgłośniejszą aktorką epoki – prawdziwą kobietą fatalną Młodej Polski – Ireną Solską, a także dana mu była możliwość obserwowania z bliska i uczestniczenia w wydarzeniach zmieniających oblicze świata – rewolucji rosyjskiej. Trudno uwierzyć, że to curriculum vitae rzeczywistej postaci – tak przypomina bowiem życiorysy... bohaterów utworów Witkacego.

Bogactwo uzdolnień i różnorodność życiowych doznań idzie w parze u Witkacego z wielością uprawianych dziedzin. Wciąż trawi go artystyczna gorączka, pożera zaciekła pasja stania się wielkim człowiekiem. Potem dojdzie do tego niemal biologiczna, wewnętrzna potrzeba wyjaśnienia sobie dręczących problemów egzystencjalnych i metafizycznych. Bodajże Ingarden uznaje Witkacego za filozofa naturalnego, z Bożej łaski, dla którego filozofowanie nie było wyuczonym zawodem, ale organicznym nakazem i sposobem życia.

Zrazu pragnie być przede wszystkim malarzem, jak ojciec, choć bardzo szybko zdecydowanie odchodzi od stylu, jaki preferuje pokolenie starego Witkiewicza. Z uporem więc pracuje nad formą, uczy się posługiwania różnymi technikami i szuka własnego wyrazu. Na rok przed wybuchem I wojny światowej, jako dwudziestoośmioletni mężczyzna, nie potrafi jeszcze zdefiniować swoich zamiarów.

W tym momencie przychodzi seria dramatycznych i determinujących zapewne los Witkacego wydarzeń. Najpierw przeżywa on szok: jego młoda narzeczona zanadto przejęła się dekadenckimi nastrojami panującymi w kręgu Stanisława Ignacego i popełniła, bardzo teatralne zresztą, samobójstwo. Aby otrząsnąć się ze stanu depresji, Witkiewicz korzysta z zaproszenia Bronisława Malinowskiego, przyjaciela z dzieciństwa, a u progu wojny światowej świetnie zapowiadającego się etnologa i wyrusza z nim na naukową ekspedycję na Nową Gwineę. Wybucha wojna i nasz bohater, jako poddany rosyjski, zostaje internowany w Australii, a następnie odstawiony do Rosji. W Petersburgu wstępuje do wojska, dostając się do elitarnego pułku gwardii, w którym służą rosyjscy arystokraci hulający – w przeczuciu upadku ich świata – na całego. Ostateczna desperacja, atmosfera totalnego absurdu, erotyczno-alkoholowe orgie, czyli najpełniejszy obraz dekadentyzmu à la russe – oto pierwsze doświadczenia rosyjskie Witkacego. Ale jego biografowie przekazują również inny opis, nie wiadomo, na ile wiarygodny. W Rosji zaczyna się wrzenie rewolucyjne i Witkiewicz – jako biały oficer z reprezentacyjnego pułku lejbgwardii – musi się prawie dwa lata ukrywać, podczas gdy zza każdego niemal węgła czyha nań śmierć. Jest i druga, mniej prawdopodobna, ale uporczywie utrzymująca się wersja: Witkacego, jako najbardziej ludzkiego z oficerów, żołnierze wybierają swoim komisarzem.

Mniejsza z tym, który z tych przekazów – i czy w ogóle któryś – jest autentyczny. Przeżycia Witkacego musiały być makabryczne; nie lubił ponoć później – urodzony rezoner – wracać do nich w rozmowach z przyjaciółmi.

Jednak doświadczenia zebrane w Rosji i wyniesione stamtąd spostrzeżenia wypełniły w znacznej mierze utwory literackie Witkiewicza. W Rosji zdobył on między innymi wiedzę o tym, że historię tworzą masy – nie znaczy to jednak, że pozbył się lęku przed tłumem, okrutnym motłochem. Czym innym jest przecież teoretyczna wiedza, czym innym zaś strach ściskający za gardło i poczucie, że może się być w każdej chwili unicestwionym jak śmieć.

Wiele z tego, co spotyka bohaterów sztuk i powieści Witkacego to zapewne refleksy jego rosyjskiego epizodu biograficznego. Był on pisarzem czerpiącym w znacznym stopniu z osobistego przeżywania i doświadczania świata, co czytelnikowi jego groteskowych, dziwacznych utworów wydawać się może mało prawdopodobne. Począwszy od młodzieńczej powieści na temat własnej inicjacji artystycznej i erotycznej, zatytułowanej „622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta", która nie ukazała się za życia autora ze względu na sprzeciw Witkiewicza-ojca przerażonego jej swoistym ekshibicjonizmem, Witkacy wciąż wykorzystuje – może conajwyżej lepiej go kamuflując – szeroko pojęty materiał autobiograficzny.

Po powrocie z Rosji będzie Witkacy innym już człowiekiem, który zobaczył i przeżył „koniec świata". Ci, którzy takich krańcowych doświadczeń nie mieli za sobą, nie byli w stanie go pojąć. Stąd np. zarzucano mu nieraz w okresie międzywojennym cynizm.

Z przeżyć z okresu pozostawania „byłym człowiekiem", jeśli nawet nie trwał on zbyt długo, Witkacy nigdy już się nie otrząśnie i nie znajdzie skutecznego antidotum na rosyjską truciznę. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne będzie czuł się outsiderem, człowiekiem nie umiejącym dzielić z rodakami „radości z odzyskanego śmietnika" i przeświadczonym – jak nikt chyba ze współczesnych – iż jest to tylko historyczny antrakt, przerwa – jak ktoś żartobliwie określił – na papierosa.

Z takiej świadomości czy może raczej stanu ducha wynikały rozmaite konsekwencje (albo – niekonsekwencje). Jedna z nich to wspomniane niespełnienie Witkacego, i to w dziedzinach, w których był szczególnie utalentowany. W biografii artystycznej autora „Nienasycenia" jest kilka charakterystycznych momentów, w których zrywa on z uprawianą dziedziną, jakby nagle traciło sens to, co dotychczas robił. Tak było z odrzuceniem „ambitnego" malarstwa na rzecz zarobkowania w tzw. Firmie Portretowej, przejściem od dramatu – rodzaju uważanego przez autora za znacznie istotniejszy – do powieści, którą nisko cenił jako swoisty „worek", zamknięciem się w kręgu coraz poważniej uprawianej filozofii i wreszcie – z gestem ostatecznego odrzucenia, samobójczą śmiercią we wrześniu 1939 roku.

Odrębność i artystyczna samotność Witkacego leżały u podstaw ogólnego prawie niezrozumienia jego postawy i twórczości w latach międzywojennych. On zaś miał pełną świadomość tego, że przez ogół uważany jest za dziwacznego artystę i dlatego napisał w jednej ze swych sztuk: *Dwa są tylko miejsca dla metafizycznych jednostek w naszych czasach: więzienie i szpital wariatów.* Zresztą jedną z podstawowych idei w jego antyutopii był pesymizm w ocenie przyszłych szans sztuki (podobnie jak religii czy filozofii).

Co pozostaje? Odpowiedzi udzielił Witkiewicz swoim życiem. W sytuacji niemożności uprawiania sztuki w klasyczny sposób i wyczerpywania się wiary w jej sens pozostaje – jako jedyny pewny jeszcze element – artysta. Artysta staje się ważniejszy od dzieła: on nadaje mu rangę, spaja swoją osobą w całość.

Jeżeli więc nie udało mu się osiągnąć genialności w poszczególnych gatunkach, to znakomicie opanował sztukę bycia artys-

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

DZIENNIK WIECZORNY
ul. Libelta Nr 4
85-950 Bydgoszcz

Nr 193 z dn. 4-10-80

280

Ktoś ze świata aktorskiego naszych czasów

Fascynacje Mariana Opani

Mieliśmy już w Bydgoszczy dzięki zabiegom Teatru Grzymały i Bydgoskiego Towarzystwa Teatralnego i Teatr Stary z Krakowa, i „Rampę" Andrzeja Strzeleckiego, Tadeusza Łomnickiego i Teatr Witkacego z Zakopanego. Tym razem z cyklu „Świat aktorski naszych czasów" będziemy mieli okazję (z pewnością także przyjemność) gościć w teatrze przy Warmińskiego (Klub Energetyka) MARIANA OPANIĘ. Aktor Teatru Ateneum znany z licznych świetnych ról teatralnych i filmowych (m. in. „Palec Boży", „Skok") przyjeżdża w połowie października. W poniedziałek, 16 bm. przedstawi „Moje fascynacje", recital z udziałem pianisty Wojciecha Kalety. Czeka więc nas dwugodzinny popis aktorstwa, które wzrusza i bawi.

Spektakle będą dwa, o godz 17 i o 20, a bilety sprzedaje kasa przy ul. Warmińskiego codziennie (oprócz niedziel) od 14 do 18. Tel. 22-86-67. Posiadacze karnetów na prezentacje uprawnieni są do nabycia biletów ulgowych. Organizatorzy proszą te osoby o wykupienie biletów do 12 bm.

280

BIURO WYCINKÓW PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GŁOS ROBOTNICZY
ul. Piotrkowska 96
90-103 Łódź

Nr 287 z dn. 11-10-89

„WIĘCEJ MIEJSCA DLA ARTYSTÓW"

Po odejściu Pawła Nowickiego dyrekcję łódzkiego Teatru Studyjnego w nowym sezonie artystycznym objął Andrzej Pawłowski, związany wcześniej m. in. z warszawskim „Ateneum". Stosunek nowego szefa tej łódzkiej, wyraźnie określonej artystycznie, siedziby Melpomeny do uprawianego tu modelu teatru, jak również najbliższe plany repertuarowe — stały się przedmiotem, zorganizowanej z inicjatywy dyrektora, wczorajszej konferencji prasowej.

Jak się dowiedzieliśmy, zachowany zostanie, zgodnie z nazwą, studyjny charakter prezentowanych tu spektakli. A. Pawłowski pragnie także, kontynuując zamierzenia poprzednika, stworzyć z teatru tętniące życiem centrum sztuki. „Więcej miejsca dla artystów!" — tak brzmi główne hasło manifestu nowego sezonu. Spodziewać się więc należy kolejnych wernisaży łódzkiego — i nie tylko, — środowiska plastycznego, kameralnych koncertów muzycznych, happeningów, spotkań literackich.

Zmieni się jednak, jak wynika z wypowiedzi dyrektora, sam typ przedstawień — z socjologicznych, obrazujących idee za pomocą scenografii, słów, muzyki i pozostałych tworzyw teatralnych — w kierunku spektakli psychologicznych, ukazujących człowieka, motywacje jego działań, wewnętrzne rozterki, zagubienie. Zdaniem A. Pawłowskiego w dzisiejszych, współczesnych czasach teatr, który zwraca się w stronę jednostki, upomina się o należne miejsce dla wartości psychologicznych, ulegających degradacji.

Taka optyka spraw ludzkich narzuca wybór silnie zdramatyzowanego repertuaru, ukazującego człowieka najczęściej w sytuacjach ekstremalnych. Jeszcze w br. zobaczymy więc „Woyzecka" wg Buchnera w reż. J. Zembrzuskiego, „Makbeta" Szekspira w reż. A. Pawłowskiego oraz na małej scenie „Możliwości" wg H. Barkera.

Nadal także będą się tu odbywały spektakle dyplomowe studentów WPSFTViT. Natomiast na szerszą niż dotąd skalę planuje się sprowadzanie do Łodzi spektakli i aktorów z „nazwiskiem", m. in. Tadeusza Łomnickiego, Teatr im. S. I. Witkiewicza z Zakopanego czy Corę Jackowską w roli „Antygony" wg Sofoklesa. Będzie więc w czym wybierać!

MAWI

Marek Koprowski, „Daj, Witkacy, daj nam sił...". Odgłosy nr 42, 15 października 1989, s. 6

Osiem spuchniętych dni w Zakopanem.

„Daj, Witkacy, daj nam sił..."

MAREK KOPROWSKI



Tegoroczne Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne **„Inspiracje '89"** (16—23 września) zorganizowano w 50 rocznicę samobójczej śmierci **Stanisława Ignacego Witkiewicza,** jednego z najoryginalniejszych twórców w dziejach kultury polskiej, a poświęcono **Konstantemu Puzynie** — zmarłemu niedawno konsultantowi artystycznemu Prezentacji, krytykowi teatralnemu, niestrudzonemu popularyzatorowi twórczości Witkacego: pisarza, dramaturga, malarza, teoretyka sztuki, błazna i filozofa. Niektórzy dodają: alkoholika i narkomana, ale są to resztki sensacyjnej aury otaczającej jeszcze za życia wymykającego się wszelkim kanonom hiperartystę. Pijakiem, rozpasanym erotomanem ani narkomanem nie był, wypróbowywał jedynie na sobie działanie różnych specyfików, badając ich wpływ na jaźń artysty. Przyznawał się zresztą do tego „bez bicia" i nie robił tajemnicy ze swych eksperymentów.

Doszukiwanie się w literowych symbolach, jakimi oznaczał swe dzieła malarskie, kryptonimów tajemniczych związków chemicznych, oczywiście odurzających, jest nieporozumieniem. Dla przykładu podam, że NP II oznacza po prostu: „nie palę dwa dni", nie mówiąc o literowych oznaczeniach typów portretów, których sporą ilość przewiduje dowcipny i przewrotny regulamin „Firmy portretowej".

Prezentacje zorganizował Andrzej Dziuk wraz z Zespołem Teatru im. St. I. Witkiewicza.

Wykonali gigantyczną pracę: zaprezentowali trzy własne przedstawienia, w których aktorzy zbliżają się do granic fizycznych możliwości człowieka, i — mimo wyczerpania — byli wspaniałymi gospodarzami (większość zdarzeń artystycznych miało miejsce w siedzibie Teatru), opiekunami, przewodnikami, cierpliwymi rozmówcami, a wszystkie te funkcje pełnili z niezwykłą kulturą, taktem, uśmiechem i elegancją. W przeładowany do granic możliwości na wszystkich imprezach teatr wprowadzali ład i bezpieczeństwo, nastrój serdeczności, ciepło i domowy wręcz klimat. Chodzili spać nad ranem, by wczesnym przedpołudniem już stać na posterunkach. Nie przeoczyli nikogo z gości, każdemu poświęcając mniej lub więcej czasu, niezmordowani w czynieniu honorów domu. Dzięki nim, na osiem dni udało nam się oderwać od codziennej gonitwy, kłopotów, kolejek, niepewności o jutro, zapomnieć o przygnębieniu i chaosie panującym w Rzeczypospolitej. Tutaj mechanizm organizacyjny pracował precyzyjnie, bez usterek.

Mimo drogich karnetów (40.000 zł) zabrakło ich, a kolejki po niewielką ilość wejściówek na miejsca stojące ustawiały się już od rana, a co bardziej zdesperowani miłośnicy sztuki koczowali nocą na ławkach przed teatrem. Spotkałem dwie dziewczyny, które całą noc jechały z Łodzi do Zakopanego, by obejrzeć **„Sonatę b"**, w wykonaniu zespołu **Teatru Witkiewicza,** a po spektaklu biegły galopem na pobliski dworzec, by, chyba już w biegu, wskoczyć do nocnego pociągu powracającego do Łodzi. Nie wyszły jednak przed końcem spektaklu. Takie spontaniczne, pełne poświęcenia, rezygnacji z wycieczek w góry, uczestnictwo w Prezentacjach charakteryzowało publiczność, składającą się w przewadze z ludzi młodych i bardzo młodych.

Nigdy dotąd nie brałem udziału w godzinnej owacji urządzonej aktorom po przedstawieniu słynnego już „Cabaret Voltaire", gdy bisowano wielokrotnie co celniejsze fragmenty programu. **Tadeusza Łomnickiego** po „Ostatniej taśmie" Becketta oklaskiwano stojąc. Atmosfera była tak gorąca, tak niepowtarzalna, że nie można porównywać tej imprezy do jakiejkolwiek innej, a brałem udział w dziesiątkach najróżniejszych zdarzeń artystycznych. Ale i miejsce odbywania Prezentacji jest miejscem niezwykłym i chyba jedynym o takim klimacie w Polsce, a zespół gospodarzy tworzy zjawisko równie niespotykane i nie podlegające żadnym schematom — jak ich wielki, genialny Patron.

W pomysłowo zakomponowanym programie **Andrzej Dziuk,** w imieniu Zespołu napisał:

„Dziękujemy za to, że przyjęliście nasze zaproszenie i dzisiaj jesteście z nami. Mamy nadzieję, że duch Witkacego, błąkający się pod Tatrami, będzie także wśród nas. Podczas Zakopiańskich Prezentacji Artystycznych pragniemy przedstawić Stanisława Ignacego Witkiewicza jako malarza, pisarza i filozofa. Chcemy ukazać źródła inspiracji Jego myślenia o świecie. Może wspólnie uda się nam poznać wpływ Jego sztuki na nas — ludzi, żyjących w świecie po wielkich rewolucjach, postępującej demokratyzacji i upadku Indywiduum. Mamy nadzieję, że Prezentacje staną się okazją do wymiany myśli na temat sztuki i jej sensu w dzisiejszym świecie — świecie, w którym »świństwo równomiernie rozpełzło się wszędzie...«".

Wszystkie nadzieje i pragnienia spełniły się, myślę, ponad oczekiwania.

Pora więc omówić przebieg imprezy. Otworzyła ją „III Symfonia pieśni żałosnych" **Henryka Mikołaja Góreckiego,** w wykonaniu **Stefanii Woytowicz** i Orkiestry Filharmonii Rzeszowskiej pod dyr. **Andrzeja Jakubowskiego.** Solistka była zachwycona zaproszeniem do Zakopanego, gdzie, jak powiedziała, nie była od wielu lat. Pieśni wykonała wspaniale, prezentując wysoką formę wokalną. Ta sama orkiestra wykonała już pod batutą ekspresyjnego **Józefa Radwana,** „Krzesanego" **Wojciecha Kilara,** utwór skomponowany na motywach melodii góralskich, wykonany dynamicznie, siarczyście, wzbudzając uzasadniony aplauz widowni, wymagający bisowania.

Wieczorem **Teatr Witkiewicza** zaprezentował spektakl „Witkacy — autoparodia", brawurowo zagrany „niesmaczny góralsko-ceperski skecz zakopiańczykom (prawdziwym?) poświęcony", w reżyserii, scenografii i ze scenariuszem **Andrzeja Dziuka.** Dziuk wykorzystał różne teksty Witkacego, najwięcej czerpiąc chyba z traktatu pt. „Demonizm Zakopanego", analizujące o duszę i umysł człowieka zarażonego narkotykiem nazwanym przezeń „zakopianiną". W spektaklu bierze czynny udział kapela góralska **Andrzeja Krzeptowskiego-Bohaca,** co dodaje znakomitemu widowisku dodatkowego smaku.

Nazajutrz ten sam Teatr zaprezentował „Sonatę b" według **Witkacego,** również w opracowaniu i reżyserii **Andrzeja Dziuka.** Spektakl rewelacyjny, wykonany jeszcze bardziej brawurowo (choć wydaje się to niemożliwe) niż „Autoparodia". W ciągu czterech lat z hakiem (a „towarzyszę" Teatrowi niemal od początku jego istnienia) zespół bardzo się rozwinął aktorsko, stanowi grupę artystów o wyrównanym, wysokim poziomie umiejętności, nabrał pewności, okrzepł, lecz nie skabotyniał, co często się dzieje, niestety, z ludźmi nieodpornymi na sukces. Tu słowo „zawodowstwo" wypełnione zostało treścią, w najlepszym rozumieniu jego znaczenia.

Trzecim spektaklem Teatru, prezentowanym trzy dni później, był wymieniany już „Cabaret Voltaire — seans dadaistyczno-surrealistyczny", również w opracowaniu i reżyserii Dziuka, który opisywałem w „Odgłosach" przed dwoma laty. Mottem spektaklu jest zawołanie Witkacego: **„niech żyje czysta, rozkoszna, świadoma swej potęgi, swobodna, bezwstydna blaga! O blago! Czysta blago — któż cię przelicytuje?!!!".** Zabawa intelektualna wysokiego lotu, wsparta znakomitym aktorstwem wynosi i ten spektakl do rangi wydarzenia artystycznego, zresztą słynnego już w teatralnej Polsce. **Daniel Gerould,** Amerykanin uczestniczący w Prezentacjach, witkacolog i teatrolog uważa — i słusznie — że **Teatr im. Stanisława I. Witkiewicza** jest najlepszym w Polsce (a więc i na świecie) interpretatorem scenicznej twórczości autora „Nienasycenia". Nie omawiam szerzej tych spektakli, bowiem (żeby tylko nie zapeszyć) ujrzymy, być może, Teatr zakopiański w Łodzi za sprawą nowo powstałego **Impresariatu Zagranicznego przy Muzeum Historii Miasta Łodzi** i przy skromnym udziale autora tych słów. Jeżeli rozmowy zakończą się pomyślnie, będziemy świadkami dużej rangi wydarzenia artystycznego w mieście. Oby tak się stało — **Witkacy, dopomóż! Ty i Teatr Twego Imienia macie w Łodzi legiony zwolenników.**

Zaproszono do Zakopanego wiele zespołów i ludzi z kraju i ze świata. **Państwowa Opera z Wrocławia** wystawiła „Manekiny" **Zbigniewa Rudzińskiego,** według **Brunona Schulza** w reż. **Marka Grzesińskiego i Janusza Wiśniewskiego.** Teatr im. J. Kochanowskiego z Opola przybył z „Firmą portretową. O zaniku uczuć metafizycznych" w wykonaniu **Wiesława Cichego** i reżyserii **Andrzeja Pawłowskiego.** Scenariusz obojga wymienionych — to fragmenty regulaminu Firmy Portretowej, teksty teoretyczne o sztuce i zwariowane wierszyki Witkacego, które posłużyły jako teksty do piosenek. W Zespole Szkół Mistrzostwa Sportowego, przy Drodze na Bystre, dokonała się prapremiera tworu laureata Nagrody im. Witkacego z 1986 r. — **Jana Klaty** — pt. „Zielony słoń". Grali uczniowie tychże szkół, wspomagani aktorami Teatru Witkiewicza, a reżyserował sztukę również aktor „Witkiewicza" **Piotr Dąbrowski.** Ciekawostkę niewątpliwie stanowi fakt, że autor w roku otrzymania nagrody kończył szkołę podstawową, a dziś jest poważnym licealistą, który nie ugiął się jednak pod brzemieniem sukcesu i pozostał skromnym, sympatycznym chłopcem.

Przyjechał również Teatr im. Alberta Tison ze Żnina. Uczniowsko-studencki zespół wykonał „Wahazara" według „Gyubala Wahazara", w reż. **Jerzego Lacha.** Realizacja żnińska jest ilustracją myślenia, niestety, dość rozpowszechnionego wśród amatorów, że granie utworów awangardowych powinno zasadzać się na krzyku i miotaniu się po scenie, a dziwności należy jeszcze bardziej udziwniać. A gdyby tak spróbować Witkacego w realistycznych dekoracjach i kostiumach: garniturach z angielskiej wełny, z parasolami i kwadratowymi teczkami, „architektkami", czy też typowym wyposażeniem przeciętnego urzędnika? Ale ponaważnie: obecność amatorskiego teatru na tak poważnej imprezie dodała ducha młodym aktorom, i, z pewnością „wdmucha" w nich nowe siły i wiarę w to, co robią. A są to istotne i potrzebne dawki energii.

Kolejnym wydarzeniem było przedstawienie „Ostatniej taśmy" Becketta w wykonaniu **Tadeusza Łomnickiego,** w reż. **Antoniego Libery,** firmowane przez Centrum Sztuki Studio z Warszawy, zresztą spektakl pokazywany w telewizji. Inny jest jednak ogląd „na żywo", pełniejszy, bogatszy, gdy sami wybieramy znaczące dla nas momenty i szczegóły akcji scenicznej, a inny, gdy realizator telewizyjny wybiera za nas, narzucając nam swój punkt widzenia i koncepcję. Tadeusz Łomnicki uraczył nabitą ludźmi salę koncertem gry aktorskiej, a scena początkowa ze zjadaniem bananów, to prawdziwy majstersztyk. Po spektaklu, już w „cywilnym" ubraniu, bohater wyszedł „do ludzi" i w ścisłym gronie honorowych gości, przy lampce wina, gawędził swobodnie, dowcipnie, w rozluźnieniu.

Opowiedział pyszną historię: gdy wyjechał ze spektaklem do Tunezji, tam, okazało się, nie można było nigdzie kupić bananów! A zastąpić ich nie można żadnym innym owocem, najbardziej nawet południowym. Tu pewien bardzo „taktowny" dowcipas z ekipy telewizyjnej (i to reżyser!) przerwał opowiadanie, sugerując lepsze rozwiązanie (reżyser telewizyjny zawsze! musi mieć najlepszy pomysł), mianowicie zastąpienie banana puszką sardynek. Kompletny idiotyzm, zignorowany słusznie zresztą przez Tadeusza Łomnickiego. Ale do rzeczy. Gdy zawiodły wszystkie możliwości, nadano przez miejscowe radio apel o dostarczenie dwóch bananów. Wtedy to na ulicach stolicy Tunezji, Tunisu, pojawiły się czołgi, wozy pancerne i uzbrojone po zęby wojsko. Ówczesny prezydent kraju Bourgiba sądził, iż komunikat radiowy jest zaszyfrowanym hasłem do rebelii. Niekiedy sztuka szokująco wpływa na życie. Duch Witkacego musiał być razem z Tadeuszem Łomnickim w Tunezji i pękać ze śmiechu.

Na zakończenie Prezentacji wystąpił Polski Teatr Tańca z Poznania z baletem pt. „Niżyńskiemu — Une soirée", którego jednak już nie mogłem obejrzeć.

Zespoły zagraniczne, które przyjechały do Zakopanego w liczbie dwóch, to: **Studio „Człowiek" z Moskwy** z „Emigrantami" Mrożka i **ZATA Theater z Berlina Zachodniego** ze spektaklem „Narr und Nonne", na motywach „Wariata i zakonnicy". Teatr moskiewski (spektakl omówiony zostanie oddzielnie) przez cztery lata musiał grać „Emigrantów" nielegalnie, narażając się na różne szykany ze strony aparatu KGB. Teraz już może występować oficjalnie.

Niemiecka interpretacja Witkacego — tak ją właśnie określili sami aktorzy teatru ZATA: **„będzie to czysto niemiecki Witkacy"** — nie przypadła mi do gustu, jako zbyt dosłowna, pozbawiona przy tym lekkości, wdzięku, tej odrobiny szaleństwa, a miejscami wręcz niesmaczna i budząca sprzeciw. Artyści niemieccy zaskoczyli jednak wszystkich i niejako „odkupili winy", gdy po spektaklu wręczyli publiczności po kwiatku i zaproponowali wycieczkę w plener. Była godzina 1 w nocy.

Na czele pochodu szli aktorzy w czarnych kostiumach, z pochodniami i instrumentami, a za nimi duża grupa widzów.

Pochód dotarł na stary cmentarz zakopiański na Pęksowym Brzyzku, gdzie złożono rzekome prochy Witkacego. Ale oni nie musieli wiedzieć, że zamiast niego leży tam jakiś Bogu ducha winny Poleszuk wyrwany ze swej ziemi, a nawet gdyby wiedzieli — gest był bardzo piękny. Odprawiono nad grobem rodzaj obrzędu, ze śpiewami żałobnymi i takąż muzyką, spalono w ogniu pochodni sztrajfy z napisami: ideologia, totalitaryzm, dogmatyzm — pojęcia, którymi Witkacy się brzydził, a i mało popularne dzisiaj — a następnie każdy z nas, przechodząc w długim korowodzie, złożył na płycie grobowca swój kwiatek, żegnany po polsku przez niemieckich aktorów słowami: **„dziękujemy, dobranoc".** Była to wzruszająca, uroczysta i pełna metafizycznego magnetyzmu akcja artystyczna.

Każdego dnia odbywały się tzw. posiady, z udziałem znawców twórczości, teorii sztuki, filozofii Witkacego. Pierwsza wystąpiła **Małgorzata Szpakowska** z „Dialogu", streszczając właściwie swój esej, wydrukowany w tym samym, mniej więcej, czasie w „Polityce". **Maciej Pinkwart,** zakopiańczyk, historyk miasta i regionu, opowiadał o zabawnych momentach z życia Witkacego, przedstawiając go jako wesołka, kpiarza, żartownisia i świetnego aranżera dziwacznych sytuacji, w które montował swoich poważnych znajomych. Prof. **Daniel Gerould** z Nowego Jorku (rozmowa z nim ukaże się w „Odgłosach" osobno) mówił po polsku o teatrze Witkacego i jego teorii czystej formy. Gdy „wprowadzał" Witkiewicza do „ekipy" postmodernistów, nagle przeszył uszy słuchaczy przenikliwy, niesamowity dźwięk sprzężenia we wzmacniaczu, co wszyscy odebrali (wskazywał na to chichotliwy szmerek) jako dowód obecności ducha Witkacego i jego ewentualny sprzeciw. Prof. **Janusz Degler** urządził posiady w **Galerii Władysława Hasiora,** mówiąc o recepcji twórczości Witkiewicza w świecie, co ilustrowała wystawa plakatów teatralnych i wydawnictw książkowych w obcych językach, nawet bardzo egzotycznych. Ubolewał, że nie mógł zaprezentować wszystkich swoich eksponatów z powodu braku miejsca, ale domówił się z ludźmi z Muzeum Włodzimierza Lenina w Poroninie i tam, w rocznicę Rewolucji Październikowej, otwarta zostanie wystawa obszerniejsza niż ta u Hasiora, na którą zaprasza wszystkich, ubawionych w tym momencie słuchaczy.

Prof. **Jan Błoński** mówił o katastrofizmie Witkacego dowodząc, że on najbardziej bał się życia, które było dlań przypadkową powtarzalnością, ogołoconą z celów i blasków egzystencją, lecz nie pozbawioną przyjemności. Nie było tym razem żadnego znaku, żadnej metafizycznej ingerencji z zaświatów. Panowie **Andrzej Bazylewski** z ZSRR i **Karol Lesman** z Holandii mówili, także po polsku, o popularności Witkacego w swoich krajach. Rosjanin ubolewał nad brakiem zainteresowania twórczością mistrza absurdu w Związku Radzieckim u prawomyślnych literaturoznawców, obiecując, że młodzi, niepokorni zrobią — i już robią — wszystko, aby spopularyzować go w swojej ojczyźnie. Rozmowę z Holendrem zamieścimy w jednym z kolejnych numerów naszego pisma.

Pułkownik **Włodzimierz Ziemlański,** świadek ostatnich dni życia Witkiewicza, jeden z tych, którzy odkryli jego zwłoki, opowiadał z nieukrywanym oburzeniem o sposobie przeprowadzenia ekshumacji, o haniebnej pomyłce, o niekompetencji i zlekceważeniu sprawy przez polską i radziecką stronę, o kompromitacji ludzi odpowiedzialnych za to pożałowania godne zdarzenie. Postulował reekshumację pochowanego w Zakopanem Poleszuka i zwrócenie go ojczystej ziemi, a do symbolicznego grobu Witkacego w mogile jego matki proponował wsypać ziemię z cmentarza w **Jeziorach,** którą przywiózł i jeden z pojemników wręczył **Andrzejowi Dziukowi** dla Teatru.

Imprezami towarzyszącymi były pokazy filmów: „Gabinet doktora Caligari", „Kacza żupa" z braćmi Marx, „Pies andaluzyjski" Bunuela i Salvadora Dali, „Frankenstein", „Dr Jekyll i Mr Hyde", a z nowych produkcji „Pomarańczowa Alternatywa" **Mariusza Dembińskiego** i „Tango" **Zbigniewa Rybczyńskiego,** nagrodzone Oscarem. Każda z tych pozycji, z różnych powodów „brata się" z Witkacowską filozofią sztuki, jego o niej myśleniem, znajduje pokrewieństwo z osobowością twórcy teatru absurdu. Dopełnieniem całości stały się pokazy wideo: „Umarłej klasy" **Tadeusza Kantora w realizacji Andrzeja Wajdy** i „Matki" Witkiewicza w reżyserii **Jerzego Jarockiego.** Dodatkowo, galeria Teatru prezentowała oryginalne rysunki Witkacego, a w Galerii na Kozińcu otwarto wystawę malarstwa, fotografii i pasteli pt. **„Twarze".**

Osiem spuchniętych od wydarzeń dni minęło szybko.

Zbyt szybko. Rzadko zdarzają się imprezy organizowane z takim rozmachem, a jednocześnie tak spójne i przejrzyste ideowo, gdzie łączy się prawdziwą Sztukę z rodzajem sympozjum, gdzie nie ma drętwoty, atmosfery akademii „ku czci", gdzie znajdujemy jedność w wielości, gdzie klimat pobudza do refleksji, zamyślenia nie tylko nad obejrzanym spektaklem, wysłuchanym koncertem czy wykładem, ale nad sobą, nad własnym losem, losem tego kraju, losem sztuki, przyszłością. Odbyła się bardzo ważna, mądra, inspirująca impreza. Obcowanie z Witkacym, jego duchem, istotą jego sztuki, splątaniem optymizmu z pesymizmem, błazeństwa z powagą, absurdu z twardym życiem, zwariowanego humoru z tragedią człowieka nie rozumianego przez współczesnych mu ludzi, życia ze śmiercią, a nade wszystko niezwykła atmosfera wytworzona w Teatrze im. Witkiewicza odrzucały z obrzydzeniem pojawiającą się myśl o powrocie do „normalnego" świata i życia. Jednak trzeba było powrócić. Na spotkanie z absurdem, który nie bawi, z idiotyzmem ostemplowanym urzędową powagą, z głupotą i brakiem wyobraźni, które czynią nasz los trudnym do zniesienia, z rzeczywistością odmetafizycznioną poprzez szarzyznę codzienności, z nieistnieniem Indywiduum, na spotkanie wreszcie z tym świństwem, które „równomiernie rozpełzło się wszędzie".

W „Cabaret Voltaire" aktorzy śpiewają:

„Daj, Witkacy, daj nam sił,
aby człowiek godnie żył.
Nam miłości też potrzeba,
bo stąd bliżej jest do nieba...".

— i ten refren powinien towarzyszyć wrażliwym, myślącym ludziom w niełatwych chwilach życia naszego powszedniego.

JUBILEUSZ WITKACEGO

W Zakopanem znów coś się działo. Po wakacyjnym rozleniwieniu temperatura życia artystycznego drgnęła o kilka cennych stopni rywalizując z kończącym się właśnie latem, trzymającym jeszcze zaokienne termometry w zupełnie niezwykłych pozycjach. Sprzyjającą aurę wykorzystała Firma Teatralna Andrzeja Dziuka i urządziła zamaszystą imprezę pod nazwą Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne.

Poświęcone one były najsławniejszemu z licznych demonów zamieszkujących ongiś modną osadę przy Krupówkach, a mianowicie Witkacemu. Minęło równe pół wieku od dnia, kiedy wybrał jedyne wyjście w poleskich Jeziorach, ku którym z siłą fatalnych, historycznych przeznaczeń nadciągała już Czerwona Armia. Okrągłą rocznicę upamiętniono małym festiwalem zjednoczonych sztuk.

Zaczęło się od muzyki. 16 września za pulpitami zasiadła Orkiestra Filharmonii Rzeszowskiej pod batutą Andrzeja Jakubowskiego i Józefa Radwana oraz Stefanią Woytowicz (sopran). Nie doszło do wykonania 58 Symfonii Szymanowskiego — granej ongiś z dużym powodzeniem podczas baptysteryjnych uroczystości Heli Bertz. Partytura tego jedynego utworu napisanego w najczystszej Czystej Formie nie została dotąd odnaleziona, podobnie zresztą jak „Persy Zwierżontkowskaja", najlepszy ponoć dramat Witkacego, nad czym rzecz jasna ubolewano w kuluarach. Wykonano natomiast III Symfonię H.M. Góreckiego i „Krzesanego" W. Kilara. Kwartet Śląski grał Ravela, Strawińskiego i Matawskiego, a Polski Teatr Tańca z Poznania „une soiree" dedykował pamięci Niżyńskiego, odkurzanego z okazji stulecia urodzin.

W środku — pomiędzy sobotą szesnastego a niedzielą dwudziestego czwartego działo się dużo i rozmaicie. Psychologiczne portrety patrona tych dni wraz z malarstwem i fotografiami można było nieustająco oglądać w Cyrankiewiczówce na Kozińcu. Pięterko galerii W. Hasiora zajęła witkacowska galanteria — książki, programy, zdjęcia, artykuły i prace naukowe w najrozmaitszych językach. Posiadacz kolekcji, prof. Janusz Degler nie ukrywał, że nie zmieściło się wszystko. Całość znajdzie się jednak wkrótce na uroczystej wystawie z okazji... (proszę się trzymać mocno krzeseł) — rocznicy Rewolucji Październikowej w Muzeum Lenina w Poroninie! Jak się będzie Witkacy komponował we wspólnych gablotach z Wiecznie Żywym na razie trudno sobie wyobrazić. Z pewnością będzie to widok, jakiego długo się nie zapomina.

„Jedyną rzeczą ciekawą na tej naszej nudnej gałce jest jeszcze rozmowa". Tak powiadał Atanazy Bazakbal i stąd w rocznicowych salonach nie tylko grano i śpiewano, ale też gadano. Dr Małgorzata Szpakowska z redakcji „Dialogu" wystąpiła z podpowiedzianą przez zbieżność rocznic parafrazą pomiędzy światopoglądem Witkiewicza a ideologią Wielkiej Rewolucji Francuskiej, nie unikając przy tym pewnych banalnych konstatacji, jak ta choćby, że Witkacy w obecnych stłamszonych czasach jest natchnieniem naszego nonkonformizmu, niezauważalnego jakoś na polskich ulicach. Prelegentka mówiła krótko, oszczędzając czas na dyskusję, która przebiegła według normatywnych zasad Czysto — Formalnej dramaturgii tj. nieuznawania idiotycznego trzymania się tematu.

Prof. Jan Błoński z Uniwersytetu Jagiellońskiego wygłosił referat dotyczący krytyki kultury w myśli socjologicznej Maxa Webera i estetyczno-życiowej Witkacego. Dr Bogdan Michalski z Instytutu Sztuki PAN usiłował przybliżyć poglądy filozoficzne Wielkiego Monadologa dobijając szaraczkową intelektualnie szlachtę ciężkostrawnymi cytatami. Teza jego wystąpienia była jednak zrozumiała dla każdego: Filozofia łagodzi mękę istnienia.

Wspomniany już prof. Janusz Degler z Uniwersytetu Wrocławskiego miło krzepił serca wszystkim rozmiłowanym w demonizmie I.P. (Istnieniom Poszczególnym) roztaczając przed nimi perspektywę wzrastającego zainteresowania dziełem i osobą ich idola. Dotąd w samych Stanach Zjednoczonych odbyło się ponad 80 inscenizacji, a były też spektakle w tak egzotycznych miejscach jak Honolulu czy Nowa Zelandia. Na dziewiczych Wyspach Triobriandzkich, które ongiś Staś zwiedzał osobiście wraz z pewnym wkrótce etnologiem jeszcze panuje cisza, ale w świetle udzielonych nam zapewnień, to tylko kwestia dni.

Międzynarodówkę witkacologiczną reprezentował godnie prof. Daniel G. Gerould z New York University (USA) — przekładca wszystkich dramatów i rozsadnik sukcesów Witkacego za oceanem. W swoim wystąpieniu ustalił obowiązujący w wielkim świecie kanon spojrzenia na postać „klasyka na prawach wariata", wg. ładnego określenia Kazimierza Wyki. Kanon brzmi: mamy do czynienia z postmodernistą. Postmodernista to ten, kto z powodu wypsztykania się (koniecznie przez „sz") nie może odkryć nic nowego, jeno parodiować to, co stworzyli wcześniej inni. Dyskusji po ustaleniu takiej diagnozy nie było. Miast „gadania na gębę publiczną", profesor zaproponował „gadanie na gębę prywatną", a gdy jego myśl, wyrażona w tak pięknym witkacowskim bałaku nie została w lot pojęta, dodał, iż chodzi mu o to, aby pójść się napić. Tym samym

Duch w bufecie

przeniósł ciężar posiadu do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie urządzono coś w rodzaju posilni z wyszynkiem. W likwidowaniu poczucia nienasycenia pomocą nie służyły jednak murbie na zimno w sosie agamelinowym, kryps z gonzolagą a la Cocteau, zupa z czerwonych marmontijów, wędliny z ceylońskich dzików, które tak źle mieściły się w prymitywnym żołądku księżnej Jagnesi, oraz taftany na słodko — słono i pasztet a la Tremouille z wątróbek gaudyjskich trywutów, żeby wynotować tradycyjne potrawy, konsumowane przez witkacologów ortodoksyjnych (staroobrzędowych). Były natomiast kanapki z wędzoną rybą za marne sześć stów sztuka. Co się zaś tyczy propozycji wybitnego naukowca, to wybór też nie był reprezentatywny, choć daleko lepiej sięgał istoty rzeczy. Nie było wprawdzie koniaku ze zdegenerowanych winogron Radży Timony i patagońskich likierów, którymi tak perwersyjnie zatruwała Zosia atanazowego embriona. Zastępowała je samotna butelka peweksowskiej łyski. Samotna, bo najdroższa. Tańsze było wino. Na oko — demoludowe, więc spijane po kątach w aptekarskich dawkach przez żądny przeżyć glątwiarski proletariat.

Jeden posiad wypełniły zwierzenia tłumaczy. Andrzej Bazylewski z ZSRR za nieznajomość Witkacego w swym rozległym kraju obarczał głównie lenistwo rosyjskich polonistów niż istnienie jakichś odgórnych zakazów ,chociaż radziecka encyklopedia miała jednoznaczne zdanie na temat zdegenerowanego dekadenta. „Typowy przedstawiciel rozkładu kultury burżuazyjno-imperialistycznej" lub coś w tym guście, co raczej nie zachęcało do popularyzacji.

Drugi translator — Karol Lesman, polonista z Amsterdamu, nader dowcipnie opowiadał o swojej własnej drodze do ulubionego autora, zaś podobny skutek do radzieckiego (tj. nieznajomość) wywodził stąd, że rozwydrzeni do niemożności przez dobrobyt Holendrzy w ogóle nie lubią czytać, natomiast lubią oglądać. Żeby choć Rembrandta, to by nie było tak źle, ale nie. Chodzi oczywiście o telewizję Obaj panowie nie ukrywali cierpiętniczych stron swego zawodu. Każdy ambitny tłumacz prędzej padnie z wycieńczenia niż streści w swym języku taką choćby pieszczotliwą kwestyjkę jak „ubieraj się do chapudry girlastej ty kreczkawa bamflondrygo, lub piękne exemplum narkotyczne o brzmieniu: „pajtrakały symforowe i kondzioł w trykrętnych pordeljansach", a przecież są jeszcze bardziej nieprzetłumaczalne fragmenty. Wystarczy otworzyć na chybił trafił dowolny wolumin z ouvres completes w 23 tomach, przygotowywanych aktualnie do wydania w pracowni prof. Deglera.

Nie zabrakło wśród gadaczy — posiadaczy (od siedzieć, a nie od mieć) naczelnego zakopiańskiego specjalisty — dr. Macieja Pinkwarta.

Najwięcej jednak zainteresowania wzbudził p. Włodzimierz Ziemlański, żywa legenda i świadek ostatnich chwil czczonego dramaturga podejmowany z honorami świętego. Mistyfikację z pogrzebem przestała już otaczać zmowa milczenia, więc można się było otwarcie i do woli oburzać. Wiadomo jest, że autentyk nadal spoczywa w piaszczystej poleskiej glebie, a nagrobek ma na Pęksowym Brzyzku. Polemicznego żaru tej aferze dodaje fakt, że nabrać dali się praktycznie wszyscy, włącznie z niżej podpisanym (nie patrz, na Boga, koteczku do mej mętnie entuzjastycznej impresji z tego obrzędu, pomieszczonej w pierwszomajowym numerze „Katolika" z 88 r.). Ogólny niesmak odreagowuje teraz specjalny społeczny komitet. Co wysiedzi to szanowne kolegialne ciało, nikt jeszcze nie wie, ale i tak co było, to się nie odstanie.

W przypominaniu postaci coraz sławniejszego postmodernisty nie mogło oczywiście zabraknąć teatru. Miło odnotować należy obecność „pod rozdwojonym szczytem Wielkiego Pagóra", czyli Giewontem dwóch ansambli zagranicznych i to nie z ohydnej snobistycznej kurtuazji, lecz zwykłego podziwu dla dobrego i przemyślanego aktorstwa. Jak najlepsze słowa mam zatem dla iście wulkanicznego jegomościa piszącego się Dirk Szuszies z ZATA — Theater (Berlin Zach.), reżysera i uczestnika „niezbyt tragicznego romansu" według „Narr und Nonne" (Wariata i zakonnicy), którym to romansem „zajechał mnie w sam duchowy pępek metafizycznej dziwności istnienia", żeby ująć rzecz najprecyzyjniej.

Bardzo dobre wrażenie pozostawili po sobie dwaj maladcy z Moskwy, którzy pod szyldem Studia „Człowiek" koncertowo wczuli się w „Emigrantów" Mrożka, jak się okazało — wyciągniętych z podziemia po czterech latach nielegalnego bytu. Teraz, w klimacie szalejącej jawności nasz eksportowy prześmiewca został odtajniony przypominając Rosjanom o dolach i niedolach podobnego losu. O niedolach, jak nietrudno się domyśleć szerzej i dobitniej.

Krajowe inscenizacje wypadły różnie, tzn. gorzej. Lekkim tchnieniem absolutu powiało właściwie jedynie z monodramu Tadeusza Łomnickiego, przesłuchującego „Ostatnią taśmę" Becketta. Poza nim nie było już tak dobrze. Po groteskowej operze buffo „Manekiny" Zb. Rudzińskiego pozostał wyraźny niedosyt, gdyż Schulz pozostaje nadal apelem do plastyków i pisarzy, ale nie do muzyków.

Nie zawiodła zbytnio (a mogła) licealno-studencka grupa zwąca się Teatr im. Alberta Tison ze Żnina. Podejrzewałem ich „Gyubala Wahazara" o trudności w wysiedzeniu do końca, ale na szczęście omyliłem się. Widać, że w Żninie połknęli bakcyla i choć młodzi — to jednak rozumieją i coś tam przeżywają. Nie obywa się przy tym bez pewnych niedograń, ale zasadniczo kierunek jest słuszny, jak mówiono w czasach, kiedy Mrożka wystawiało się nielegalnie lub wcale.

Dobrych słów zadedykować nie można opolskiemu Teatrowi im. J. Kochanowskiego, który (w osobie Wiesława Cichego) wystąpił z konstatacją zanikających uczuć metafizycznych. Z opolskiej sceny wychodziła nieudolność i najtańsze amatorstwo, przy którym ci, którzy przezornie od razu nie zasnęli, musieli nudzić się z siłą co najmniej kilkudziesięciu mopsów parowych, jak ongiś sam Genezyp Kapen. Zupełną pomyłką była natomiast lekcja w sali gimnastycznej szkoły sportowej na Bystrem. Odbył się tam debiut niespełna dwudziestominutowego wygłupu warszawskiego licealisty Jana Klaty pt. „Zielony słoń". Sympatyczny młodzieżowy maniak dramaturgii miast schować słonia głęboko do szuflady i zapomnieć, to go ujawnił, a nawet wydrukował w „Dialogu". Ponieważ zaś nieszczęścia chodzą parami, więc nie dość, że mu wydali, to jeszcze wystawili. Jarry się z tego niestety nie urodził.

Gospodarz całych jubilacji — Teatr im. Andrzeja Dziuka wykorzystał zaistnienie uroczystej publiczności i pokazał trzy widowiska własnej produkcji — przebojową „Autoparodię", raczej nieudanie dyssonansową (procz może ostatniej sceny) „Sonatę b" oraz dadaistyczno - skeczowo - wierszowaną bombonierkę pt. „Cabaret Voltaire", której w końcu nie zaszczycił zapowiadany grubą majuskułą folkowy pieśniarz Stanisław Sojka.

Tyle teatralia. Jak powszechnie wiadomo, Witkacy kina nie darzył estymą, zaliczając je wraz ze sportami rekordowymi, mechaniczną pracą i dancingami do działalności wyjaławiającej człowieka z wszelkiego głębszego ducha. Nie przeszkodziło to jednak w urządzeniu na ul. Orkana trzech seansów filmowych. Dominowały archiwalia z jedną jedynie elektryzującą krótkometrażówką Bunuela i Dalego, czyli sławnym „Psem andaluzyjskim". Z nowszych obrazów iskrę wskrzesić mogły (już amerykańskie) „Schody" Zbigniewa Rybczyńskiego, ale nie wskrzesiły, bo nie dojechały, nad czym ubolewałem srodze jako ewentualny przyszły prezes okręgowego oddziału projektowanego Fan-clubu tego reżysera. Łez rozgoryczenia wylewanych samotnie w korytarzu nie ukoiła wcale „Orange Alternative" w reż. Mariusza Dembińskiego, bo choć temat wesoły, film jest raczej smutny, o czym lojalnie informuje rezerwistów pana Majora oraz wszelkich zgrywusów z innych humorystycznych formacji.

Podtytuł Zakopiańskich Prezentacji brzmiał „Inspiracje 89". Kogo Witkacy zainspirował i do czego, pozostanie na razie zagadką. Czy nasycił szarych przechodniów tą niezbędną do życia dawką nonkonformizmu, której nie mogła dopatrzeć się dr Szpakowska? Temat to z pewnością na odrębny posiad, chociaż wnioskując z tłoku przed wejściem do małego dworku doktora Chramca — większość niemytych ceperskich dusz wyjechała w podnieconych nastrojach z Zarytego (nazwa dużej wsi między Gubałówką a Kuźnicami). Nie zmienia to wszakże opinii pewnego dyletanckiego, acz wybitnego krytykona (k, krowa, Kartuzy). Brzmi ona następująco: Sposób, w jaki wspominano Witkiewicza-syna bardziej pasował do Witkiewicza-ojca. Było nieco sztywno, poważnie, zasadniczo a nawet dostojnie (brrr...). Cała celebra przypominała swą zwiędłą dynamiką akademię ku czci. Było „tło zmięszane" do zdarzeń, które nie nastąpiły, choć przecież mogły. Zabrakło faktów nagłych, olśniewających, wykraczających poza wszystko spodziewane. Zabrakło żartu, lekkości, umiarkowanej błazenady, niepowagi, zgrywy i ironii. Obecność kamer spięła atmosferę. Dzieżę mającego rosnąć na bujnych i fantazyjnych drożdżach ciasta skwasiła zakalcem, w dodatku wciąż się psującym. Nic nie wskazywało, że zgodnie z nadziejami dyrektora Dziuka „duch Witkacego błąkający się pod Tatrami będzie także wśród nas". Bo nie był. Skoro się nadal błąka nad bagnami Polesia, to niełatwo mu trafić na Chramcówki.

Cóż jeszcze, żeby relację zakończyć w duchu powagi, a zarazem wierności dla witkacowskich realiów... Najlepszym spoiwem łączącym oba ogniwa byłby chyba bufet w którym podczas następnych jubileuszy nie powinno zabraknąć podstawowych składników diety prawdziwych wyznawców zdegenerowanego geniusza z Antałówki. Takich jak koko, haszysz, meskalina, eter, morfina, eukodal, zwłaszcza peyotlu. Ten ostatni już dawno powinien się rozpowszechnić wśród demokratycznego ogółu, trującego się bezkrytycznie wódą i papierochami, a czasem nawet wysoce podejrzanym łyskaczem i bezwartościowym demoludowym wińskiem. Od biedy — bo czasy wszak kryzysowe — może być syntetyczna banisteryma Mercka, a nawet maść Totwena na katar i czopki lanolinowe, które to środki będzie można sobie łupać w dawkach gwarantujących przebywanie w wyższych wymiarach wzruszeń na kolejnej prapremierze Jana Klaty. Dzięki tym świętym zielom przeuczone i monotonne referaty „zamienią się wprost w rzeczy ścinające swą mądrością białko, rozkładające hemoglobinę i wytwarzające toksyny zdolne zabić megatherium Cuviera".

Jednym (witkacowskim) słowem: „Niechaj się dzieją rzeczy straszne, ale w wymiarach prawdziwej metafizyki". Dopiero wtedy jego duch będzie naprawdę wśród nas.

ANDRZEJ GŁOWACZEWSKI

BIURO WYCINKÓW PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
RSW „Prasa-Książka-Ruch"

280

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

EXPRESS WIECZORNY
Al. Jerozolimskie 125/127
02-017 Warszawa

2 N 2 3 dn. 10 - 1 - 11 - 89

NZS proponuje

Coś dla ducha

Klub studencki „UBAB" przy ul. Kickiego wzięło ostatnio we władanie Niezależne Zrzeszenie Studentów. Odbywają się tam już liczne spotkania i prezentacje artystyczne, a w najbliższym czasie NZS zapowiada kilka atrakcji. Między innymi zaproszono do stolicy znany zakopiański zespół Teatru im. Witkacego.

Jakie jeszcze propozycje ma NZS? Między innymi zaprosi wkrótce na wystawę fotograficzną zatytułowaną „NZS. Drugie pokolenie" (w Uniwersytecie) i na przegląd filmów wideo niezależnej oficyny wydawniczej „Nova" (w Muzeum Archidiecezjalnym).

Jak już informowaliśmy w końcu roku na zaproszenie NZS przyjedzie po latach do Warszawy słynny studencki bard („A mury runą", „Obława") **Jacek Kaczmarski**. Dochód z koncertu przeznaczy na remont Biblioteki Głównej Uniwersytetu Warszawskiego, która od lat znajduje się w stanie ruiny. Kaczmarski pamięta to jeszcze zapewne z okresu swoich studiów na tutejszej polonistyce. Wtedy jeszcze było z biblioteką nieco lepiej. (z)

Rosyjscy „Emigranci"

W czasie wrześniowych **Zakopiańskich Prezentacji Artystycznych „Inspiracje '89"**, wystąpił, jako jeden z dwóch zespołów zagranicznych obok **ZATA Theater** z Berlina Zach., **Teatr — Studio „Człowiek"** z Moskwy (ZSRR) z przedstawieniem **„Emigrantów" Sławomira Mrożka.** Okazało się, że jest to jubileuszowy, 150 spektakl, który przez cztery lata wystawiany był nielegalnie, a dopiero 19 kwietnia 1987 r. (premiera w styczniu 1983 r.) odbyło się oficjalne przedstawienie, „które otworzyło dramaturgię Sławomira Mrożka dla teatru i widzów rosyjskich" — jak informował program.

W czasie nocnej pogawędki z zespołem, jego członkowie opowiadali o trudnościach, jakich doświadczyli grając w konspiracji, o niebezpieczeństwach, a nawet aresztowaniach. Zartobliwie skonstatowali, że od donosu do aresztowania mija w ZSRR 40 dni, tyle bowiem czasu minęło od denuncjacji do KGB (o której się dowiedzieli), do rewizji i pozamykania w „pudle" niektórych ludzi Teatru „Człowiek".

Bohaterami sztuki są dwaj emigranci, których wszystko dzieli i jedno łączy. Łączy ich los wychodźców, zamkniętych we wspólnym, obskurnym, prymitywnie urządzonym pokoju, a dzieli cała reszta: powód wyjazdu z kraju (jeden uciekł z przyczyn politycznych, drugi, aby zarobić na lepsze życie), wykształcenie, inteligencja, stosunek do życia i świata, zainteresowania, pomysły na spędzanie czasu, ocena swego losu, wreszcie dobór menu, lektury, a nawet kolor włosów. Wszystko: od rzeczy ważnych, ogólnych, do codziennych przyziemnych drobiazgów. Są zupełnie różni, a muszą ze sobą przebywać na co dzień. To powoduje, oczywiście, masę sytuacji humorystycznych, śmiesznych, ale i spięć; ostrych rozmów i konfliktów, aż do dramatycznego zakończenia, gdy w czasie wspólnie spędzanej, zakrapianej alkoholem nocy sylwestrowej, dobrali się (słownie — oczywiście) sobie do skóry nie szczędząc się nawzajem, by w efekcie lec na swych byle jakich łóżkach szlochając, w świadomości przegranej, tragicznej, bez żadnej szansy na poprawę — przyszłości i straconej przeszłości.

Roman Kozak, grający AA — emigranta politycznego, inteligenta, prowadzi rolę w skupieniu, oszczędnie, słowo u niego przeważa nad gestem, potrafi wszakże w pełnych ekspresji efektownych tyradach wykazać swemu towarzyszowi (i sobie) gorzki bezsens ich egzystencji i tragiczny brak perspektyw. XX. **(Aleksander Fieklistow)**, to charakter szeroki jak rosyjskie stepy, jasny, otwarty, jak jego szczera twarz typowego Rosjanina, choć już nauczony chytrości, cwaniactwa i drobnej przebiegłości człowieka o niepewnym jutrze. Zachował jednak dziecięcą naiwność prostaczka zderzonego z cywilizacją Zachodu, która objawiła się w kapitalnej scenie zachwytu nad jej zdobyczami. Po powrocie do domu z dworca kolejowego, gdzie sobie poszedł po prostu pobyć, opowiada z rozsadzającym piersi zachwytem i dumą, że postał oto przy telefonach, z których ludzie gdzieś dzwonią i rozmawiają, przy kioskach z gazetami, gdzie ludzie te gazety kupują i nawet je czytają, przeszedł się po peronie, bez peronówki!, a nawet został skokietowany przez elegancką kobietę, którą zniewolił w ubikacji wagonu pierwszej klasy. Oczywiście blagował, co wykazał metodycznie jego współtowarzysz niedoli. Fieklistow gra znakomicie, z dużym wyczuciem komizmu, ale i dramatyczne sekwencje swej roli rozgrywa doskonale, ostro, wręcz brawurowo.

Reżyser przedstawienia **Michał Mokiejew** zawierzył tekstowi Mrożka na tyle, że nie próbował prześcignąć go efektownymi pomysłami inscenizacyjnymi. Stworzył spektakl aktorski: gorący, dynamiczny, ostry, świetnie zagrany.

Wydaje się, że „Emigranci" po rosyjsku brzmią lepiej, bardziej przekonująco niż po polsku. Że drążenie zakamarków duszy ludzkiej i filozoficzne dysputy nad losem człowieka, to specjalność inteligencji rosyjskiej, tak jak (w naszym przekonaniu) proste osiągnięcia techniki i cywilizacji olśnić mogą tylko rosyjskiego wieśniaka. Polak zaś — we własnym przekonaniu — to Europejczyk obyty kulturalnie, znający się na komputerach i obsłudze sprzętu wideo, stąpający bliżej ziemi i świetnie dający sobie radę w każdej sytuacji, szczególnie gdy chodzi o robienie interesów. Tak to przynajmniej wydaje się wyglądać dziś.

Sztuka Mrożka, w kształcie w jakim powstała wiele lat temu, uaktualniła się niespodziewanie, w zaskakujący sposób u naszych wschodnich sąsiadów, co dowodzi uniwersalizmu sztuki tworzonej przez umysły przenikliwe, przewrotne, widzące świat szerzej, niż — jak to określał **Stanisław Ignacy Witkiewicz** — tylko „pępkocentrycznie".

MAREK KOPROWSKI

BIURO WYCINKÓW PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"

280

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

SZTANDAR MŁODYCH
ul. Wspólna 61
00-687 Warszawa

Nr 224 z dn. 16-11-89

Dziś.

Minister Cywińska zapowiada, że centralnie dotowanych będzie niewiele ponad 20 scen

Niepokoje za kulisami

Historia kołem się toczy. Znaleźliśmy się w miejscu, w którym 71 lat temu środowisko aktorskie w obronie swych najżywotniejszych interesów powołało do życia Związek Zawodowy Artystów Scen Polskich.

Przed wojną dobrze sobie radziła — ba: doskonale — tylko niewielka grupka prawdziwych gwiazd. O angaż nie było tak łatwo jak dziś. Wstyd powiedzieć, ale niektórzy artyści, zwłaszcza młodzi, głodowali. Po wojnie scena polska znalazła opiekuna w państwowym mecenasie. Co prawda, bardziej niż artyści liczyli się ideolodzy, ale aktorzy mieli stałe etaty. A w latach siedemdziesiątych byli wręcz przez władzę hołubieni. Grali w telewizji, radiu, filmie, kabarecie, teatrze... A za kulisami kwitło życie towarzyskie.

Wszystko zostało przerwane w chwili ogłoszenia stanu wojennego. Artyści podjęli

BOJKOT

W odwet ówczesna władza zrobiła kilka wręcz katastrofalnych i nieodwracalnych kroków. Zdjęto ze stanowiska dyrektora Teatru Dramatycznego Gustawa **Holoubka**, a Teatru Narodowego — **Adama Hanuszkiewicza**. Rozbito w ten sposób dwa najznakomitsze zespoły. Wielu aktorów, solidaryzując się z dyrektorami, odeszło. Teatr Narodowy był sceną młodych i dla młodych. A przede wszystkim była to grupa przyjaciół. Jak wspominała w rozmowie ze mną **Bożena Dykiel**, ludzie z Narodowego do tej pory spotykają się u Hanuszkiewicza w domu.

Inna sytuacja była w zespole Dramatycznego, składającym się z samych gwiazd, takich jak: **Gustaw Holoubek, Andrzej Szczepkowski, Marek Kondrat, Wojciech Pokora, Marek Walczewski, Piotr Fronczewski, Zbigniew Zapasiewicz**. Po zmianach dyrektorów, gdy ten ostatni objął jego dyrekcję, okazało się, że nie jest w stanie odbudować prestiżu sceny i tak wspaniałego zespołu. Wiele złego zrobiło rozwiązanie w stanie wojennym ZASP-u.

Dalszy podział środowiska nastąpił w momencie powołania do życia nowej organizacji, do której nie wstąpiło wielu wybitnych artystów, bowiem jak stwierdził Andrzej Szczepkowski: **„Ogromna część moralnej i artystycznej elity naszego środowiska była i jest do dziś głęboko wzburzona dwoma faktami. Po pierwsze: poród tego wcześniaka nastąpił z inicjatywy tej samej akuszerki, która z nieukrywaną przyjemnością zadusiła poprzednie, zdrowe dziecko i zmaltretowane zwłoki wyrzuciła na tzw. «śmietnik historii» (...).**

Po drugie, że grupa kolegów, która tę inicjatywę podjęła pośpiesznie i skwapliwie, zawłaszczyła całe dziedzictwo, a więc nazwę, statut i majątek, nie postawiwszy żadnych warunków wstępnych! Nie uznała również za konieczne zainteresować się losami poprzedników. (...) Nikt z nas nie negował nigdy potrzeby restytucji naszego stowarzyszenia — ZASP-u. Ale na warunkach godnych, honorowych i sprawiedliwych". Organizację tę omijała również z daleka aktorska młodzież. Dlatego, że brakowało w niej tych największych, a więc nie miała żadnego prestiżu i była raczej atrapą niż prawdziwą reprezentacją.

ROZBICIE

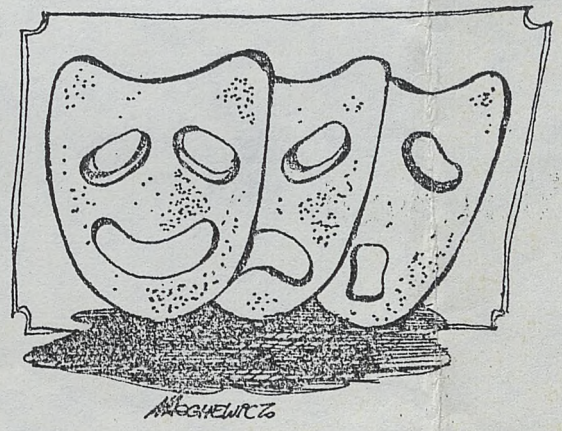
Środowisko aktorskie rozbiło się na grupy i grupki. Doszło do tego, że osoby, które widywano siedzące razem przy tych samych stolikach w Klubie Aktora, razem jedzące obiady, piące wódkę, dziś nie chcą sobie nawet podać ręki. Mało tego — o tym, jak trudno jest skompletować zespół do filmu czy telewizyjnego spektaklu wiedzą tylko reżyserzy i szefowie produkcji. Wiadomo bowiem, że jak zaangażują pana X, to nie zagra pan Y i pani Z.

Osobiste antypatie widać było nawet na ostatnim zjeździe ZASP-u, gdy doszło do ostrej wymiany zadań pomiędzy dwoma wielkimi twórcami polskiej sceny — **Kazimierzem Dejmkiem** i Gustawem Holoubkiem. I wszyscy musieli się dowiedzieć o wzajemnej antypatii obu panów, która zrodziła się w momencie odejścia Holoubka z Teatru Polskiego. Wspominając sam zjazd, warto zauważyć, że tuż przed nim szeptano, iż niektórzy przyjdą nań wyłącznie po to, by urządzić piękny pogrzeb organizacji. I rzeczywiście niewiele brakowało, żeby do niego doszło. Jego ideą naczelną było zachowanie związkowej jedności, a tym samym nie pogłębianie istniejącego rozbicia środowiska. W przygotowaniach do zjazdu dwóch zarządów — rozwiązanego w stanie wojennym i kadencji 1988—89 — brali udział m. in.: **Aleksander Bardini**, Kazimierz Dejmek, **Andrzej Łapicki**, Andrzej Szczepkowski, Gustaw Holoubek.

Dlatego też mogło zdziwić wystąpienie Holoubka. Zaproponował on mianowicie rozwiązanie ZASP-u i powołanie na jego miejsce nowej organizacji twórczej środowiska. Na sali zapanowała pełna konsternacja. Pytano, o co tu w ogóle chodzi? Przecież gra toczy się nie o poglądy polityczne, lecz o egzystencję środowiska. W tej sytuacji **prawdziwym mężem opatrznościowym ZASP-u okazał się Andrzej Łapicki, któremu udało się przekonać wszystkich, że wszelkie reformy można przeprowadzać w istniejącym stowarzyszeniu. I trzeba przyznać, że tylko dzięki aktualnemu prezesowi, po wielu dramatycznych chwilach została utrzymana**

JEDNOŚĆ

organizacji. Jest to nie bez znaczenia w chwili, gdy jest coraz mniej widzów kiedy wielkie



Rys. MACIEJ MARCHEWICZ

spektakle można policzyć na palcach jednej ręki, aktorom grozi bezrobocie... Nie piszę tego bezpodstawnie. Na tymże zjeździe minister kultury i sztuki **IZABELLA CYWIŃSKA, stwierdziła, że z Funduszu Rozwoju Kultury będzie dotowanych niewiele ponad 20 teatrów i niektóre wybitne spektakle. Cała reszta będzie uzależniona od dobrej lub złej woli samorządów terenowych. Obawiam się, że właśnie one znajdą pieniądze na wszystko, tylko nie na kulturę. Kto sfinansuje Teatr Janusza Wiśniewskiego, Gardzienice czy też teatr zakopiański?**

Teatry impresaryjne też nie stanowią antidotum na kryzys polskiej sceny. Poza tym będą angażowały tylko najwybitniejszych, a w teatrze potrzebni są również średniacy i ci, którzy noszą halabardy. Gwiazdy dziś są rozrywane pomiędzy film, telewizję, kabaret... I niektóre same ze wstydem przyznają, że tę najważniejszą dla nich — pracę w teatrze wykonują resztkami sił. Ale przecież muszą z czegoś żyć, a teatralne pensje są żadne. Absolwenci szkół teatralnych zarabiają 80 tys., a najlepsi 160 tys. W najbliższym czasie minister Cywińska obiecała podnieść gaże średnio o 100 tys., lecz to niewiele zmieni.

Na zarabianie w filmie też niedługo nie będzie można liczyć, gdyż jak wynika z wypowiedzi szefów studiów filmowych, po obcięciu funduszy na kulturę będzie się realizowało o wiele mniej obrazów niż obecnie. W takiej sytuacji nie będziemy mówić tylko o kryzysie teatru, ale również o dewaluacji zawodu aktorskiego. Najlepsi będą chałturzyć, a średniacy i halabardnicy błagać o pracę lub...

ELŻBIETA WYPYCH

Życie Warszawy
№ 266 16·11·89

„Dialog" z wizytą w „Tieatrie"

Numer 10 radzieckiego miesięcznika „Tieatr", wiele miejsca poświęca polskiej scenie i jej twórcom. Pismo oddało swe łamy naszemu „Dialogowi" i jego autorom, by, jak stwierdzono: „opowiedzieli o znaczących artystach, których twórczość teatralna, z różnych przyczyn, była niedostatecznie znana w naszym kraju i przedstawili nam nowe nazwiska polskiej sceny". Prezentacji „Dialogu", dla radzieckiego czytelnika, dokonał redaktor naczelny pisma, Konstanty Puzyna.

W numerze znalazł się tekst Jerzego Grotowskiego z 1968 r. „Teatr i rytuał", wybór refleksji z różnych lat Andrzeja Wajdy, pt. „W teatrze", szkic Marty Fik o Tadeuszu Kantorze i artykuł Elżbiety Wysińskiej, o debiutach lat 1975—1985 pt. „Nowe pokolenie". Autorka przedstawia w nim Mikołaja Grabowskiego, Macieja Englerta, Krzysztofa Zaleskiego, Janusza Wiśniewskiego, Krzysztofa Babickiego, Tadeusza Bradeckiego, Krystiana Lupę, Rudolfa Zioło, Andrzeja Dziuka. Kolejną propozycją „bloku" polskiego, jest bardzo interesujący wywiad, wyróżniającego się tłumacza literatury polskiej młodego pokolenia, Andrzeja Bazylewskiego, z Józefem Szajną oraz tekst Małgorzaty Szpakowskiej o zakopiańskim Teatrze im. Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Wizytę „Dialogu" na łamach „Tieatru" kończą dwie sztuki polskich autorów: „Portret" Sławomira Mrożka i „Kopciuch" Janusza Głowackiego. (bacz)

BIURO WYCINKÓW GLOB PRASOWYCH

Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW
„Prasa-Książka-Ruch"

280

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

SŁOWO POWSZECHNE
ul. Mokotowska 43
00-551 Warszawa

227
Nr ..... z dn. 22-11-89

Reduta w Wilnie

Rozmowa z Bogdanem ŚMIGIELSKIM

Jedną spośród najnowszych publikacji Instytutu Wydawniczego PAX jest praca Bogdana Śmigielskiego „Reduta w Wilnie 1925—1929". Dotychczas nazwisko autora było znane nade wszystko miłośnikom Melpomeny. Jednak ten popularny warszawski aktor, reżyser, twórca własnych sztuk (m. in. głośnego przed laty spektaklu „Sąd nad królem" oraz ukończonego niedawno dramatu pt. „Jeśli bym o nich zapomniał, niech Bóg na niebie zapomni o mnie", przywołującego losy Polaków więzionych w radzieckich obozach pracy — tym razem postanowił ukazać swe „nie sceniczne" oblicze. Zabłysnął talentem literackim i znakomitą wiedzą o życiu kulturalnym i artystycznym międzywojennej Polski.

W efekcie powstała książka, zapisująca białą dotychczas kartę w dziejach naszego teatru, kartę jak dowiadujemy się z udokumentowanej bogato materiałami źródłowymi pracy, tyle barwną, co i niezmiernie znaczącą również dla tego wszystkiego, co w świecie teatru działo się nad Wisłą, gdy o Reducie Juliusza Osterwy było coraz mniej głośno.

● Przedstawiciele czterech wileńskich lat Reduty, szczegółowe odtworzenie teatralnych poczynań tego aktorskiego zespołu, po ponad półwiecru jakie upłynęło od zaniechania przez scenę działalności na Litwie — to musiała być niesłychanie trudna, a przede wszystkim żmudna praca. Dlatego się Pan jej w ogóle podjął?

— Z pewnością i dlatego że należę do ludzi, którzy lubią zajmować się rzeczami trudnymi, mało popularnymi, a do których z pewnością należą wileńskie dzieje Reduty. O pracy tej sceny po „przeprowadzce" z Warszawy, nie pisał dotychczas nikt — nie mówię o małych przyczynkowych wzmiankach. Istnieje znakomita praca Józefa Szczublewskiego „Pierwsza Reduta Osterwy". Sądziłem, iż ciekawym być może dopisanie jej dalszego ciągu.

● Skąd to szczególne zainteresowanie właśnie Redutą?

— Miałem szczęście, iż danym mi było poznać osobiście wielu aktorów związanych z tą sceną. Zafascynowali mnie swym wspaniałym, pełnym poświęcenia, bezinteresowności stosunkiem do sztuki, do teatru. To, śmiem twierdzić, właśnie dzięki nim, wychowankom Reduty, sama idea aktorstwa pojmowanego jako swoiste posłannictwo, przetrwała i odrodziła się nawet, chociażby w teatrze Jerzego Grotowskiego.

A przecież i wcześniej, tuż po wojnie, „redutowe" zasady wcielali w życie, np. Tadeusz Byrski, twórca studia teatralnego w Kielcach czy Iwo Gall, założyciel podobnej placówki w Krakowie.

Chciałbym, aby moja książka była skromnym wyrazem hołdu dla tych wspaniałych ludzi, dla tych i wielu, wielu innych.

● Pacując nad książką o wileńskim okresie Reduty zebrał Pan relacje bezpośrednio od „redutowców", z wieloma z nich Pan rozmawiał...

— Kiedy w latach siedemdziesiątych rozpoczynałem pisanie, żyło ich, niestety, tylko kilkunastu. Prawdziwą kopalnią informacji była Stanisława Perzanowska — wspaniała aktorka, znakomity pedagog. Równie wiele wiadomości zawdzięczam Tadeuszowi Byrskiemu oraz Kazimierzowi Brodzikowskiemu.

● Merytoryczną wartość książki określają jednak liczne materiały źródłowe.

— Szukałem ich oczywiście przede wszystkim w Wilnie, gdzie w roku 1973 pojechałem korzystając z ministerialnego stypendium, w zdobyciu którego niezmiernie pomógł mi Kazimierz Rudzki. Zanim jednak sama podróż doszła do skutku, przyszło mi pokonać wiele administracyjnych utrudnień... Było to jednak tylko preludium do tego co spotkało mnie w samym Wilnie. W Bibliotece Litewskiej Akademii Nauk na ten przykład, mieszczącej się w gmachu dawnej Biblioteki Wróblewskich, gdy zajrzałem do katalogów okazało się, że nie ma w nich żadnych informacji o polskich periodykach i wydawnictwach z lat 1918—1939. Dopiero po licznych zabiegach udostępniono mi księgozbór — jak go określiłem „zza żelaznych drzwi" — z którego wolno było korzystać jedynie osobom bardzo wysoko postawionym... Tam znalazłem i „Słowo" i „Kurier Wileński" i inne tytuły. Całe szczęście, że na gorąco robiłem notatki, bo zamówionych mikrofilmów nigdy nie otrzymałem choć solennie mi je przyrzekano przesłać do Polski.

● Nie łatwo też było Panu znaleźć wydawcę książki?

— Ukończyłem jej pisanie w roku 1976, a to że ukazuje się z tak wielkim opóźnieniem, wynikło z zapisów cenzorskich. Do niedawna, jak wiemy, nie sposób było publikować o Wilnie — jego kulturze i historii lat międzywojennych. Moja praca miała tylko pozytywne opinie recenzentów wewnętrznych i to znaczących wydawnictw. Przyznawano, iż winna się ukazać drukiem. Edytorzy, rozkładali jednak ręce. Nie można było im ominąć politycznych zakazów. Choć zdarzało się tak, jak chociażby w oficynie Wydawnictw Artystycznych i Filmowych że oddano mi maszynopis bez czytania. Bano się już brzmienia samego tytułu.

Zrozumienie znalazłem w Instytucie Wydawniczym PAX, a szczególnie wiele zawdzięczam, niegdysiejszemu kierownikowi działu literackiego tej placówki — dr. Tadeuszowi Swatowi.

● Czy obcując z ludźmi, którzy tworzyli zespół Reduty, z ideami Osterwy, przyjął Pan te wartości jako własne? Jeśli tak, to w jaki sposób cała filozofia tego zespołu pomaga Panu w Pana aktorskiej twórczości?



Bogdan Śmigielski
Fot. — W. Łączyński

— Uważam, że istnieje potrzeba w środowisku aktorskim, ja w każdym razie taką potrzebę odczuwam, żeby stworzyć, oczywiście w odmiennych już warunkach historycznych, kulturowych — teatr zbliżony do Reduty. Taką scenę, takie miejsce, gdzie aktor mógłby w pełni oddać się sztuce. Że można to zrobić, że można tworzyć teatr tak jak to było u Osterwy — dowodzi chociażby przykład Teatru im. Witkacego w Zakopanem. Dla tych młodych, zdolnych artystów — teatr, to jak sądzę, nie tylko miejsce pracy, ale styl życia, istnienia, dom nawet...

— Raz jeszcze gratulując Panu książkowego debiutu, czekając na nowe interesujące Pana kracje aktorskie, serdecznie dziękuję za rozmowę.

PAWEŁ SMOGORZEWSKI

BIURO WYCINKÓW GLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
280
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
GAZETA KRAKOWSKA
ul. Wielopole 1
31-072 Kraków
Nr 273 z dn. 23-11-88
Wzm.

Od Wisły do Uralu (IV)

Mrożek w Magnitogorsku

Magnitogorsk jest miastem spokojnym. Ludzie na ulicach rozmawiają zwykle cicho i powściągliwie. Wciąż jeszcze dość pokornie znoszą ważność każdego funkcjonariusza, nawet motorniczego, który nie tylko informuje, ale też często pokrzykuje, kelnera w nielicznych restauracjach, dozorcy. Młodzież jest mało ożywiona, nie narzuca otoczeniu swoich praw i stylu bycia. Można nawet powiedzieć, iż jest jakby nieco przytłoczona, może nawałem zajęć w szkołach, może brakiem możliwości zorganizowania wszelakich drobnych rozrywek i uciech. Nie ma tutaj przytulnych zakatków, kawiarenek, barów, z bardzo nieliczne salony gier zlokalizowane są w miejscach nie sprzyjających intymności i swobodzie zachowań, młodych ludzi. Przypadkowe, czy zamierzone spotkania nie mogą więc odbywać się przy małej czarnej lub przy lampce wina, czy pepsi. Jedynie dyskoteki (też nieliczne) gromadzą nadmiar chętnych.

Pozostają kina i teatry.

Zaproponowano nam oglądnięcie spektaklu w teatrze lalki i aktora „Buratino". Sala nieduża, tylko w połowie zapełniona. Teatr to bowiem borykający się z niemałymi trudnościami materialnymi, chociaż niezwykle ambitny, awangardowy. Oglądamy sztukę Sławomira Mrożka „Na pełnym morzu" grana z wielką ekspresją, dużym wyczuciem Mrożkowej ironii i filozofii. Aktorzy dobrze poradzili sobie z tekstem. Jedynie efekty techniczne z braku możliwości, były dość prymitywne. Po spektaklu spotykamy się z wykonawcami. Wszyscy żałują, że wyjechał chwilowo główny reżyser Wiktor Szrajman, mówiący doskonale po polsku, człowiek, który stworzył ten teatr i z którego imieniem wiąża się jego liczne sukcesy, głównie zamiejscowe. Jak to bowiem bywa i ten teatr ceniony jest bardziej w innych centrach kulturalnych ZSRR, a także poza jego granicami. Występował z powodzeniem w Moskwie, w Ufie, w Kijowie, w Erewanie, w Rydze, czy w Leningradzie, a także w Bielsku-Białej, w Białymstoku i w Krakowie oraz w NRD, w USA, we Francji i w Italii. Podczas ciekawej rozmowy pełniący społecznie funkcje kierownika literackiego teatru, dziennikarz „Magnitogorskiego Raboczego" Wołodia Mozgowoj imponuje nam rozległą wiedzą o polskim filmie, teatrze aktorach, a także o naszej współczesnej literaturze. Cytuje utwory polskich poetów, zachwyca się różnymi rolami wielu naszych artystów, pragnie dalszego nawiązania kontaktów teatru „Buratino" z polskimi placówkami artystycznymi. Ze szczególnym zachwytem mówiono o zakopiańskim Teatrze im. Stanisława Witkiewicza.

To zafascynowanie Polską jest dość powszechne w zespole redakcyjnym „Magnitogorskiego Raboczego". Oto podczas wspólnej biesiady okazało się nagle, że jeden z redaktorów miał babkę Polkę, drugi stryjecznego dziadka inny — pradziadka powstańca kościuszkowskiego, jeszcze inny pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny kresowych polonusów. Tania Meus także przyznaje się do nas, jako swojaków, bo pochodzi z Wołynia i umie nawet po polsku śpiewać. Sekretarz odpowiedzialny redakcji Żenia Wiernikow zna niektóre polskie powiedzenia od swej zmarłej przed laty matki, z pochodzenia Żydówki, która nigdy nie zapomniała swych polskich stron rodzinnych i polskiego języka.

Kiedy tak po kolei nasi koledzy z tamtejszej redakcji przyznawali się do różnorakich więzów z nami — redaktor naczelny zapytał w końcu z rozbawieniem: „Powiedzcie mi drodzy, czy jest wśród nas jeden rodowity Rosjanin?"

Dowiadujemy się, że wśród kilkudziesięciotysięcznej rzeszy „spiecpieriesielieńców" budujących w latach trzydziestych „Magnitkę", była też niemała grupa Polaków. Zdołano już ustalić ich kilkanaście nazwisk. Także oni znaleźli się na listach „wrogów ludu", podlegali podobnym jak inni represjom i wyrokom, wykonywali katorżniczą pracę. Teraz mówi się o tym otwarcie. Może za jakiś czas ktoś odnajdzie na tej odległej od Polski ziemi, wśród anonimowo pogrzebanych tysięcy obywateli radzieckich, także mogiły naszych rodaków. Dzisiaj jest pewne, że fakt taki nie zostanie ukryty, a nasi koledzy z „Magnitogorskiego Raboczego" uczynią wszystko dla publicznego wyświetlenia także tych białych, a raczej czarnych plam. Udało się już np. dzięki niezwykłej dociekliwości znakomitej dziennikarki Leny Karelinej, wyświetlić tragiczny koniec byłego przeciwnika Stalina, który śmiał publicznie mu się sprzeciwić. I sekretarza komitetu miejskiego partii w Magnitogorsku w latach trzydziestych Gruzina Łominadze. Udało się opublikować niejeden tekst ilustrujący prawdziwe karty z dziejów budowy, o której kiedyś pisano jedynie z najwyższym entuzjazmem.

Jakże inaczej i prawdziwie mówi się dzisiaj i pisze o budowie tamy na rzece Urał, która na początku lat trzydziestych zaprojektowali Amerykanie. Oto na skutek bezmyślnego „stachanowskiego" tempa zbudowano ją dwakroć szybciej niż projektowano. Przyszła zima i tama zaczęła trzeszczeć. Uznano wówczas i pisano przez lata, że winni są Amerykanie (wiadomo agenci imperializmu!). Podczas 42-stopniowego mrozu, kładąc w wodzie beton, zdołano tamę uratować przed wiosennymi roztopami. Wykonali to nie żadni ochotnicy, komsomolcy, czy przodownicy pracy, lecz prawie wyłącznie „wrogowie ludu" których za ten czyn nawet po ludzku nie pochowano.

Symbolem Magnitogorska jest pomnik — namiot. Wygląda okazale. Nie pozwala jednak zapominać, że przez całe lata w namiotach i ziemiankach mieszkali budowniczowie wielkiego kombinatu metalurgicznego. Komfortem było otrzymanie prawa do zamieszkania we wspólnym podłużnym baraku, pośrodku którego stał piecyk, marnie ogrzewający to pomieszczenie. Można zobaczyć model takiego baraku w Muzeum „Magnitostroju". Wiele tam zgromadzono pamiątek z trudnych lat budowy. Dzisiaj, oglądając je, nie chce się wierzyć, że można było przy pomocy prymitywnych w owych czasach narzędzi i metod pracy zbudować tak gigantyczne dzieło. Nie chce się wierzyć, że ojcowie dzisiejszych mieszkańców Magnitogorska, posiadających teraz całkiem znośne warunki bytowania, wytrzymali tamte jakże niezwykle trudne lata.

Opowiadali nam dziennikarze z „Magnitogorskiego Raboczego", że kiedy już po rozpoczęciu budowy kombinatu powstały w Moskwie wątpliwości związane z niepewnością co do ilości i jakości rudy w Magnitnej Górze, delegowano tutaj „wybitnego" specjalistę od geologii, marszałka Klimenta Woroszyłowa. Ten polecił wykuć w skale z rudą pionowo kilkunastometrowy kloc. Dotknął go później, postukał, powąchał, uznał że jest z dobrej rudy i polecił kontynuować budowę. Na wyrażane wątpliwości co do celowości wyrąbywania tego kloca, tak niezwykle trudnego przedsięwzięcia dla ludzi, odparł z lekceważeniem: „Przecież mogą to zrobić ci tam z łagrów!".

Jeden z najbardziej zaprzyjaźnionych z pracującymi w Magnitogorsku Polakami dziennikarz zakładowej gazety, Raif Szarafudtinow, wnuk jednego z tysięcy przesiedlonych tutaj znad Kazania Tatarów, pozbawionych do 1936 roku praw obywatelskich, opowiadał nam o swym ojcu, pracującym przed wojną w kombinacie, iż kiedy pewnego razu nieco zaspał — pędził na przełaj do pracy tak szybko że z całą pewnością pobił wszelkie światowe rekordy. Tak bardzo bał się kary, bowiem nawet za pięciominutowe spóźnienie groził wtedy w najlepszym razie wyrok trzymiesięcznej pracy przymusowej, z potrąceniem części zarobku i — co jeszcze gorsze — części jakże skromnego przydziału żywności. Można było za takie przewinienie zostać skazanym na kilkumiesięczny, a nawet kilkuletni pobyt w obozie.

Teraz o tamtych tragicznych, a równocześnie jakże heroicznych czasach mówi się różnie. Są tacy — a lata młodzieńcze zawsze bywają idealizowane — którzy oburzają się na wszelkie próby szkalowania okresu wielkiej budowy. Mówią jedynie o pewnych błędach i niedostatkach. Zrzeszeni są w licznych tutaj kołach weteranów, zbierają się często, wspominają, chodzą na spotkania z młodzieżą, uważają za swój święty obowiązek wychowywać młode pokolenie na wzorach bohaterskich budowniczych „Magnitki". Weterani cieszą się w miejscowym społeczeństwie szacunkiem i poważaniem. Korzystają z wielu przywilejów (np. przy zakupach deficytowych towarów!). Na drzwiach ich mieszkań umieszczane są specjalne tabliczki z napisami: „Tutaj mieszka (imię, otczestwo i nazwisko) weteran pracy socjalistycznej, lub weteran wielkiej wojny ojczyźnianej". Inne, bardziej ozdobne tabliczki informują o mieszkaniach bohaterów Związku Radzieckiego lub bohaterów pracy socjalistycznej.

Kiedy przysłuchiwaliśmy się przez dłuższy czas przebiegowi kolejnego wiecu „nieformałów", nie usłyszeliśmy ani razu nawet jednego krytycznego słowa pod adresem tych którzy w przeszłości budowali kombinat i miasto, nie wnoszono pretensji o to, że weterani korzystają z /pewnych przywilejów. Dobrze to świadczy o tamtejszych ludziach, których życie nauczyło ze zrozumieniem i sprawiedliwie oceniać czyny i postawy współobywateli.

STANISŁAW RYDZ
EDWARD WĄSIK

280

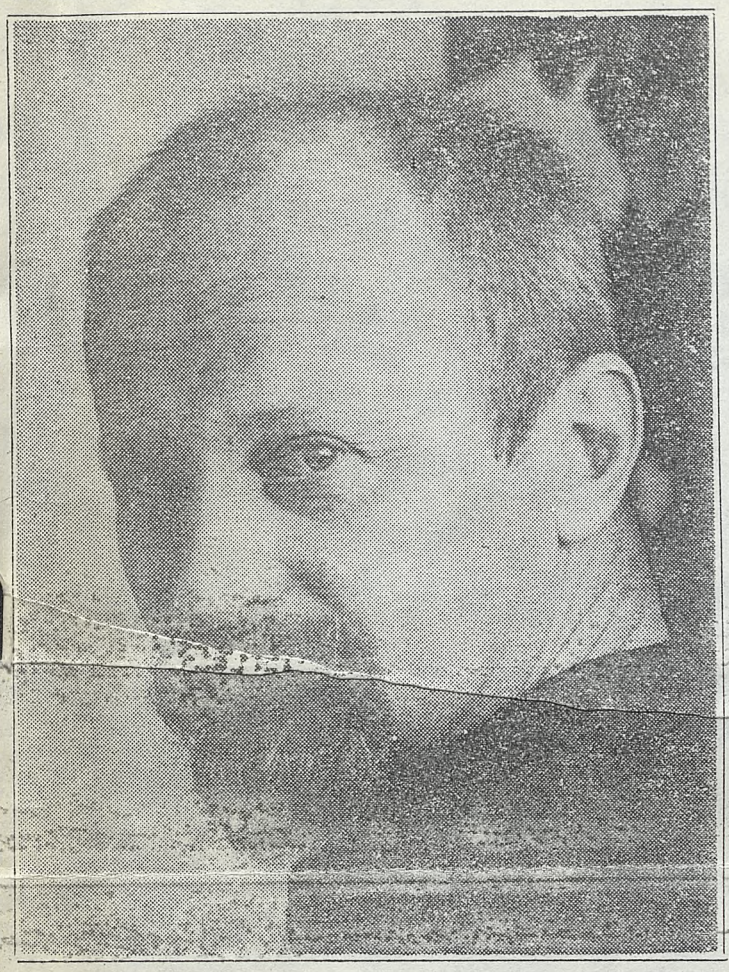
BIURO WYCINKÓW PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

OPOLE
ul. 1 Maja 63/65
45-069 Opole

Nr 11 z dn. 011-89



fot. M. Maruszak

Marek Mikulski

Tekst mógłby się zaczynać na przykład: Są tacy, co mają duszę artysty, i są pragmatycy. Mikulski łączy cechy jednych i drugich... Ale szkopuł w tym, że taki tekst mógłby zostać odebrany jako panegiryk i doprowadzić do dystansu do tematu-osoby, bo ta do inkasowania hołdów zupełnie się nie nadaje. Więc, na początek, proponuję wycieczkę. Miejsce zbiórki — sklep „Zodimu" przy opolskim placu Wolności, któremu Mikulski dopisał funkcjonalne i „czyste" wnętrze, kierunek — dworzec, a na szlaku, jego współautorstwa, w duecie z Markiem Budzińskim lub Włodzimierzem Wiąckiem, pomieszczenia „Orbisu", następnie „Delikatesów" i „Gromady", jeszcze na desce, poczty, „Warsu" (jak na razie) w dworcowej hali, a w drodze powrotnej nabrzeże Młynówki i cała Szpitalna zaprogramowana na kulturalny salon miasta w cyklu rysunków, tylko projektów, bo zleceniodawca zachwyciwszy się propozycją odłożył ją ad acta jeszcze na początku lat osiemdziesiątych. Mikulski trafiłby do księgi specjalnych zasług, gdyby taka istniała, także jako autor lub współautor otoczenia pomnika i amfiteatru na Górze Św. Anny, wnętrz, parku i dziedzińca pałacu w Żyrowej, opieszale doprowadzanego do świetności, wnętrza kaplicy zamkowej w Raciborzu, a ponadto jako scenograf, kostiumolog, aranżer, ale i autor prac plastycznych, od rysunków satyrycznych poczynając po metafizyczne pejzaże, powstałe ostatniego lata.

Dochodzenie do tych realizacji ma swoją geografię: naprzód było Zakopane (do którego w 1948 przeprowadzili się rodzice, repatrianci z Wileńszczyzny, po rocznym pobycie w Gdańsku, z rocznym Markiem), jeszcze nie oszpecona stolica Tatr z całą swoją witkacowsko-tetmajerowską aurą i panoramą gór, i szkołą Kenara jako współkomponentem klimatu. W przypadku Mikulskiego zamiast Kenara było liceum ogólnokształcące w Zakopanem, a po nim Poznań. W Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych upatrzył grafikę, podczas egzaminu wstępnego punktów starczyło tylko na architekturę wnętrz, więc z tego skorzystał za namową osoby, którą po dziś dzień przechowuje we wdzięcznej pamięci. Korzyść bowiem w tym, że zdobywszy zawód intratny, zgodny z predyspozycjami i, jak się okazało, zainteresowaniami, nauczył się sterować wyobraźnią wówczas, gdy kierował się i kieruje w czysto artystyczne przestrzenie, nauczył się wybierać, co ważne, jeśli zgodzić się z oceną, że twórczość to eliminowanie. Opole po raz pierwszy pojawiło się w ogłoszeniu w poznańskiej PWSSP: „Zatrudnimy architekta wnętrz. Gwarantujemy mieszkanie". Przeprowadzka miała być na dwa lata, ale chwała Bogu minęło kilkanaście i następnej Mikulski nie planuje, chyba że z żoną i synem do Zakopanego, na urlop, do domu po rodzicach, który przerabia i któremu dodaje ducha wraz ze starociami. Są w obu tych miastach, jednakowo ważnych, miejsca odwiedzane najchętniej. Na przykład teatry, choć ostatnio raczej teatr zabiega o Mikulskiego, doceniając w nim skłonność do scenicznego myślenia i rozgrywania dramatu środkami plastycznymi. Efekty tych spotkań można było oglądać w „Monizie Clavier", „Firmie portretowej. O zaniku uczuć metafizycznych" czy w „Pieśni epoki 1945-1956" u Kochanowskiego. Z teatrem wydają się spokrewnione salony wystaw. Ekspozycja „Wiano panny młodej" w Muzeum Śląska Opolskiego; dobrych kilka lat temu, była nie tylko próbą wydobycia z niepamięci pięknego przedmiotu, ale i pokazania go w akcji, również poprzez delikatną charakteryzację muzealnych pomieszczeń. Poszukiwania w tej dziedzinie trwają, dobrym miejscem doświadczeń okazało się Muzeum Diecezjalne, nie skażone rutyną działań.

Te obie próby zaistnienia Marka Mikulskiego jakby trochę poza zawodem, do których popycha go możliwość uczestniczenia w sztuce nowoczesnej, ogarniającej różne dyscypliny, od muzyki po plastykę, wiążą się z ryzykiem. Bowiem przychodzi taki moment, kiedy scenograf, aranżer ustępuje miejsca wykonawcom, a z tymi bywa różnie. Z różnych powodów. Mówi się w Zakopanem, że gdy zbliża się halny, głos aktorowi przestaje dźwięczeć. Dzieło wymyka się autorowi z rąk i obrasta przypadkową materią. W tym kontekście rysuje się wyraziście potrzeba bycia sobą — od początku do końca — możliwa do spełnienia w malowaniu. No i temu malowaniu należałoby na dobrą sprawę poświęcić oddzielny rozdział, a w tym rozdziale opisać kolejność dochodzenia — od formy po treść, od klimatu do literatury, nigdy odwrotnie. Bo nawet w cyklu portretów, tak bezwzględnie związanych z rzeczywistością „personalną" i „klubową"" (kłania się Klub Związków Twórczych) podobieństwa wydają się równie ważne, co doświadczenia formalne. No i w tym pisaniu trzeba by koniecznie powtórzyć myśl autora o przyjemności towarzyszącej powstawaniu — największej, najważniejszej; „wyrób" finalny to kres, to zamknięcie i zaledwie unaocznienie. Dramat spełnił się wcześniej.

DANUTA NOWICKA

Wystawy

1979 — Opolska Sztuka Użytkowa — Biuro Wystaw Artystycznych, Opole

1981 — Rysunek Satyryczny — Klub Związków Twórczych, Opole

1983 — Wystawa indywidualna — Klub Związków Twórczych, Opole

1984 — „Wereldkartoenale" — Knokke (Belgia)

— Wystawa indywidualna — Galeria Pracowni Sztuk Plastycznych, Opole

1985 — „Eurokartoenale" — Kruishoutem (Belgia)

— Wystawa indywidualna — Teatr im. St. I. Witkiewicza, Zakopane

1988 — „Sacrum 88" — Muzeum Diecezjalne, Opole

— „Pocztówka z wakacji" — wystawa indywidualna — Teatr im. St. I. Witkiewicza, Zakopane

1989 — Portret Klubowy — wystawa wspólna z A. Jańską-Maciuch — Klub Związków Twórczych, Opole

1989 — Wystawa indywidualna — Teatr im. J. Kochanowskiego, Opole

DEMON STOSOWANY

MAŁGORZATA DRYJSKA

„(...) Każda chwila życia jest tytaniczną walką z zalewającym świństwem. A znikąd nie przychodzi nic przyjemnego. Czy warto żyć ciągle w takim stanie?" Tak pisał w 1925 roku człowiek będący najwszechstronniej utalentowaną indywidualnością twórczą polskiego dwudziestolecia międzywojennego – Stanisław Ignacy Witkiewicz – Witkacy.

Chłonny i wyczulony na wszelką intelektualną nowość, w gruncie rzeczy duchowo obcy epoce, która przerażała go techniką, mechanizacją i pogardą dla ludzkiej osobowości, głosił, że zadaniem kultury winna być ochrona jednostki i jej niezależności.

Jego działalności artystyczno-literacko-malarskiej towarzyszyła działalność teoretyczno-krytyczno-publicystyczna. Był prekursorem groteskowego absurdu. Jego dramaty zapowiadały światowy teatr awangardy, a powieści kreśliły szydercze wizje rozkładu cywilizacji europejskiej. Publikował felietony, polemiki, artykuły i rozprawy filozoficzno-teoretyczne. Był twórcą teorii „czystej formy", która m.in. zrywała z tradycyjnym teatrem: konwencjonalnym pojęciem akcji scenicznej i psychologicznej dramaturgii. Stworzył pojęcia „tajemnica istnienia", „nienasycenie formą", „wstrząs metafizyczny". Był twórcą, który znacznie wyprzedził swój czas, a Jego twórczość jest przedmiotem ustawicznych prac badawczych. Coraz bardziej fascynuje i podbija świat. Jego malarskie portrety ze słynnej „firmy portretowej" wystawione w Centrum Pompidou podczas prezentacji sztuki polskiej w Paryżu – zrobiły prawdziwą furorę.

Był człowiekiem, który dzięki kreacyjnemu umysłowi, ogromnemu poczuciu humoru i zdolnościom aktorskim tworzył żartobliwe sytuacje, które nazywamy jego „teatrem życia". Pozostały także po nim niezliczone serie zdjęć rejestrujących kolejne fazy min – jego teatr mimiczny. Pozostały listy, kartki do przyjaciół, wierszyki i rysunki, a wszystko podpisywane przezabawnymi, surrealistycznymi pseudonimami.

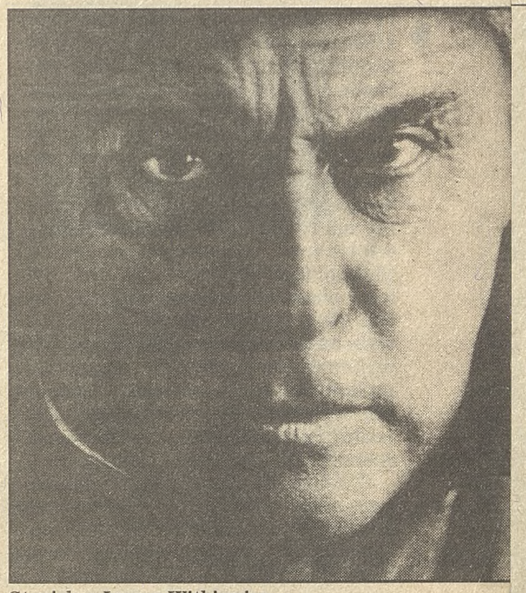
Brał udział w seansach narkotycznych i spirytystycznych. Uwielbiał wizyty i spotkania towarzyskie, których był głównym bohaterem: „... Ludzi muszę widywać, bo żeby nie oni, to bym zdechł z głodu i nudy intelektualnej (...), a ludzież oni żeż męczą, psie krwie, strasznie, mimo że ich lubię". Wrogi konwenansom i nieobliczalny w swoich reakcjach – czynił życie niebanalnym i oryginalnym. Był wspaniałym twórcą, ale i człowiekiem tragicznym, rozbitym wewnętrznie, silnie przeżywającym swą odrębność. Miotały nim pesymistyczne nastroje, brak poczucia sensu istnienia i samobójcze myśli. „... Ciężko jest żyć w plugawej naszej atmosferze. (...) Nie ma dla mnie pory roku (każda jest zła), ani pogody (jedna gorsza od drugiej), ani w ogóle niczego. Jestem jedną masą cierpienia, które sztucznie ułożonym rusztowaniem z resztek woli utrzymuje się, nie wiadomo po co...".

... 17 września 1939 roku, w dniu, w którym na wschodnie tereny Polski wkroczyli Rosjanie, w Jeziorach na Polesiu popełnił samobójstwo.

Pięćdziesiątą rocznicę tej śmierci uczcił teatr jego imienia w Zakopanem, organizując Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne, nazwane INSPIRACJE'89. Ta dziewięciodniowa impreza miała przypomnieć twórczość Witkacego i uprzytomnić wielostronność jego zainteresowań.

Niczego nie pominięto. Projekcje wideo przypomniały przedstawienia teatralne. Pokazano filmy fabularne z tamtych lat (np. „Gabinet doktora Caligari", „Pies anadaluzyjski") oraz najnowsze, dokumentalne (np. „Pomarańczowa Alternatywa", której twórcy, Majorowi, nie przyjdzie pewnie na myśl, że jest kontynuatorem witkiewiczowskiego „teatru życia"; natomiast nagrodzone Oscarem „Tango" – to „czysta forma"). W salonach galerii sztuki teatru oraz galerii im. J.W. Kulczyckich przygotowano wystawy rysunków, malarstwa, portretów i fotografii artysty, a w galerii W. Hasiora – kolekcję dzieł tłumaczonych na różne języki i plakatów sztuk granych na całym świecie. Uczestniczyliśmy w spotkaniach (zwanych w Zakopanem posiadami) z wybitnymi znawcami twórczości Witkacego, wśród których znalazł się m.in. i prof. J. Błoński z Uniwersytetu Jagiellońskiego, i dr B. Michalski z Polskiej Akademii Nauk, i prof. D.Gerould z uniwersytetu w Nowym Jorku. Przyjechali tłumacze dzieł artysty: K. Lesman z Holandii i A. Bazylewski z ZSRR. I nie były to oficjalne wykłady, ale prowadzone ze swadą dyskusje i opowieści wspaniałych, dowcipnych ludzi. Pełnego temperamentu „Krzesanego" W. Kilara wykonała orkiestra Filharmonii Rzeszowskiej, a kameralny koncert muzyki m.in. Ravela – Kwartet Śląski. Śpiewała Stefania Woytowicz. Tańczył Polski Teatr Tańca z Poznania.

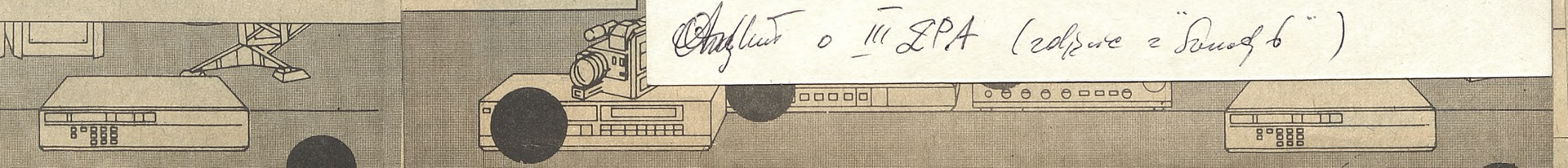
Zobaczyliśmy także kilka przedstawień teatralnych. Z Moskwy zaproszono teatr Studio Człowiek ze znakomitym spektaklem „Emigrantów" Mrożka. Przyznam, że nigdy dotąd sztuka ta nie zrobiła na mnie tak przejmującego wrażenia. Podobny zachwyt wywołała „Ostatnia taśma Krappa" Becketta w wykonaniu Tadeusza Łomnickiego. Z Berlina Zachodniego przyjechał eksperymentalny, amatorski teatr ZATA, w którego wykonaniu obejrzeliśmy bardzo umowną wersję „Wariata i zakonnicy", naszpikowaną dużą ilością współczesnych rekwizytów, z dmuchanymi lalkami włącznie. Teatr im. J. Kochanowskiego z Opola przywiózł przedstawienie W. Cichego i A. Pawłowskiego „Firma portretowa"; był to teatr jednego aktora, inspirowany tekstami i wierszami Witkiewicza. Młodzież Teatru im. A. Tison ze Żnina pokazała z kolei, jak wyobraża sobie „Gyubala Wahazara": łaszki w szatańsko barwnych kolorach, szatańskie krzyki i takaż muzyka. Zobaczyliśmy także wesołą sztukę napisaną przez dwunastoletniego Jana Klatę, laureata jednej z głównych nagród w konkursie im. S.I. Witkiewicza na formę dramatyczną dla dzieci i młodzieży. „Zielony słoń" to groteskowa zabawa. Jej bohaterem jest słoń, towarzysz uczniów podczas lekcji i szkolnego apelu. Wykonawcami tej 20-minutowej „sztuki" byli aktorzy teatru z Zakopanego oraz nauczyciele i uczniowie szkoły mistrzostwa sportowego, a prapremiera odbyła się w sali gimnastycznej tejże szkoły. Największymi jednak, bezkonkurencyjnymi wydarzeniami okazały się przedstawienia teatru gospodarzy, czyli Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza. Z prawdziwym rozbawieniem obejrzałam spektakl „Witka-



Stanisław Ignacy Witkiewicz

SKŁAD CELNY „DUET"
Poznań
Głogowska 113
tel. 66-15-28
SKŁAD CELNY „PROFUS"
Warszawa
Obozowa 82a
tel. 37-67-53

35 modeli – od 580 DM
9 modeli – od 679 DM
5 modeli – od 1750 DM
35 modeli – od 125 DM
ny „Hirschmann"



Małgorzata Dryjska, Demon stosowany, „Wprost" 1989 nr 49 s. 24-26

(Autoportret, Cabaret, Sonata 6)

Artykuł o III ZPA (zdjęcie z Sonaty 6)

cy – Autoparodia": najprawdziwszy teatr „czystej formy". Ów „góralsko-ceperski skecz" to konstrukcja dowolnych efektów: barw, strojów, dźwięków, słów i działań od niczego niezależnych. Góralskie przytupy, przyśpiewki, krew się leje, a uśmiercone postaci wstają ni z tego, ni z owego i najspokojniej grają dalej. Żadnego nie ma w tym życiowego prawdopodobieństwa, a niezwykłość sytuacji przypomina zbiorową zabawę. Witkacy pisał, że taki teatr zamętu i chaosu nie miał być jednak „programowym bezsensem wymyślonym na zimno bez istotnej potrzeby", a „naturalną koniecznością twórczą". I jest nią bez wątpienia dla twórcy tego spektaklu: reżysera, autora scenariusza i scenografii – Andrzeja Dziuka.

Z niekłamanym też zachwytem i zapartym tchem śledziłam następne autorskie przedstawienie A. Dziuka – „Sonatę b" (według „Sonaty Belzebuba") – rzecz o ludzkiej kondycji i męce, jaką przeżywa każdy twórca. Porywające to jest widowisko, mroczne i wizyjne. Ale uwaga: A. Dziuk „czuje" Witkacego i w najmniej oczekiwanych momentach potrafi zakpić i rozweselić widza; precz z pseudoprzeżywaniem...

Trzecim zaś przedstawieniem teatru był „Cabaret Voltaire", czyli „seans dadaistyczno-surrealistyczny". Także całkowitego autorstwa A. Dziuka i także z muzyką (jak i w poprzednich spektaklach) Jerzego Chruścińskiego (wielkie brawa!). Tego parogodzinnego (i jeszcze parę godzin trwających bisów) przedstawienia opisać się nie da. Słowa, że to do łez wesoła zabawa, że to pure nonsens, parodia, wesoły taniec, finezyjna gra skojarzeń słów i sytuacji, a także piękna poezja i muzyka – to za mało. To trzeba zobaczyć i przeżyć!

Nie sposób opisać wszystko, ponieważ każde zdarzenie okazywało się wydarzeniem. Zakopiańskie prezentacje spełniły swe zadanie. Przypomniały twórczość Witkiewicza i źródła inspiracji jego myślenia. Uprzytomniły, jak wielkim był prekursorem europejskiej awangardy. Pokazały, jak bardzo inspirująco wpływa na twórców współczesnych (znamienne, że gros przedstawień teatralnych były to spektakle „według" Witkiewicza). Uzmysłowiły, jak interesująca i inspirująca jest jego sztuka dla nas, ludzi współczesnych, żyjących po katastrofach dziejowych (które przewidywał) w świecie zagrożonych wartości (czego się obawiał). Świetnym naprawdę pomysłem i wielką zasługą organizatorów było to, że prezentując wielość form udowodnili „jedność w wielości".

Było to spotkanie niezwykłe. Miał na to wpływ nie tylko zakopiański genius loci: Tatry, ulice, domy, ludzie pamiętający artystę, ale i atmosfera Prezentacji. Nie było protekcjonalnego poklepywania widza po ramieniu ani lekceważenia go poprzez proponowanie bylejakości. Nie było klubu festiwalowego, w którym do rana leje się alkohol, ale też pomyślano o tym, że goście spędzający w teatrze czas od 17.00 do 2.00 zechcą wypić herbatę czy lampkę wina, czy w końcu zjeść kanapkę. Nie było podziału na widzów i artystów. Było bezpretensjonalnie, serdecznie, uprzejmie i wesoło. Przeżyłam, a wraz ze mną parę tysięcy ludzi, podczas tych Prezentacji-Inspiracji, chwile autentycznych wzruszeń. Najbardziej zaś budujące jest to, że światu, w którym „świństwo równomiernie rozpełzło się wszędzie", nie udało się i nie udaje zniszczyć wielu indywidualności, z którymi – na szczęście – od czasu do czasu możemy się zetknąć. Do takich ludzi należy bez wątpienia pan Andrzej Dziuk, dyrektor wspomnianego już teatru, którego inspiracyjnym pomysłom poddała się tym razem i rada artystyczna Prezentacji i sponsorzy, a przede wszystkim aktorzy – współtwórcy teatru i panującej tam niepowtarzalnej atmosfery. Takich ludzi należy szanować, popierać i życzyć im, aby trwali.

PS. Podczas Prezentacji odbyło się m.in. spotkanie z panem Włodzimierzem Ziemlańskim – bezpośrednim świadkiem pogrzebu Witkacego w Jeziorach. Przy okazji poruszono sprawę ubiegłorocznego, hucznego pogrzebu ekshumowanych rzekomych szczątków artysty. Ponieważ istnieją dokumenty świadczące o pomyłce, pora byłaby już naprawić błąd ówczesnego ministra kultury, pana Aleksandra Krawczuka, który zamiast pociągnąć do odpowiedzialności przedstawiciela swojego ministerstwa za świadome wprowadzenie w błąd, było nie było, całego narodu – żałosne wydarzenie pochowania szczątków nieznanego człowieka w grobie matki artysty, skwitował jako „kolejny chichot Witkacego"... Nie przystoi i pora wyjaśnić oficjalnie tę sprawę. Pora oddać Witkacemu należną mu cześć.

MAŁGORZATA DRYJSKA



Teatr im. S. I. Witkiewicza, „Sonata b" Witkacego, reż. Andrzej Dziuk

Fot. W. Plewiński

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
EXPRESS ILUSTROWANY
ul. Sienkiewicza Nr 3.5
90-113 Łódź
Nr ..... z dn. .....
239 8 - 10 -12- 89

280

KRYSTYNA WAWRZKIEWICZ



LUDZIE SZTUKI

TRZEBA UMIEĆ ODEJŚĆ W PORĘ

Krystyna Wawrzkiewicz odebrała staranne wykształcenie muzyczne — najpierw w szkole średniej na wydziale wokalnym, a potem w PWSM, na wydziale pedagogicznym. Nieco później zdała eksternistyczny egzamin aktorski w MKiS. Jako piosenkarka debiutowała w czasie studiów, występując w studenckich giełdach piosenki, a także w kawiarni „Nowy Świat" w której stawiali również swe pierwsze kroki **Młynarski i Sośnicka.** Śpiewała piosenki **Korcza, Majewskiego, Hertla, Jabłońskiego.** Nagrywała w rozgłośniach radiowych Łodzi, Bydgoszczy, Szczecina, Warszawy. Brała również udział w dwóch festiwalach opolskich, zdobywając w programie **„Echa estrady, giełdy, kabaretu"** nagrodę publiczności. Występowała w wielu miastach Polski, a także za granicą: na Cyprze, w Jugosławii, na Węgrzech, we Włoszech i w licznych republikach radzieckich. Publiczność zapamiętała ją najbardziej z warszawskich **„Podwieczorków przy mikrofonie"** i łódzkiego radiowego **„Programu z dywanikiem".**

— Jaki okres w swej karierze wspomina pani najmilej?

— Lata studenckie. Był to w moim życiu czas bardzo aktywnej pracy i nauki równocześnie. Wiele zyskałam z kontaktów z Włodzimierzem Korczem, wówczas bardzo młodym, lecz już ogromnie utalentowanym kompozytorem. Z sentymentem wspominam też współpracę z Czesławem Majewskim, u którego występowałam w programie **„Spotkania z polską piosenką"**, pilotowanym przez „Express Ilustrowany", z Piotrem Hertlem, bo jego piosenkami wygrywałam giełdy. Wówczas, w latach sześćdziesiątych w Łodzi naprawdę kwitło życie kulturalne i artystyczne, nie tylko w środowisku studenckim. Nasze miasto liczyło się w kraju.

— Z perspektywy własnych doświadczeń co pani uznaje za najważniejsze w zawodzie piosenkarza?

— Talent i pracę. Ale niezbędna jest również siła przebicia, której ja nie miałam. Wspominając tamten czas mogę jednak śmiało powiedzieć, że pozostałam wierna pewnemu poziomowi literackiemu i muzycznemu, poniżej którego nigdy nie zeszłam, dla zyskania łatwej popularności. Poza tym w tym zawodzie, ważne jest, by zdobyć się na odejście w porę, co nie oznacza, że nie można robić rzeczy pochodnych, o czym przekonał mnie w długiej rozmowie profesor Bardini.

— A co to jest w pani przypadku?

— Pozostałam w kręgu ludzi, z którymi pracowałam, tylko w odmiennej roli. Zajęłam się po prostu prezentowaniem pewnych programów i promowaniem młodych osobowości artystycznych, a równocześnie animowaniem wszelkich form działalności w sztuce.

— Mówiąc: wszelkich form, konkretnie co pani ma na myśli?

— Impresariat Zagraniczny „Artpol", istniejący przy Muzeum Historii Miasta Łodzi z inicjatywy jego dyrektora Ryszarda Czubaczyńskiego, „Artpol" ma bardzo szeroką ofertę programową z uwagi na istniejący w naszym mieście potencjał twórczy w postaci Akademii Muzycznej, PWSFTviT, PWSSP i zawodowych instytucji artystycznych. Trzeba ten potencjał eksponować i promować nie tylko w kraju, lecz i w świecie. Ponieważ impresariat działa przy muzeum pragniemy poza lansowaniem działalności teatrów, filharmonii, zespołów muzycznych, małych zespołów estradowych, rewii, a nawet cyrku — organizować również wystawiennictwo i aukcje dzieł sztuki. Uzyskaliśmy już kontrakty dla filharmonii do Francji i Belgii w roku przyszłym, a także dla zespołu „Harnama" i grupy wokalno-muzycznej „Comes". Będziemy obsługiwać dni Stuttgartu w Łodzi w listopadzie 1990 r. i dni Łodzi w Stuttgarcie w kwietniu 1991 r. Dysponując znakomitym wnętrzem pałacowym prowadzimy też krajową działalność impresaryjną. Mamy już w swym dorobku cykl nazwany „Salonowe potyczki", będący nawiązaniem do dawnych tradycji salonów literackich. Robimy to przy współudziale Łódzkiego Ośrodka Telewizji Polskiej. Gościliśmy Wojciecha Młynarskiego z jego recitalem, chcemy teraz sprowadzić Teatr Witkacego z Zakopanego i „Ateneum" z programem o Wysockim w reżyserii Młynarskiego oraz inne interesujące małe formy teatralne, aby łodzianie mogli zobaczyć to co w sztuce scenicznej jest wartościowe.

— Tego rodzaju praca zajmuje pani bardzo wiele czasu...

— Na szczęście moja córka Agnieszka jest już studentką, więc nie wymaga ode mnie zbyt wiele, a raczej pomaga w domowych pracach.

— Córka poszła bliską pani drogą — studiuje aktorstwo w szkole filmowej — to za pani radą?

— Przeciwnie, odradzałam jej wybór artystycznego zawodu. Ale na ogół tak jest, że dzieci idą w ślady rodziców zwłaszcza, jeśli chodzi o zawody twórcze, a także zawód lekarza, prawnika czy do niedawna — nauczyciela.

— Jak pani odpoczywa, czym się pasjonuje?

— Moją pasją i równocześnie odpoczynkiem jest zbieranie grzybów. Na hasło: grzybobranie, mogę wstać nawet w środku nocy, jak nienawidzę wcześnie wstawać. A w tym wszystkim największą przyjemność sprawia mi znajdowanie grzybów. Kiedy przychodzi na nie pora, miewam nawet grzybowe sny. Przy okazji obcuję z naturą, co mnie uspokaja i dobrze usposabia do życia.

— Gdyby przyszło pani jeszcze raz dokonać wyboru zawodu to...

— Nie wiem. Suma doświadczeń, nie pozwala mi w jednej chwili na jednoznaczną i zdecydowaną odpowiedź. Gdybym jednak mogła zaczynać od nowa z tymi doświadczeniami, jakie nagromadziłam w sobie, to pewnie wybrałabym tę samą drogę, tylko inaczej podeszłabym do tego zawodu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

LUCYNA HOSZOWSKA

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

ODGŁOSY
90-103 Łódź
ul. Piotrkowska Nr 96

Nr ..... z dn. .....

50 10-12-89

Bliżej świata

280

Przełamywanie monopoli stało się w Polsce rzeczą normalną i nikogo już nie dziwi. Nawet gigant spirytusowy legł pod naporem pomysłowości i przedsiębiorczości rodaków przewożących przez granice hektolitry wódki. Konkrencja jest zjawiskiem niewątpliwie pozytywnym, uatrakcyjnia i wzbogaca rynek, tym bardziej jeśli jest to „rynek" sztuki, kultury i rozrywki. Dotychczasowy jedynowładca na tym obszarze, „Pagart" specjalizujący się w imporcie i eksporcie artystów, stracił swoją wyłączność i dowolność w obdzieraniu ze skóry swoich klientów, gdy ci, nie mając alternatywy, musieli się na to godzić. Dziś jest już inaczej Powstało wiele spółek i impresariatów prawa konkurencji wymusiły większą elastyczność finansową i możliwość wyboru firmy, która w imieniu artysty zawierać będzie kontrakty zagraniczne i krajowe. A rewiry te nie należą do łatwych, bywają zaklęte, stare układy funkcjonują, trzeba więc wykazać nie lada spryt, refleks i dyplomatyczną taktykę, by ubiec konkurentów, czyli rywali.

W naszym mieście również powstał **Impresariat Zagraniczny „Artpol"**, przy **Muzeum Historii Miasta Łodzi**, z siedzibą przy pl. Wolności 2. Przeobraził się weń z Impresariatu Krajowego, który zdążył jeszcze zorganizować „potyczki salonowe" w pałacu Poznańskiego (siedzibie Muzeum) z udziałem **Andrzeja Brychta** i recital **Wojciecha Młynarskiego**, tamże. Były to bardzo udane imprezy, dobrze rokujące ich organizatorom. Będą więc kontynuowane, choć już pod nowym szyldem. Impresariat Zagraniczny zamierza w pałacowych salonach spotkać ze sobą **Zygmunta Kałużyńskiego** i **Krzysztofa Teodora Toeplitza**, oraz w drugiej parze **Adama Hanuszkiewicza** i **Stefana Kisielewskiego „Kisiela"**.

Autorem, pomysłodawcą i opiekunem instytucji jest **Ryszard Czubaczyński**, dyrektor Muzeum Miasta. Dziś jest dumny ze swego dzieła, Czas zweryfikuje ten stan ducha, wydaje się że na korzyść. Już sam lokal i jego „zapach" znamionują profesjonalizm przedsięwzięcia. Elegancko, nowocześnie urządzony i wyposażony, budzi zaufanie i poczucie pewności u kontrahenta. Fachowa, sympatyczna, choć nieliczna ekipa, rzeczowo podchodzi do swej pracy; kultura osobista jest jej silną bronią, a miłe uśmiechy dodatkowym i niezwykle ważnym atrybutem. Kieruje instytucją pani **Krystyna Wawrzkiewicz**, a wspierają swą szefową: **Grażyna Budzińska** — anglistka, specjalista ds. kontraktów i **Kazimierz Mikołajczak** — niegdyś dyrektor Filharmonii Łódzkiej, specjalista ds. fonografii.

Impresariat Zagraniczny proponuje: realizację kontraktów artystycznych z każdej dziedziny sztuki w kraju i za granicą, zapewniając profesjonalną obsługę transakcji, pomoc w prezentacji dorobku twórczego artystom na międzynarodowych scenach i estradach; dokonywanie nagrań muzycznych dla potrzeb filmu i teatru; pośrednictwo w eksporcie wybitnych dokonań zrealizowanych przez instytucje artystyczne w Polsce; pośrednictwo w organizowaniu aukcji sztuk plastycznych, eksport pedagogów w zakresie szkolnictwa artystycznego.

A przekładając to na język faktów: sfinalizowano kontrakty — poprzez belgijską agencję **„Pro Liege" i agencje z Paryża — dla Filharmonii Łódzkiej, Zespołu im. Harnama i zespołu estradowego** „Comes", który specjalizuje się w transkrypcjach muzyki poważnej rumuńskiej, cygańskiej i rosyjskiej. Doprowadzono do powstania baletu w koprodukcji **Poznańskiego Teatru Tańca Ewy Wycichowskiej i agencji artystycznej z Hannoveru na RFN i kraje zachodniej Europy.** Prowadzone są rozmowy z **Teatrem im. Witkiewicza z Zakopanego** w sprawie występów w Łodzi i „gdzieś w Europie" Wystąpi w Łodzi **Teatr „Ateneum" z „Wysockim"** Planuje się wysłanie spektaklu **Pawła Kruka „Monte Cassino" do Paryża**, po wielkim sukcesie u londyńskiej Polonii. Zapewni się oprawę estradową wielkiego show architekta **Wojciecha Zabłockiego**, które poprowadzi **Bohdan Tomaszewski**, itd. itp.,

Gdy już na eksporcie polskich artystów Impresariat zarobi pieniądze, sprowadzi do Polski i Łodzi **„Indiański Teatr Tańca" z USA**, program piosenek **Jacquesa Brela z Paryża i wybitnego hiszpańskiego gitarzystę Pedro Ibaneza — osobiście.** Są to propozycje już wstępnie omówione.

Firma istnieje od niedawna i dopiero się rozpędza. Gdy nabierze odpowiedniego rozpędu — mamy nadzieję — w Łodzi zaroi się od imprez wreszcie na wysokim poziomie. Oby nadeszły czasy, gdy zwali nas, łodzian, z nóg dramatyczny dylemat: na co iść? Na recital Pavarottiego, koncert Franka Zappy, czy potyczki salonowe z Madonną.

MAREK KOPROWSKI

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH

Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza
RSW
„Prasa-Książka-Ruch"

280

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA KRAKOWSKA
ul. Wielopole 1
31-072 Kraków

Nr ..... z dn. .....

293 16 - 17-12-69

Już w kioskach

Nowy numer „Krakowa"

Ukazał się 4 (24) numer kwartalnika „Kraków" a w nim jak zwykle sporo ciekawych artykułów, sylwetki artystów związanych z Krakowem, ciekawostki, dużo interesujących zdjęć. Jednym słowem czas poświęcony na lekturę nie będzie czasem straconym.

Dla nikogo — ani dla urbanistów czy architektów, ani dla przechodniów spacerujących wzdłuż Wisły — nie ulega wątpliwości, że Wisła w granicach Krakowa nie została wykorzystana tak, jak na to zasługuje — tak zaczyna się rozmowa **Anny Markowskiej** z architektami dr. **Zenonem Grajkiem**, głównym architektem miejskim w latach 1961—68, oraz z dr. **Wojciechem Kosińskim**. Dowiadujemy się z niej o planach architektoniczno - urbanistycznych, o godnych zainteresowania koncepcjach rozwoju tego rejonu miasta. „Taki ładny eteryczny krajobraz" ... **Stanisław Wiśniewski** rozmawiał z **Jonaszem Sternem** i teraz kilka lat po śmierci artysty odtwarza tę rozmowę z taśmy. Snycerza krakowskiego **Jerzego Hankisa** poznajemy bliżej w szkicu **Jana Samka**. **Zdzisława Zegadłówna** pisze o losach Pałacu pod Baranami. Czy „Wesele" można przetłumaczyć na język hebrajski? Okazuje się że tak a przekonuje nas o tym **Ryszard Löw**. Czy wszystko już wiemy o Teatrze Witkacego z Zakopanego? Na pewno nie, warto zatem przeczytać o diabelskich igraszkach tego teatru z publicznością. Poza tym wiele ciekawostek z historii Krakowa, Głos Piwnicy Pod Baranami i rysowana legenda Andrzeja Mleczki. Magazyn jak zwykle starannie wydany, co uprzyjemnia lekturę a cena 700 zł (jeszcze) nie będzie uszczerbkiem dla kieszeni zważywszy, że „Kraków" czytamy raz na kwartał.

(or)

BIURO WYCINKÓW CLOB PRASOWYCH
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch"
04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
ANTENA
Al. Niepodległości 77/85
00-950 Warszawa
Nr ..... z dn. 27-12-89

280

Nasze promocje

A TY NIE LĘKAJ SIĘ POEZJI...

A ty nie lękaj się poezji
i pokłoń się jej nisko

— to przesłanie wygłoszone przez Mirosława Czyżykiewicza można uznać za motto wieczoru, jaki odbył się 4 grudnia 89 r., w klubie studenckim „Riviera-Remont". Do promocyjnego koncertu płyty Mirosława Czyżykiewicza, plastyka-poety i kompozytora (na ekranie telewizyjnym widzieliśmy go niedwano w programie „Przemysław Gintrowski i przyjaciele"), doszło dzięki wspólnym wysiłkom radiowej Trójki, redakcji „ITD" i „Alma-Artu". Starania, aby przekonać „Polskie Nagrania" do wydawania fonograficznej serii: „Płyta dla autora" — można rzec — powiodły się, bo wreszcie ukazała się pierwsza z serii płyt (zaplanowano także płyty Andrzeja Garczarka, Jacka Kleyffa, Konrada Materny i Grzegorza Tomczaka). „Autoportret I" Mirosława Czyżykiewicza zrealizowano podczas recitalu w Teatrze im. Witkacego w Zakopanem, w kwietniu 1988 r.

Piotr Bałtroczyk (także śpiewający autor), prowadzący w sposób błyskotliwy tę imprezę stwierdził, iż to nie tylko promocja płyty Mirosława Czyżykiewicza, ale także pewnego sposobu myślenia. „Płyta dla autora" — to rodzaj listu do świata.

I tak też odbierano występy młodych arytstów i gości uświetniających ten koncert. A byli to znani z festiwali studenckich i Festiwalu Poezji Śpiewanej w Olsztynie: Tomasz Wachnowski, Grzegorz Tomczak (jego tekst spopularyzowany przez Marylę Rodowicz „Tango na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos" drukowaliśmy na naszych łamach), Stefan Brzozowski i Krystyna Świątecka z popularnej niegdyś grupy „Niebo", zespół „Ostatnia wieczerza w karczmie przeznaczonej do rozbiórki" (z którym współpracował M. Czyżykiewicz) oraz Elżbieta Adamiak i Andrzej Poniedzielski.

Okazuje się, że młoda publiczność jest spragniona poetyckich tekstów oddających jej nastroje, problemy i niepokoje. Tych lirycznych, jakie śpiewa Mirosław Czyżykiewicz, i tych gorzko-mądrych wykonywanych z wewnętrznym żarem przez Grzegorza Tomczaka, czy przewrotnych w swej wesołości ballad Andrzeja Poniedzielskiego.

To oczywiste, że „gdy się milczy, milczy, to apetyt rośnie wilczy na poezję, która jeszcze drzemie w nas" — by przywołać słowa Jonasza Kofty. I tak zepchnięta do undergroundu piosenka autorska rosła w siłę. Ale wychynąwszy dziś na powierzchnię, w znacznej mierze oddziałuje na emocje słuchaczy, jeśli nadal jest poezją, a nie tylko użytkową publicystyką.

— Czy jest wola i zrozumienie dla tego rodzaju twórczości? Ile razy w tygodniu radio prezentuje piosenkę autorską? — pytano Marka Czyżykiewicza na konferencji prasowej, tuż po koncercie.

Janusz Deblessem, przedstawiciel Trójki, patronujący tej imprezie i autor radiowego cyklu „Gitarą i piórem — spotkanie z piosenką" (emitowanego w Trójce co dwa tygodnie) przekonywał zebranych:

— *Nie są to piosenki z list przebojów. To muzyka dla pewnych grup i elit. Piosenka dla smakoszy.*

Wątpliwości zebranych budził też termin piosenka studencka, a nawet kultura studencka.

— *Wydanie kilku płyt śpiewających autorów nie było jedynym celem akcji* — wyjaśnia Janusz Deblessem. — *Chcieliśmy uświadomić możliwie szerokiej rzeszy odbiorców, że są twórcy, są piosenki, którymi się warto zainteresować. Do rangi heroicznego symbolu urosła twórczość poetów-pieśniarzy, zepchniętych do getta tak zwanej kultury studenckiej, starających się mimo wszystko mówić o własnych sprawach własnym głosem, po swojemu.*

Warto tu wspomnieć o wspaniałym koncercie poezji śpiewanej emitowanym na żywo w Trójce 25 czerwca 89 r. (patrz „Antena" nr.30). Całkiem niedawno, choć minęło już tyle miesięcy — autor audycji „Gitarą i piórem", otrzymał list: „Największe wrażenie po tym wieczorze zostawiły interpretacje Eli Wojnowskiej. Brakowało Mirka Czyżykiewicza i Jacka Kaczmarskiego, ale to byłoby może zbyt dużo...".

— *Wciąż wracamy do nagrań z tego trójkowego koncertu* — mówi Janusz Deblessem — *i nadal czuje się emocje i echo tamtej niepowtarzalnej atmosfery.*

Następnego dnia po koncercie w „Rivierze" Mirosław Czyżykiewicz wystąpił na żywo w całonocnym programie Trójki „Noc z Mikołajem". Zaśpiewał tam cztery piosenki, w tym bardzo piękny utwór „Jednym szeptem":

Jednym szeptem
jednym gestem
jednym drgnieniem powiek
zmieniasz zawstydzenie
kiedy jesteś w zamyśleniu
Gdy cię nie ma
mam tyle słów
Jest ich siła
życzeń i pragnień
jak w kolędzie
Gdzie się podziały
kiedy byłaś
czy się odnajdą
gdy znów będziesz?

HANNA GALSKA

P.S. Ciekawe, co się dzieje z telewizyjnym recitalem Mirosława Czyżykiewicza, nagrywanym dla programu 2 zimą, dwa lata temu? Może warto zajrzeć na półkę?

Zakopane ma swój teatr

Na naszych oczach spełnia się i marzenie o, i dążenie do teatru zawodowego w Zakopanem. Stało się to za sprawą Andrzeja Dziuka i jego współtowarzyszy, którzy bez rozgłosu wkroczyli w kulturalne życie Tatr Polskich zyskując natychmiast aprobatę dość wybrednej widowni, która tutaj, czy ktoś chce czy nie chce, zawsze będzie miała swoje kaprysy, wynikające choćby z faktu, że duża część widzów to turyści i wczasowicze. Czy o nich myśli Dziuk?

Samo Zakopane — jego mieszkańcy — już się właściwie przyzwyczaiło do tej sceny przy Chramcówkach. Tam też w dawnym zakładzie tegoż imienia salę teatralną i kilka pomieszczeń przyległych artyści przystosowali do swoich pomysłów inscenizacyjnych, zyskali pomoc w przebudowie ze strony miejscowych władz. Zachodzę w głowę, w jaki sposób się to wszystko stało? Tyle lat piszemy o konieczności stałego teatru w Zakopanem; pomysły i plany rozbijały się o brak sal, pieniędzy, nawet chęci ostatecznych rozwiązań. Natomiast grupa absolwentów Wydziału Aktorskiego i Wydziału Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie nie czekając na uchwały po prostu uderzyła w żądną sztuki publiczność zakopiańską. 9 sierpnia 1984 r. rozpoczęła pracę *„Pragmatystami"* Stanisława Ignacego Witkiewicza. Przedstawienia tego nie oglądałem. Trafiłem na liczącą już rok egzystencji scenicznej *„Autoparodię"* Witkacego, która miała swoją premierę 24 lutego ub. r. A jak się stało — opowiem...

„Autoparodia" nosi w podtytule następujące określenie *„niesmaczny, góralsko-ceperski skecz na podstawie »Negatywu szkicu«, »Romansu schizofrenika«, »Redemptoarów« oraz wierszy zakopiańczykom (prawdziwym?) poświęconych"*. Powiem szczerze, że bałem się udziwnień wynikających ze źle najczęściej przez teatry polskie rozumianej czystej formy. Pociąga to za sobą wariackie udziwnianie kostiumów, rwanie tekstu, przez wymowę tyleż bełkotliwą co niewyraźną.

Autorem scenariusza i reżyserem tego widowiska jest Andrzej Dziuk. Wykształcony polonista i reżyser zderzył ekscentryczne pomysły Witkacego, wiążące się z życiem tzw. sfer wyższych i niższych, z rzeczywistością zakopiańską tak, jakby nic tu się nie zmieniło od lat. W związku z tym cały ten majdan spraw i osób opisanych dość dokładnie w pamiętnikach dawnych i nowych zyskał wymiar kapitalnych pokpiwań z hrabiowskich i inteligenckich koneksji Kapela góralska „Maśniaków" przypomina gdzie jesteśmy, zaś rozegranie kilku scen o absurdalnym wymiarze zbrodni, trucicielstwa bez kary, przynosi chlubę: **Dorocie Ficoń, Karinie Krzywickiej-Dąbrowskiej, Piotrowi Dąbrowskiemu, Andrzejowi Jesionkowi, Krzysztofowi Łakomikowi, Krzysztofowi Najborowi i Piotrowi Samborowi.** Realistyczny gest, układ scen, wszystko to w najlepszym stylu świadczy o sprawności artystycznej zespołu. Nie powiem, że mnie nie denerwuje brak porządnych programów z wyznaczeniem ról, no, ale to może trochę później przyjdzie...

12 stycznia br. odbyła się premiera *„Benefisu"* — bardzo ciekawego monodramu poświęconego Irenie Solskiej, zbudowanego z listów, pamiętników, fragmentów sztuk, które stały się dla tej znakomitej polskiej aktorki fundamentem jej niezapomnianych kreacji. Autorką scenariusza i reżyserką przedstawienia była **Julia Wernio**, scenografię opracowała **Elżbieta Wernio**. W rozbebeszonym łożu, w ciasnej (tak to pokazała aktorka) izdebce przytułku miota się ona, wielka, podobno fascynująca, rudowłosa Irena Solska — **Marta Szmigielska.** Rzucono tu artystkę na głębokie wody tak różnorodnych tekstów, o takiej skali napięcia lirycznego, dramatycznego, że widz jest zupełnie oszołomiony. Szmigielska recytuje i gra *„Moskwę"* Młodożeńca, fragmenty z *„Amora i Psyche"* Żuławskiego, teksty Infantki z *„Cyda"*, pani Akne z *„622 upadków Bunga"* Witkacego, Harfiarki z *„Wyzwolenia"*, Żony z *„Nie-Boskiej komedii"*, Ofelii ze *„Śmierci Ofelii"* Wyspiańskiego, Dziwnej ze *„Skarbu"* Staffa. W czym jest lepsza? Czy w przytoczonych fragmentach, czy w listach pełnych żalu do świata, że przecież jeszcze może pracować, olśniewać swym talentem słuchaczy a nie jest jej to dane. Szmigielska udźwignęła ciężar owych bardzo różnych tekstów — Infantką była wręcz zniewalającą. Nie można też odmówić głębokiej wymowy scenom wyznań artystycznych, lirycznych. Młoda aktorka ma siłę ekspresji, potrafi z listu zrobić... tragedię. W pierwszej części przedstawienia bardziej podobna jest do wizerunku Solskiej, który znamy z wielu zdjęć. Później jakby odrzuca ten za ciasny dla niej kostium, jest sobą. Jakiż dramat rozgrywa się w duszy wspaniałej artystki dogorywającej przez długie lata, jeszcze po wojnie, do 1958 roku w aktorskim schronisku w Skolimowie...

Odważnie też sięgnęli artyści Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza po teksty Antoniego Słonimskiego i Juliana Tuwima, po muzykę międzywojennego XX-lecia, aby w reżyserii Andrzeja Dziuka i z jego scenariuszem dać *„Dziurę"* w oparach absurdu wykutą (premiera 7 lipca 1985). Na pianinie gra **Jerzy Chruściński**, na skrzypcach **Stanisław Lubowicz.** Ten przegląd ma wdzięk młodości — a to dużo. Układ tańców, gest sceniczny, wszystko w normie owych absurdów, gdzie napuszone słowa wyznaczają rytm dawnych przyzwyczajeń. Artyści nie silą się na zbyt poprawne wykonanie partytury, często piosenkę raczej interpretują środkami aktorskimi niż muzycznymi i wtedy dwaj instrumentaliści spełniają swoją główną rolę...

Na koniec zostawiłem sobie i naszym Czytelnikom ostatnią premierę z grudnia 1985 roku. Mówię o sztuce Pedra Calderona de la Barca *„Życie jest snem"* w imitacji Jarosława Marka Rymkiewicza. Reżyserował i opracował scenograficznie znowu Andrzej Dziuk, muzyka **Gaspara Sanza**, choreografia **Lecha Wołczyka.** W spektaklu tym zakopiańscy aktorzy dali dowód dojrzałości artystycznej. Przedstawienie jest pomyślane bardzo ciekawie, Dziuk rozciął salę tak, że widzowie znajdują się pod dłuższymi ścianami. Z lewej i z prawej strony mają więzienie i pałac, salę tronową. Przed sobą — główną, podłużną scenę, po której na początku przechadza się oswojony... kogut. *„Życie jest snem"* zrealizowane zostało — moim zdaniem — z zupełnie nieoczekiwanym rozmachem, przy utrzymaniu realistycznej konwencji gry. I o dziwo, w ten sposób łacniej docieramy do historiozoficznych uogólnień tego dramatu, w którym okrutny król więzi syna. Cała ta zawierucha dziejowa, która dzieje się jakby na przekór prawom historii, to rozcięcie między światem realnym i urojonym tak gruntownie wypełnione właśnie realistyczną grą aktorów — toż to prawdziwy rarytas reżyserski. Na pierwszym miejscu postawić należy tutaj robotę aktorską **Piotra Dąbrowskiego** w roli błazna Clarina. Nic z pozy, a jednak poza, nic z płaczliwości, a jednak płacz, nic z markowanego lęku, a jednak lęk. Wspaniała rola! Nie ustępuje jej wiele **Krzysztof Najbor** w roli Segismunda, który gra tchórza i słabeusza, rozdygotanego psychicznie histeryka jednak chytrego... Para Rosaura-Estrella zyskały w **Dorocie Ficoń** i **Karinie Krzywickiej** czułe interpretatorki. Podobał mi się również Astolfo **Andrzeja Jesionka** dla niekłamanego rozmachu, Basilio **Krzysztofa Łakomika** i **Lech Wołczyk**, który zagrał służącego, żołnierza i... lud. Dobry był Clotaldo w wykonaniu **Piotra Sambora.**

Zachwycony jestem sceną pojedynku, którego układ sięga mistrzowskich pomysłów przełomu wieków XIX i XX. Zadziwiające przedstawienie! Skąd się w tych młodych aktorach bierze taka siła interpretacji? Przypuszczam, że zawiera się ona również w jasno nakreślonym zadaniu, dość ściśle sformułowanym w programie teatru: Teatr im. Witkiewicza chce dawać świadectwo prawdzie swego czasu. Chce być teatrem artystycznym, chce ocalić racje teatru jako sztuki. Chce coś znaczyć, chce służyć drugiemu, żywemu, myślącemu, czującemu, przerażonemu człowiekowi.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK